

*Peter Clement*

*Mutacja*

## Prolog

*Piątek, 28 października 1998, 1.00*

*Kailua na wyspie Oahu Hawaje*

Jego krzyk obudził ją.

Instynktownie puściła się biegiem do pokoju, w którym spał.

– Mamuuusiuuu!

Nie tracąc czasu na zapalanie światła, sześciora susami pokonała kilkumetrowy korytarz dzielący ich sypialnie.

– Jestem tu, Tommy – odezwała się uspokajająco, stając przy jego łóżeczku.

Gdy brała go w ramiona, już się dławił.

– Jestem tu, kochanie – powtórzyła, gotowa dodać, że to tylko zły sen.

Lecz gdy poczuła przez cienki materiał koszuli nocnej, jak gorące jest jego ciało, zrozumiała, że to nie jest zwykłe przeziębienie i że kaszel sprowokował wymioty.

Zawsze była dumna z tego, że potrafi zapanować nad najgorszymi przeczuciami, gdy mały choruje, że nie pozwala, by zaćmiły jej obiektywny obraz sytuacji.

Ale tym razem ciężki kaszel syna i wyraźne kłopoty z oddychaniem zaniepokoiły ją.

Szybkim ruchem włączyła światło i zobaczyła krwistą pianę wydobywającą się z jego nosa i ust, gdy walczył o kolejny haust powietrza.

Panika uderzyła w nią jak prąd z krzesła elektrycznego.

– O mój Boże, nie! – jęknęła, jakby protest mógł zmienić to, co działo się na jej oczach, jakby zaciśnięcie powiek mogło przerwać tę scenę.

Instynkt jednak zwyciężył.

Odwrociła chłopca twarzą w dół, by krew mogła się wydostać i udroźnić drogi oddechowe, i pobiegła z nim schodami w dół, zostawiając na wykładzinie czerwony ślad.

W ułamku sekundy oszacowała, że najszybciej dowiezie dziecko do szpitala własnym samochodem; w biegu zabrała z kuchennego stołu kluczyki i telefon komórkowy.

– Mamusia jest przy tobie.

Mamusia jest przy tobie.

Spróbuj wypluć i oddychaj.

Gdy szlochając, zdołał zaczerpnąć tchu, poczuła na dłoni, którą przyciskała do siebie jego pierś, delikatne wibracje – charkot płuca wypełnionego płynem.

Wiedza tylko spotęgowała jej przerażenie; podpowiadała najróżniejsze scenariusze, a każdy kolejny wydawał się bardziej ponury.

– Moje biedactwo.

Kochane maleństwo.

Wszystko będzie dobrze!

Biegąc przez trawnik w stronę garażu, nie przestawała mówić.

Wiedziała, że wszystko to kłamstwa, ale miała nadzieję, że sam dźwięk jej głosu podniesie chłopca na duchu.

Lecz choć miała wprawę w wygłaszaniu pocieszających formułek do innych chorych, tym

razem strach wziął górę i słowa uwięzły jej w krtani.

Wiedziała, że jej syn w każdej chwili może przestać oddychać i że znajdują się o półgodziny za daleko od miejsca, w którym mogłaby powalczyć o jego życie.

Odosobnienie, którego tak gorliwie poszukiwała, decydując się na zakup tego kawałka rajy na plaży, miało się teraz okazać wyrokiem śmierci dla jej dziecka.

– Co go zabija? – szepnęła z taką emfazą, jakby modliła się do Boga o diagnozę.

Ale On milczał, a pamięć nie podpowiadała niczego sensownego.

Jeszcze wczoraj wydawało się, że chłopiec jest tylko przeziębiony.

Czyżby jej obsesja na punkcie walki z „przesadnym reagowaniem” sprawiła, że umknęło jej coś, na co powinna była zwrócić uwagę?

Gdy szarpnęła drzwi wozu, usiadła za kierownicą i ułożyła dziecko twarzą w dół na swoich kolanach, Tommy zaczął wydawać z siebie ciche, przenikliwe świsty przy każdym wydechu.

Wsunęła kluczyk do stacyjki, z piskiem opon wyjechała na wstecznym z podjazdu i popędziła szosą.

Prowadząc jedną ręką, sięgnęła po telefon i wcisnęła klawisz automatycznego wybierania.

– Mówi doktor Sandra Arness.

Jestem na szosie Pali, jadę do was od strony Kailua.

Chodzi o mojego syna.

To ostra niewydolność oddechowa, z powodu posocznicy i prawdopodobnie zapalenia płuc.

Na Boga, wyślijcie mi na spotkanie karetkę, tylko koniecznie z wyposażeniem reanimacyjnym dla trzylatka.

Urwała i zaczęła płakać, nie mogąc znieść myśli o tym, że być może będzie musiała reanimować go samodzielnie.

– Robi się, doktor Arness! – odpowiedziała natychmiast recepcjonistka.

– I już stawiam na nogi nasz zespół.

Chłopiec pojękiwał coraz ciszej i z coraz większym trudem łapał oddech, ale zdołał jeszcze unieść główkę.

– Pocałuj, mamusiu.

Pocałuj, żeby już było dobrze – wyszeptał głosem tak słabym, że ledwie słyszalnym.

– Bądź dzielny, Tommy.

Mamusia zaraz ci pomoże.

– Pomóż teraz, mamusiu.

Siłą woli powstrzymała łzy, by nie stracić panowania nad sobą i nie przerazić chłopca jeszcze bardziej.

Bezradność zadawała jej fizyczny ból.

Jakby tej udręki było mało, mijali właśnie ciemną bryłę jedyne miejsce po tej stronie wyspy, które niegdyś mogło go uratować: miejscowego szpitala, zamkniętego ledwie rok wcześniej w ramach cięcia kosztów.

Gładziła główkę syna, gdy tylko mogła oderwać rękę od kierownicy.

Zawsze to lubił i dlatego modliła się w duchu, by mogła mu dać przynajmniej tyle.

Lecz droga w tym miejscu wiła się jak wąż między wzgórzami Koolau, oddzielającymi Kailuę od Honolulu.

Sandra Arness musiała trzymać kierownicę obiema rękami, by pokonywać ostre zakręty; gdy tylko Tommy przestawał czuć jej dotyk, stawał się bardziej niespokojny.

Gdy samochód wyłonił się z długiego tunelu w połowie drogi do celu, między drzewami spostrzegła błyskające czerwone światło ambulansu, mknącego znacznie niżej położonym odcinkiem szosy.

Zanim, w oddali, złociste światła Honolulu opadały kaskadą z ciemnych wzgórz aż po plażę Waikiki – kiedyś nazwała je „czarodziejskim proszkiem wróżki z magicznego świata”, gdy mały Tommy przyglądał się im szeroko otwartymi oczami.

Przypomniała sobie wyraźnie, jak pisał wtedy z radości.

– Już widzę karetkę, Tommy, i światła miasta.

Mamusia pomoże ci oddychać.

– Urwała, czując, że chłopiec zaczyna mieć drgawki.

–O Boże, nie!

Nie!

Nie!

Od karetki dzieliło ją jeszcze kilka minut szaleńczej jazdy.

Tommy’emu zostały najwyżej sekundy.

Pędziła już sto mil na godzinę, lecz mimo to docisnęła jeszcze pedał gazu.

Na tym odcinku szosy zakrętów było mniej, ale gnając w dół na złamanie karku, kilka razy omal nie straciła panowania nad pojazdem, zahaczywszy kołami o trawę i żwir.

Pokonała jeszcze połowę odległości dzielącej ją od nadjeżdżającej karetki, poczym na zablokowanych kołach wyhamowała napasie rozdzielającym jezdnie.

Tuląc do siebie targanego spazmami Tommy’ego wyskoczyła z samochodu i stanęła w blasku reflektorów.

Chłopiec siniał na jej oczach, a spomiędzy jego zaciśniętych zębów wciąż sączyła się krwawa piana.

Wydawało się, że pojękuje z cicha, ale wiedziała, że to tylko siła skurczów wypycha resztki powietrza z jego płuc.

Przyklękła na asfalcie i ułożywszy syna na swoich kolanach, spróbowała rozchylić palcami zawartą szczękę.

Nie mogła.

Objęła jego usta własnymi i spróbowała wdmuchnąć powietrze, ale wargi chłopca zaciskały się zbyt mocno w bolesnym grymasie.

Spróbowała nawet wtłoczyć powietrze do płuc przez nos, ale jej wysiłki były daremne.

Pewnie język zapadł się do gardła i blokuje drogi oddechowe, pomyślała.

Wycie syreny nadjeżdżającej karetki było coraz bardziej donośne, jak skowyt cmentarnej zjawy szukającej łupu.

– Tommy!

Tommy! – wołała, przekrzykując hałas.

Nie mogła już nic zrobić, a tętno, które próbowała wyczuć na szyi syna, praktycznie zanikło.

Rytmiczne drgawki były coraz rzadsze; ręce i nogi Tommy’ego poruszały się jeszcze, jakby ktoś nim potrząsał, ale już tylko co dwie sekundy.

W chwili, gdy karetka zatrzymała się przy nich, chłopiec był już bezwładny.

Chwilę później ratownicy medyczni ułożyli go na noszach i umieścili w karetce.

Oszołomiona doktor Arness przykucnęła przy jego twarzy i zmusiła się do wykonania czynności, których ją nauczono: udrożniła drogi oddechowe pediatrycznym laryngoskopem, odessała krwistą pianę i wsunęła w tchawicę rurkę grubości małego palca chłopca.

Wóz nawrócił tymczasem i popędził w stronę dalekich świateł.

Jeden z ratowników asystował lekarce przy chorym.

Lecz mimo iż podawali tlen wprost do tchawicy, choć młode, zdrowe serce dzielnie próbowało złapać rytm, choć wszystkie inne narządy czekały w pełnej gotowości, by działać, płuca już nie pracowały.

Infekcja zniszczyła tak wiele z ich delikatnej tkanki, że krew nie mogła już odnaleźć powietrza i całe ciało dusiło się komórka po komórce.

Gdy nosze mknęły na rozkładanym podwoziu w stronę szpitalnej bramy, wiedziała już, że jej syn nie żyje.

Nieobecna biegła obok nich, spoglądając na jego loki targane wiatrem i wsłuchując się w szelest wysokich palm.

Zadarła głowę i zobaczyła granatowoczarne niebo usiane srebrem – ten sam widok, który witał ją za każdym razem, gdy kończyła dyżur i wracała do domu.

Teraz jednak jego piękno wydawało się zimne i obojętne, jakby Bóg postanowił zadrwić z jej zachwyty.

Niespełna tydzień później doktor Julie Carr, dyrektor do spraw badań w Instytucie Wirusologii w Honolulu, poczuła nagle przyspieszenie tętna, gdy wpatrywała się w prawie monochromatyczny obraz na ekranie mikroskopu elektronowego.

Owalna, zielona istota najeżona tysiącami kolców wyróżniała się na tle innych, szarawych kształtów.

Wszystkie one przypominały stworzenia z mrocznych głębin oceanu, ale były w istocie wirusami.

Jak zawsze pełna nauczycielskiej pasji, wezwała do siebie studenta pierwszego roku medycyny, który wybrał praktyki szpitalne jako przedmiot dodatkowy, wskazała ręką na ekran i oznajmiła:

– Potrzebowałam czterech dni, żeby zidentyfikować tego zielonego.

– Czterech dni? – zdumiał się młody mężczyzna.

Zwykle na ustalenie tożsamości wirusa wystarczało czterdzieści osiem godzin.

– Tak jest. Zna pan przypadek Tommy’ego Arnessa?

– Czy to nie ten syn lekarki, który miał być tylko przeziębiony i nagle zmarł?

– Nie znam szczegółów. Tylko tyle, ile usłyszałem od techników.

– Na początek przeprowadziłam wszystkie standardowe testy, żeby wykryć typowych podejrzanych o wywołanie ostrej infekcji dróg oddechowych.

Czytał pan już o ELISA?

– Nie, doktor Carr – odparł pokornie student.

– Ale dojdę do tego, tylko.

– Podobnie jak policja przechowuje odciski palców znanych sobie przestępców – ciągnęła Carr,

zupełnie niezainteresowana jego wymówkami – tak wirusolodzy przechowują przeciwciała, które są „odciskami palców” najczęściej spotykanych wirusów.

Dodaliśmy do każdego z nich enzym, który wywołuje specyficzną zmianę koloru, gdy przeciwciało napotka swoją „parę”.

Tym sposobem możemy wzrokowo potwierdzić obecność w danej próbce surowicy lub tkanki konkretnego wirusa.

Procedurę tę nazywamy testem immunoenzymatycznym, albo w skrócie ELISA.

Gdy dodałam reagent właściwy dla grypy do specjalnie przygotowanych próbek z płynów ustrojowych Tommy’ego Arnessa i z jego tkanki płucnej, zadziałał tak, że świeciły jak rozżarzone węgle.

– To znaczy, że zabiła go grypa?

– Nie kupiłam takiego wyjaśnienia.

Wirus grypy, który atakuje śluzówkę nosa, gardła i płuca człowieka, jest w stanie wywołać wysięk, ale nigdy nie spotkałam szczepu, który byłby zdolny spowodować tak potężny krwotoki, siał takie spustoszenie, jakie widziałam podczas sekcji zwłok Tommy’ego Arnessa.

– Jego płuca zmieniły się w krwawą miazgę.

– Mój Boże! – wykrzyknął student.

– Zastanawiałam się więc, czy mamy do czynienia ze starym, dobrze znanym wirusem, czy może z czymś zupełnie nowym.

Podobnie jak większość lekarzy, którzy napotykają zupełnie nowe zjawisko, początkowo wątpiłam we własną wiedzę.

Mówiłam sobie: „Pewnie ktoś już opisał podobną sytuację, a ja po prostu nie jestem na bieżąco”.

Jej młody uczeń uśmiechnął się szeroko, wyraźnie zadowolony, że odkrył w swej nauczycielce niedoskonałość podobną do własnej.

– Z pewnością jednak nie jest to postawa, którą powinien pan naśladować – dodała surowo, krzywiąc się na myśl o stercie nie przeczytanych czasopism, która piętrzyła się w jej biurze.

W czasach nieustannych redukcji kosztów nawet szefowie katedr muszą się imać dodatkowych zajęć, pomyślała, a pierwszą ofiarą tego stanu rzeczy jest czytelnictwo fachowej literatury.

– Chcę tylko mieć pewność, że pojmuje pan tor mojego rozumowania w tej sprawie.

Niech pan dostrzeże moje błędy i przyswoi sobie procedurę rozwiązywania klinicznych zagadek.

Student już się nie uśmiechał.

– Oczywiście, doktor Carr. W żadnym razie nie chciałem okazać braku szacunku.

– Wreszcie przyszła mi do głowy inna myśl.

Być może to, co matka uznała za przeziębienie, od początku było w istocie grypą.

Taki scenariusz wyjaśniałby obecność wirusa i stwarzał możliwość, że coś innego wywołało katastrofalne zmiany w płucach. Jakiś ezoteryczny organizm, który pojawił się tam w tym samym czasie, ale którego nie mogłam wykryć dostępnymi metodami.

Młody mężczyzna spojrział na nią szeroko otwartymi oczami.

– Ezoteryczny organizm?

– Zaraz jednak odrzuciłam ten pomysł, ponieważ podzielam rozsądny sceptycyzm większości

lekarzy w odniesieniu do tak niezwykłych zbiegów okoliczności i diagnozowania więcej niż jednej choroby w celu wyjaśnienia niezrozumiałych objawów.

Coraz bardziej zdezorientowany student zmarszczył brwi.

– To właściwie co pani zrobiła?

– To, co dla lekarza najtrudniejsze: przyznałam się do porażki i wezwałam pomoc.

Skontaktowałam się z Centrum Profilaktyki i Kontroli Chorób, CDC, w Atlancie.

Gdy specjaliści od infekcji wirusowych z CDC zapoznali się z wynikami badań klinicznych i sekcji zwłok chłopca, przysłali mi odczynniki ELISA do wykrywania wszystkich, nawet mało znanych mikrobów, które ich zdaniem mogły tak błyskawicznie zniszczyć układ oddechowy chorego.

Chcąc oszczędzić mi pracochłonnych badań porównawczych, dorzucili też zdjęcia każdego z wirusów, wykonane mikroskopem elektronowym w życiu nie widziałam tak ponurej galerii morderców.

Z większością tych mikroorganizmów nie zetknięto się nigdy w Stanach Zjednoczonych.

Umilkła, jak wszyscy dobrzy mówcy, by jeszcze bardziej zaintrygować słuchacza.

Uśmiechnęła się w duchu, widząc, jak pochyla się nieznacznie w jej stronę, wyczekująco przekrzywiając głowę.

– Trzeci odczynnik z zestawu CDC wskazał sprawcę. Zobaczyłam jaskrawą zieleń, gdy tylko parę kropel trafiło na próbkę.

Mówiła teraz nieco ciszej, wymagając od słuchacza jeszcze większego skupienia.

– Etykieta na butelce z roztworem przedstawiła mi sprawcę z imienia: H5N1.

Jest to szczep wirusa grypy, który zwykle atakuje i zabija jedynie ptactwo, zwłaszcza hodowlane, na przykład kurczaki.

Od ładnych paru lat jest przekleństwem azjatyckich ferm drobiowych. Ale dopiero rok temu świat zaczął się bać, bo w Tajwanie wirus przekroczył barierę gatunkową. Zarażona dziewczynka zmarła w ciągu paru godzin, a jej płuca były pełne krwi.

Media nadały nowej chorobie chwytliwą nazwę „ptasia grypa”.

Stała się znana, gdy miejscowe władze przeprowadziły rzeź miliona kurczaków, próbując zniszczyć śmiertelności sprawcę. Pisano o tym na całym świecie.

– Pamiętam, czytałem o tym! – wtrącił student.

– Na szczęście nie stwierdzono nowych przypadków.

– Aż do dziś – zauważyła Julie, podchodząc do telefonu wiszącego na ścianie jej laboratorium.

Wybrała numer CDC i przebijając się przez nie mającą końca zaporę sekretarek i asystentek, przyglądała się zarumienionej z podniecenia twarzy studenta.

Kto wie, pomyślała, czy moje melodramatyczne metody pedagogiczne nie pomogły mi właśnie w zaszczepieniu entuzjazmu przyszłemu lekarzowi.

A przynajmniej poczyta trochę na ten temat.

– Potwierdzenie rozpoznania bardziej wnikliwymi testami zostawiam wam – poinformowała wirusologa, który wreszcie zjawił się przy telefonie.

Komputerowo wzmocniony obraz zielonego okazu, wydobytego z tkanki płucnej potraktowanej reagentem ELISA do wykrywania wirusa H5N1, był wystarczającym dowodem na to, że ptasia

grypa kolejny raz sforsowała barierę gatunkową.

– Jeśli mamy zapanować nad sytuacją tutaj, będziemy mieli pełne ręce roboty. Lokalne instytucje ochrony zdrowia obawiały się w pierwszej chwili, że wirus mógł dotrzeć z Azji na Hawaje za pośrednictwem człowieka, lecz według danych CDC od czasu pierwszego wykrycia choroby na Tajwanie nie stwierdzono na całej planecie ani jednego nowego przypadku.

– To oznacza, że źródło najprawdopodobniej znajduje się tutaj – oznajmiła Julienna pośpiesznie zwołanej naradzie własnego personelu oraz kilku epidemiologów z uczelni medycznej w Honolulu.

– Będziemy musieli odwiedzić wszystkie ферmy drobiu w obrębie Kailua i pobrać próbki krwi od wszystkiego, co gdacze, kwacze czy gęga.

Nikt z obecnych przy stole konferencyjnym nie zamierzał oponować.

W ciągu kilku godzin zwołano pluton techników, wspierany przez odwołanych z urlopów pracowników ochrony zdrowia.

Badania zebranych przez nich próbek wykazały, że źródłem wirusa jest stado zarażonych kurczaków na małej farmie w sąsiedztwie domu Sandry Arness i Tommy'ego.

Jak się później okazało, chłopiec odwiedzał czasem kurczaki ze swą opiekunką, by je dokarmiać i głaskać.

Na wyspie Oahu rozpoczęła się rzeź drobiu.



## Rozdział 1

*Trzydzieści miesięcy później,  
Szpital Miejski w Nowym Jorku*

Ten dyżur na oddziale ratunkowym był najgorszy w karierze doktora Richarda Steele'a.

Oczywiście poniedziałki zawsze były najgorsze, w porównaniu z resztą dni tygodnia. Większość pacjentów z atakiem serca – i wieloma innymi nagłymi stanami – zjawiała się właśnie wtedy.

Steele jako weteran z dwudziestoletnim stażem i doświadczony ordynator, wiedział o tym jak nikt inny.

Lecz ten poniedziałkowy maraton wydawał się szczególnie trudny i Richard nie mógł się oprzeć wrażeniu, że nie może dotrzymać kroku wydarzeniom.

Jedna z pielęgniarek rzuciła słuchawką telefonu i puściła się sprintem w stronę sali reanimacyjnej.

– Pacjent w drodze.

Piętnastoletni astmatyk! – krzyknęła przez ramię niczym rozgrywający do kolegów z drużyny.

Wszyscy w zasięgu jej głosu poderwali się, by pomóc jej w przygotowaniach.

Wiedzieli, co mają robić.

Pobiegli za nią, mijając na korytarzu niekończący się szereg łóżek z pacjentami i sprawnie omijając las stojaków z kroplówkami, których rurki zwisały jak pajęczne nici.

Obserwując ich, Steele wiedział, że w ich umysłach automatycznie pojawiają się nie tylko standardy postępowania u pacjenta z ostrą niewydolnością oddechową.

Wiek chorego musiał sprawić, że poczuli dodatkową dawkę adrenaliny.

Wizja utraty kogoś tak młodego zawsze potęgowała w pracownikach oddziału ratunkowego lęk przed porażką.

Zadaniem Richarda było zaś dopilnowanie, by ów niepokój nie wpłynął na sprawność zespołu.

Swego czasu traktował tę funkcję całkiem normalnie, jako jedną z wielu ról wpisanych w jego profesję.

Ostatnio jednak zwyczajnie się jej bał.

O ile jego umiejętności w zakresie reanimacji były jak zawsze bez zarzutu, o tyle jego talent do kontaktów międzyludzkich był w zaniku.

– Przenieście zawałowca z sali reanimacyjnej na początek kolejki! – krzyknął za swymi ludźmi, wystarczająco głośno, by się przebić przez gwar panujący na nadmiernie zatłoczonym oddziale.

Sięgnął po telefon i wybrał numer oddziału kardiologicznego.

Zaraz potem dwie pielęgniarki w pośpiechu wyprowadziły z sali reanimacyjnej łóżko z wyraźnie przerażoną starszą kobietą, podłączoną do całej armii przenośnych monitorów, kroplówek i butli z tlenem na dokładkę.

Dobrze, pomyślał Steele, że przynajmniej udało się zmusić dyżurnego kardiologa do przyjęcia jej na oddział, pod opiekę fachowców.

Lata cięcia kosztów nauczyły go, że takie walki z kolegami należą do jego rutynowych

obowiązków, ale akurat ta kłótnia wycisnęła zeń siódme poty.

Pomruk niezadowolenia dobiegł od strony pacjentów czekających na łóżka, gdy pielęgniarki ustawiały chorą na samym początku kolejki.

– Chryste, jak tu gorąco – poskarżył się głośno Steele.

Właściwie nie zwracał się do nikogo konkretnego; pochłaniało go nanoszenie danych do karty pacjentki.

– Czy ktoś mógłby zadzwonić jeszcze raz do konserwatora i kazać mu przykręcić to cholerne ogrzewanie? Do diabła, tak się nie da pracować!

Przechodząca obok pracownica administracji, w swetrze, spojrzała na niego ze zdziwieniem.

Pacjentka po zawale, choć w ciężkim stanie, skrzywiła się z dezaprobatą i podciągnęła kołdrę pod brodę, po czym wymamrotała wystarczające głośno, by słyszały ją wszystkie pielęgniarki w okolicy:

– Całe szczęście, że wynoszę się z tego zoo, zanim zamarznę na śmierć.

Ratownicy medyczni wbiegli z noszami, na których leżał wysoki nastolatek o zsiniałych ustach, poszarzałej twarzy i z tak dużymi zaburzeniami oddychania, że mięśnie międzyżebrowe widoczne pod jego rozpiętą koszulą zapadały się przy każdym oddechu.

Podawano mu tlen, ale wciąż próbował ściągnąć maskę z twarzy i z paniką w rozbieganych oczach kręcił głową na wszystkie strony, tak jak człowiek zamknięty w hermetycznej komorze szuka ostatniego haustu powietrza.

Steele pobiegł za nim pomiędzy rzędami łóżek i zatrzymał się dopiero przy swojej rezydentce.

– Wstępne zalecenia? – zagrzmał surowo.

– Albuterol w aerozolu, na rozszerzenie oskrzeli? – odpowiedziała lękliwie.

– Nie! A przynajmniej nie od razu.

– Chłopak ma tak zaciśnięte oskrzela, że nie może nawet wziąć oddechu, a co dopiero przyjąć lek.

– Co pani zamierza?

– Podać dożylnie sterydy? – rzuciła z nadzieją rezydentka.

– To też później. Teraz go pani zaintubuje, zanim zatrzyma się na pani oczach.

Zarumieniła się od szyi po czubki uszu.

– Przepraszam, doktorze Steele, wiedziałam o tym. Tylko że przy panu tak się denerwuję.

– Wiedza w małym palcu, pani doktor, to najlepsze znane mi antidotum na nerwowość – odparł zgrzyźliwie, poczym dodał, wskazując dłonią na chłopca: – A pani przeprosiny za brak wiedzy raczej mu nie pomogą!

Oczy młodej lekarki napelniły się łzami.

Cholera, pomyślał Steele, ależ ze mnie dupek!

Nie zawsze był tak niecierpliwymi pełnym sarkazmu nauczycielem.

Ta młoda kobieta, która omal się przed nim nie rozpląkała, mogłaby być jego córką, a podczas swojej tury na jego oddziale spisywała się ani lepiej, ani gorzej niż tysiąc innych nowicjuszy, których kształcił tu przez te wszystkie lata.

Z uczuciem bolesnej straty wspominał te dni, kiedy uwielbiał brać początkujących pod swoje skrzydła i stopniowo budować ich wiarę we własne siły.

Niejeden raz wybierali go Nauczycielem Roku, zanim stracił umiejętność czerpania radości z

pracy.

Dziś krzywił się na samą myśl o tym tytule; jeżeli w ciągu ostatnich osiemnastu miesięcy którykolwiek z rezydentów nazwał go w taki sposób, to jedynie z nutą sarkazmu.

Steele wiedział, że tolerowano jego zachowanie ze względu na umiejętności, którymi potrafił się dzielić.

Nauka pod jego okiem zyskała miano próby ognia – ciężkiej przeprawy, którą należało przeżyć, by móc potem żartować z niej przy piwie – i zajęła poczesne miejsce wśród innych horrorów systemu edukacji medycznej.

Mimo to doprowadzanie podwładnych do płaczu było dlań nowością; wcześniej nie posuwał się tak daleko.

Wiedział, że jeśli nie załagodzi sytuacji, rezydentka może złożyć doniesienie.

Cholera, na pewno to zrobi, pomyślał, zniesmaczony własnym zachowaniem.

– Zatem jak przygotujemy pacjenta? – spytał odrobinę łagodniejszym tonem.

– Podając dożylnie midazolam w celu krótko działającej sedacji, a następnie leki zwiotczające mięśnie.

– Pankuronium i sukcylocholiny.

Zmiana tonu wystarczyła, by z ust rezydentki popłynął strumień trafnych odpowiedzi.

Steele słuchał jej z przyjemnością, gdy wchodzili do sali reanimacyjnej, choć od szybkiego marszu brakowało mu tchu.

Przekłete papierosy, pomyślał.

Zastanawiał się, czy kiedykolwiek znajdzie w sobie dość odwagi, by rzucić nałóg.

Pielęgniarki pracowały już przy chorym – mierzyły ciśnienie, zakładały dojścia dożylnie, podłączały do monitorów.

– Ciśnienie dziewięćdziesiąt na pięćdziesiąt. Tętno pięćdziesiąt pięć.

– Saturacja osiemdziesiąt siedem.

– Oddechy na pięćdziesiąt, minimalny przepływ powietrza na wejściu!

Opisywały jego agonię liczbami, podczas gdy rezydentka powtarzała z pamięci tę samą listę leków, której przed chwilą wysłuchał jej szef.

Steele stanął u wezłowania łóżka.

Tęczęwki chłopaka były ledwie błękitnymi obwódkami wokół ogromnych źrenic pełnych strachu.

Próbował mówić, ale z jego krtani wydobywały się ledwie słyszalne piski.

– Już dobrze, synu – powiedział łagodnie Richard, bez trudu, w rutynowy sposób dodając mu otuchy, której nie szczędził przerażonym pacjentom, a skąpił swym współpracownikom.

W poczuciu winy pomyślał o własnym dziecku, chłopcu w podobnym wieku, któremu tyle razy powtarzał te same słowa, ale nigdy z takim przekonaniem, z jakim wypowiadał je codziennie do obcych ludzi.

– Za chwilę zaśniesz, a my raz-dwa przywrócimy oddech. – A teraz kiwaj albo kręć głową w odpowiedzi na moje pytania.

– Często miewasz ataki astmy?

Chłopak pokręcił głową.

- Nie.
- Używasz regularnie inhalatora?
- Sterydów?
- Leków rozszerzających oskrzela?

Steele wiedział, że jeśli pacjent został właściwie pouczony o sposobie podawania leków i panowania nad chorobą, zrozumie pytanie.

Jeśli nie, jest słabo przeszkolony, a brak kontroli nad chorobą był dla niego normą.

Chłopak pokiwał głową.

– Tak!

Ekran wokół łóżka rozjarzyły się, a piski płynące z głośników odbiły się echem w wykafelkowanej sali.

Tlen popłynął przez boczne zawory dużej zielonej maski, którą pielęgniarki nałożyły zamiast tej, z którą przyjechał.

Zwięzłe polecenia rozbrzmiewały niemal równocześnie:

- ... badanie krwi.
- ... gazometria.
- ... prześwietlenie klatki piersiowej.

Mimo zgiełku Steele usłyszał cichy świst dobiegający z gardła chłopca przy każdym wdechu i wydechu.

Czując nagły skok tętna, oznajmił głośno:

– Słyszę świst krtaniowy!

Wiedział, że oznacza on niedrożność na poziomie górnych dróg oddechowych, co wraz ze skurczem oskrzeli oznaczało kłopoty znacznie większego kalibru.

W takich wypadkach niekiedy konieczna jest tracheotomia – wycięcie dziurki w przedniej ścianie tchawicy.

Jako zabieg ratujący życie bywa trudny nawet dla najsprawniejszych fachowców.

– Czy coś cię uządliło? – spytał Steele, szukając w myślach najczęstszych przyczyn tak gwałtownej reakcji organizmu.

– Nie.

– Masz alergie pokarmowe?

Chłopak energicznie pokiwał głową.

– Na orzechy?

– Najczęstszy winowajcy, dodał w duchu Steele.

Kolejne zdecydowane skinienie.

– Zjadłeś coś z orzechami?

Chłopak zaprotestował gwałtownie.

Ale Steele wiedział, na czym polega problem z alergią na orzechy: chorzy zjadają je, często wcale nie wiedząc o tym, że zostały zmielone na mączkę i dodane do ciasta albo w malutkich drobinach trafiły do sałatek czy sosów.

Teraz jednak nie miało najmniejszego znaczenia, w jakiej postaci orzechy trafiły do organizmu chłopca.

Do listy należało dodać trzecie potencjalne zagrożenie: wstrząs anafilaktyczny, oznaczający

gwałtowną reakcją alergiczną i poważne zmniejszenie przepuszczalności naczyń.

Spojrzenie na jeden z monitorów potwierdziło ten domysł: ciśnienie krwi pacjenta spadało jak kamień.

– Dajcie mu pół miligrama adrenaliny w bolusie – zalecił.

– Robi się! – odpowiedział ktoś z zespołu.

– Gotowa do intubacji – odezwała się rezydentka stojąca u jego boku.

Jej dłonie w rękawiczkach zaciskały się na laryngoskopie; na tacy obok spoczywał komplet rurek dotchawiczych o różnych rozmiarach.

Steele pochwalił ją w duchu za odwagę była gotowa przeprowadzić zabieg, choć jeszcze przed chwilą była bliska płaczu.

Wstydząc się jeszcze bardziej własnego zachowania, powiedział cicho:

– Bardzo dobrze, pani doktor.

Lek, który podała choremu, zadziałał błyskawicznie: chłopak rzucił się na stole jeszcze kilka razy i się uspokoił.

Rezydentka bez trudu rozchyliła palcami jego szczękę.

– O Boże, spójrzcie na to! – wykrzyknęła, przesuwając podświetloną łyżkę laryngoskopu po opuchniętym języku, grubym jak polska kielbasa.

Steele w napięciu przyglądał się jej poczynaniom, w razie najmniejszych problemów gotów wkroczyć do akcji.

– Ściany gardła także obrzęknięte – zameldowała, wpychając łyżkę w opuchnięty kanał z różowej śluzówki, która zaciskała się wokół przyrządu, zasłaniając widok.

– Tętno pięćdziesiąt.

Ciśnienie sześćdziesiąt pięć na czterdzieści – zaintonowała pielęgniarka odpowiedzialna za monitorowanie parametrów życiowych pacjenta.

Wszyscy w sali wiedzieli, że zwolnienie pracy serca jest wynikiem bezdechu i że pogłębia ono wstrząs wywołany reakcją alergiczną.

Stali więc w milczeniu, czekając, aż rezydentka udroźni drogi oddechowe chorego, rozumieli bowiem doskonale, że jeśli nie nastąpi to szybko, przyjdzie im walczyć nie tylko z zaburzeniami oddychania, ale także z zatrzymaniem akcji serca.

– Widzi pani struny? – spytał Steele spokojnym tonem, który rezerwował wyłącznie na najtrudniejsze chwile.

– Jeszcze nie – odpowiedziała głosem o oktawę wyższym niż poprzednio.

Nie ustępowała jednak; uparcie odsysała ślinę cewnikiem, z wolna przesuwając się coraz głębiej.

Pielęgniarki wymieniły znaczące spojrzenia, a Steele przygotował się do przejęcia przyrządów.

– Zaraz, chyba je widzę! – zawołała w podnieceniu rezydentka.

Steele pochylił się nad chorym i zdążył potwierdzić jej podejrzenia, zanim odłożyła cewnik i sprawnie wsunęła rurkę dotchawiczą przez otwór w kształcie litery V utworzony przez struny głosowe pacjenta.

– Powtórzyć dożylny bolus adrenaliny, podać leki rozszerzające oskrzela przez maskę aerizolową i podać dożylnie Solu-Medrol – zarządziła pewnie, posyłając Steele'owi triumfujący uśmiech.

Pokiwał głową z aprobatą, przyglądając się, jak sprawnie mocuje rurkę na miejscu, podłącza do niej worek samorozprężalny i ścisła energicznie.

Wyszedł z sali przekonany, że przez najbliższych parę lat jego podopieczna będzie raczyć znajomych kombatanckimi opowieściami o tym, jak to pewnego dnia stawiała czoło ogrowi z oddziału ratunkowego w nowojorskim szpitalu.

Mijając umywalkę, spojrzął w lustro i zobaczył głęboko zapadnięte oczy, otoczone ciemnymi cieniami.

Nie wyglądał na czterdziestopięciolatka; wyglądał o dziesięć lat starzej.

– Boże, ależ się zapuściłem – mruknął ze złością, wracając do pokoju pielęgniarek.

– I dlaczego nadal jest tak gorąco? Jezu, pocę się jak świnia!

Zaczął wpisywać dane do karty chłopca, ale musiał przerwać, by rozmasować lewy nadgarstek.

Ostatnio bolał go coraz częściej, ale jako mańkut Steele upatrywał przyczyny w zmęczeniu materiału, typowym dla osób, które dużo piszą lub spędzają sporo czasu przy komputerze.

Tylko tego mi trzeba, pomyślał, boleśnie świadom, że lekarz, który ma problemy z szybkim sporządzaniem setek notatek, nie nadaje się do pracy na tym oddziale.

– Przepraszam, doktorze Steele, ale przyszła pani Armstrong, matka chłopca – odezwała się jedna z pielęgniarek.

Wyszedł na korytarz, by się przywitać.

Szczupła, może trzydziestoparoletnia kobieta o jasnych, prostych włosach, spoglądała na niego błękitnymi oczami pełnymi lęku.

Steele zauważył, że rysy twarzy matki i syna są niemal identyczne; natychmiast skojarzył ten fakt z obrazem z przeszłości – z inną matką i innym synem o łudzaco podobnych rysach.

– Chłopcu nic nie grozi – oznajmił, zanim jeszcze zbliżył się do niej.

Zobaczył, jak z jej twarzy ulatuje strach.

– Dzięki Bogu – szepnęła.

Odetchnęła głęboko, a jej ramiona odrobinę opadły.

Ruszyli razem w stronę sali reanimacyjnej, klucząc między łózkami.

– Intubowaliśmy go i uspiliśmy – mówił Steele, próbując przygotować ją na widok syna.

– Najgorsze jest już za nami. Powinien szybko przyjść do siebie. Myślę, że wieczorem będzie już oddychał samodzielnie.

– Ale prawdą jest, że niewiele brakowało i że odtąd powinien nosić przy sobie strzykawkę z adrenaliną. Sądzę, że niechcący zjadł trochę orzechów.

– Nie, panie doktorze – zaprotestowała matka, zatrzymując się gwałtownie. – To niemożliwe. Unika ich jak ognia.

– Jego koledzy zadzwonili do mnie do pracy, żeby mi powiedzieć, co się stało. Jedli wegetariańskie burgery w sklepiku ze zdrową żywnością. Właściciele dobrze znają mojego syna i są równie ostrożni jak my.

– Soja! – wykrzyknął Steele.

– Słucham?

– Główny składnik tak zwanych wegetariańskich substytutów mięsa, a jednocześnie jeden z głównych alergenów w ostatnich latach, zwłaszcza dla osób uczulonych na orzechy.

Nie ma jeszcze naukowych dowodów, ale uczeni podejrzewają, że przyczyną jest genetyczna manipulacja w nasionach soi, a konkretnie wprowadzanie do nich DNA z pewnego gatunku brazylijskiego drzewa orzechowego, by dodać roślinie twardości.

– Co gorsza, osoby takie jak pani syn są szczególnie zagrożone, bo żaden producent nie informuje na etykiecie, że sprzedaje zmodyfikowaną soję.

– Nie ma pani wyboru.

Trzeba wyeliminować z jego diety wszystkie potrawy zawierające soję.

Tłumacząc matce konieczność wzmożonej czujności, którą od tej pory musieli przejawiać najbliżsi chłopca, Steele czuł narastający ból w nadgarstku.

Doznanie było tak nieprzyjemne, że trudno mu było nie skrzywić się z bólu. Wzmogło się jeszcze, gdy powróciwszy do pokoju, na nowo zabrał się do notowania.

Po chwili w drzwiach stanęła pielęgniarka, by wezwać go do kolejnego pacjenta.

– Mężczyzna, krwawi obiema stronami, jest we wstrząsie, prawdopodobnie to wrzód. Dostaje tlen, płyny dożylnie i krew, ale to nie wystarcza.

Jej słowa nagle utonęły w szumie tła.

Steele próbował skupić się na nich, ale z każdą chwilą brzmiały ciszej i bardziej głucho.

Zakręciło mu się w głowie i poczuł mdłości, a ból z nadgarstka promieniował już na całe ramię.

Oddychał coraz szybciej, ale miał wrażenie, że czuje na piersi potężny ciężar.

Od lat słuchał opowieści pacjentów, którzy mieli identyczne objawy, ale teraz próbował zaprzeczyć oczywistym faktom.

Wstał, jakby chciał oddalić się od bólu.

Ciemność ogarnęła go wysoką falą i nawet nie poczuł, gdy huknął o podłogę pokrytą linoleum.

Gdy jego serce przestawało bić i osuwał się w stronę śmierci, zdążył jeszcze pomyśleć o Luanie – największej miłości i największej stracie jego życia.

## Rozdział 2

Wcale nie czuł, że unosi się ponad własnym ciałem, nie pędził do światła i nie napotkał niebiańskich istot.

Doświadczał jedynie białych eksplozji pod czaszką i nawet teraz, w stanie śmierci klinicznej, bez tętna i bez oddechu, jego mózg prawidłowo interpretował to zjawisko jako uderzenia elektryczne, które jakiś idiota aplikował mu na klatkę piersiową.

Pomyślał, że za chwilę go zaintubują – i nie pomylił się.

Zdumiewało go tylko to, jak mało obchodzi go wynik tych wszystkich zabiegów.

W głosach, które słyszał – dalekich, a jednocześnie znajomych – wyczuwał niepotrzebną, jak mu się zdawało, panikę.

– ... gazometria.

– ... podać mu adrenalinę.

– ... odsunąć się.

O co tyle hałasu?

Kolejna biała eksplozja rozbłysła w jego głowie.

Aż wreszcie zostawili go w spokoju.

Albo zrezygnowali, albo zdołali mnie zresuscytować, pomyślał. I wciąż niewiele go to obchodziło, gdy odpływał w ciemność.

Gdy się ocknął, w znacznie większym stopniu czuł się częścią tego świata.

Bolało go absolutnie wszystko, a najsilniej głowa i klatka piersiowa.

Zanim jeszcze otworzył oczy, pozbierał myśli i odruchowo poddał się lekarskiej samoocenie.

Wiedział, że bóle całego ciała są skutkiem kopniaka, jakiego uderzenia elektryczne zafundowały każdemu mięśniowi w jego organizmie, w ułamku sekundy zmuszając je do wykonania skurczu z maksymalną siłą.

Ból w klatce piersiowej, jak podejrzewał Steele, był sumą skutków wyładowań elektrycznych oraz zewnętrznego masażu serca.

Ostrożnie dotknął palcami głowy i poczuł bandażę zakrywające co najmniej solidnego krwiaka, jeśli nie otwartą ranę.

Gdy tylko poruszył ramionami, rozbrzmiała kakofonia alarmowych dzwonek i pisków teraz dopiero poczuł, że w jego ciało wpinają się igły kroplówek.

W końcu zdołał przejąć kontrolę nad ciężkimi powiekami i uchylił je na tyle, by zobaczyć boleśnie znajomą twarz.

Spróbował coś powiedzieć, ale jego krtań zacisnęła się tylko na rurce dotchawiczej i poczuł, że się dławi.

– Tatusiu? – rozległ się krzyk syna.

W chwilach przerażenia jego głos zawsze stawał się nieco piskliwy, nawet teraz, gdy chłopak miał trzynaście lat.

O tym zaś, że przerażenie było prawdziwe, świadczyło użycie słowa „tatusiu”. Chłopak nie nazywał go tak, odkąd jako dziesięciolatek stwierdził, że to „zbyt dziecinne”.



Na krótką chwilę Richard przeniósł się w te beztrioskie czasy, gdy byli najlepszymi kumplami i nie mieli pojęcia, jak ciężkie czekają ich próby.

– Wszystko w porządku, Chet – próbował powiedzieć, by uspokoić dzieciaka tak podobnego do matki, ale dźwięk, który z siebie wydobył, przypominał zawodzenie dobiegające z długiej rury.

Do pomieszczenia wytyczonego przez parawany zajrzała pielęgniarka.

Kilkoma profesjonalnymi słowami uspokoiła Cheta, przyglądając się migającym wskazaniom przyrządów i zielonym zygzakom jarzącym się na ekranach monitorów otaczających łóżko.

Wyniki musiały być zadowalające, gdyż nie uznała za stosowne choćby dotknąć kogoś z niezliczonych pokręteł i przełączników, a nawet zmniejszyła prędkość przepływu kroplówek.

Pewnie nitrogliceryna i heparyna, pomyślał Steele.

Zdażył już rozpoznać otoczenie: leżał na sali oddziału kardiologicznego.

– Angioplastyka się powiodła – mówiła właśnie pielęgniarka, zwracając się do jego syna.

– Wprowadziliśmy cewnik ze specjalnym balonikiem na końcu do tętnic serca twojego ojca.

Właśnie tak postępujemy u pacjentów po ataku serca: próbujemy od razu rozszerzyć zwężone naczynie krwionośne i przywrócić normalne krążenie krwi, zanim mięsień sercowy ulegnie uszkodzeniu.

– Twój ojciec potrzebuje teraz czasu i spokoju, ale rokowania są dobre.

Ciekawe jak dobre, pomyślał Steele.

Dopiero teraz uświadomił sobie, że choć stanął już u drzwi śmierci, będzie musiał jakoś dalej żyć.

Która tętnica była zwężona?

Jak rozległe jest uszkodzenie serca?

I najważniejsze: jak będzie teraz pracowało?

Na myśl o tym, że trwałe uszkodzenie serca może poważnie ograniczyć jego sprawność, Steele wpadł w panikę.

Wystarczyłby jeden parametr – frakcja wyrzutowa, mówiąca o sile skurczu serca – i już znałby swój los.

Lecz pielęgniarka ignorowała go całkowicie i przemawiała wyłącznie do Cheta, jakby intubowany pacjent był nieobecny.

Steele jęknął jeszcze kilka razy i zmarszczył brwi, próbując okazać niezadowolenie, ale wskórał jedynie tyle, że pielęgniarka dotknęła jego czoła i podała muvalium.

Odpywając, zdażył jeszcze zauważyć, jak zmienia się wyraz twarzy Cheta: zaniepokojenie ustąpiło gniewnemu i wojowniczemu grymasowi, który Richard znał aż za dobrze, bo widywał go, ilekroć znaleźli się w jednym pomieszczeniu.

Pielęgniarka także zauważyła zmianę w zachowaniu chłopca.

– O co chodzi? – spytała.

– Nie zrozumiałaś? Przecież mówiłam, że rokowania są dobre.

– On ciągle mówił to samo o mojej matce – odparł oskarżycielsko Chet.

Sekundę później Steele poczuł, że środek usypiający zaczyna działać, i znowu zatonął w mroku.

Tego samego wieczoru w sali posiedzeń zarządu Agrenomics International, ośrodka

badawczego położonego na północ od White Plains w stanie Nowy Jork, zgromadziło się tuzin dziennikarzy oraz dwukrotnie większa grupa przedstawicieli organizacji ekologicznych.

– A zatem wejdźmy w nowe tysiąclecie jako partnerzy – mówił właśnie Bob Morgan, dyrektor wykonawczy.

– Przedstawiam państwu to nowe laboratorium jako dowód naszego głębokiego pragnienia użytkowania inżynierii genetycznej w sposób odpowiedzialny i przynoszący pożytek.

Morgan rozłożył ramiona, jakby chciał uścisnąć wszystkich swych gości naraz. Usłyszał kilka pełnych niesmaku jęków, ale zignorował je.

Wskazał głową na stojących rzędem za jego plecami techników, w laboratoryjnych kitlach z logo Agrenomics nad kieszeniami na piersiach.

– A kiedy już zajrzycie pod każdy panel podłogowy i zwiedzicie naszą pracownię Frankensteina.

Zawiesił głos, licząc na salwę śmiechu, ale się nie doczekał.

Wzruszył ramionami, by okazać pokorę i pogodę ducha, po czym dokończył: – To zapewniam, że przekąski, które zaserwujemy, będą znacznie lepsze niż moje żarty.

Tym razem kilka osób zaśmiało się uprzejmie, po czym wszyscy podnieśli się jak na komendę, zbierając ze stołów notatniki, dyktafony i aparaty fotograficzne.

Morgan, mężczyzna średniej budowy, o wysokim czole i gęstych, falujących ciemnobrazowych włosach, właśnie miał odetchnąć z ulgą, zadowolony, że udało mu się uniknąć „ostrej jazdy” z gośćmi, gdy głos zabrała osoba, której obawiał się najbardziej:

– A czy nasze ciasteczka i mleczko będą genetycznie zmodyfikowane, panie Morgan?

Morgan najeżył się mimowolnie, a publiczność wybuchła gromkim śmiechem.

Urodziwa kobieta, która zadała to pytanie, miała krótkie, rude, prawie złote włosy.

Morgan wiedział, że dobiega czterdziestki, a w dziedzinie popularyzacji genetyki w książkach i telewizji działała więcej niż ktokolwiek inny.

I zapewne zachwyciłby się nawet odrobiną irlandzkiego akcentu w jej głosie, gdyby nie przykre przecucie, że za chwilę ta kobieta potnie go na plasterki swym ostrym jak brzytwa umysłem.

Bardzo starannie dobrał więc słowa w odpowiedzi, doskonale wiedząc, iż jej głos będzie uważnie wysłuchany w całym kraju, a w kwestiach czysto naukowych w żadnym razie nie może się z nią równać.

– Doprawdy, doktor Sullivan, zatrudniliśmy najlepszą firmę cateringową w okolicy. Wiem, że będziemy się delectować.

– Nie o to chodzi, panie Morgan. Jasne, że wszyscy chcielibyśmy się delectować.

– Chcę tylko wiedzieć, czy będą to specjały genetycznie modyfikowane czy też nie. Potrafi pan odpowiedzieć na to pytanie?

– Nie potrafię, doktor Sullivan, ale też nie rozumiem, dlaczego tak panią interesują potrawy, którymi poczęstujemy państwa na naszym skromnym przyjęciu.

– Właśnie o to chodzi, panie Morgan.

– Ani pan, ani nikt inny nie jest w stanie odgadnąć, czy żywność, którą spożywamy w Ameryce, jest genetycznie zmodyfikowana, a to dlatego, że nie jest ona w żaden sposób oznaczona.

W tym momencie już wszyscy dziennikarze w sali skierowali mikrofony i aparaty fotograficzne w stronę dwojga dyskutantów.

Przeklinając w duchu doktor Sullivan i w gorącym blasku świateł czując pierwsze krople potu na czole, Morgan wypowiedział słowa, którymi zawsze ratował się w takich sytuacjach:

– Nie istnieją naukowe dowody na to, że spożywanie genetycznie zmodyfikowanej żywności kiedykolwiek wyrządziło komuś jakąkolwiek krzywdę.

Jego przeciwniczka przewróciła oczami i potrząsnęła głową, jakby chciała powiedzieć: „Nie, no proszę” Ale tylko uśmiechnęła się rozbrajająco, po czym zwróciła się wprost do najbliższej kamery:

– Brak dowodów na szkodliwość nie jest dowodem nieszkodliwości.

Morgan miał ochotę ją udusić.

Lecz Sullivan nie dała mu nawet czasu na odpowiedź.

– A co pańscy przewodnicy będą opowiadać nam, wycieczkowiczom, na temat zakaźnych łańcuchów nagiego DNA, z których tworzycie wektory?

Sullivan ponownie zwróciła się ku dziennikarzom z mikrofonami i kamerami.

– Wektory to takie nośniki w inżynierii genetycznej wyjaśniła.

– Używa się ich do przewożenia genów od jednego gatunku i wprowadzania ich do struktury genetycznej innego gatunku.

– „Zakaźne” to okropnie mocne słowo, pani doktor. Nie udowodniono jak dotąd, że nagie DNA jest zagrożeniem.

– Nie, ale przeprowadzono pewne analizy, z których wynikają nader niepokojące pytania – przerwała mu Sullivan, sięgając do teczki.

Wyjęła z niej gruby plik wydruków, które rozłożyła wachlarzem na stole, niczym karty do gry.

Znowu zwróciła się do reporterów, którzy już zdążyli zwietrzyć nadciągającą burzę i szczerzyli do niej żeby jak stado głodnych rekinów na sekundę przed atakiem.

– Oto podsumowanie ostatnich badań wraz z zestawem pytań, które powinni państwo zadawać inżynierom i naukowcom napotkanym w tym laboratorium.

Proszę pamiętać, że spece od inżynierii genetycznej przyjmują w swej pracy jedno kluczowe założenie: że gen, który przemieszcza z DNA jednego organizmu do DNA innego organizmu, będzie zachowywał się tak samo jak u swego naturalnego gospodarza. Niektóre z najświeższych badań wykazują, że wcale tak nie jest.

Funkcjonowanie genu zależy bowiem od kontekstu, czyli od jego miejsca wśród innych genów, my zaś mieszamy geny tak, jak nie funkcjonowały nigdy, od zarania dziejów życia na tej planecie.

Sullivan wyjęła kilka kartek z wachlarza wydruków i podała je najbliższym stojącym dziennikarzom.

– Oto dane na temat pięciu najbardziej kontrowersyjnych kwestii.

Jedna z nich to skutki spożywania genetycznie modyfikowanych ziemniaków: u szczurów laboratoryjnych stwierdzono spadek masy ciała oraz wzmożoną aktywność układu immunologicznego.

Naukowiec, który opublikował ten raport, został zwolniony z laboratorium, dla którego pracował. O dziwo, mimo iż nawet krytycy owego raportu wzywali do dalszych badań, do dziś nie zostały one podjęte.

Sullivan wzięła inny wydruk.

– Ten artykuł zawiera dowody na to, że gdy organizm zostaje zmodyfikowany z DNA innego

gatunku, modyfikacji ulegają także wirusy, bakterie i pasożyty w jego ciele.

Powstaje więc niebezpieczeństwo, że owe mikroorganizmy będą podróżować na gapę, przenosząc dalej DNA sztucznie stworzonych wektorów, a obdarzone zdolnością pokonywania bariery gatunkowej, zyskają zdolność atakowania nowych gatunków.

Konsekwencją tego może być przenoszenie chorób właściwych jednemu gatunkowi zwierząt czy roślin ponad istniejącymi barierami na przedstawicieli innych gatunków, nawet na człowieka.

W przeszłości, gdy w przyrodzie dokonał się taki przeskok, rezultaty były z reguły katastrofalne.

Przypomnę państwu choćby epidemię grypy hiszpanki z roku tysiąc dziewięćset osiemnastego, która zabiła dwadzieścia jeden milionów ludzi. Przypuszczamy, że jej źródłem był wirus atakujący zwykle świnie.

Źródłem AIDS nękającego ludzi jest małpi wirus, któremu zapewne gdzieś w latach trzydziestych dwudziestego wieku udało się sforsować barierę gatunkową.

Jak dotąd, zabił piętnaście milionów ludzi.

Są też sprawy świeższe, takie jak wirus tak zwanej ptasiej grypy, atakujący ludzi.

– Doktor Sullivan, doprawdy posuwa się pani zbyt daleko! – przerwał jej gniewnie Morgan.

– Zamierza pani zepsuć naszą prezentację odpowiedzialności badań, które bezpieczną drogą zbliżą rodzaj ludzki do korzystania z dobrodziejstw genetyki.

– Niech pan mi nie opowiada o dobrodziejstwach genetyki, panie Morgan – zaprotestowała z irlandzką swadą, raz jeszcze błyskając tysiącwatowym uśmiechem w stronę słuchaczy i szelmowskim mrugnięciem akcentując słowo „panie”.

W sali rozległy się śmiechy.

Ty suko, zaklął bezgłośnie Morgan, wściekły, że bezczelnie przypomniała wszystkim, iż sam nie mógł tytułować się doktorem żadnej z nauk.

– Doktor Sullivan – zawołał jeden z dziennikarzy – wspomniała pani, że wektory z nagim DNA są niebezpieczne.

– Proszę, czy mogłaby pani rozwinąć ten wątek?

– Oczywiście.

To właśnie trzecia sprawa, o której zamierzałam wspomnieć – odrzekła, całkiem ignorując Morgana, który mógł jedynie pieklić się bezsilnie, siedząc u szczytu stołu – moim zdaniem najbardziej kontrowersyjna.

Chodzi o dalsze skutki obecności wektorów z nagim DNA po tym, jak zostaną wykorzystane podczas wprowadzania nowych genów, o czym mówiłam wcześniej.

– Zaraz, zaraz – wykrztusił wreszcie rozjuszony dyrektor.

– Przypominam z całą stanowczością, że są państwo naszymi gośćmi i w związku z tym oczekujemy przestrzegania naszego planu spotkania.

Nikt, włącznie z Kathleen Sullivan, nie zwrócił na jego słowa najmniejszej uwagi.

Współpracownicy, którzy wciąż stali za jego plecami, spoglądali niepewnie to na niego, to na siebie nawzajem, nie bardzo wiedząc, co począć.

– Gdy genetycy tworzą wektor – ciągnęła Sullivan – najpierw łączą gen, który chcą przenieść, z łańcuchami DNA wirusów lub bakterii, potrafiących wnikać w przyszłego gospodarza, czyli organizm docelowy.

– Mówiła szybko, dobrze wiedząc, że jej wizyta w ośrodku badawczym wkrótce może dobiec końca.

– Budują te nośniki, czyli wektory, nie tylko by umożliwić samo wtargnięcie do komórek gospodarza, ale także, by wnieść do nich tak zwany promotor DNA, czyli taki fragment łańcucha, który wzmacnia ekspresję genu u nowego gospodarza, a tym samym gwarantuje pojawienie się cechy, którą ów gen warunkuje.

– Sullivan sięgnęła po nowy plik papierów i zaczęła rozdawać je słuchaczom.

– Tu znajdują państwo teorię o tym, jak nagie łańcuchy stworzonych przez człowieka wektorów DNA mogą się wydostać nienaruszone z ciała gospodarza i przeniknąć do środowiska w następstwie śmierci komórki, wydalania albo wydzielania – wyjaśniła, po czym wzięła do ręki kolejną kartkę.

– Dawniej sądziliśmy, że są one nieaktywne, jeśli nie znajdują się we wnętrzu żywej komórki lub wirusa, że w warunkach naturalnych szybko się rozpadają.

Oto wyniki najnowszych badań, które dowodzą, że prawda jest inna: potrafią one przetrwać w glebie znacznie dłużej, niż można się było spodziewać.

Sullivan rozdała dziennikarzom trzecią porcję dokumentów.

– Inne badania wykazują, że same wektory są zdolne do wnikania do organizmów z innych gatunków niż te, które miały być ich gospodarzami. Potrafią też wbudować swoje DNA w geny przypadkowego gospodarza.

Na tych stronach znajdują państwo opis eksperymentu, w którym wektory znalazły drogę z przewodu pokarmowego myszy do jej wątroby, śledziony i organów rozrodczych.

Sądzę, że będzie to dla państwa szczególnie niepokojąca lektura, skłaniająca do zadania sobie oczywistego pytania: czy to samo dzieje się w ciele człowieka?

Nigdy na nie, nie odpowiedziano.

Reporterzy, do których nie dotarły wydruki, podeszli bliżej i wzięli je wprost ze stołu. Przeglądali je, marszcząc brwi i przysłuchując się wyjaśnieniom Sullivan.

– Chodzi o to, że wektory, o których mówimy, teoretycznie są w stanie przeniknąć przez skórę. Mogą też zostać połknięte i wchłonięte.

Istnieje nawet możliwość, że przez krótki czas są zdolne przetrwać w powietrzu, którym oddychamy, i wniknąć do płuc.

– Dość tego! – wrzasnął Morgan.

– Nie mogę pojąć, jak ktoś tak szanowany jak pani, doktor Sullivan, może tracić czas na bezpodstawne szerzenie paniki.

Jestem pewny, że przedstawiciele mediów nie dadzą się wciągnąć w te spekulacje i nie będą powtarzać niczym nie potwierdzonych sensacji. Zachowuje się pani tak, jakby krzyczała „Pożar!” w zatłoczonym teatrze.

– Niech pan przeczyta naukowe dowody, panie Morgan, zanim stwierdzi pan, że krzyczę „Pożar!” – odparowała, z błyskiem w zielonych oczach rzucając w jego stronę plik kartek.

Zanim zdążył jej odpowiedzieć, zwróciła się znowu do dziennikarzy.

– Czwarta sprawa, którą chciałabym szczególnie zaakcentować, to fakt, że choć mówię tu o teoretycznych zagrożeniach, czyli o takich, które według badaczy jedynie mogłyby zaistnieć w toku stosowanych dziś praktyk związanych z organizmami modyfikowanymi genetycznie, to jednak

autorzy wszystkich tych raportów domagają się znacznie dalej posuniętej ostrożności i ściślejszej kontroli nad owymi praktykami.

Zaczęła zbierać swoje rzeczy, szykując się do wyjścia.

Zerkała przy tym na Morgana, jakby próbowała ocenić, ile sekund pozostało jej do momentu, gdy w końcu rozkaże wyrzucić ją z sali.

Załóżę się, że właśnie tego by chciała, pomyślał dyrektor laboratorium, wpatrując się ponuro w jej plecy.

Był bezradny; mógł jedynie wyobrazić sobie, jak cały kraj obiegają zdjęcia, na których ochrona siłą usuwa doktor Sullivan z sali – oczywiście gdyby był na tyle głupi, by rzucić pismakom tak smakowity kąsek.

Lepiej ją przeczekać, postanowił sfrustrowany, przyglądając się jej przygotowaniom do wyjścia.

Wkładając płaszcz, Sullivan raz jeszcze odwróciła się plecami do niego i stwierdziła:

– Ci naukowcy apelują o dalsze badania nad spornymi kwestiami, których istnienia dowiedli.

Proszą o logiczną i racjonalną dyskusję nad problemem, a ja popieram ich całym sercem.

Zarzuciła torebkę na ramię i dodała:

– Dla każdego, kto ma choć trochę oleju w głowie, sprawa jest oczywista: taki proces będzie wręcz przeciwieństwem wołania „Pożar!”

– Akurat! – wtrącił Morgan.

Gniew znowu wziął górę nad jego mocnym postanowieniem nie wdawania się w kłótnię z Sullivan w obecności dziennikarzy.

– Już ja dobrze znam tych tak zwanych naukowców wypisujących takie diatriby. Stają na drodze postępu, siejąc strach na podstawie wątych spekulacji, nie dowodów.

Ludzie tacy jak pani i oni woleliby chyba, żebyśmy wciąż trwali w epoce kamiennej.

– Przymknij się, Morgan! – zawołała jedna z pań z mikrofonem.

Morgan urwał w pół zdania, przerażony, że tak fatalnie wymyka mu się spod kontroli to spotkanie, które tak starannie zaplanował.

– Doktor Sullivan – mówiła dalej kobieta – pracuję dla radia, audycja „Na straży środowiska”.

Wszystko to, o czym pani mówi, brzmi niepokojąco, ale wszystkie te badania dotyczyły transferu genów u drożdży, roślin czy szczurów laboratoryjnych.

Jak zauważył pan Morgan, nie pokazała nam pani śladu mocnych dowodów na to, że istnieje zagrożenie dla ludzi. Skoro więc nie ma danych, zapytam wprost: o co tyle hałasu?

– Właśnie o brak danych.

Dopóki ich nie zdobędziemy, nie będę zachwycona namysł o tym, że całkiem nieświadomie właśnie zjadłam talerz wektorów, które mogą wnikać w moje DNA i zmodyfikować mnie.

– Faj! – mruknął mężczyzna stojący obok.

Wzdrygnął się i skrzywił tak, jakby poczuł w ustach przykry smak.

Kilka osób zareagowało wymuszonym chichotem, ale już po chwili widać było, że wszyscy poczuli się nieswojo.

– Skoro wektory z nagim DNA są tak niebezpieczne dla ludzi – nie ustępowała dziennikarka „Na straży środowiska” to dlaczego nie prowadzi się badań na ludziach, by znaleźć odpowiedź na wątpliwości, o których pani mówiła?

- Dobrze pytanie – odparła Sullivan, ruszając w stronę drzwi.
- Nie mam pojęcia dlaczego.
- A nie sądzi pani, że powodem jest bezpodstawność pani twierdzeń? – naciskała reporterka.
- Chwileczkę!

Ja niczego nie twierdzę, ja tylko zadaję pytania odparowała Sullivan, zmierzając do wyjścia. Właśnie to jest w tej sprawie najbardziej przerażające: tyle pytań bez odpowiedzi, a jednak ludzie pokroju pana Morgana twierdzą z uporem, że nie ma żadnego zagrożenia w parciu naprzód bez żadnych zabezpieczeń, bez odpowiedzi na tak poważne wątpliwości.

– Umilkła, położywszy dłoń na kłamece, poczym raz jeszcze odwróciła się w stronę obiektywów i mikrofonów.

– Chciałabym jeszcze z państwem porozmawiać, ale nie zwykłam zostawać dłużej tam, gdzie mnie nie chcą.

Proponuję więc tylko, by się państwo zastanowili. Prędzej czy później na nasze stoły trafią produkty zawierające łańcuchy nagiego DNA z wirusowego, bakteryjnego czy pasożytnego wektora.

- Co się bardziej liczy: badania, kontrola, ostrożność – czy może zapewnienia pana Morgana?

W sali rozległ się pomruk aprobaty.

– Wspomniała pani o pięciu ważnych kwestiach, a omówiła tylko cztery – zawołała inna dziennikarka z dyktafonem w dłoni.

– Jeżeli potrzebują państwo więcej informacji, proszę odwiedzić mnie w moim uniwersyteckim gabinecie, na Manhattanie.

Numer jest w książce – odpowiedziała Sullivan i wyszła.

Morgan natychmiast podjął rozpaczliwą próbę ratowania sytuacji:

– Gdyby doktor Sullivan nie zaciętrzewiła się tak mocno podczas wystudowanej prezentacji swego punktu widzenia, może zostałaby nieco dłużej i dowiedziała się, jakie zabezpieczenia oferuje ten supernowoczesny ośrodek. Zapewne udałoby się uśmierzyć jej bezpodstawne lęki.

Lecz wypowiadając te słowa, myślał tylko o jednym:

Zabiję ją.

Ja ją, cholera, zabiję!

Znalazłszy się na korytarzu, Kathleen Sullivan odetchnęła głęboko i zważym krokiem ruszyła w stronę wyjścia z budynku.

Skrzywiła się z zażenowaniem na myśl o tym, jak rozegrała tę scenę w obecności dziennikarzy i jak zakończyła ją dramatycznym wyjściem.

Primadonna ze mnie, pomyślała, przewracając oczami, ale wiedziała, że takie zachowanie było konieczne.

Zepchnęła Morgana do obrony i utrzymała na dystans wystarczająco długo, by bez wzbudzenia podejrzeń samotnie opuścić salę to był warunek powodzenia jej planu.

Podchodząc do ochroniarzy strzegących wejścia, miała nadzieję, że się nie spodziewają, by ktokolwiek zakończył wizytę tak wcześnie.

Szybko wypisując się z listy gości i bez słowa maszerując w stronę drzwi, zaskoczyła ich jeszcze bardziej – żaden nawet nie pomyślał, by odprowadzić ją dalej, aż do bramy.

Na to również liczyła.

Ośrodek badawczy zajmował rozległą posesję, z pięknie utrzymanymi trawnikami, kilkoma wysokimi sosnami i kolekcją wielkich zimozielonych krzewów.

Wyłożona kamieniem ścieżka wiła się między ozdobnymi roślinami, nadając całemu miejscu wygląd zadbanego parku.

Gdy brama ośrodka otwierała się przed gośćmi, jeden z dziennikarzy stwierdził nawet: „Firmy biotechnologiczne zawsze wydają majątek na to, by sprawiać wrażenie zielonych”.

Teraz jednak Sullivan skupiała się tylko na tym, by wypatrzeć odpowiednie miejsce do wśliznięcia się w zarośla pod osłoną ciemności.

Gdy tylko je znalazła, skoczyła w bok i po paru sekundach leżała już na brzuchu na miękkiej ziemi, u stóp dwupółmetrowego, ale rozłożystego na dobre cztery metry, ozdobnego świerku.

Zamarła w bezruchu, by się upewnić, czy nie słychać odgłosu kroków któregoś z ochroniarzy pilnujących bramy frontowej.

Czekała z narastającym podnieceniem i nadzieją, że być może wreszcie uda jej się zdobyć namacalne dowody zagrożenia, jakie niosą ze sobą wektory nagiego DNA.

Bo choć brzmiało to wszystko jak sensacje pierwszej wody, w istocie nie przekazała dziennikarzom ani jednej nowej wiadomości na temat inżynierii genetycznej o wszystkim mogli dowiedzieć się z Internetu, gdyby tylko wiedzieli, gdzie szukać danych i jak rozszyfrować język naukowych opracowań.

I choć zgromadzone przez nią materiały rzeczywiście wskazywały na ewentualną szkodliwość wektorów dla środowiska naturalnego, a nawet zdrowia człowieka, to jednak w jednym musiała przyznać Morganowi rację: nikt jeszcze nie przedstawił bezspornych dowodów na poparcie tej tezy.

Wiedziała zaś doskonale, że panów Bobów Morganów tego świata – „W finansach guru, w nauce zero”, mruknęła przez zaciśnięte zęby – nie powstrzyma ją żadne dowody poza dymiącą lufą pistoletu.

I właśnie taki dowód postanowiła zdobyć.

Ani warstwa ochronnej bielizny, którą zmieściła pod żakietem i spodniami, ani długi czarny płaszcz, ani narciarska czapka i rękawice – wybrane jako kamuflaż i ochrona przed chłodem – nie były w stanie powstrzymać przenikliwego zimna.

Na szczęście perspektywa tego, co mogło się wydarzyć – zebrania próbek roślin rosnących wokół laboratorium Agrenomics, w których DNA miała nadzieję znaleźć ślady wektorów genetycznych stworzonych przez człowieka – rozpaliała jej umysł.

Gdyby odniosła sukces i naprawdę wykryła ślady wektorów, miałyby w ręku dowód na to, że poza ścianami laboratorium są one równie „zakaźne”, jak obawiali się niektórzy uczeni i ona sama.

Takie odkrycie pomogłoby ujawnić i nagłośnić problem, a w konsekwencji uznać przypadkowe skażenie wektorami za realne niebezpieczeństwo i wymóc na badaczach przestrzeganie zasad szczególnej ostrożności, o co tak zabiegała.

Choć wielu jej kolegów prowadziło rozmowy w sprawie rozpoczęcia badań tego zagadnienia, jakimś sposobem zawsze odrzucano ich postulaty.

Jeśli Sullivan się nie myliła, nikomu też nie udało się przeprowadzić ich potajemnie.

Miała nadzieję, że będzie pierwsza.

Gdy przez długą chwilę niczyje kroki na kamiennej ścieżce nie zmały ciszy, uznała, że jest



bezpieczna, i natychmiast zabrała się do pracy.

Przetoczyła się na plecy i wyjęła z torebki cążki do paznokci, by odciąć kilka wiszących nad jej głową gałązek, pokrytych prawie błękitnawymi szpilkami.

Chwilę później pobrała próbki pędów korzonków wystających z ziemi dzięki nim miała nadzieję dowieść, że wektory mogły się przedostać do roślin ze skażonej gleby.

Z drugiej jednak strony, gdyby znalazła ślady obcego DNA jedynie w szpilkach, sensowny byłby wniosek, iż funkcjonuje mechanizm infekcji z powietrza, poprzez bezpośredni kontakt wektorów z listowiem.

Umieściła próbki w osobnych, sterylnych pojemniczkach opatrzonych etykietami z napisem „ŚREDNI DYSTANS”.

Przemyciła ich tuzin w pudełku po tamponach, zadbawszy o to, by przy bramie zgłosić się do rewizji w kolejce obsługiwanej przez mężczyznę.

Zamierzała pobierać próbki listowia i korzeni z krzewów i traw w różnych odległościach od budynku.

Jako że w mniemaniu pracowników firm z branży genetycznej nagie wektory DNA były całkowicie nieszkodliwe, w większości laboratoriów nie podejmowano żadnych środków ostrożności, jakie zwykle towarzyszą badaniom nad wirusami, bakteriami i pasożytami.

Technicy manipulowali wektorami, nie używając specjalnych wyciągów skażonego powietrza; pozwalali im swobodnie ulatywać przewodami klimatyzacyjnymi.

Z tej przyczyny najbardziej prawdopodobne było znalezienie źródeł skażenia na ziemi w okolicy ujść tegoż systemu.

Wiedząc o tym, Sullivan chciała przede wszystkim zebrać próbki w bezpośrednim sąsiedztwie budynku. Choć cienie czyniły ją niewidoczną w kryjówce pod świerkiem, nie mogła pozwolić sobie na wyjście wprost na wystrzyżony trawnik: wypatrzyła kamery systemu bezpieczeństwa ulokowane nad bramą i drzwiami frontowymi.

Sodowe lampy parkingu dawały dość światła, by ochroniarze natychmiast ją wypatrzyli.

Postanowiła zaczekać, aż na terenie ośrodka zostanie niewielu pracowników.

– Ta przekłeta Sullivan będzie dla nas problemem, już to widzę! – wykrzykiwał Morgan, nerwowo spacerując za biurkiem z telefonem w dłoni.

Urządziliśmy tę sesję specjalnie po to, żeby rozbroić media i w miarę możliwości uniknąć zainteresowania natchnionych ekologów, a zamiast tego ta baba umieszcza nas pod pieprzonym mikroskopem!

Następnym razem poustawia nam pod bramą demonstrantów przebranych za wielkie kolby kukurydzy!

– Spokojnie – odpowiedział mu głos w słuchawce.

– Z tego, co słyszę, nie zrobiła niczego poza odgrzaniem starych, znanych zarzutów. Nie ma pojęcia, do czego naprawdę zmierzamy.

– Kiedy spodziewa się pan nowych wektorów? Kiedy ruszy produkcja?

– Po Nowym Roku.

– A jak idą prace nad pierwszą dostawą?

– Całkiem nieźle. Wróciliśmy do nich zaraz po tej szopce dla dziennikarzy. Nasiona z

pierwszego zbioru powinny być gotowe do wysyłki w przyszłym tygodniu, a testy nad formą płynną przebiegają zgodnie z planem.

– Kiedy zaczniecie dostawę płynu?

– Jeżeli wyniki będą zadowalające, to w połowie stycznia.

Pod koniec lutego nasze cysterny będą stały przy każdym z celów w sześciu południowych stanach, gdzie zamierzamy zacząć.

– Na początku kwietnia to samo czeka regiony o klimacie umiarkowanym.

– Jeśli nie liczyć grupy prowadzącej próby na zwierzętach, żaden z etatowych techników nie podejrzewa, co naprawdę robimy?

– Żaden.

– Zdaje im się, że dokonujemy standardowych modyfikacji genetycznych pod zwiększonym rygiorem kontrolnym.

„To ukłon w stronę przytulaczy drzew”, tak im mówię. A przy okazji. polecono mi poinformować pana, że nasz klient się niecierpliwi.

– Dzwonił do laboratorium?

– Nie.

– Mówiła mi o tym jego wysłanniczka to ona przywiozła próbki, nad którymi teraz pracujemy.

– Niezła sztuka.

– Widział pan ją kiedy?

– Nie! I nie chcę widzieć ani jej, ani nikogo z nich. Mogliby mnie zdemaskować.

– Zatem jaką odpowiedź mam przekazać klientowi?

Niedługo znowu będę jechał do tej jego przeklętej kryjówki.

Chryste, jak ja nienawidzę tych wycieczek.

Już na samym początku współpracy obaj mężczyźni przyjęli za pewnik, że ich rozmowy będą podsłuchiwane.

Nawykowo nie używali więc żadnych nazwisk, nazw miejsc i innych szczegółowych danych, zwłaszcza gdy mówili o swym pracodawcy – tak było bezpieczniej i dla nich, i dla niego.

– Niech pan mu nic nie mówi.

A jeszcze lepiej, niech pan mu powie, że świetnie nam idzie, ale ze względów bezpieczeństwa powinien znać jak najmniej szczegółów.

Morgan zmarszczył brwi.

– Niech pan sam mu to powie.

Za każdym razem, kiedy się z nim spotykam, domaga się właśnie szczegółów. I wciąż mi przypomina, kto tu dla kogo pracuje i ile pieniędzy wkłada w ten interes.

– Niech pan mi wierzy: on nie musi nawet dodawać, że bardzo niezdrowo jest odmawiać mu czegokolwiek.

Przysięgam panu tych bandytów, którymi się otacza, opłaca chyba ludzkim mięsem.

W słuchawce rozległo się ciężkie westchnienie.

– Jest dupkiem.

Być może powinien pan mu przypomnieć o licznych jego nieudanych próbach „ataku na serce Ameryki”, jak to nazywa.

O tej cholernej kampanii zamachów bombowych na amerykańskie ambasady, przez którą

stracił własne laboratoria i ludzi, nie mamy gdzie pracować i ledwie starcza nam wektorów do dokończenia pierwszych testów klinicznych.

I o tym, jak musimy stawać na rzesach, żeby zdobyć we Francji nowe!

– Z każdym słowem w głosie rozmówcy było więcej gniewu.

Morgan zaś milczał, ledwie panując nad własną wściekłością, potęgowaną przez fakt, że już za kilka dni czekało go spotkanie z szaleńcem na drugim końcu świata.

– Miłej podróży rzucił na koniec rozmówca, zostawiając Morgana przy głuchej słuchawce.

Człowiek z Nowego Jorku, który pożegnał Boba Morgana, przeciągnął się w głębokim fotelu, próbując rozluźnić spięte mięśnie karku i nóg.

Wpatrywał się w panoramę Manhattanu, a ściany pobliskich wież World Trade Center odbijały taką mnogość światła miasta, że przypominały obeliski zbudowane z gwiazd.

– Kolejny twój spaprany plan – mruknął, mierząc wzrokiem bliźniacze gmachy.

Machinalnie złożył dłonie na wysokości ust, głaszcząc dolną wargę palcem wskazującym.

Gdyby ktoś go teraz zobaczył, uznałby go zapewne za pogrążonego w modlitwie.

Ale mężczyzna wymamrotał tylko słowa, których nigdy nie powiedziałby swemu klientowi prosto w oczy:

– Dzięki mnie, dupku, w przyszłym roku o tej porze Stany Zjednoczone będą klęczeć przed tobą.

Czas włókł się niemiłosiernie.

Nie odważyła się nawet unieść głowy i wyrzeć spomiędzy konarów świerka, gdy usłyszała głosy wychodzących dziennikarzy.

Ktoś przecież mógł dostrzec w mroku jej bladą twarz.

Kilka minut później rozległ się warkot silnika wynajętego autobusu, który wcześniej przywiózł tu całą grupę.

Morgan widocznie uznał, że odjechałam taksówką, pomyślała Sullivan. Słuchała, jak mniejszymi grupkami odjeżdżają pracownicy ośrodka.

Od strony parkingu dobiegały odgłosy zamykanych drzwi samochodów, włączonych silników oraz opon toczących się po żwirze.

Wreszcie wszystkie te dźwięki odpłynęły w mrok nocy.

Pozostał jedynie kojący szmer wiatru kołyszącego gałęziami.

Od czasu do czasu od szosy dobiegał szum przejeżdżającego samochodu.

Gdzieś daleko na torach turkotał pociąg.

Raz w oddali rozległo się pohukiwanie sowy.

Lecz jeśli nie liczyć tych z rzadka pojawiających się odgłosów, nad stojącym na uboczu ośrodkiem badawczym zapadła głucha cisza.

Już czas, pomyślała Sullivan.

Rozprostowała nogi i pokręciła głową, by rozruszać mięśnie.

Syknęła cicho, gdy kończyny zaprotestowały przeciwko wysiłkowi, ale wypełzła z kryjówki i mocno pochylona ruszyła w kierunku zatopionych w ciemności drzew otaczających budynek.

Uklęka przy nich i posługując się małą latarką, znowu zaczęła zbierać próbki.

Najpierw przyjrzała się zimującej trawie.

Na szczęście listopad był dość ciepły i większość trawnika pozostała zielona.

Właśnie odcinała nożyczkami korzonki, gdy usłyszała zbliżający się warkot co najmniej dwóch samochodów.

Nie przejęła się tym specjalnie; sądziła, że wozy miną teren ośrodka tak jak inne.

Nagle jednak snopy światła reflektorów omiotły ciemny zakątek, w którym pracowała.

Uniósłszy głowę, zobaczyła dwa minivany, które właśnie wjeżdżały w plamę blasku lamp sodowych na parkingu.

– Co, u diabła. – mruknęła, szybko wyłączając latarkę i kładąc się na ziemi.

Tym razem nie odważyła się unieść głowy, ale nasłuchiwała w skupieniu.

Silniki ucichły, trzasnęły zamki i otworzyły się drzwi przesuwne.

Po chwili odezwały się męskie głosy, którym towarzyszył chrzęst żwiru pod butami, głośny w rześkim powietrzu nocy.

O Boże, pomyślała Sullivan, to cała ekipa.

Bardzo chciała zerknąć na przybyszów, ale czy mogła?

Jak.

Tu, gdzie leżała, było ciemniej niż przed frontową ścianą budynku, ale tak naprawdę znajdowała się na otwartej przestrzeni.

Gdyby choć jeden z nich podszedł nieco bliżej i spojrzał w jej stronę, zobaczyłby ją bez trudu.

Mógł ją zdradzić nawet oddech – biały obłoczek pary w mroźnym powietrzu.

Zakrywając twarz dłońmi w ciemnych rękawicach, spojrzała przez rozchyłone palce i zobaczyła mniej więcej tuzin postaci maszerujących w stronę wejścia głównego.

Sześć z nich miało na sobie cywilne ubrania; pozostali zaś czapki z daszkiem i szare mundury często używane przez pracowników prywatnych firm ochroniarskich.

Niepokojące było to, że ci ostatni mieli u pasów kabury z pistoletami.

– Jezu Chryste – szepnęła Sullivan.

Mijając bramę tego ośrodka, doprawdy nie spodziewała się, że spotka kogoś poza paroma podstarzałymi cieciami.

Potrzebowała lepszej kryjówki.

Wepchnęła świeżo ściętą próbkę do pojemnika i włożywszy go do torebki, uniosła się na kolana, podpierając się dłońmi.

Niech mnie diabli, jeśli odpuszczę próbki spod samego muru, pomyślała.

Pochylona nisko nad ziemią, puściła się biegiem w stronę tyłów budynku, ku najciemniejszym miejscom.

Kierowała się na ciemną sylwetkę kanałów wentylacyjnych widoczną na tle nocnego nieba. Chwytając w locie gałązki i źdźbła, w duchu pogodziła się z tym, że te pospiesznie wyrwane fragmenty będą ostatnimi eksponatami w kolekcji próbek średniego dystansu.

Minąwszy węgiel budynku, przytuliła się do ściany i zerknęła wstecz, ku bramie.

Na posterunku stali teraz dwaj mężczyźni w mundurach.

Dwaj inni właśnie rozpoczęli obchód wzdłuż ogrodzenia.

Trzecia para towarzyszyła cywilom zmierzającym do głównego wejścia.

Sullivan przykucnęła w krzakach okalających fundament budynku.

Zasłaniając ciałem latarkę, szybko wepchnęła zebrane po drodze rośliny do odpowiednio

opisanych pojemników, a potem przyjrzała się okolicznej zieleni.

Cedrowe gałązki trafiły do tubki z napisem „KRÓTKI DYSTANS”.

Pracując, Sullivan oglądała się nieustannie przez ramię, w stronę miejsca, w którym lada chwila spodziewała się ujrzeć wartowników idących wzdłuż ogrodzenia.

Nie widziała ich jeszcze i nie słyszała głosów; ciszę mącił tylko nieustający szum wiatru w koronach sosen.

Dokąd oni poszli, zastanawiała się, próbując się skupić na cięciu korzonków i pakowaniu próbek do torebki.

Po chwili raz jeszcze popęzła na kolanach, by wyrzeć z za narożnika gmachu.

Z głębokiej ciemności łatwiej było obserwować frontową i boczną część posiadłości, skąpaną w łagodnym świetle parkingowych latarni, których blask sięgał znacznie dalej, niż się z początku wydawało.

Poza paroma miejscami przesłoniętymi przez krzewy i drzewa Sullivan miała teraz w polu widzenia większą część z tego odcinka ogrodzenia.

Tyle że nigdzie nie było ochroniarzy.

Czyżby zawrócili?

Wiedziała, że musi to ustalić, zanim zdecyduje się na ewakuację.

Już dawno uznała, że najbezpieczniej będzie pokonać ogrodzenie na tyłach budynku, w najgłębszej ciemności.

Daleki śmiech strażników, który dobiegł zza jej pleców, kazał jej raz jeszcze rzucić się na ziemię i wtulić w podmurówkę gmachu, pod gałęziami iglaków, z których chwilę wcześniej pobierała próbki.

Znowu zakryła twarz dłońmi i wyjrzała przez szpary między palcami.

Ochroniarze rzeczywiście zawrócili; obeszlą posiadłość wzdłuż ogrodzenia, ale w przeciwnym kierunku.

Ku swemu przerażeniu Sullivan zobaczyła też, że właśnie skręcają o dziewięćdziesiąt stopni i kierują się wprost w stronę jej kryjówki.

Chryste, pomyślała w panice.

Czyżby mnie wypatrzyli?

Zaraz też wyobraziła sobie sensacyjne nagłówki gazet, gdyby dała się złapać: „ZNANA GENETYCZKA ARESZTOWANA ZA WEJŚCIE NATEREN PRYWATNY”

Przypomniała sobie też, że ochroniarze są uzbrojeni. Ale przecież nie zabiją mnie z zimną krwią, pomyślała z nadzieją.

Z drugiej strony, mogą sięgnąć po broń, jeśli wystraszą się kogoś, kto kryje się w krzakach.

– O rany. – szepnęła cicho i przez chwilę zastanawiała się, czy nie będzie lepiej, jeśli podda się od razu, nim dojdzie do tragicznego wypadku.

Sekundę później zmieniła zdanie.

Nie, do cholery.

Tym sposobem Agrenomics i Morgan, cwany sukinsyn, zyskają święty spokój.

Niech mnie ochroniarze znajdą, jeśli potrafią.

Ja tu zostaję.

Zresztą jeśli już się o mnie potkną, to raczej nie zaczną od razu strzelać.

Poza tym dokładnie na dwudziestą zaplanowała małą akcję dywersyjną na parkingu, na wypadek gdyby do tego czasu nie zjawiała się z powrotem w umówionym miejscu.

Spojrzała na podświetlaną tarczę zegarka.

Była dziewiętnasta pięćdziesiąt siedem.

Wytrzymaj jeszcze chwilę, pomyślała.

Miała nadzieję, że przy odrobinie szczęścia zdoła się jakoś wymknąć niezauważona i wynieść cenne próbki.

Ochroniarze byli już tak blisko, że słyszała strzępy ich rozmowy.

– ... kiedy się zaczną cotygodniowe dostawy?

– ... chyba na początku roku.

– ... zawsze tego samego dnia?

Mężczyźni szli wzdłuż tylnej ściany budynku; ich ciemne sylwetki majaczyły w poświacie latarni nie dalej niż dwadzieścia metrów od miejsca, w którym leżała Sullivan.

Spodziewała się, że za dwadzieścia sekund któryś z nich nadeptnie jej na głowę.

Zaczęła właśnie niezmiernie wolnymi ruchami pełznąć wstecz, gdy nagle strażnicy przystanęli, by przyjrzeć się bliżej ścianie budynku.

Byli tak blisko, że słyszała każde ich słowo.

– ... i pokażą nam, jak pracują te rury.

Morgan nie chce, żeby faceci z kolei zajmowali się towarem.

– Pewny jesteś, że będziemy bezpieczni?

– W takich strojach, jakie dostaniemy.

– Tak.

Jeden z nich zapalił zapalniczkę i z mroku wyłonił się złocisty wizerunek jego twarzy. Skórę miał usianą drobnymi kraterami blizn, z których każda wyglądała jak ciemna plamka. Księżycowy krajobraz, pomyślała Sullivan, wpatrując się w tę twarz jak zahipnotyzowana.

Jaśniejszą plamę czoła mężczyzny przecięły bruzdy zmarszczek, gdy osłaniał dłońmi płomień i w pośpiechu dwukrotnie zaciągał się papierosem trzymanym w kąciku ust.

Zaraz potem twarz znowu zniknęła.

Ochroniarze raz jeszcze zadarli głowy, by się przyjrzeć czemuś na ścianie i wtedy rozległa się seria trzasków.

Palący zdjął z paska krótkofalówkę.

– O co chodzi? – spytał.

Głos przerywany zakłóceniami elektrostatycznymi odpowiedział:

– Parka szczeniaków właśnie zajęła na parkingi zaczynają się obściskować.

To pewnie nic ważnego, ale na wszelki wypadek bądźcie w pobliżu.

– Przyjąłem. Już idziemy.

Mężczyźni zawrócili i po chwili zniknęli za rogiem.

Sullivan uśmiechnęła się od ucha do ucha, wiedząc, że owymi „szczeniakami” są jej siedemnastoletnia córka Lisa oraz Abe, jej najnowszy adorator.

Szybko poderwała się z ziemi, ale zanim pobiegła w stronę ogrodzenia, przeszła jeszcze kilka kroków wzdłuż ściany, by przyjrzeć się temu, co tak interesowało ochroniarzy.

Przyświecając latarką, dostrzegła wielki panel kontrolny z dźwigniami i pokrętłami.

Z jego środka sterczał potężny wąż, gruby na piętnaście centymetrów, wzmocniony metalowymi pierścieniami na końcówce podwieszony wysoko w powietrzu.

Cała ta aparatura wyglądała tak, jakby można było wysuwać ją ze ściany budynku.

Musi tak być, pomyślała Sullivan, żeby wąż dosięgnął tego, z czym ma się połączyć.

Była zaintrygowana, ale wiedziała, że nie powinna zwlekać: wyłączywszy latarkę, zaczęła po omacku zmierzać w stronę płotu na tyłach ośrodka.

Uszła ledwie kilka metrów, gdy potknęła się o coś twardego i z impetem wylądowała na kolanach i dłoniach.

Pieczenie rąk i ból kolan sprawiły, że jej oczy wypełniły się łzami, ale zapanowała nad sobą na tyle, by nie krzyknąć.

Miała wrażenie, że klęczy na żwirze.

Na oślep szukając zgubionej latarki, trafiła palcami na drewniane podkłady łączące szyny.

Wstała i z początku kulejąc, podążyła szlakiem wyznaczonym przez tor.

Stalowa brama zamknięta na kłódkę zagroziła jej drogę, ale na szczęście zawieszona była na tyle wysoko, że Sullivan mogła prześliznąć się pod nią.

Jej oczy zdążyły na powrót przywyknąć do ciemności.

Spostrzegła, że tor skręca jeszcze i dopiero ginie w mroku, tuż przed nią zaś rozpościera się kompleks sześciu szklarń, długich co najmniej na sto metrów.

Zaciekawiona ruszyła w ich stronę, ale znów trafiła na ogrodzenie z siatki, tym razem wysokie na dobrych siedem metrów i zwieńczone gęstą płataniną drutu kolczastego – mniej więcej takie, jakimi otacza się więzienia.

– Proszę, proszę, panie Morgan – szepnęła, przypatrując się zza płotu ciemnym szklanym budowlom.

– Co tam hodujemy w ogródku?

Wiatr raczej nie chciał jej odpowiedzieć; świstał jedynie z cicha, przemykając przez romboidalne oka stalowej siatki, która zagradzała jej drogę.

Puściła się sprintem przez pola w stronę szosy, z rosnącym zainteresowaniem analizując w myślach to, co udało jej się podpatrzeć i podsłuchać.

Dlaczego typowo badawczy ośrodek, jakim był Agrenomics, miałby co tydzień hurtowo ekspediować koleją jakieś towary?

Z takich miejsc eksportuje się zwykle innowacyjne techniki albo pomysły na produkcję nowych odmian genetycznie zmodyfikowanych organizmów, ale nie gotowe produkty.

I po co tu tyle szklarń?

To jasne, że trzeba gdzieś rozsadzać zmodyfikowane w laboratorium rośliny, by osiągnęły odpowiednie rozmiary i dały nasiona.

Ale tu zabudowano szklanymi domami całe hektary pól!

Wykorzystywanie szklarń, a nie zwykłych pól uprawnych, do produkcji nasion wydawało się dziwne.

I wreszcie dlaczego zatrudniono uzbrojonych ochroniarzy?

Sullivan wiedziała, że prowadzona przez nią – i wielu innych – krucjata w imię wprowadzenia bardziej restrykcyjnych przepisów budziła nerwowość w zarządcach firm takich jak Agrenomics.

I słusznie się martwią, pomyślała z satysfakcją, przyciskając do boku torebkę z cennymi

próbkami i przedzierając się przez wyjątkowo nierówną polanę najeżoną kępami dzikich traw.  
Być może była naiwna, ale naprawdę nie spodziewała się pistoletów.



### Rozdział 3

Rurkę dotchawiczą usunięto mu następnego ranka.

Kilka godzin później dostał odpowiedzi na swoje pytania.

Właśnie wtedy szef kardiologii odwiedził go i poinformował osobiście, że Steele ma zwężoną lewą tętnicę wieńcową, dostarczającą krew do całej przedniej ściany serca.

Nie było to wielką niespodzianką.

Steele wiedział, że zwężenie w tym właśnie miejscu jest najczęstszą przyczyną niedokrwienia mięśnia sercowego, które może doprowadzić do migotania komór, czyli stanu, w którym przestają one pompować krew, a cały organ zmienia się w beużyteczny, drżący kawał mięsa.

– Ale balonik udroził tętnicę na tyle szybko, że udało się zminimalizować potencjalne uszkodzenia, Richard, więc tak ważny dla ciebie parametr, jak frakcja wyrzutowa, pozostaje niemal w normie.

W każdym razie miejsce na atak serca wybrałeś sobie najlepsze z możliwych – zapewnił go sędziwy kardiolog.

Jasne, pomyślał Steele.

– Taki ze mnie mądrała.

– Dobry wynik zawdzięczamy temu, że szybko do ciebie dotarliśmy, a wszystko to oczywiście dzięki przytomności umysłu doktor Betty Clarke.

– Jakiej Betty?

– Twojej rezydentki, człowieku! Tej, która cię reanimowała i uratowała ci życie.

Resztę dnia Steele spędził na granicy między wspomnieniami i snami – a wszystkie dotyczyły Luany.

Całkiem jak w domu, pomyślał.

Tyle że nie mógł wstać i zapalić papierosa albo uraczyć się drinkiem (ostatnio coraz większym) na dobranoc, jak czynił to każdego wieczora od dnia jej śmierci.

Za to leżał w kanciapie wytyczonej ścianami z parawanów, mocując się z rozpaczą bez wspomagaczy, aż wreszcie poczucie przytłoczenia sprawiło, że zaczął się dusić, a jego serce przyspieszyło gwałtownie, raz jeszcze aktywując sygnały alarmowe aparatury.

Pielęgniarki przybiegły natychmiast i podały środek usypiający, który sprowadził sen pełen koszmarów.

Śniło mu się, że jest bezbronną istotą leżącą na szkiełku laboratoryjnym, okazem poddanym wnikliwej analizie przez badacza, który próbuje go rozpreparować swymi pytaniami.

– Przystaniesz wreszcie uciekać?

– Nie umiem.

– Nie rozumiesz, że omal nie umarłeś?

– Oczywiście, że rozumiem.

– Być może twój czas dobiega końca, a mimo to tak niewiele obchodzi cię Chet?

Obudził się z krzykiem, próbując wyrwać kroplówki i zwlec się z łóżka.

Gdy pielęgniarki przyniosły pasy i zagroziły, że go skrepują, postanowił, że spróbuje tylko za wszelką cenę pozostać przytomny.

Siedząc w samotności, niezdolny do ucieczki przed własnymi myślami, po raz pierwszy w życiu poczuł, że być może dzień jutrzejszy już nie nastanie.

– Lekarzu, ulecz samego siebie – mruczał nerwowo, próbując się jakoś pozbierać, choć przecież dawno już stracił wiarę w moc introspekcji.

A przecież jako lekarz od początku pojmował doskonale, co się z nim stało po śmierci Luany.

„Przedłużona reakcja żałoby”, tak napisano w oficjalnym rozpoznaniu – tyle że nazwanie tej dolegliwości nie pomogło mu wyrwać się z jej uścisku przez osiemnaście długich miesięcy.

Nawet gdy z pomocą psychologa zrozumiał, że to nie smutek, tylko „przedłużająca się, wywołana paniką obsesja ucieczki przed całym tym procesem” jest prawdziwym źródłem problemu, zmieniło się tylko tyle, że zaczął stosować bardziej wyrafinowane uniki.

Najlepszym z nich były dodatkowe dyżury na oddziale ratunkowym.

Aż wreszcie, gdy wciąż jeszcze starał się wmówić sobie, że zapanował nad problemem, obwieścił światu, że jest zdrow, i zrezygnował z terapii.

Jego lekarski umysł naturalnie nie przestał rozumieć sytuacji.

Steele wiedział, że realizuje strategię głupca; jak wyczytał w fachowej literaturze, „służącą jedynie przedłużeniu cierpienia pacjenta i zamykającą go na zawsze w pułapce rozpacz, przed którą ucieka”.

Mimo to, niczym ćpun uciekający przed przerażającą perspektywą odwyku, nie umiał przestać.

W rezultacie pozbawił się dawnej radości z wykonywanego zawodu; praca stała się męką pozbawiającą go sił i wszelkich uczuć, a jeśli jakieś przetrwały, to rozprawiał się z nimi za pomocą szklaneczki szkockiej i tuzina papierosów.

Pewnego dnia, gdy jedna z pielęgniarek wzięła go na stronę i zasugerowała, by poszukał pomocy, ostrzegając jednocześnie, że z rana wszyscy wyczuli alkohol w jego oddechu, postanowił jedynie przestawić się na mniej „zapachową” wódkę.

Choć oczywiście nie przychodził do pracy kompletnie pijany.

I dzięki Bogu, nigdy nie był w stanie, w którym stanowiłby zagrożenie dla zdrowia czy życia pacjentów.

Dopuszczał się natomiast przynajmniej we własnej ocenie równie niewybaczalnej zdrady: uciekł od Cheta w chwili, gdy chłopak potrzebował go najbardziej.

– Lekarzu, ulecz samego siebie – powtórzył przez zaciśnięte zęby, czując w sercu znajomą gorycz, której nie mógł uleczyć żaden kardiolog.

Ocknąwszy się tego wieczoru, zobaczył Cheta siedzącego na krześle, którego wcześniej nie było.

Chłopak położył na jednym kolanie książkę, a na drugim notatnik, w którym pisał.

Odrabia lekcje, pomyślał Steele.

Przypatrywał się synowi spod półprzymkniętych powiek. Jest taki podobny do Luany, myślał, wspominając wszystkie te chwile sprzed lat, gdy ukradkiem podglądał jego skupienie nad pierwszymi zadaniami domowymi.

Obrazy z dzieciństwa Cheta krążyły mu przed oczami, aż wreszcie stworzyły oszałamiającą panoramę wizji wszystkiego, co utracił z chwilą śmierci Luany i co mógł jeszcze utracić, oddalając

się od syna.

Zaczął się pocić.

Czy nie takie obrazy powinienem był zobaczyć w obliczu śmierci? – zastanawiał się, próbując wygnać z umysłu wizję przeszłości.

Tylko że w obecności syna było to niemożliwe.

Choć Chet miał już za sobą kilka epizodów skokowego wzrostu, wciąż na swój sposób wydawał się mały.

Jego czarne, kręcone włosy, tak podobne do matczynych, wciąż były równie odporne na działanie grzebienia jak wtedy, gdy próbowała nad nimi zapanować.

Po matce miał też cerę, która zdawała się zmieniać odcień w zależności od światła: zimą była delikatna jak porcelana, latem zaś promieniała złotem słońca.

Lecz najbardziej uderzające było podobieństwo oczu. Łuk brwi i głęboki brąz tęczówek były praktycznie identyczne i Richard był czasem gotów przysiąc, że to Luana spogląda na niego oczami Cheta.

– Cześć, synu powiedział cicho.

Chłopak drgnął i przez ulotną chwilę na jego twarzy odmalowała się radość na dźwięk głosu ojca.

Zaraz jednak zniknęła, a jej miejsce zajął niechętny grymas, który stał się ostatnio naturalnym wyrazem jego twarzy.

– Cześć, tato – odpowiedział.

Dwa słowa zabrzmiały jak szybki, nerwowy świergot.

– Cieszę się, że przyszedłeś.

Cisza.

– Która godzina?

– W beczasowym świecie oddziału kardiologicznego mogła być na przykład trzecia nad ranem.

– Mniej więcej siódma.

– Gdzie Martha?

– Na dole. Poszła coś zjeść w bufecie.

Martha McDonald była ich gosposią.

Mieszkała z nimi i opiekowała się Chetem, praktycznie odkąd przyszedł na świat. Gdy umarła Luana, Chet i Steele nie przeżyliby bez jej pomocy.

– A ty jadłeś?

– Jeszcze nie. Zjem, kiedy ona skończy.

– Trochę późno jak na twoją kolację, co?

Chłopak wzruszył ramionami i znów pochylił się nad książką.

Co on czuje? – zastanawiał się Steele.

Boi się, że umrę, jak matka?

Jasne, że tak.

Boże, omal nie zrobiłem z niego sieroty.

Jaki ojciec, taki syn: jej śmierć rozdarła go tak samo jak mnie.

Przecież to jeszcze dzieciak.

Czy mógłby czuć coś innego?

Obudź się wreszcie, tatusiu!

Próbował znaleźć jakieś słowa pocieszenia, gdy przyszła mu do głowy nader nieprzyjemna myśl.

A gdyby radził sobie lepiej z samym sobą – i przed śmiercią Luany, i później?

Czy ból Cheta byłby teraz mniejszy?

Czy to ja skazałem mojego syna na trwałą rozpacz?

– Wiesz, Chet, moje serce najprawdopodobniej wróci do formy rzekł z wahaniem, nie mając pewności, czy kiedykolwiek i jakimikolwiek słowami zdoła przynieść Chetowi pocieszenie.

Chłopak nie podniósł głowy, ale dłoń trzymająca długopis znieruchomiła.

Zaciekawiłem go, pomyślał Steele, mając nadzieję, że tym razem użył właściwych słów.

– Ściślej mówiąc, za dziesięć dni powinienem wrócić do domu.

– Mama też wróciła do domu – odparł posepnie Chet, wciąż wpatrując się w otwarty notatnik.

Steele z wysiłkiem przełknął ślinę, zastanawiając się nad odpowiedzią.

Doszedł do wniosku, że najlepiej będzie uderzyć wprost w przyczynę lęku Cheta.

– Mój atak serca w niczym nie przypomina raka mamy. Ja naprawdę mogę wrócić do pełni sił.

Kto wie, może jeśli ty i Martha zmusicie mnie do właściwej diety i ćwiczeń, będę zdrowszy niż kiedykolwiek.

Chet skrzywił się, jakby ktoś kopnął go w świeżą ranę.

Zaczerwienił się rozgniewany, rzucił książki na podłogę i zerwał się z krzesła.

– Okłamywałeś mnie na temat mamy. Mówiłeś, że wyzdrowieje. Dlaczego miałbym ci teraz wierzyć? I dlaczego sądzisz, że w ogóle mnie to obchodzi, czy wyzdrowiejesz?

Spojrzenie, które posłał ojcu, było tak przesycone bólem i urazą, że przez moment Richard miał wrażenie, że to Luana czyni mu wymówki z za grobu.

– Chet, proszę cię, podejdź tu – polecił cichym głosem.

Chłopak wyglądał na zbitego z tropu, ale jego rysy złagodniały nieco.

Niepewnie zrobił krok naprzód.

Gdy znalazł się wystarczająco blisko, Steele złapał go za rękę i powiedział:

– Nie przytuliłbyś się do tatusia?

Chet zawahał się znowu, ale w końcu pochylił się i niezgrabnym ruchem objął ramiona ojca.

Steele łagodnie odwzajemnił uścisk.

Poczuł, jak sztywne ciało Cheta stopniowo się rozluźnia.

– Kocham cię, Chet – szepnął.

– Przysięgam, że stąd wyjdę. I obiecuję, że znowu będę twoim tatusiem.

Chłopak nie odpowiedział, ale i nie przerwał uścisku.

Zawsze to jakiś początek, pomyślał Steele.

Choć przez całe życie wyjaśniał pacjentom konsekwencje choroby, sam raczej marnie znosił, gdy wyrokowano o jego zdrowiu.

– Żadnej pracy na oddziale ratunkowym co najmniej przez sześć miesięcy – orzekł ten sam szef kardiologii, który wcześniej tak zachwycał się rezultatami udanej angioplastyki – a potem się zobaczy.

– Mam siedzieć na tyłku przez pół roku? – powtórzył z niedowierzaniem Steele.

- To dopiero mnie zabije! Nie wystarczą trzy?
- Równie dobrze jak ja znasz zasady powrotu do normalnej aktywności.
- To tylko wskazówki, do cholery!

Mają wskazywać lekarzom kierunek, nie są wiążące.

- I właśnie to zrobiły, Richard.

Wskazały mi kierunek mi, czyli lekarzowi, który podejmuje decyzje w twojej sprawie, pacjencie.

- Z twojego punktu widzenia nie są to wskazówki, tylko zasady.

- Przecież sam powiedziałeś, że mam świetne wyniki.

Czy to nie przemawia na moją korzyść?

– Naturalnie całkowicie rzucisz palenie ciągnął kardiolog, odrzucając obiekcje Steele'a metodą całkowitego ich zignorowania.

– Pielęgniarki dostarczą ci materiały na temat diety, ćwiczeń i rozkładu zajęć, które pozwolą ci wrócić do normalnej aktywności fizycznej.

Jeśli chodzi o seks trzy miesiące wstrzeźliwości, a potem pomalutka możesz zacząć próbować.

Zawiadomię moją rękę, omal nie odparował Steele, z każdą chwilą mocniej zirytowany tym wykładem.

– Co u Cheta? – spytał Marthę w przeddzień powrotu do domu, gdy przyniosła mu ubranie, o które prosił.

Chłopak zaprzestał wizyt prawie tydzień wcześniej, gdy przeniesiono Richarda z oddziału kardiologicznego do zwykłego pokoju.

- A jak pan sądzi? – odparła sześćdziesięcioletnia kobieta.

- Jest wściekły na pana.

Po pierwsze dlatego, że się wystraszył, że pan umrze, a po drugie dlatego, że jak się okazało, wciąż obchodzi go pański los.

Oczywiście jest w tym wszystkim także właściwa trzynastolatkom tęsknota za starym, przy którym wypada się buntować od rana do wieczora.

Steele słuchał z szerokim uśmiechem siwej, dziarskiej kobiety, która nigdy się nie wahała raczyć go brutalną prawdą, a także werbalnie kopać go po tyłku, kiedy na to zasługiwał.

Nie zniechęcało jej nawet to, że ostatnio nie miał odwagi słuchać jej uważnie.

O dziwo, Steele traktował jej wymówki jako pocieszające wotum zaufania – dawała w ten sposób do zrozumienia, że wierzy jeszcze, iż mógłby przestać się zachowywać jak pajac i wreszcie zrobić coś z własnym życiem.

Martha była wdową i nie miała własnych dzieci.

Na prośbę Luany wprowadziła się na stałe do Steele'ów, by otoczyć ją opieką w chorobie.

Sześć miesięcy później, na kilka tygodni przed śmiercią, Luana spojrzała na Richarda jasnymi oczami połyskującymi w głębinach ciemnych oczodołów i oznajmiła, że Martha ma pozostać w ich domu na zawsze.

Steele, który w owych dniach ledwie był w stanie zadbać o siebie, przyjął to rozwiązanie z wdzięcznością.

Krzywiąc się w duchu na wspomnienie udręczonej twarzy żony, zdołał utrzymać na ustach

lekki uśmiech.

- Jezu, Martho, tylko nie zacznij traktować mnie ulgowo – powiedział i zaśmiał się z cicha.
- Oto coś, czego nie widziałam od dłuższego czasu – odparła.
- Spojrzenie jej szarych oczu złagodniało nieco.
- To oczywiście tylko żalosna namiastka, ale lepsze to niż nic.
- Nie zapomnij zabrać go ze sobą do domu.

Sygnal telefonu wyrwał go z głębokiego snu.

- Mówiłem panu, że będą z nią kłopoty! – odezwał się w słuchawce wyraźnie podekscytowany

Morgan.

- Z kim?

- Z Sullivan!

Zdaje się, że weszła na naszym terenie.

- O czym pan mówi?

– Wieczorem po konferencji prasowej parka smarkaczy przyjechała na nasz parking, na pozór po to, żeby się migdalić.

Jeden z naszych ochroniarzy spisał numer wozu, zanim ich pogonił.

Parę dni później przekazał ten numer swojemu kumplowi, gliniarzowi, żeby sprawdzić właściciela ot tak, na wszelki wypadek. Okazało się, że samochód należy do Sullivan.

Szef ochrony zadzwonił do mnie, gdy tylko się o tym dowiedział.

Przypuszczam, że dzieciaki czekały na nią.

Może starały się odwrócić uwagę naszych ludzi, żeby umożliwić jej ucieczkę.

Bo po jaką cholere tłułyby się na to pustkowie?

- Jest pan pewny, że tamtego popołudnia ona wyszła z budynku?

- Najzupełniej. Dzwoniłem, sprawdzałem.

Ochroniarze z dziennej zmiany widzieli, jak się wypisała i wyszła.

Tylko że nikt z pilnujących bramy nie pamięta, by samotna kobieta wychodziła wcześniej niż reszta grupy.

Możliwe, że Sullivan skorzystała z ciemności, żeby ukryć się gdzieś na naszym terenie.

- Czy jest możliwe, że wśliznęła się z powrotem do budynku?

- Nie. Tego jesteśmy pewni.

Z taką elektroniką jesteśmy bardziej bezpieczni niż bankowy skarbiec. Możliwe jednak, że przez parę godzin przebywała bez nadzoru na naszym terenie.

Rozmówca Morgana nie odezwał się przez minutę, analizując tę informację.

Wreszcie Morgan przerwał milczenie:

- W końcu jednak dobrała się nam do skóry!

- W jego głosie wyraźnie słychać było niepokój.

- Niekoniecznie.

- W takim razie co tam robiła, do cholery?

- Pewnie zbierała gałązki i liście.

- Co takiego?

- Właśnie tak może sprawdzić wasze laboratorium.

Ma nadzieję, że znajdzie wektory, których używacie, i że będzie w stanie stwierdzić, czy modyfikują DNA organizmów żyjących w okolicy.

– W takim razie jesteśmy w domu – stwierdził Morgan o oktawę mniej piskliwym głosem.

Mamy nowe filtry.

Nie znajdzie ani śladu naszego produktu.

– Zgadza się?

– Zgadza się – odparł mężczyzna, wstając z łóżka.

Coraz bardziej irytowała go łatwość, z jaką Morgan wpadał w panikę, gdy tylko pojawiał się problem.

Na to, co czeka ich już wkrótce, potrzeba znacznie mocniejszych nerwów.

– Co więcej, wyświadczy nam wielką przysługę – dorzucił uspokajająco.

Uznał, że im pewniej poczuje się Morgan, tym lepiej.

– W jakim sensie?

– Niech pan pomyśli.

Możemy ujawnić informację, że wiemy o jej nielegalnym pobycie na terenie ośrodka, a następnie wezwać wielką doktor Kathleen Sullivan do ujawnienia wyników badań próbek, które zebrała.

Będzie musiała ogłosić światu, że jesteśmy czysti jak łąza.

Takie świadectwo, wydane przez osobę o tak wielkiej wiarygodności, zagwarantuje nam, że przez dłuższy czas już nikt nie będzie interesował się naszymi sprawami.

– Czyż moglibyśmy wymarzyć sobie lepsze warunki do przygotowania ataku?

– A jeśli brak wyników wcale jej nie zniechęci?

– Wtedy nasz klient się postara, żeby zniknęła.

*Trzy tygodnie później*

Sullivan pamiętała większość dziennikarzy, którzy zasiedli wokół długiego stołu konferencyjnego: spotkali się podczas wizyty w siedzibie Agrenomics.

Kobieta z „Na Straży środowiska”, która miała wtedy pretensje o brak wyników badań na ludziach, wstała, by zadać pytanie.

– Jakie rezultaty przyniosły pani testy, doktor Sullivan?

– Dzień dobry państwu.

Witam w moim laboratorium – zaczęła Sullivan, celowo ignorując pytanie.

– Zanim przejdę do rzeczy, pozwolę sobie przedstawić najnowszego członka naszego zespołu, Azrhana Doumaniego, starszego rezydenta, który przyjechał do nas na praktykę z University of Kuwait i pisze właśnie pracę magisterską o skutkach wykorzystywania nagiego DNA. Uznałam, że powinien tu być, skoro sam dokonywał testów, o które państwo pytają.

Młody mężczyzna siedzący przy niej u szczytu stołu uśmiechnął się nerwowo i skinął głową. Jego smagła twarz silnie kontrastowała z białym kitlem laboratoryjnym.

– A po jego prawej stronie zasiadł, na moje zaproszenie, gość specjalny, niektórym z państwa być może już znany: dyrektor zarządzający Stowarzyszenia Błękitna Planeta, znany obrońca środowiska Steve Patton, mój długoletni przyjaciel i współpracownik.

Dystyngowany, siwowłosa mężczyzna w ciemnym garniturze, siedzący obok Doumaniego, podniósł się niespiesznie.

Jego szczupłe ciało i mocna, zdrowa opalenizna sugerowały, że wiele czasu spędzana wolnym powietrzu wyglądał zgoła inaczej niż blade i krągłe towarzystwo żyjące z pisania o sprawach przyrody.

– Cieszę się, że zostałem zaproszony – oznajmił zwięźle, uśmiechając się szeroko.

– A ja uprzedzam, że nie pozwolę państwu na ostre zagrywki wobec tych dwóch dżentelmenów – dorzuciła Sullivan, grożąc dziennikarzom palcem i posyłając w ich stronę swój słynny, promienny uśmiech.

Roześmiali się wszyscy prócz ponurej reporterki z „Na straży środowiska”.

– Doprawdy, doktor Sullivan – odezwała się, podnosząc głos, by przekrzyczeć śmiechy kolegów – nie przyszedł tu słuchać, jak się pani wdzięczy.

– To pani domagała się rozmowy, nie ja! – odparowała Sullivan, posyłając jej ogniste spojrzenie szmaragdowych oczu.

– Pewnie nie ma to sensu, ale spytam. Kto dał pani cynk o mojej cichej wycieczce do Agrenomics?

Cisza.

– Ach, tak.

„Nigdy nie ujawniaj źródła”.

– Cóż, skoro już pani przysłała, rozmawiamy.

– Zatem przyznaje pani, że potajemnie pobrała próbki z terenu należącego do laboratorium? – spytał mężczyzna siedzący naprzeciwko Sullivan.

– Oczywiście.

To jedno słowo wystarczyło, by ruszyła lawina pytań.

– Po co?

– Co pani zebrała?

– Jakie testy przeprowadzono?

Sullivan przyglądała się przez chwilę twarzom spoglądającym na nią z wyczekiwaniem, po czym odpowiedziała:

– Zacznę może od przypomnienia państwu tego, co wyjaśniłam już trzy tygodnie temu w siedzibie Agrenomics: genetycy tworzą wektory z nagim DNA, by przenosić geny pomiędzy gatunkami, a ja się obawiam, że owe twory, gdy przedostaną się do środowiska, nie jako infekują inne organizmy, w tym także ludzi.

Uznałam, że jednym ze sposobów na udowodnienie owej zaraźliwości będzie odnalezienie śladu wektorów w roślinach żyjących w pobliżu wylotów systemu wentylacyjnego laboratorium, w którym prowadzone są eksperymenty.

Słuchacze znowu zasypali ją pytaniami.

– Co pani znalazła?

– Czy potwierdziły się podejrzenia?

– Czy jesteśmy w niebezpieczeństwie?

– Pozwolą państwo, że najpierw opowiem o czynnościach, które wykonałam – odparła, przekrzykując zgiełk – a potem przejdziemy do rezultatów.



Sięgnęła po zielony segregator, odręcznie podpisany czarnym flamastrem:

„Odciski palców DNA na zieleninie”, i uniosła go wysoko.

Reporterzy wybuchnęli śmiechem, nie wyłączając nawet ponurej kobiety z „Na straży środowiska”.

– Jakiś pacan w laboratorium wysmażył tę etykietkę, ale w sumie nie minął się aż tak daleko z prawdą – dodała Sullivan, gdy w sali znów zapanował spokój.

– To, co eksperci policyjni potrafią zrobić, dajmy na to, z zakrwawionymi rękawiczkami gdzieś w Los Angeles, my potrafimy zrobić z sosnowymi igłami, korzonkami traw czy drobinami gleby.

Tyle że ja szukam spreparowanych ludzką ręką łańcuchów wektorów DNA, które zadomowiły się w chromosomach przypadkowego gospodarza.

Głębokie milczenie zebranych upewniło Sullivan, że słuchają z należytą uwagą.

– Pan Doumani wyjaśni teraz szczegółowo przebieg tego procesu.

Okropnie zmieszany Azrhan Doumani, który najwyraźniej się nie spodziewał, że tak wcześnie zostanie wywołany do tablicy, wstał niepewnie, kilka razy przełknął ślinę i rzekł:

– Gdy doktor Sullivan powróciła z próbkami, najpierw potraktowaliśmy każdą z nich dawką ciekłego azotu.

Tak zamrożone bez trudu mogliśmy zemleć za pomocą mózdzierza i tłuczka.

– Często korzystamy też z suchego lodu – wtrąciła Sullivan, mrugając porozumiewawczo do zdenerwowanego kolegi.

– Kłęby białej pary bijące z próbek i snujące się nad stołami laboratoryjnymi świetnie prezentują się w telewizji.

Żart został nagrodzony chichotem kilkorga dziennikarzy, ale dla Sullivan ważniejsze było to, że jej młody podopieczny nieco się rozluźnił.

– Następnie sięgamy do skrzynki z narzędziami inżyniera genetyka – ciągnął trochę mniej sztywno – po miksturę chemikaliów zwaną C-Tab.

Postępując wedle dość skomplikowanej, wielostopniowej procedury, dodajemy ją do zmielonych na proch próbek, odwirowujemy i tak otrzymujemy roztwór czystych chromosomów łańcuchów genetycznych danego organizmu unoszący się nad mieszanką resztek.

– Pozbywamy się owych resztek i znów sięgamy do czarodziejskiego cylindra genetyków, tym razem po narzędzie, którym tniemy i łączymy DNA enzymy restrykcyjne.

Dodajemy je do roztworu, powodując rozdzielenie chromosomów na geny, a genów na jeszcze mniejsze fragmenty łańcuchów DNA, nadające się do badania.

– Każdy z enzymów atakuje konkretny punkt łańcucha.

W tym wypadku potraktowaliśmy nasze próbki enzymami, które między innymi powodują odłączanie fragmentów DNA wirusa mozaiki kalafiora, czyli Ca-MV.

To jeden z najczęściej stosowanych w inżynierii genetycznej organizmów o charakterze inwazyjnym.

– Zakładaliśmy, że jeśli znajdziemy fragmenty jego DNA, potwierdzi się podejrzenie, iż wektory zaraziły rośliny, które poddaliśmy badaniu.

Doumani przerwał, by napić się wody, a Sullivan przyjrzała się publiczności.

Tu i tam skrzypnęło krzesło, ktoś zakaszłał, ale dyktafony wciąż działały, a pióra zawisły w powietrzu, gotowe dopisanie.

Jest dobrze, pomyślała i odetchnęła z ulgą.

Jeszcze są zainteresowani.

Jeżeli zrozumieją cały proces badawczy, pojmą też prawdziwy, ukryty przekaz, który do nich wysyłamy.

– Odnalezienie i zidentyfikowanie owych fragmentów – ciągnął Doumani – wymaga kolejnych kilku sztuczek.

Rozdzielamy różne fragmenty DNA w elektroforezie, lokalizujemy je, stosując groźny karcynogen zwany bromkiem etydyny, który nadaje im różową barwę, a potem dosłownie myjemy je za pomocą płynu zwanego Gene Clean i wtedy dopiero możemy zdjąć z nich genetyczne „odciski palców”.

– Teraz już, bez względu na to, czy badamy kroplę krwi z miejsca przestępstwa, czy szukamy wektora w roślinie, technika identyfikacyjna wymaga zastosowania najbardziej podstawowego narzędzia w tej branży: standardowych preparatów DNA zwanych primerami.

Dodajemy je do naszych łańcuchów DNA, a one ustawiają się i łączą w tym miejscu łańcucha, w którym są komplementarne sekwencje kwasów nukleinowych.

– Innymi słowy, dla naszych celów możemy nazwać owe primery próbnikami, które ustalają, czy dany rodzaj DNA występuje w badanym łańcuchu, oczywiście przy założeniu, że wiemy, czego szukamy.

W tym wypadku, jako że możemy się jedynie domyślać, jakich wektorów użyto, przyjęliśmy założenie, że użyjemy primerów dla wirusa mozaiki kalafiora.

Rezydent umilkł.

W sali panowała kompletna cisza.

Jak dotąd całkiem niezłe, pomyślała Sullivan.

– Ogrzaliśmy każdą z badanych próbek DNA, doprowadzając ją niemal do wrzenia – podjął wątek Doumani.

Ściślej mówiąc, do temperatury dziewięćdziesięciu czterech stopni, w której podwójna spirala DNA rozpada się na pojedyncze łańcuchy.

– Następnie obniżyliśmy temperaturę do pięćdziesięciu pięciu stopni i dodaliśmy primery, po czym pozostawiliśmy mieszaninę w spokoju na minutę.

Szuranie tuzina krzesel oraz chór głośnych chrząknięć oznaczały, że słuchacze nie są zainteresowani detalami natury technicznej.

Azrhan mówił jednak dalej, rozpaczliwymi, acz ukradkowymi spojrzeniami błagając przełożoną o ratunek.

– Zupełnie tak, jakbyśmy gotowali zupę – wtrąciła Sullivan.

I tak naprawdę mogłabym to wszystko zrobić we własnej kuchni, gdyby mi nie nawalił czasomierz w kuchence.

Odezwały się pojedyncze śmiechy, ale wciąż wyczuwało się zniecierpliwienie dziennikarzy.

– W laboratorium jest zresztą nieco łatwiej, bo mamy maszynę wielkości dwóch kuchenek mikrofalowych, która robi za nas wszystkie te nudne czynności, więc może odpuścimy sobie szczegóły.

– Dzięki Bogu! – mruknął ktoś z wdzięcznością.

– Teraz zaś wypada wspomnieć o tajemnym składniku – ciągnęła Sullivan, zniżając nieco głos,

by na powrót skupić na sobie uwagę zebranych.

– O enzymie zwanym polimerazą Taq.

– Czym Taq? – spytał mężczyzna notujący pilnie jej słowa, siedzący ledwie o dwa krzesła dalej.

– Polimerazą Taq powtórzyła swobodnie, jakby chciała przekonać wszystkich, że powinni doskonale znać tę nazwę.

– Biolodzy badający morza odkryli ją kilkadziesiąt lat temu w bakteriach bytujących w gorących wodach wokół kominów hydrotermalnych na dnie oceanu.

Zadaniem tej substancji jest uruchamianie procesu replikacji DNA u tych mikrobow, czyli to samo, co czynią wszystkie polimerazy obecne w komórkach roślin i zwierząt.

– Jednakże niejaki Kairy Mullis zauważył, że w przeciwieństwie do innych, ta polimeraza funkcjonuje w wysokich temperaturach, takich, jakie potrzebne są do rozdzielania i oznaczenia konkretnych segmentów DNA za pomocą primerów, co tak pięknie opisał nam Azrhan.

W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym trzecim roku Mullis dostał Nagrodę Nobla za wykorzystanie tego zjawiska w łańcuchowej reakcji polimerazy, czyli PGR, techniki wykorzystywanej dziś do namnażania konkretnych fragmentów łańcucha DNA, począwszy od zaledwie kilku molekuł.

– Od czasu tego odkrycia badania DNA stały się nieskończenie prostsze, a rozszyfrowywanie genomu człowieka postępuje szybciej, niż ktokolwiek się spodziewał.

Zyskaliśmy też narzędzie, które pozwala zwracać wolność niewinnym i skazywać winowajców na podstawie banalnego dowodu, jakim jest kropla krwi czy nasienia wymiar sprawiedliwości zmienił się raz na zawsze.

Sullivan odczekała chwilę, by to, co zamierzała jeszcze powiedzieć, nie przytłoczyło słuchaczy.

– Doktor Sullivan, przejdźmy do konkretów. Co znaleźliście? – zapytała kwaśnym, a może wręcz wrogim tonem kobieta z „Na straży środowiska”.

Ku zaskoczeniu Sullivan, Azrhan, który od czasu, gdy zaczęła mówić, coraz głębiej zapadał się w fotel, teraz poderwał się na równe nogi, wziął głęboki wdech, jakby spinał się do wysiłku, i ponownie wziął na siebie prowadzenie konferencji prasowej.

– Nasza maszyna podniosła temperaturę do siedemdziesięciu pięciu stopni Celsjusza, dodała polimerazę Taq oraz solidną porcję nukleotydów, podstawowych cząstek budulcowych DNA.

Gdyby wirus mozaiki kalafiora był obecny, procedura ta wywołałaby reakcję, której się spodziewaliśmy.

– Być może niektórzy z państwa chcieliby wiedzieć, że polimeraza Taq wędruje wzdłuż łańcucha, który chcemy replikować, i używając go jako wzorca, przyłącza odpowiednie nukleotydy we właściwym porządku, tworząc komplementarny łańcuch DNA.

Mullis odkrył jednak, że kopiowanie zachodzi tylko w miejscach, w których do łańcucha dołączony jest primer.

Mówił pewnie, bez wahania, a jego oczy błyszczały entuzjazmem.

Mówił o pracy, którą kochał, a wszyscy znowu słuchali go z uwagą.

– Innymi słowy, skoro wybraliśmy primery właściwe dla wirusa mozaiki kalafiora, to jeśli w ogóle miało dojść do replikacji, uzyskalibyśmy dowód, że wektory z nagim DNA rzeczywiście zainfekowały florę na terenie należącym do Agrenomics.

Co więcej, elektroforeza pozwoliłaby nam uporządkować je według masy molekularnej, a tym samym uzyskalibyśmy genetyczny odcisk palca intruza.

Azrhan usiadł nagle, odprowadzony pełnymi wyczekiwania spojrzzeniami słuchaczy.

Nie odezwał się więcej, tylko spojrzał na swą mentorkę, jakby czekał na jej słowa.

– Czy dowiemy się wreszcie, co znaleźliście dzięki tym wszystkim badaniom DNA? – zawołał zniecierpliwiony mężczyzna z końca stołu.

– Nic – odrzekła Sullivan.

Na chwilę zapadła martwa cisza.

– Słucham? – wykrztusił wreszcie zdumiony mężczyzna.

– Powiedziałam, że nic nie znaleźliśmy powtórzyła Sullivan.

– Nie doszło do replikacji.

Tym razem odpowiedział jej chór głosów pełnych niedowierzania.

– Co takiego?

– I po to marnujecie nasz czas?

– Jezu Chryste!

Przez gwar przebił się w końcu znajomy, piskliwy głos dziennikarki z „Na straży środowiska”:

– Czy to oznacza, że pani obawy względem wektorów z nagim DNA są nieuzasadnione?

– Absolutnie nie! – odrzyknęła Sullivan na tyle głośno, by wszyscy ją usłyszeli.

– Może to oznaczać jedynie tyle, że nie wiemy, jakich wektorów używa się w Agrenomics. Albo że zainstalowano tam porządne filtry.

– Twierdzi pani, że poważnie potraktowali pani sugestie?

– Proszę ich o to zapytać.

– Skąd mamy mieć pewność, że badania próbek z innych ośrodków, w których operuje się na wektorach z nagim DNA, czy to z filtrami czy bez, nie byłyby równie bezowocne? Może te wektory po prostu nie są groźne?

– Nie mamy takiej pewności. Uważam, że powinniśmy zbadać tereny wszystkich tego typu ośrodków na świecie, by się upewnić.

Jeżeli testy mają być wiarygodne, trzeba zmusić firmy do ujawnienia, jakich wektorów używają, abyśmy mogli dobrać właściwe primery.

Zgiełk cichł z wolna, zmieniając się w narzekania.

Większość dziennikarzy, zupełnie ignorując rozmowę dwóch kobiet, ze złością odsunęła już krzesła i zbierała ze stołu notesy i dyktafony.

Sullivan wyłowiła z ich rozmów słowo „hucpa”.

– Chwileczkę! Proszę wszystkich o uwagę! – zawołał Steve Patton, podrywając się z fotela.

– Czy nie rozumieją państwo, o co w tym naprawdę chodzi?

Metoda badawcza, którą tu przedstawiono, jest prostym i tanim sposobem na sprawdzenie, czy nagie DNA naprawdę skaziło środowisko naturalne.

– Siadaj pan lepiej – rzucił ze złością mężczyzna z końca stołu.

– Nie lubię, kiedy mną manipulują – dodał, wychodząc w pośpiechu.

– Pańskie oburzenie powinien raczej wzbudzić fakt, iż nikt nie prowadzi takich testów – odrzyknął za nim Patton.

– Fakt, że ani jedna korporacja na świecie nie daje niezależnym genetykom dostępu do swoich

nieruchomości i nie ujawnia tożsamości wektorów, których powinniśmy szukać, to doprawdy skandal!

Korzystając z okazji, oświadczam, że Stowarzyszenie Błękitna Planeta podejmie się finansowania takich badań.

Dziennikarz nawet się nie obejrzał.

Patton spojrział na Sullivan i wzruszył ramionami.

Kathleen spojrzała na tych, którzy jeszcze nie zdążyli się spakować.

– Nie dostrzegają państwo, jaka sposobność się pojawiła? Mogą państwo mówić głośno o tym, jak można wprowadzić w życie te proste, standardowe procedury, by stworzyć podstawowy program kontrolny.

Jeśli stworzymy ciśnienie, być może uda się zrealizować ten program.

– A jeżeli tak, to może ktoś gdzieś znajdzie wreszcie niepodważalne dowody, których potrzebujemy, by uświadomić światu, jak bardzo realne jest zagrożenie.

Jeśli naprawdę się nam poszczęści, nastąpi to, zanim jeszcze któreś z laboratoriów przypadkowo spowoduje katastrofę o trwałych skutkach, taką jak stworzenie nowej wersji grypy hiszpanki.

Kilka osób zatrzymało się, by jej wysłuchać, ale większość wyszła, nie kryjąc złości.

Kobieta z „Na straży środowiska” już się nie odezwała – stała nieruchomo, w zamyśleniu wpatrując się w Sullivan.

Po kilku sekundach skinęła głową i dołączyła do pozostałych.

– To takie niesprawiedliwe – poskarżył się Azrhan, pijąc kawę z Sullivan i Pattonem w gabinecie swej opiekunki.

– Przecież sami chcieli tu przyjść.

Teraz, gdy po raz pierwszy sprawdził się w kontakcie z przedstawicielami mediów, wyglądał na całkiem zrelaksowanego.

Sullivan westchnęła ciężko.

– Miałam nadzieję, że uda się przekonać ich do naszej sprawy: walki o obowiązkowe badania kontrolne i ujawnienie wektorów.

Zaśmiała się sarkastycznie.

Tymczasem zrobią z nas panikarzy albo, jeśli dopisze nam szczęście, uznają, że nie ma o co kruszyć kopii, i nie opublikują żadnej wiadomości – powiedziała, machinalnie przesuwając palcami wydruki, które dokumentowały przebieg badań.

– Gdybym nie wiedziała lepiej, pomyślałabym, że Bob Morgan jakimś sposobem dowiedział się o mojej wycieczce i w bezgranicznej pewności, że okaże się bezowocna, jak ujęła to ta jędza z „Na straży środowiska”, poinformował media o naszych badaniach specjalnie po to, by mnie zdyskredytować.

– To niedorzeczne – stwierdził ze śmiechem Patton.

– Czyżby? A kto miałby o tym wiedzieć?

– Oczywiście nikt z obecnych się nie zdradził.

– A ten typ jest takim łajdakiem.

Już sobie wyobrażam, jak się pyszni, widząc, że jestem zmuszona przyznać, że nie znalazłam żadnych dowodów na skażenie środowiska wokół jego laboratorium.

Patton uśmiechnął się, zasłaniając usta dłonią.

Siwe, kręcone włosy oraz okulary w drucianej oprawie nadawały mu nieco sowy wygląd sędziwego mędrca, zdaniem Sullivan – lekko irytujący.

Azrhan natomiast przyglądał się jej szeroko otwartymi oczami, nie kryjąc zdumienia.

– Naprawdę sądzi pani, że posunąłby się do tego? – zapytał w końcu.

– Żebyś wiedział.

– A skoro jest taki pewny, że niczego nie znajdzie, oznacza to, że używają wektora, doktor ego nigdy nie odgadniemy właściwych pramerów. Albo po prostu mają wysoce skuteczne filtry.

Azrhan skinął głową i bez słowa pociągnął łyk herbaty.

Spojrzał w okno, na zimowy mrok gęstniejący nad Manhattanem.

Sullivan podążyła za jego wzrokiem: przyglądał się bliźniaczym wieżom WTC, zmienionym w kolumny ognia przez ostatnie promienie słońca.

– Skup się lepiej na prasie, Kathleen – poradził jej rozbawiony Patton.

– Osiągniesz więcej, jeśli uda ci się dotrzeć do dziennikarzy z naszym przekazem, zamiast obsesyjnie rozmyślać o Agrenomics – dodał, podnosząc się z fotela.

– I nie skreślałbym jeszcze tej jędzy. Wydawało mi się, że pod koniec słuchała cię z uwagą.

– Już idziesz? – spytała Sullivan z lekkim rozczarowaniem.

Miała nadzieję, że zjedzą razem kolację.

– Przykro mi, ale jestem umówiony na drinka z potencjalnym darczyńcą Stowarzyszenia Błękitna Planeta.

– Porozmawiamy później.

– Będę w domu.

– Jasne – odpowiedziała, starając się ukryć zazdrość, która nagle ją ogarnęła.

W istocie bowiem „potencjalnymi darczyńcami” były zamożne damy z towarzystwa, które uwielbiały Pattona i chętnie ofiarowały mu coś więcej niż gotówkę.

Spokojnie, Sullivan, upomniała się w duchu.

Przecież wiedziałaś, jaki jest, kiedy sama wskakiwałaś mu do łóżka.

– Życzę pięknej zdobyczy.

Dla dobra środowiska naturalnego, ma się rozumieć – dodała z łobuzerskim uśmiechem, jak za starych czasów, gdy byli tylko przyjaciółmi i uwielbiała wytykać mu na każdym kroku jego małe grzeszki.

Uśmiechnął się wesoło i pochylił, by pocałować ją na pożegnanie.

Odwróciła głowę, nadstawiając policzek zamiast ust.

Gdy zniknął za drzwiami, spojrzała na Azrhana, który wciąż dyskretnie wpatrywał się w pejzaż za oknem.

– Jednego wciąż nie mogę zrozumieć – wyznała, gdy miała dość krępującego milczenia.

– Czego, doktor Sullivan?

– Jeżeli nawet Azrhan wyczuwał, że coś łączy ją z Pattonem, nie okazał tego w żaden sposób.

– Dlaczego ludzie z Agrenomics tak się starają, żeby nikt nie wałęsał się po ich terenie?

– Co pani przez to rozumie?

– Skoro Morgan jest taki pewny, że eksperci nie znajdą tajemniczego podejrzanego, to po co rozstawia wokół budynku wartowników z bronią?

– Może boi się szpiegostwa przemysłowego?

– Może – mruknęła Sullivan, odstawiając filiżankę.

Zbierając z biurka papiery, przewróciła kilkanaście kartek świątecznych, które dostała w ostatnich tygodniach i które nie doczekały się odpowiedzi.

Pomyślała, że w toku gorączkowej pracy nad próbkami nie zrobiła nic, żeby przygotować się do świąt.

– A może to dlatego, że ma coś innego do ukrycia?

Coś, czego nie można znaleźć, węsząc po krzakach z zestawem podróznym małego genetyka. Tak czy owak, na pewno nie przestanę mieć na oku Agrenomics.

– O co chodzi, mamó? – spytała Lisa, spoglądając na nią ponad kuchennym stołem zielonymi oczami ocienionymi rudą czupryną, taką samą jak jej własna.

– Prawie nie tknęłaś kolacji. I to po tym, jak specjalnie harowałam co najmniej przez sześć minut przed mikrofalówką.

Kathleen uśmiechnęła się lekko.

– O nic. Po prostu miałam dziś przejścia z mediami.

Nastolatka przechyliła głowę i skrzywiła się sceptycznie.

– Daj spokój. Przecież nigdy się nimi nie zajmujesz.

Rozkoszujesz się każdą zadymą, w której bierzesz udział, i to oni w większości boją się ciebie!

Lisa zanurzyła smażone skrzydełko na ostro w roztopionym serze pleśniowym.

– Powiedz mi, o co naprawdę chodzi.

– Naprawdę, ja.

– Mamó, czy chodzi o Steve'a Pattona?

Sullivan rozparła się na krześle, czując dziwną mieszankę smutku i dumy.

Siedząca przed nią młoda, szczupła kobieta była coraz bardziej dorosła – i coraz bystrzejsza.

Gdy przed siedmioma laty odszedł od nich jej ojciec, Lisa w zbyt szybkim tempie pokonała dystans dzielący dzieciństwo od dorosłości, zyskując przy tym twardość, która miała przydać się jej w życiu.

Tyle że ów skok pozbawił ją udziału we wczesnej, niewinno-głupkowatej fazie dorastania, którą przeszły jej rówieśniczki.

Po raz milionowy Kathleen poczuła żal: jako żona poniosła porażkę, za którą zapłaciła jej córka.

Uśmiechnęła się smutno i rzekła:

– Po kim to jesteś taka bystra?

– Mówiłam ci, żebyś go rzuciła.

– To nie tak, Liso. Jesteśmy przyjaciółmi.

Lisa dokończyła skrzydełko, wstała i wyjęła z lodówki butelkę coli.

– Gdyby to mój facet sypiał z innymi, mówiłabyś, żebym go rzuciła.

– Lisa!

– Powiedziałaś mu chociaż, jak się czujesz?

– Niezupełnie, ale.

– Boże, mamó, że też tak mądra kobieta może zachowywać się tak głupio! I pomyśleć, że kiedyś słuchałam twoich porad w sprawach sercowych.

Sullivan roześmiała się.

– Dobra, jestem świetna w genetyce i beznadziejna z facetami.

To wystarczająco kłopotliwe, bym nie miała ochoty słuchać wykładów autorstwa siedemnastoletniej, wszytkowiedzącej.

– Naprawdę? To powiedz mi, w którym miejscu nie mam racji.

– Zastanówmy się.

On zadaje się z innymi, ciebie doprowadza to do szału, a mimo to znosisz to z uśmiechem, bo obiecaliście sobie, że nie zaangażujecie się uczuciowo i pozostaniecie kumplami, którzy ot, tak łądają czasem razem w łóżku.

– Lisa!

– Kathleen poczuła, że się czerwieni.

– Nie będziesz już jeść? – spytała nastolatka, zgarniając sobie większość skrzydełek z talerza matki.

Sullivan znów się roześmiała.

– No chodźże tu do mnie, światowa kobieto. Mogłabyś mnie przytulić.

Lisa uśmiechnęła się od ucha do ucha, obeszła stół i zamknęła matkę w mocnym uścisku.

– Od facetów należy ci się to, co najlepsze, mamó. Nauczyłaś mnie, że powinnam tego oczekiwać, więc i sama o tym nie zapominaj.

Sullivan zaczęła do jedenastej, nim wreszcie zdecydowała się zadzwonić do Pattona.

Lisa ma rację, pomyślała.

Dłużej tak się nie da.

Czas pogadać z moim łóżkowym kumplem i przyznać się, że nie jestem wystarczająco wyrafinowana, by trwać w takim układzie.

Jak mogłam być tak głupia i sądzić, że będzie mi z tym dobrze?

Wybierając jego numer, sięgnęła pamięcią do tamtego wieczoru sprzed dwunastu miesięcy, kiedy zostali kochankami.

Jej poprzedni związek właśnie dobiegł smutnego końca – piąty w ciągu pięciu lat – gdy Steve zaprosił ją do hotelu Plaza na przyjęcie dobroczynne.

– Czy zechcesz przyjąć radę od piętnaście lat starszego mężczyzny? – zapytał poważnie, gdy tańczyli walca.

– Może.

– Czy wiesz, Kathleen, jak uniknąć teraz marnowania czasu z facetami, których nie polubisz i nie pokochasz choćby dlatego, że nie są nawet w połowie tak inteligentni jak ty?

– Powiedz mi.

– Kochaj się z przyjacielem, który dorównuje ci poziomem. Bez żadnych zobowiązań.

Tylko tak unikniesz niepotrzebnych związków z byle kim, z których trudno się potem wyplątać.

– A któż miałby być tym przyjacielem?

Nieoczekiwanie przycisnęła ją do siebie tak mocno, że straciła dech, a ich uda ocierały się teraz o siebie.

Patrzyli sobie w oczy, a błysk w jego źrenicach podpowiedział jej, że to nie żarty.

– Tak, Steven, chyba chciałabym spróbować – powiedziała.



Pomysł wydawał jej się genialny w swej prostocie.

Przez jakiś czas było świetnie, aż wreszcie zaczęła się przejmować jego seksualnymi przygodami.

Choć nie ukrywał tego, co robił, i choć wiele raz powtarzał, że i ona może się spotykać, z kim zechce, czuła się coraz silniej związana z nim emocjonalnie – a przecież wcale tego nie planowali.

Mimo narastających rozterek z coraz większą determinacją unikała poruszania tego tematu, bojąc się, że jej kontakty ze Stevenem – zwłaszcza te zawodowe – staną się nie do zniesienia.

– Halo – odezwał się głos w słuchawce.

Głośny oddech i nieco chrapliwy głos gwałtownie wyrwały ją z zamyślenia. Poczuela, że coś się przewraca w jej żołądku.

Tyle razy byli ze sobą w łóżku, że dobrze znała ten ton i wiedziała, w czym mu przeszkodziła.

Zaśmiała się z wysiłkiem.

– Przepraszam, Steve.

Zdaje się, że dzwonię w nie najlepszym momencie.

Patton zaśmiał się przewrotnie.

– Ależ skąd.

To bardzo podniecające, Kathleen. Nieraz o tym fantazjowałem.

Jego oddech stał się jeszcze bardziej chrapliwy.

– Dobrej nocy, Steve – odpowiedziała, powstrzymując się od zadania pytania o tę drugą.

Odłożyła słuchawkę z trzaskiem głośniejszym, niż zamierzała.

Wstała z łóżka i zaczęła spacerować po swej niewielkiej sypialni.

Targały nią zazdrość i gniew – jak mogła pozwolić, by ten człowiek wywarł na nią tak niszczący wpływ?

Jeszcze bardziej frustrujące było to, że właściwie nie mogła go o nic obwinić.

W końcu dał jej to, co obiecał: seks z przyjacielem, bez zobowiązań.

– Do diabła! – mruknęła.

– Do diabła z nim.

Przemierzyła pokój jeszcze kilka razy, zanim utwierdziła się w przekonaniu, że czas posłuchać rady Lisy i „rzucić tego faceta”.

## Rozdział 4

*Wigilia trzeciego tysiąclecia*

*Rodez, Francja*

Przed idącym pospiesznie Pierre'em Gastonem wynurzyła się masywna, kamienna wieża olbrzymiej katedry.

Wydawało się, że unosi się w tumanie mgły.

Jej witraże lśniły łagodnymi odcieniami błękitu, czerwieni i zieleni, rozlanymi jak akwarele we wszechobecnej szarości.

Tylko że Pierre Gaston nie widział w tym widoku niczego pięknego.

Przeciwnie, przytłaczała go masa tej budowli i na jej widok kulił się mimowolnie w swym płaszczu, nawet bardziej niż z powodu zimna.

Wiedział jednak, że przyczyną jego dość ponurego nastroju jest coś więcej niż pogoda i mrok średniowiecznego gmachu.

Prawdziwy powód – że w ten wyjątkowy wieczór, jeden na tysiąc lat, jak zawsze spieszył z pracy do domu, by w samotności zjeść kolację i jak zawsze samotnie trzymać wachtę przed telewizorem – przyprawiał go o ból żołądka.

Ta noc zapowiadała się na jeszcze gorszą od pozostałych, miał bowiem być świadkiem ogólnoświatowej fety, na którą go nie zaproszono.

Jako czterdziestodwuletni kawaler, nazwany „przeciętnym talentem” przez szefa laboratorium, w którym pracował od dziesięciu lat, do prawdy nie potrzebował, by przypomniano mu, jak marny wiedzie żywot.

Starał się ignorować mijających go ludzi, maszerując wąską, brukowaną uliczką.

Niestety, nie mógł nie słyszeć ich wesołych rozmów, śmiechów, pokrzykiwań i pozdrowień. Towarzyszyły mu, odbijając się echem od wiekowych murów, a on wyobrażał sobie mimo woli, do jakich to radosnych imprez sposobią się wszyscy ci ludzie.

Drażnił go nawet dobiegający zewsząd grzechot opuszczanych rolet, który oznaczał, że tego wieczoru sklepikarze zamykają wcześniej, bo i na nich czekają zapewne huczne zabawy.

Widok jasnych okien barów i restauracji, za którymi krzatali się kelnerzy szykujący białe obrusy i rozkładający lśniące sztuce w oczekiwaniu na pierwszych gości, także nie poprawiał mu humoru.

Dotarł wreszcie do swojej kamienicy otynkowanej, lecz brudnej, pudełkowej budowli wzniesionej w latach pięćdziesiątych bez jakiegokolwiek związku z okoliczną architekturą.

Z perwersyjnym wyrachowaniem zatrzasnął za sobą ciężkie frontowe drzwi, by nie dopuścić radosnych dźwięków ulicy do zapuszczonego korytarza przesyconego wonią stęchlizny i uczynić swą samotnię jeszcze bardziej nieznośnym miejscem.

Poczłapał na górę po stromych stopniach wyłożonych czymś, co niegdyś było rdzawoczerwonym dywanem, wyjął z kieszeni klucz i poczuł zapach perfum.

Zapach, który unosił się w nieruchomym powietrzu, tuż przy jego drzwiach.

Ona tu jest!

Musiała wejść do środka, używając klucza, który jej dałem!

Szybko otworzył drzwi i wszedł domieszkania.

– Ingrid? – powiedział cicho.

Odpowiedziała mu cisza pustych pokojów.

Włączył światło.

Powitały go bure, zaniedbane meble salonu.

Zajrzał do sypialni, kuchni i na koniec do łazienki bez rezultatu.

Mimo to wciąż był podniecony.

Wróciła do Rodez, a to oznaczało, że się z nią zobaczy.

Był tylko trochę zdziwiony: przyszła do niego i odeszła.

Dlaczego nie została, jak to zwykle czyniła?

Musiała przecież wiedzieć, że kiedy wyczuje jej perfumy, jej wizyta przestanie być tajemnicą w końcu sam je kupił, gdy po raz ostatni byli w Paryżu.

Musiała zostawić liścik, wiadomość, cokolwiek, słowo wyjaśnienia.

Jeszcze raz w pośpiechu obszedł mieszkanie, tym razem szukając choćby skrawka papieru.

Nic.

Przyszła mu do głowy nowa myśl.

Podszedł do komputera i wcisnął guzik włącznika.

Gdy ekran zajaśniał, zobaczył powiadomienie o nowej wiadomości.

Spróbował ją otworzyć, ale odezwał się sygnał dźwiękowy i maszyna wyświetliła komunikat z żądaniem podania hasła.

Napisał „Ingrid”.

Wizerunek uśmiechniętej buźki mignął na ekranie i zaraz ustąpił miejsca oknu z wiadomością.

Pierre Gaston przeczytał ją w okamgnieniu:

*Kochany, spotkanie u Ciebie to zbyt wielkie niebezpieczeństwo.*

*Jestem pewna, że mnie śledzą.*

*Przynieś to, co masz dla mnie, w „to miejsce” i skasuj tę wiadomość.*

Wybiegł z mieszkania, skacząc po dwa stopnie, popędził na dół i wrócił tymi samymi ulicami do miejsca, w którym pracował.

Był tak podniecony, że atmosfera miasta wydawała mu się teraz zupełnie inna: czuł się częścią tego radosnego wyczekiwania, bo przecież teraz i on pędził na spotkanie.

I to jakie spotkanie!

Myślo jej nagim ciele i szczególnych zachciankach napelniła go pożądaniam, które doskonale wyczuwał w spodniach.

Przyspieszył kroku.

To ona decydowała o tym, kiedy się spotykali, dokąd szli i czy uprawiali seks zwłaszcza o tym ostatnim.

Tak było, odkąd niespełna rok wcześniej poznali się na konferencji w Paryżu, gdzie Pierre miał odczyt.

Widował ją tak rzadko, a jednak stała się w jego życiu jedynym powodem, dla którego warto

było znosić całą tę codzienną mitręgę.

Nigdy, nawet w najdzikszych marzeniach, nie podejrzewał, że taka kobieta mogłaby się nim zainteresować.

Spoglądając na swoje odbicie w sklepowych witrynach, doskonale rozumiał dlaczego.

Niezbyt wysoki, z nadwagą, przedwcześnie łysiejący, nie był modelem szczególnie poszukiwanym przez kobiety, a już zwłaszcza przez takie kobiety.

Nie mógł nie przyznać w duszy, że prawdziwym powodem zainteresowania ze strony Ingrid były sekrety, które jej przekazywał.

Lecz ona potrafiła nawet sprawić, że czuł się dumny z tego, co robił; czuł, że pomaga światu i służy sprawie, którą ona uważa za świętą.

Pamiętał, jak wyłuskała go wtedy, za pierwszym razem, z tłumu innych mówców.

Wysoka, o smukłej szyi i włosach zaplecionych i upiętych w złoty kok na szczycie głowy, wydała mu się królową.

– Czy mogę postawić panu drinka? – spytała po angielsku, przesywając go spojrzeniem błękitnych oczu.

Dodała, że jest Norweżką i nie zna francuskiego.

Pierre Gaston nie miał nic przeciwko angielszczyźnie.

Przy koktajlu zadała mu nieskończoną liczbę pytań o jego pracę; była w tej materii doskonale poinformowana.

Owej nocy, gdy poszła z nim do łóżka, czuł się jak gwiazdor rocka z najwierniejszą fanką. Od tamtej pory odwiedzała go z różną częstotliwością, a on zawsze zadawał sobie trud przygotowania dla niej nowego „sekreту”.

Od stopnia jej zadowolenia z jego służby zależało to, jak wiele zadowolenia zaoferuje mu w łóżku, a czasem nawet to, czy w ogóle zostanie tam wpuszczony.

Gdy ofiarował jej coś szczególnie cennego, w uniesieniu szeptała mu potem wprost do ucha, jak bardzo go uwielbia.

W takich chwilach potrafił okłamywać się do tego stopnia, że wierzył jej słowom.

Ostatni raz był wyjątkowo udany.

Przekazał jej sekret, który o czym wiedział z poprzednich rozmów szczególnie ją interesował, w niesłychanym stopniu wzbudzając tym jej namiętność.

Ten moment miał jednak swoją cenę: jej nowe żądania były bardziej wygórowane.

Zrób jeszcze krok dalej z tym, nad czym pracujecie w laboratorium: daj mi żywą próbkę – rozkazała, kołysząc się na nim miarowo i doprowadzając go do ekstazy.

Ujawnię ją opinii publicznej, a świat będzie w takim szoku, że władze nie będą miały wyboru i wprowadzą lepszy system zabezpieczeń.

W duchu drwił sobie z tych jej pompatycznych zapowiedzi – i to od samego początku, bo choć nie wiedział, co robiła z danymi, które jej przekazywał, jednego był pewien: najmniejsza wzmianka o nich nie trafiła nigdy do gazet.

I nic go to nie obchodziło.

Jego własna sprawa – kruczata pod hasłem: „posiąść ją tak często, jak się da” – pozostawała priorytetem.

– Za taką zdobycz nagrodzę cię orgazmem, jakiego wżyciu nie miałeś – mruczała mu wprost do

ucha, a on ochoczo zgodził się na jej żądanie.

Gdy zobaczył, że autobus, który chciał złapać, właśnie odjeżdża z przystanku, wizja spełnienia obietnicy Ingrid już tej nocy nadała mu tak nadzwyczajnego przyspieszenia, że dogonił go i w biegu wskoczył na stopień.

Ośrodek, przy którym działało laboratorium, zajmował niespełna pół hektara ziemi, a jego budynki otaczały trawniki z kępami krzewów i drzew.

Znajdował się na peryferiach miasta, dobry kilometr od ostatniego przystanku autobusowego.

Laboratorium mieściło się w rozległym, parterowym budynku bez okien, pokrytym beżowymi panelami z aluminium.

Płaski dach najeżony był wylotami przewodów wentylacyjnych.

Teren był ogrodzony płotem z absurdalnie wielką żelazną bramą, a do jego tyłów przylegało czyjeś pole uprawne.

Widok skromnej tablicy z napisem Agriterre Inc. zawsze sprowadzał cyniczny uśmiech na usta Gastona.

Miejscomi wciąż wierzyli, że firma opracowuje formuły nowych nawozów zwiększających wydajność upraw, a właściciele tego przybytku bardzo dbali o podtrzymanie tej legendy.

Od samego początku wprowadzili surowe zasady zachowania tajemnicy służbowej przez pracowników pod groźbą wysokich kar i realizowali je konsekwentnie.

Stojąc w tumanie mgły przed obiektywem wysoko umocowanej kamery wideo, wyjął swą kartę identyfikacyjną, przesunął ją przez czytnik automatycznego zamka bramy i wszedł do środka.

Pomaszerował ścieżką prowadzącą do głównego wejścia, czując na twarzy uspokajający chłód drobin wilgoci niesionych podmuchem wiatru.

Wszedł do środka i zobaczył samotnego ochroniarza, który przegrał losowanie i tę niezwykłą noc musiał spędzić na służbie.

Odpowiedział uprzejmie na jego „Bonneannee”, wpisał się na listę i bez zbędnych wyjaśnień udał się do swojego biura.

Zdażył już przyzwyczać wszystkich, że charakter jego pracy wymaga odwiedzania firmy o najróżniejszych porach.

Otworzył swoje biurko i wyjął komputerowy dysk z objaśnieniem metody, którą posłużył się w swojej pracy.

To była kopia dla Ingrid.

Zaszedł do laboratorium, po fiolkę z samą substancją, którą przechował ukradkiem w chłodziarce z próbkami, wśród innych, nad którymi sam pracował.

Przezroczysta szklana rurka zawierała mętny płyn, podobny do rozwodzonego mleka, ale Pierre Gaston wiedział, że to substancja, która może zmienić świat.

Choć raz hiperbola Ingrid nie mija się zbytnio z prawdą, pomyślał.

Gdyby tym razem naprawdę ujawniła mediom to, co ode mnie dostanie, bez wątplenia zafundowałyby prawodawcom szok, po którym – tak jak mówiła – natychmiast zajęliby się regulacją badań nad wektorami genetycznymi.

Lecz i to niewiele go obchodziło.

Wiedział też, że szefowie Agriterre Incorporated dostaliby szału.

Już wtedy, gdy przekazywał Ingrid pierwsze dane, wiedział, że są to ludzie gotowi posłać do

więzienia nazbyt gadatliwych pracowników.

Zwłaszcza teraz, gdy by tylko odkryli źródło przecieku, bez trudu udowodniliby mu kradzież.

Ostatnio jednak podjął pewne działania, które miały mu zapewnić siłę przekonywania, gdyby naprawdę groziło mu więzienie.

Tajwan i Oahu.

Te dwa słowa były częścią sekretu, którego nie powierzył nikomu, nawet Ingrid.

Agrierte oraz jej firma – matka Biofeed International zgodziłyby się na wszystko, byle tylko ów sekret pozostał sekretem.

Myśl o liście do doktor Kathleen Sullivan, który na wypadek aresztowania napisał i zostawił u swego notariusza, poprawiała mu nastrój, gdy wychodził z laboratorium i kierował się ku miejscu, w którym czekała na niego Ingrid.

Budowa katedry w Rodez rozpoczęła się w pierwszej połowie drugiego tysiąclecia i trwała cztery wieki.

Budowla niemal dorównująca wielkością słynnej Notre Dame w Paryżu góruje dziś nad miastem, które z biegiem stuleci rozbudowało się u jej stóp.

Nawet widziany z daleka, ozdobiony wieżami gmach wydaje się gigantyczny. Piętrzy się na szczycie łagodnego wzniesienia, a domy i sklepy ze swymi chudziutkimi kominami tłoczą się wokół niego jak dzieci wznoszące ręce.

Wkraczając do mrocznego wnętrza świątyni, Pierre Gaston miał wrażenie, że jej ogrom tchnie butą i arogancją, jakby zaprojektowano ją specjalnie po to, by wierni czuli się zastraszeni, zadzierając głowy ku wysokiemu sklepieniu.

Poczuł dreszcz, gdy spłynęła na niego z góry chłodna wilgoć, otaczając go lepkiem całunem i przynosząc chłód – znacznie bardziej przenikliwy tu, w domu bożym, niż na zewnątrz.

Jedynym źródłem światła były świece – setki świec ustawionych na ołtarzu, przy konfesjonalach i tuzinach bocznych kapliczek, gdzie zebrali się nieliczni wierni, pogrążeni w modlitwie.

Ciemne rzędy pustych ławek ginęły w półmroku, gdzieś w głębi kościoła.

Ruszył przed siebie wzdłuż bocznej nawy, ku owej ciemności, bo wyobrażał sobie, że jeśli Ingrid naprawdę na niego czeka, to ukryła się właśnie tam.

Jego kroki odbijały się kamiennym echem, a ich dźwięk zlewał się z pomrukiem cichych modlitw i czymś pokastywaniem.

Zawsze go ostrzegała, że jeśli nie będzie się czuła bezpiecznie w jego mieszkaniu, znajdzie ją właśnie tu, w katedrze.

– To idealne miejsce, gdy ktoś chce posiedzieć samotnie w ciemności, albo dla dwojga ludzi, którzy chcą się przytulić i poszeptać do siebie, nie wzbudzając niczyich podejrzeń – powiedziała mu kiedyś w chwili szczerości.

Wszystko to wydawało mu się nieco melodramatyczne, ale w głębi duszy zaczynał się martwić tym, co mogło ją spłoszyć tej nocy.

Nie dlatego, że obawiał się realnego niebezpieczeństwa – bo prawdziwą groźbę mogło sprowadzić dopiero ujawnienie jego tajemnic – ale dlatego, że ilekroć czuła się zagrożona i miała wrażenie, że ktoś ją śledzi, skracała do minimum czas spotkania, odpuszczając sobie seks.

Oby dziś nie wywinęła mi takiego numeru, pomyślał z nagłą złością.

Zdarzało mu się już protestować, gdy próbowała wymknąć się wcześniej, i czasem nawet mu ulegała, choć upierała się, by przynajmniej opuścili jego mieszkanie.

Oddawała mu się wtedy w ustronnych miejscach – cichych uliczkach czy parkach, byle w cieniu – a dreszcz emocji towarzyszący takim ryzykownym grom zdawał się ją podniecać.

Gaston znów poczuł twardość w kroku, wspominając te chwile.

Przeszedł niemal trzy czwarte długości katedry ponad sto metrów – nim dotarł do przestronnej niszy odgradzonej prętami z kutego żelaza.

Bramka w kracie była uchylona.

Było za nią dość miejsca, by pomieścić stary, masywny konfesjonał oraz stół z dwoma krzesłami, który stał pośrodku.

Docierało tu bardzo niewiele światła, a potężne kolumny praktycznie zasłaniały widok od strony nawy.

Nad pojemnikiem na ofiarę wisiała tabliczka z napisem „Kaplica pojednania”.

Oto miejsce, jakie wybrałaby Ingrid, pomyślał.

Zatrzymał się i wsparł dłoń o kratę, zastanawiając się, czy nie powinien pójść dalej.

W ciemności dostrzegał już tylko stare kamienne sarkofagi z rzeźbami naturalnej wielkości na pokrywach – zapewne grobowce świętych mężów oraz zarys rusztowania, które służyło konserwatorom ratującym rozpadające się mury.

Postanowił właśnie, że zajrzy i tam – może Ingrid skryła się za którymś z sarkofagów? – gdy nagle poczuł zapach.

Znieruchomiał.

Aromat był słaby, ale Gaston nie miał wątpliwości: to były jej perfumy, Taboo.

W ciągu tych miesięcy, które minęły, odkąd podarował jej flakonik, ta woń stała się dla niego afrodyzjakiem.

Do tej pory na wpół podniecony teraz poczuł pełną erekcję i wiedział, że byłby gotowy dla Ingrid w ciągu paru sekund.

Zapanował nad przyspieszonym oddechem, choć miał w pamięci chwilę, gdy na jej biodrach wyczuł ślad innego zapachu.

Dostawał szału na myśl o tym, że inni mężczyźni być może dawali jej podobne prezenty i dotykali jej ciała.

Nigdy jednak nie ośmielił się spytać o owych innych kochanków. Odepchnął od siebie dręczące myśli i pozostawił tylko jedną: tej nocy ona jest moja.

Tak, ale gdzie?

Ruszył energicznym krokiem ku grobowcom, lecz wonny trop urwał się natychmiast.

Wrócił więc do bramki kapliczki, przy której go wyczuł.

Nisza była pusta.

Rozejrzał się, szukając innej potencjalnej kryjówki, ale niczego takiego nie dostrzegł.

Otworzył bramkę szerzej i wszedł do środka.

Jego serce zabiło szybciej, tu bowiem zapach był zdecydowanie mocniejszy.

I przybierał na sile z każdym krokiem przybliżającym go ku drewnianemu konfesjonałowi.

Zbudowany z ciemnego mahoni, składał się z dwóch bocznych pomieszczeń i przestronnej kabiny środkowej, w której zwykle zasiadał ksiądz.

Gaston był już prawie upojony wonnym powietrzem, gdy sięgał do klamki.

Do ciemnego wnętrza konfesjonau wpadło dość światła, by mógł ją zobaczyć: siedziała bokiem na ławce, całkiem naga, przytulając długie, ugięte nogi do piersi i uśmiechając się do niego.

– Dlaczego tak długo, kochany? I co dla mnie masz? – szepnęła.

Wszedł do środka i zamknął za sobą drzwi.

Zza drewnianych kratek, przez które zazwyczaj przemawiał kapłan, docierała już tylko odrobina blasku świec, ale wciąż widział jej błyszczące oczy, gdy wyciągała ku niemu ręce i naginała go ku sobie.

– Pytałam, co dla mnie masz – powtórzyła mu wprost do ucha.

Fiolkę niósł w torebce, żeby chłodziła się w nocnym powietrzu.

Zaniósł ją teraz, wraz z dyskiem, który wyjął z kieszeni marynarki, w kąt kabiny i położył na starannie złożonym ubraniu Ingrid.

– A gdyby przyszedł ksiądz? – spytał, stając przed nią i odpinając klamrę paska.

– Wysłuchałabym jego spowiedzi.

Gdy opuścił spodnie, wstała, odwróciła się tyłem do niego i wbiła pośladki między jego biodra.

Rozstawiła szeroko nogi, pochyliła się i oparłszy się dłońmi o ławkę, zaszczebiotała:

– Tak będziemy to robić.

Zwinnie wygięła grzbiet, sięgnęła ręką między nogi i wprowadziła go w siebie.

Łapczywie pochwycił jej pośladki i pchnął, ale zaraz odparła jego ruch, przyciskając go do zamkniętych drzwi.

– Nie ruszaj się rozkazała łagodnie.

Gdy znieruchomiał, zaczęła pracować biodrami, wolno, wprawnie i bezszelestnie.

Gaston mógł jedynie starać się panować nad oddechem, by nie zakłócić tej ciszy.

Gdy dotarł prawie na szczyt, przestała się ruszać, odczekała chwilę i zaczęła na nowo.

Powtórzyła ten manewr kilka razy, aż wreszcie był bliski omdlenia.

– Pochyl się teraz, kochany.

Nie możesz upaść – szepnęła, jakby doskonale wyczuwała to oszołomienie, do którego doprowadziła go falami podniecenia.

Zmienił pozycję: pochylony do przodu, oparł się dłońmi o tylną ścianę kabiny.

Ingrid znowu zaczęła się poruszać, tym razem z wigorem zwiastującym rychły finał.

Poddawszy się całkowicie jej władzy, był tak bliski ekstazy, że ledwie zauważył powolny ruch uchylanych drzwi.

Właściwie tylko zmiana w natężeniu światła przykuła jego uwagę, ale była tak minimalna, że gdy odwrócił głowę, zauważył tylko zarys mrocznych postaci przed konfesjonalem.

O Boże, księża nas nakryli, pomyślał na sekundę przed tym, jak jeden z intruzów pochwycił go od tyłu za głowę i skręcił mu kark jednym energicznym ruchem.

Delektując się widokiem jego ostatnich spazmów, Ingrid uśmiechnęła się i mruknęła:

– Tak jak obiecałam, kochany w życiu takiego nie miałeś.

*Hotel Plaza,  
Nowy Jork*



– Szczęśliwego Nowego Roku, Kathleen – powiedział Steve Patton, unosząc kieliszek szampana, podczas gdy towarzysze zabawy dmuchali w trąbki, rzucali serpentyny i zasypywali ozłoconą salę balową kilogramami confetti.

– Naprawdę, Steve?

– Oczywiście.

– Widzisz, wiele zależy od ciebie.

– Co masz na myśli?

– To, że między nami nie może już być tak jak dotąd.

Zamarł z kieliszkiem w wyciągniętej ręce.

– Po prostu nie umiem tak oddzielać seksu od całej reszty, jak ty to robisz – ciągnęła.

– Nie bierz tego za krytykę.

Zwyczajnie nie mam tego w sobie.

Nie umiem być jedną z wielu twoich kobiet.

Męczy mnie to.

Spojrzał na nią tak, jakby mówiła w obcym języku.

– Nie zrobiłeś nic złego, Steve dodała.

Jesteś, kim jesteś, eleganckim łobuzem i cudownym kochankiem.

Daleś mi w tym roku to, czego potrzebowałam, choć może w nieco surowy sposób.

Ale teraz muszę pójść na przód z moim życiem.

Widocznie jestem staroświecka i więcej oczekuję od mężczyzny.

A przede wszystkim, nie chcę cię stracić jako przyjaciela.

Ważne, żebyśmy pozostali bliskimi kolegami, zwłaszcza teraz, gdy czeka nas tyle naprawdę ważnej pracy.

Uciszył ją, kładąc palec na jej ustach.

– Kathleen, z chęcią wykorzystałbym szansę, by stać się mężczyzną, który daje ci więcej, ale sądziłem, że potrzebujesz swobody, bez zobowiązań.

Moje romanse to tylko epizody, czarujące interludia między mną a chętnymi kobietami nikomu nie przynoszą szkody i nie zamierzam za nie przeproszać.

Nie myśl jednak, że to, co łączy mnie z tobą, jest czymś zwyczajnym.

Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a przez cały ten ostatni rok czułem się jak największy szczęściarz świata – dodał, chwytając jej dłoń.

Zamieszkajmy razem.

Cofnęła się o krok.

– Żartujesz, Steve.

– Romansuję, bo pasuje to do mojego stylu życia.

Wciąż jeżdżę po kraju i większość roku spędzam w hotelowych pokojach.

Moja praca, jak mi się zawsze wydawało, po prostu nie pozwalała na stały związek z kobietą.

Ale ty to zmieniłaś, Kathleen.

– Steve, co ty mówisz?

– Chodźmy do mnie.

Pokażę ci.

Tej nocy kochał się z nią bardziej namiętnie niż kiedykolwiek wcześniej.

Jego zapal wyzwoлил ją z wszelkich ograniczeń, rozniecając bezwstydną żądę, w której się zatraciła.

Dosiadając go, galopowała do granic rozkoszy i wreszcie oboje dotarli do nich drżący, tylko po to, by uspokoiwszy się nieco, na nowo wszczać rytmiczne ruchy i podjąć cudownie powolną wspinaczkę na szczyt.

I wtedy zadzwonił jego telefon.

Ku jej zaskoczeniu Steve odebrał, gestem pokazując jej, by nie przestawała.

Zawahała się, ale nie zaprzestała miarowych ruchów, choć pomyślała z zażenowaniem, że ktoś może usłyszeć.

– Halo powiedział znajomo chrapliwym głosem, unosząc biodra i wchodząc w nią głębiej, tak że jęknęła mimowolnie.

Uśmiechając się figlarnie, wygiął biodra jeszcze wyżej i dodał:

– Nawzajem, Mandy.

Szczęśliwego Nowego Roku.

Kathleen czuła, że jego ruchy stają się bardziej energiczne.

Jeszcze się wahała.

W końcu jednak pomyślała: a jeśli Mandy to właśnie ta, z którą był owej nocy?

Przeszył ją rozkoszny dreszcz podniecenia i postanowiła poddać się pokusie: pokazać tamtej, jak to jest być w takiej chwili po drugiej stronie linii telefonicznej.

Znów zaczęła ujeżdżać Pattona, nie powstrzymując się ani trochę, by zabrać go na szczyt, nim skończy się rozmowa z rywalką.

Tym razem to on jęknął.

Rzucił słuchawkę na łóżko, pochwycił Kathleen za pośladki i chwilę później doszli – jednocześnie i dość hałaśliwie.

Opadła zdyszana na jego pierś, chichocąc do własnych myśli: posłuchaj sobie tego, Mandy, kimkolwiek jesteś.

Godzinę później, gdy jechała taksówką do domu, była lekko wstrząśnięta: tym, na co właśnie sobie pozwoliła, a także tym, jakich uczuć doznała.

Było to nawet zabawne, ale i lekko niepokojące – nie sądziła, że potrafi tak dynamicznie zareagować na jego perwersję; nie wiedziała też, dokąd zajdzie, angażując się w tego typu gry.

Choć prawdopodobnie znaczyła dla Steve'a więcej, niż jej się wydawało, on naprawdę był tym, za kogo go uważała: kobieciarzem, znakomitym na „czarujące interludium”, ale na nic więcej.

I choć dała się zaskoczyć jego propozycją wspólnego zamieszkania, zdawała sobie sprawę, że nie może się spodziewać niczego lepszego ponad to, że stanie się numerem jeden na liście jego pań, tak jak tej nocy.

Rozmyślając o tym, jak chętnie Steve zaaranżował to spięcie między nią a Mandy, doszła do wniosku, że mógłby ją w pewien sposób kontrolować, gdyby jeszcze pozwoliła sobie na zazdrość.

Była pewna, że gdyby dalej spotykał się z innymi, czułaby się z każdym dniem bardziej nieszczęśliwa.

Wzdrygnęła się na myśl o tego rodzaju seksualnym masochizmie i wpatrując się przez okno w elegancką czerń pierwszego przedświtku nowego tysiąclecia, po raz drugi postanowiła, że zerwie ze Steve'em.

Lisa ma rację, pomyślała.

Zasługuję na więcej.

Gdy wysiadła z taksówki opodal swego mieszkania w East Village, w policzki ukłuły ją krople zimnego deszczu.

Były jak oczyszczająca kąpiel.

## Rozdział 5

Pierwsze dni rekonwalescencji Steele'a nie wyglądały najgorzej, głównie dlatego że lekarze i Martha dokładnie zaplanowali każdy jego ruch.

Między odbywanymi dwa razy dziennie przechadzkami (za każdym razem o pół przecznicy dłuższymi) jadał o stałych porach trzy posiłki dziennie i stawiał się na umówione badania i kontrole.

Dzięki napiętemu terminarzowi miał niewiele czasu na rozmyślenia i nawet go to cieszyło.

Gorzej było nocą.

Najczęściej przesiadywał w salonie, wpatrując się w fortepian i tuląc w dłoniach szklaneczkę szkockiej.

Nie muszę się martwić o swój oddech o poranku, pomyślał, przestawiając się z powrotem z wódki na whiskey.

– W instrukcjach, które pan przyniósł, nie ma ani słowa o kontynuowaniu alkoholowego nawyku – zauważyła kwaśno Martha po kilku dniach jego pobytu w domu.

– Dwa drinki dziennie, Martho.

Zdrowo dla serca.

Od lat trąbią o tym w czasopismach medycznych – zareplikował, unosząc w toaście porcję bursztynowego trunku.

– Doprawdy?

W takim razie powinien pan już mieć najzdrowsze serce w całym kraju.

– Nie czekając na odpowiedź, z gniewną miną wyszła do swojej sypialni, mrużąc: – A nie wspominali tam czasem o rozmiarze szklanki?

Fortepian należał do Luany.

Czy grała zawodowo, akompaniując chórom albo ucząc w szkołach, czy dawała prywatne lekcje, zawsze czyniła to z jednakową, bezgraniczną pasją i przez całe życie marzyła, że ukończy kurs mistrzowski dla pianistów koncertowych.

Gdy zdiagnozowano u niej nieoperacyjnego raka trzustki, dając najwyżej sześć miesięcy życia, natychmiast zapisała się na przesłuchanie, które tak długo odkładała.

– Teraz przynajmniej się dowiem, czy jestem wystarczająco dobra – wyjaśniła, rozpoczynając cykl wielogodzinnych, codziennych ćwiczeń, które miały ją przygotować do prezentacji Koncertu fortepianowego d-moll Mozarta.

Steele z trudem znosił ten pośpiech.

Każda nuta wzmagała ból; były jak tykanie zegara odliczającego czas, który jej pozostał.

Gdy zbliżał się termin przesłuchania, była już zbyt słaba, by siedzieć przy instrumencie przez dłuższy czas – rozpacz Richarda tylko się pogłębiała.

Lecz Luana nie ustępowała.

Odoczywała pomiędzy częściami utworu i upierała się, by mąż rejestrował jej wysiłki.

W jej imieniu zaniósł nagranie komisji, wraz z listem od lekarza poświadczającym, iż z przyczyn medycznych artystka nie może osobiście wystąpić.

Tydzień później otrzymała telegram: została przyjęta na kurs, pod warunkiem że zdrowie

pozwole jej uczestniczyć w zajęciach.

Błysk dumy w jej umęczonych oczach był nie tylko znakiem artystycznego zwycięstwa, ale także chwilowego triumfu ducha nad rakiem, który pustoszył jej ciało.

Gdy Richard próbował jej powiedzieć, jak bardzo ją kocha i jak podziwia jej odwagę, uśmiechnęła się.

– Ja też jestem z siebie dumna i dlatego czuję się seksowna – powiedziała.

– Chodź do mnie – dodała, z trudem przyciągając go do siebie.

Tego dnia kochali się po raz ostatni.

Gdy Luana umarła, zamknął nakłucz klawisz fortepianu.

Wiedział, że nie chciałyby tego, ale myśl o tym, że ktoś inny mógłby zagrać na tym instrumencie, była nie do zniesienia.

Pewnego wieczoru Martha zapytała go:

– Może powinnam go sprzedać?

To upiorne, że tak pan siedzi i wpatruje się ciągle w ten fortepian.

– Nie! – warknął.

Nigdy więcej nie poruszyła tego tematu.

„Powrót do codziennej aktywności” – tak lekarze nazwali tę część rozkładu zajęć, która stopniowo dawała mu coraz więcej swobody.

W jego wypadku wejście w tę fazę oznaczało, że z każdym dniem miał coraz mniejsze pojęcie o tym, co mógłby ze sobą zrobić.

Wreszcie zaczął zaglądać do szpitala, żeby pogawędzić z kolegami i posłuchać najnowszych plotek ze swojego oddziału.

Z początku witali go z otwartymi ramionami.

– Dzięki Bogu, że wracasz do siebie.

– Tęskniliśmy za panem!

– Wykończymy się bez pana.

Kiedy zaczął przeglądać karty chorobowe, podglądać przez ramię innych lekarzy i nieproszony wygłaszać opinie, szybko stał się takim utrapieniem, że na sam jego widok koledzy zwracali oczy ku niebu.

– Doktorze Steele, pan znowu tutaj?

– Naprawdę radzimy sobie doskonale.

– Przepraszam, Richard, muszę lecieć.

Skończyło się na tym, że całe popołudnie spędzał na spacerowaniu po Central Parku, usiłując złapać choć trochę słońca w środku zimy.

Zrażony kilkoma próbami zmienił trasę przechadzki: zahaczał o bar w hotelu Plaza, siadał przy stoliku z plikiem gazet i fundował sobie drinka.

Pod koniec tygodnia kelnerzy uważali go już za stałego bywalca i nawet znali jego imię.

Stosunki Steele'a z synem były równie napięte jak dawniej.

Wydawało się, że Chet robi wszystko, by rankiem jak najszybciej wybiec do szkoły.

Gdy ojciec zaczął wstawać na tyle wcześnie, by spotkać się z nim przy śniadaniu, chłopak łykał jedzenie w pośpiechu i ponurym milczeniu, wyraźnie dając do zrozumienia, że wolałby jadać sam.

Wieczorami nie było lepiej.

Chet niemal codziennie odrabiał lekcje u kolegi, a jeśli przypadkiem spotkali się przy kolacji, nie różniła się ona niczym od śniadania: polegała na jak najszybszym pochłonięciu smakołyków przyrządzonych przez Marthę.

– Gdyby nie jego apetyt i twoje umiejętności kulinarne, w ogóle bym go nie widywał – poskarżył się Steele, gdy któregoś wieczoru jak zwykle jadł kolację sam na sam z Marthą.

– Ja się staram wabić go tu jedzeniem, a pan nie próbuje z nim porozmawiać.

W tym nie mogę panu pomóc.

– Niby jak mam go zmusić?

– Większą dawką tego, co zaserwował mu pan na oddziale intensywnej terapii.

– Mówił ci o tym?

– Tak.

I bardzo chciał wiedzieć, czy moim zdaniem mówił pan poważnie.

– O mój Boże!

– Odpowiedziałam: „Oczywiście”, ale Chet musi to usłyszeć od pana.

Gdy godzinę później odezwał się dzwonek u drzwi, Steele siedział już na miękkiej kanapie, ze szklaneczką w dłoni, jak co wieczór pogrążony w ponurych myślach.

– Ja otworzę – zawołała pogodnie Martha.

– Zapomniałam panu powiedzieć: Greg Stanton zadzwonił dziś po południu i spytał, czy może wpaść.

Naturalnie powiedziałam mu, że może.

I że pan się bardzo ucieszy.

Znali się wystarczająco wiele lat, by Steele wiedział jedno: ta kobieta nigdy o niczym nie zapominała.

– Martho! – wykrzyknął ostrym tonem.

– Celowo nic mi nie powiedziałaś.

– Ależ dlaczego miałabym to zrobić? – odkrzyknęła przez ramię, kierując się w stronę drzwi.

W jej głosie brzmiała urażona niewinność.

Bo pomyślałaś sobie, że nikogo nie wpuszczę, nawet starego kumpla Grega.

Przeszkadzałyby mi w nocnym uzalaniu się nad sobą, pomyślał Steele, z każdą sekundą coraz bardziej posępny.

Wysoki mężczyzna, który wkroczył do salonu, miał na sobie doskonały ciemny garnitur, szarą koszulę i grafitowy krawat.

I choć linia jego jasnych włosów była już mocno cofnięta, dzięki wysportowanej sylwetce sprawiał wrażenie młodszego od Steele'a, mimo iż byli prawie rówieśnikami.

Przyjacielu, jak zwykle wyglądasz mi na próżniaka, pomyślał Steele.

Wprawdzie cała ta sytuacja spotęgowała jego beznadziejny nastrój, ale prawda była taka, że zawsze uważał swego kolegę za fanatyka nienagannego wyglądu.

Gdy poznali się na studiach medycznych, Greg był zapałym pływakiem, ale nie spędzał godzin w basenie po to, by utrzymać dobrą kondycję czy wygrywać zawody, lecz by móc się pochwalić „kaloryferem” na brzuchu, gdy ściągał koszulę.

Gdy zaczął przedwcześnie łysieć, jego obsesja na punkcie ćwiczeń fizycznych przybrała na sile.

– Hej, tylko płaski brzuch sprawia, że młodo wyglądam – żartował często.

– To oraz świetny seks – dodawała zwykle jego żona, Cindy.

Odkąd Greg został dziekanem, Steele dodawał w duchu jeszcze drogie garnitury.

Wstając z kanapy, machinalnie poklepał się po brzuchu, którego się dorobił, odkąd przestał pracować, i wygładził wymiętą bluzę.

– Jak zawsze w formie i jak zawsze świetnie ubrany, Greg.

Wystarczy mi spojrzeć na ciebie, żeby się poczuć jak rozbitek.

– Cześć, Richard – powitał go ciepło przyjaciel.

– Czy to dlatego przestałeś odpowiadać na wiadomości? Obiecuję, że się utuczę, jeśli to ci pomoże.

Steele skrzywił się na ten przytyk.

Musiał przyznać w duchu, że na swój sposób celowo myślał o Gregu jak najgorzej – to była część jego kampanii przeciwko wszystkiemu, co przypominało mu dobre czasy, gdy była przy nim Luana.

Grega Stantona unikał szczególnie starannie.

A przecież Greg niejedną raz próbował go wspierać, gdy Luana umarła.

Steele nie był tym zdziwiony.

Odkąd sięgał pamięcią, zawsze starał się być pomocny, a jego kwaskawy humor i zamiłowanie do perfekcji stanowiły doskonałe antidotum na zniechęcenie, którego od czasu do czasu doświadczają początkujący lekarze.

Byli sobie bliscy nie tylko na studiach.

Gregi Cindy, otwarci i serdeczni, szybko zaprzyjaźnili się także z Luaną, gdy tylko została żoną Richarda.

Spędzili we czworo wiele wesołych chwil, a gdy pojawiły się dzieci, dwie córki Grega – o kilka lat młodsze od Cheta – stały się niczym siostry dla chłopaka, który uwielbiał rolę starszego brata.

Choć sami głęboko przeżyli śmierć Luany, Cindy i Greg pospieszyli z pomocą Steele'owii Chetowi; robili co mogli, by jakoś ich pocieszyć.

Tyle że Steele postanowił wyrzucić z pamięci wszystkie wspomnienia o tym, co utracił.

Odrzucał wszystkie ich starania, początkowo tłumacząc się nadmiarem pracy, a potem po prostu nie odbierając telefonów.

Wreszcie najpierw Cindy, a potem Greg – przestali dzwonić.

– Dlaczego pan nie zadzwoni do nich? – pytała czasem zirytowana Martha.

Bo wreszcie dotarło do nich, że mają mnie zostawić w spokoju, odpowiadał jej w myślach, tonąc coraz głębiej w rozpacz.

Tak, Greg Stanton był próżnym człowiekiem, ale jednocześnie najlepszym kumplem, jakiego Steele kiedykolwiek miał.

– Przepraszam cię, Greg.

Zachowywałem się jak osioł – odpowiedział, odsuwając od siebie przykre wspomnienia.

– Po prostu było mi wstyd, byłem za bardzo rozbity, zwłaszcza po tym wszystkim, co próbowaliście robić dla mnie z Cindy.

– Hej, nie przyszedłem tu, żeby pomóc ci poczuć się winnym – przerwał mu Greg, lekceważąco machając ręką.

– Sam dasz sobie z tym radę, niekoniecznie przy mnie.

Chodzi o to, że przychodzę tu służbowo, jako dziekan. Chciałbym, żebyś wyświadczył przysługę swojemu wydziałowi.

Żebyś podjął się specjalnego zadania.

Słowa te kompletnie zaskoczyły Steele'a.

Spodziewał się – i bał – współczucia Grega, a tymczasem usłyszało specjalnym zadaniu i był zaintrygowany, tym bardziej że przecież Greg, jako dziekan wydziału medycyny, technicznie rzecz biorąc, był jego szefem.

Cała niechęć wywołana niespodziewaną wizytą przyjaciela wyparowała, a jej miejsce zajęła ciekawość.

– Ach tak? – powiedział Steele.

– W takim razie siadaj. Napijesz się czegoś?

Greg nieznacznie uniósł brew, mierząc wzrokiem pokaźną szklanę, którą Richard ścisnął w dłoni.

– Aż tak spragniony nie jestem, dzięki – odparł, przysiadając na skraju fotela, by czym prędzej przejść do rzeczy.

– Mniej więcej za trzy i pół miesiąca, na początku maja, Organizacja Narodów Zjednoczonych będzie gospodarzem międzynarodowej konferencji poświęconej zagrożeniu, jakim może być dla człowieka żywność modyfikowana genetycznie.

Poproszono mnie, żebym wyznaczył lekarza, który będzie towarzyszył delegacji amerykańskiej. Chciałbym, żebyś się tego podjął.

Steele w jednej chwili przestał być zaintrygowany.

– Na miłość boską, przecież to gadanina o roślinkach – zaprotestował, rozczarowany nawet tym, że Greg w ogóle przyszedł do niego z czymś takim.

– To temat dla ogrodników, ewentualnie botaników, nie dla lekarzy!

– Richard, tu chodzi o żywność. O to, co zjemy my i nasze dzieci.

– Więc znajdź sobie dietetyka – odparował Steele, coraz bardziej pewny, że wyczuwa za tą propozycją przykry smrodek litościwego gestu.

Greg pochylił się w jego stronę, mierząc go zimnym błękitnym spojrzeniem.

– Nie lekceważ tej sprawy.

Problem z naszą delegacją jest taki, że mamy w niej od cholery ekspertów od roślin żywności i badań laboratoryjnych.

– Greg umilkł i na moment zacisnął usta, jakby nie był pewien, czy powinien mówić dalej.

– Nie mogę wygłaszać publicznie opinii, bo nie dysponuję twardymi dowodami – dodał po chwili, zniżając głos, jakby dzielił się z Richardem wielką tajemnicą – ale cały ten temat mnie przeraża.

I niech mnie diabli, jeśli nie powinien przerażać wszystkich lekarzy.

– Oczywiście nie spodziewam się, że uwierzysz mi na słowo.

Sprawdź, co piszą w Internecie na temat genetycznie modyfikowanych organizmów, doucz się trochę.

Jeśli do jutra nie będziesz tak zaniepokojony jak ja, wtedy poszukam kogoś innego.

Tak czy inaczej, wyślę na tę konferencję lekarza z bogatym doświadczeniem klinicznymi możesz być pewny, że tylko dlatego przyszedłem właśnie do ciebie, a nie dla tego że zostałeś



zepchnięty na boczny tor albo że żal mi dupę ściska na twój widok.

Steele drgnął zaskoczony, jak świetnie Greg odczytał jego myśli.

– Spójrz prawdzie w oczy, Richard! – ciągnął przyjaciel, jakby nieco zniecierpliwiony.

Wykopałeś sobie dołek i chowasz się w nim, odcinając się od wszystkich znajomych, lecz mimo to niektórzy wciąż są przekonani, że mógłbyś się przydać jako profesjonalista.

A teraz wybacz, ale mam za sobą długi dzień.

Wracam do domu, do Cindy i dziewczynek.

Greg wstał i zanim Steele zdążył się odezwać, dodał: Nawiasem mówiąc, jeśli oczywiście zniesiesz jeszcze jedną złą wiadomość, one też chciałyby cię jeszcze kiedyś zobaczyć.

I Cheta, ma się rozumieć.

Czują, że je porzuciłeś, a ja, szczerze mówiąc, mam już dość wymyślania wymówek dla ciebie.

– Nie czekając na odpowiedź, Stanton odwrócił się i wyszedł.

Steele długo jeszcze siedział, wpatrując się w fortepian i prawie nie pijąc.

Czuł się tak, jakby Greg wylał mu na głowę kubel lodowatej wody.

– Zdaje się, że niczyja litość już mi nie grozi – mruknął, wstając wreszcie z kanapy.

Poszedł do pokoju, w którym wspólnie z Chetem korzystali z komputera.

Odstawił szkocką, przyciągnął krzesło, usiadł i zalogował się do sieci.

Wpisał w wyszukiwarce hasło „organizmy genetycznie zmodyfikowane”.

Na ekranie pojawił się początek listy odnośników i informacja, że znaleziono ich ponad pięć tysięcy.

Lepiej będzie zawęzić kryteria wyszukiwania, pomyślał i dodał hasło „zagrożenie dla zdrowia ludzkiego”.

Lista skróciła się o połowę.

Szybko się przekonał, że większość znalezionych artykułów to deklaracje grup obrońców środowiska, opatrzone chwytliwymi tytułami, ale mające niewiele wspólnego z nauką.

„Frykasy Frankensteina”, „Zabójcze zakąski” „Nowa inwazja morderczych pomidorów” – chichotał, czytając nagłówki niektórych stron.

Wiele opatrzone niezłymi rysunkami, naśladującymi plakaty horrorów z lat pięćdziesiątych.

Inne były kpina z reklam popularnych produktów i przedstawiały na przykład znajomo wyglądającego lwa, prezentującego podejrzenie wyglądające, zielonkawe płatki zbożowe, w opakowaniu opatrzonym niekończącą się listą chemicznych składników.

Były jednak i inne skrajności: strony wypełnione nieznośnie nudnymi artykułami dokumentującymi to, jak rośliny uodpornione genami tak ezoterycznych organizmów jak wirus żółtej chlorowatości wspięgi chińskiej są w stanie przekazywać nowy materiał genetyczny dowolnym mikrobie, które bytują na ich łodygach i liściach.

A kogoto obchodzi, myślał Steele, póki nie kliknął na odnośnik do artykułu o poziomym transferze genów.

Czytając go, zrozumiał, dlaczego tak wielu uczonych interesuje się tym procesem.

Istnieją liczne dowody na to, że jeżeli zmodyfikujemy geny rośliny czy zwierzęcia, zmieniony materiał genetyczny zostanie przekazany potencjalnie groźnym dla człowieka wirusom, bakteriom, pasożytom czy insektom bytującym na danym gospodarzu.

Pewne badania sugerują, że zwykle zwierzęta żywiące się genetycznie zmodyfikowanymi

roślinami mogą wchłonąć z jelita do krwi takie właśnie, stworzone ludzką ręką łańcuchy DNA.

Jest to szczególnie niepokojące, jako że można wyobrazić sobie scenariusz, w którym tak zwane normalne zwierzę wprowadza wektory genetyczne do mikroorganizmów rezydujących w jego przewodzie pokarmowym lub krwi.

Steele natychmiast pomyślał o gatunkach zwierząt znanych jako rezerwuar ludzkich patogenów, takich jak bydło dla prątków gruźlicy, gryzonie dla hanta wirusów czy jelenie dla kleszczy zarażonych krętkami wywołującymi boreliozę.

Na myśl o tym, że te śmiertelne organizmy mogłyby przebudować swoje DNA, przeszył go dreszcz.

Przewinął stronę dalej, przeglądając podsumowania innych artykułów, które wspierały wcześniejszą tezę.

Wchłonięte obce DNA może przejściowo przetrwać w przewodzie pokarmowym i przedostać się do krwi; DNA spożyte przez myszy dociera do leukocytów, śledziony, wątroby i gonad przez śluzówkę ściany jelita; stajemy się tym, co spożywamy.

Zaraz, zaraz, pomyślał Steele.

Oni sugerują, że DNA, które wchłaniamy, może się stać fragmentem naszej własnej struktury genetycznej.

Ale nawet jeśli, to dzieje się tak od zarania dziejów.

O co więc tyle hałasu?

Odruchowo już spoglądał na przeczytany artykuł krytycznym okiem, tak samo jak czynił to, czytając pisma medyczne.

Wreszcie dotarł do sedna: autora niepokoiło to, jak same wektory mogą uczynić odwieczne zjawisko niebezpiecznym.

Aż do dziś ewolucja i czas dokonywały selekcji DNA, na którego wpływ jesteśmy narażeni.

Genetycznie modyfikowana żywność zaś poddaje nasz organizm działaniu sztucznie wytworzonych łańcuchów kwasów nukleinowych, które nigdy nie istniały w przyrodzie i które zbudowano specjalnie po to, by umiały przełamywać barierę między gatunkową.

Ich długofalowe działanie jest zupełnie nieznanne.

W istocie sztuczne wektory, które mają przełamywać naturalne bariery hamujące poziomy transfer genów, być może omijają też naturalny system kontrolny, który regulował takie „przeskoki”, działając na naszą korzyść od milionów lat.

Steele dał się wciągnąć w temat bez reszty.

Zaczął pochłaniać kolejne publikacje, a z każdą z nich czuł się coraz bardziej nieswojo.

Najpierw przeczytał o grupie norweskich naukowców, którzy karmili szczury laboratoryjne ziemniakami zmodyfikowanymi tak, by produkowały lektynę, wzmacniającą ich odporność na działanie szkodników.

Szczury traciły na wadze, lektyna łączyła się z ich białymi krwinkami, a liczba limfocytów T rosła, sugerując odpowiedź immunologiczną.

Autorzy eksperymentu uznali, że wynik wskazuje na negatywne działanie modyfikowanej żywności.

Krytycy sugerowali natomiast, że szczury mogły stracić na wadze i wykazywać odpowiedź immunologiczną z powodu niedożywienia, jako że w ich diecie nie było dostatecznej ilości białka.

Jednakże obie strony uznały, że w toku następnych badań należy ściślej kontrolować wszystkie zmienne, nim do łańcucha pokarmowego włączy się nowy produkt.

Kolejne relacje, które Steele czytał, wprawiły go w osłupienie.

Naukowcy, którzy opublikowali wstępne dane, zostali zwolnieni z pracy, nikt nie próbował powtórzyć ich eksperymentu, a naczelna czasopisma, które zamieściło ich artykuł, stała się celem zmasowanej krytyki rzeczników wielkich firm z branży bio-inżynieryjnej.

Jej odpowiedź, w której broniła swojej decyzji, była apelem o „prowadzenie dyskusji, a nie ukrywanie informacji”.

Bardzo słusznie, pomyślał Steele, w duchu kibicując osaczonej kobiecie, która miała dość odwagi, by odpierać ataki.

Przeglądał kolejne artykuły i każdy z nich stopniowo rozjaśniał przed nim polityczne tło całej sprawy.

Szybko dostrzegł najsilniejszy trend, który zdominował Amerykę Północną i najmocniej wpływał na kierunek debaty: głos handlowców i przemysłowców.

„Nie ma niepodważalnych dowodów na to, że genetycznie modyfikowana żywność jest szkodliwa dla ludzkiego zdrowia”.

Ten cytat pojawiał się nieustannie, zwłaszcza w ustach ekspertów ekonomicznie związanych z branżą.

„Zdecydowanie nie ma więc powodu, by wprowadzać procedury kontrolne, które ograniczą nasze prawo do wolnego handlu”.

To samo mówili przedstawiciele przemysłu tytoniowego, pomyślał Steele.

Niektórzy uczeni, stanowiący zdecydowaną mniejszość w tej części świata, odpowiadali w najbardziej oczywisty sposób: „Nie mieliśmy jeszcze dość czasu, by się przekonać, jakie będą skutki uboczne”.

Niestety niewiele osobistości życia publicznego zwracało uwagę na ich głosy.

Sugestia, którą Steele znalazł na stronie internetowej audycji radiowej „Na straży środowiska”, wydała mu się szczególnie pożyteczna:

Znany genetyk i osobowość medialna, doktor Kathleen Sullivan, proponuje zastosowanie reakcji łańcuchowej polimerazy (PCR) do sprawdzania stanu roślinności wokół wszystkich laboratoriów używających wektorów genetycznych, by sprawdzić, czy doszło do skażenia nimi środowiska naturalnego.

Wydaje się, że to dobry pomysł, zgodził się Steele.

Szybko przejrzał serię artykułów prasowych, których dowiedział się, że i republikanie, i demokraci patrzą przychylnym okiem na gospodarcze korzyści płynące z bioinżynierii i nie mają nic przeciwko rozwijaniu nowej technologii w kraju, jak i eksportowaniu jej do wszystkich krajów świata – oraz że stawką są setki miliardów dolarów.

Bez specjalnego zdziwienia wyczytał też, że obie partie otrzymały sowite darowizny od najbardziej liczących się graczy w tej branży, a najpotężniejsi z nich wspierali nawet obie strony politycznego równania jednocześnie.

Czytając dalej, zaczął zdawać sobie sprawę, że firmą zdecydowanie dominującą w branży bioinżynierii jest Biofeed International.

W końcu odsunął się od biurka, rozprostował zmęczone plecy i sięgnął po notatnik, jeszcze raz

analizując wszystko to, o czym przeczytał.

Doszedł do trzech wniosków.

Po pierwsze Stany Zjednoczone broniły się rękami i nogami przed wprowadzeniem bardziej wnikliwej kontroli badań nad genetycznie zmodyfikowanymi organizmami i komercyjnym aspektem międzygatunkowego transferu genów.

Po drugie, poznał wystarczająco wiele przykładów nieumyślnie wywołanych konsekwencji stosowania bioinżynierii, by z autentycznym przerażeniem myśleć o możliwych jej negatywnych skutkach dla człowieka.

Po trzecie, gdyby kiedyś doszło do naprawdę poważnej pomyłki w toku badań, nie byłoby szans na cofnięcie jej skutków – na przykład w tak prosty sposób, jak wycofanie ze sklepów lekarstwa o niepożądanym działaniu, dokonywane na zlecenie Agencji do spraw Żywności i Leków.

Skutki byłyby trwałe, gdyż doszłoby do zmiany genomu ofiary.

Zresztą nie skończyłoby się i na tym, gdyby w grę wchodziła przebudowa tkanek odpowiedzialnych za rozmnażanie, oczywiście przy założeniu, że ofiara pożyłaby na tyle długo, by się doczekać potomstwa.

– Jasna dupa! – mruknął Steele, wciąż nie do końca wierząc, że tak potencjalnie katastrofalny dla ludzkości scenariusz realizuje się w jego własnym kraju, a on, i pewnie większość jego kolegów, po prostu nie miał o tym pojęcia.

– Nie żartowałeś, Greg.

To naprawdę przerażająca sprawa.

Spojrzał na zegar w narożniku ekranu i ze zdziwieniem stwierdził, że dochodzi druga w nocy.

Nawet nie zauważył, kiedy minęły cztery godziny.

Nietknięty drink wciąż stał tam, gdzie go porzucił.

Od śmierci Luany jeszcze nic go tak nie zaabsorbowało.

Sięgnął po broszurę konferencji, którą zostawił mu Greg.

Natychmiast rozpoznał nazwisko moderatora, doktor Kathleen Sullivan, o której czytał na stronie „Na straży środowiska”.

Teraz przypomniał sobie także, że widział ją parę lat wcześniej w programie telewizyjnym i że był pod wrażeniem jej wyobraźni.

Chętnie z nią pogadam, pomyślał.

Podjął już decyzję, że weźmie udział w konferencji i dopiero teraz zauważył, gdzie miała się odbyć: na Hawajach.

Właśnie miał wyłączyć komputer, gdy jego uwagę przykuł kolejny tytuł: Rozpoznanie alergenu orzecha brazylijskiego w soi transgenicznej.

Gdy oderwał wzrok od ekranu, świtało.

– Tato?

– Dzień dobry, Chet – powitał syna Steele, siedzący przed kubkiem parującej kawy.

Zamiast pójść do łóżka, wziął prysznic, ubrał się i rozwiązawszy morderczą zagadkę obsługi ekspresu Marthy, utoczył zeń dość napoju, by zaopatrzyć całą zmianę na oddziale ratunkowym.

Zasiadłszy za kuchennym stołem, czekał na syna i zdążył już wypić jedną trzecią dzbanka.

Chłopak spojrział na zegarek i stwierdził:

– Wczesnie dziś wstałeś.

Zabrzmiało to jak oskarżenie.

Steele doświadczał teraz tego samego chwilowego wahania, które towarzyszyło mu za każdym razem przed akcją reanimacyjną, gdy stawał w gotowości nad konającym pacjentem i zastanawiał się, co i jak trzeba zrobić.

Tyle że w pracy miał do dyspozycji procedury ćwiczone w nieskończoność i mógł błyskawicznie zastąpić wahanie gotowym planem działania, po czym ruszyć do akcji.

Stając przed synem, by reanimować ich umierający związek, mógł polegać wyłącznie na instynkcie, który nieużywany od lat zdążył mocno zardzewieć,

– Właściwie to wcale się nie kładłem – zaczął.

– Usiądź, proszę.

Chciałbym porozmawiać.

Chet natychmiast zmarszczył brwi.

– Dlaczego? O co chodzi? – spytał, nie ruszając się z miejsca.

Steele zacisnął usta kilka razy, jakby potrzebował rozgrzewki, by wypowiedzieć tych kilka słów.

– Chodzi o tę obietnicę, którą złożyłem ci w szpitalu i jakoś się nie spieszyłem, żeby jej dotrzymać. Chcę przeprosić.

Mars na czole chłopca się pogłębił.

O rany, pomyślał Steele.

Marzył, by nagle zjawiała się Martha i podpowiedziała mu, co dalej.

W końcu to był jej pomysł!

– Jeżeli mi pozwolisz, chciałbym znowu być twoim tatusiem.

Chet aż się cofnął i skrzywił, jakby ugryzł cytrynę.

– Tato! – zaprotestował, celowo przeciągając to krótkie słowo, a potem nerwowo przestąpił z nogi na nogę.

– W porządku, synu.

Nie będę się więcej wygłupiał.

Wiedz tylko, że cię kocham i postaram się nie być takim palantem jak ostatnio.

A jeśli będę, to szybko dasz mi kopa w tyłek, zgoda?

Na twarzy Cheta odmalowało się głębokie niedowierzanie.

– I potrzebowałeś całej nocy, żeby wymyślić takie słodziutkie bzdury?

Jezu!

Bolało, pomyślał Steele z narastającą frustracją.

– No chodź, usiądź wreszcie – poprosił, mając nadzieję, że uda mu się uspokoić syna, tak jak uspokajał cały swój oddział nawet w chwilach najgorszego kryzysu.

– Przyznaję, niezręcznie mi to idzie.

Być może to, co mówię, brzmi dziwnie właśnie dlatego, że od dawna ze sobą nie rozmawialiśmy.

– A czyja to wina? – przerwał mu ostro Chet.

– Moja – odparł spokojnie Steele, odważnie patrząc mu w oczy.

To wyznanie tak zaskoczyło chłopaka, że nie bardzo wiedział, co powiedzieć.

Zaczerwienił się i parę razy przełknął, jakby coś utkwilo mu w gardle.

– Twoja mama potrafiła ubierać uczucia w słowa ciągnął Steele.

– A ja przyznaję, że jestem w tym kiepski.

Lecz to nie oznacza, że nie powinniśmy próbować, nawet jeśli wychodzi nam to tak niezdarnie.

W końcu ty i ja jesteśmy dla siebie jedyną rodziną.

– Myślisz, że tego nie wiem? – wykrzyknął Chet.

– Jeeezu, ty wciąż traktujesz mnie jak małe dziecko!

I to mama sprawiała, że byliśmy rodziną, bo wiedziała, jak to się robi.

A ty nigdy nie będziesz wiedział!

– Ze złością zarzucił na ramię torbę z książkami, zabrał z lodówki dwa jogurty i wybiegł z domu.

– Jeeezu! – mruknął Steele, starając się, by przywołanie imienia Boga nadaremno potrwało choć o jedno „e” dłużej.

– Ma pan to? – spytał mężczyzna, gdy tylko Morgan podniósł słuchawkę.

– Tak.

Przywiozła to bezpiecznie ostatniej nocy, gdy tylko wysiadła z samolotu z Marsylii.

– A co porabiają tamtejsi stróże prawa?

– Z tego, co mi mówiła, wynika, że sprawy układają się po naszej myśli.

Policja podejrzewa, że Pierre Gaston po prostu uciekł.

Właścicielka kamienicy zeznała, że w ciągu ostatniego roku spotykał się z nader atrakcyjną damą.

Zna pan Francuzów zawsze przypuszczają, że to sprawa sercowa i że facet ukrywa się gdzieś przed rozwścieczonym mężem.

– A jeśli znajdą ciało?

– Zapewniono mnie, że to nader mało prawdopodobne.

Rozmówca się zamyślił.

– Mimo to była to zbyt ryzykowna operacja – rzekł wreszcie.

Nie możemy sobie pozwolić na dalsze ruchy w tym stylu.

Niech pan powie emisariuszce, żeby poinformowała o tym szefa.

– Nie mam zamiaru o niczym jej mówić.

Ktoś z jej ekipy opisał mi dokładnie, jak się pozbyła Gastona.

Możliwe, że jest śliczna, ale jak na mój gust za bardzo lubi to, co robi.

Poza tym to ona ma wiadomość dla pana.

– Niby jaką?

– Jej szef wciąż się niecierpliwi.

## Rozdział 6

*Pięć tygodni później,  
wtorek, 29 lutego 2000 r. 1.00*

Pasy naprężyły się gwałtownie, a Morgan poczuł, że żołądek podchodzi mu do gardła, gdy śmigłowiec pochylił dziób i runął w dół, ku ciemności.

Cholera, przecież mówiłem, żadnych kowbojskich numerów! – ryknął wprost do mikrofonu umocowanego do słuchawek.

Mężczyzna siedzący obok, za sterami, zareagował ostrym szarpnięciem drążka w lewo.

Maszyna posłusznie wykonała zwrot, którego nie powstydziliby się wagonik roller-coastera.

Równie ostro pilot podciągnął nos śmigłowca w górę, radośnie błyskając zębami w półmroku kokpitu, poczym wyrównał lot tuż nad celem: polem rosnącej od dwóch tygodni kukurydzy.

Trzasnął przełącznikiem i zainstalowany pod kadłubem reflektor ożył, wyławiając z ciemności – ledwie pięć metrów pod nimi – długie rzędy kilkunastocentymetrowych roślin, podobne do gęsto splecionych warkoczy.

Uruchomił mechanizm opuszczający parę długich na cztery metry dysz, sprzężonych ze zmodyfikowanymi zbiornikami ciśnieniowymi.

Zawisły pod brzuchem helikoptera jak nogi olbrzymiego owada, niemal muskając w locie łodygi młodych roślin.

Wyjrząwszy kilka razy z noktowizorem za boczny iluminator, pilot odezwał się do mikrofonu:

– Nie widzę za nami żadnej smugi.

Jakbyśmy nic nie zrzucali.

Co to za preparat?

Morgan, który w skupieniu przetykał, żeby nie zwymiotować, pokazał gestem, że chwilowo nie może odpowiedzieć.

Czekając, aż żołądek się uspokoi, przyglądał się nielegalnie zdobytej mapie pól uprawnych należących do Biofeed, położonych wzdłuż Red River w Oklahomie, niepokojąc się, czy aby na pewno znajdują się we właściwym miejscu.

Z dokumentu jasno wynikało, gdzie jest pole nowej, szybko rosnącej kukurydzy, ale Morgan wcale nie miał pewności, czy kowboj siedzący na fotelu obok właściwie odczytał koordynaty.

Nie mając własnego noktowizora, niewiele widział za szybą i nie bardzo wiedział, gdzie się znajdują – w końcu celowo umówili się na lot w całkowitej ciemności, przy minimalnym świetle księżycy.

Gdy jego żołądek wrócił na miejsce, Morgan jeszcze przez chwilę starannie ważył słowa.

Planując tę operację, postanowił, że wszelkie wyjaśnienia natury technicznej, które będzie musiał złożyć, powinny być jak najbliższe prawdy.

Człowiek siedzący za sterami musiał poznać wystarczająco dużo szczegółów, by nie kusilo go działanie na skróty, mogące obrócić wniwecz całą misję.

– To mikroskopijne cząstki złota wystrzeliwane z ogromną prędkością.

Mają przebić woskowatą okrywę liści, umożliwiając wnikięcie tego, co podamy im później.

– A czy rolnicy nie zauważą dziur?

– Gołym okiem nie.

– A to, co podacie później?

To, co zostało w cysternie?

– Tajemnica przemysłowa.

– Ejże, ja nie mam obowiązku zrzucać nieznanego ładunku.

Morgan udawał, że się zastanawia, czy może pilotowi powierzyć tajemnicę.

– To nowego rodzaju środek owadobójczy połączony z nawozem – skłamał, mając nadzieję, że wypowiedział te słowa z przekonującym wahaniem.

– Tylko tyle mogę powiedzieć.

I jeszcze to, że nie jest bardziej niebezpieczny niż zwykle stosowane fosfaty organiczne, z którymi macie tu do czynienia.

Wystarczą zwykle środki ochronne i nie będzie problemu.

Odpowiedź najwyraźniej zadowolila pilota, bo znów skupił się na obserwowaniu dysz wiszących pod śmigłowcem.

Morgan siedział w milczeniu, nie mogąc się pozbyć przykrej świadomości tego, jak blisko mają do ziemi, nad którą mknęli.

Gdy ostatniej jesieni podróżował w tych stronach, szukając odpowiedniego miejsca, sporo czasu spędził w kawiarniach, wypytyując farmerów o najbardziej doświadczonego pilota, nie bojącego się oprysków z najniższego pułapu.

Padło na Mike'a Butkisa, łysego, wytatuowanego zawadiakę w średnim wieku, który teraz siedział u jego boku.

– Latałem nad każdym terenem i każdym typem śmigłowca, od szturmowych w Wietnamie po małe moskity używane przez handlarzy prochami i bronią nad dżunglą Ameryki Południowej – pochwalił się podczas pierwszego spotkania.

Zdaje się, że to ktoś dla nas, pomyślał wtedy Morgan, stawiając mu piwo.

– Testujemy południowych stanach nowe produkty dla Biofeed International – powiedział, wyjaśniając pilotowi istotę zadania.

– Tylko że jest to coś, co uczeni nazywają badaniem podwójnie zaślepionym.

Musimy aplikować nasze środki w tajemnicy, nocą, na wyznaczonych polach.

Tym sposobem, pod koniec sezonu, kontrolerzy próbujący znaleźć zauważalne różnice między opryskanymi i nieopryskanymi zbiorami nie będą mieli pojęcia, które są które, a zatem pozostaną bezstronni.

Butkis nie wyglądał na zainteresowanego.

– Za ile? – spytał z przeciągłym południowym akcentem, osuszysz kufel.

Po paru minutach był już pracownikiem poważnego klienta, który kupił nie tylko jego umiejętności, ale obietnicę milczenia.

Morgan wciąż spoglądał w ciemność, nerwowo ściskając podłokietnik za każdym razem, gdy z mroku atakowała przednią szybę nowa smuga mgły.

Od startu czuł się tak samo: wciąż bał się, że na ich kursie pojawi się budynek czy drzewo, mimo iż wiedział, że Butkis w swych goglach widzi wszystko równie dobrze jak za dnia.

– Następnym razem załatwisz mi noktowizor – rzekł do mikrofonu.



– Nerwy mi puszczają.

Nic nie widzę, do cholery!

– O Boże, dom! – wrzasnął nagle Butkis, podrywając maszynę o parę metrów ostrym szarpnięciem za drążek.

Serce Morgana bardzo chciało wyrwać się spomiędzy żeber, póki nie usłyszał śmiechu Butkisa. Dotarło do niego, że to tylko głupi dowcip.

– Ty durniu, to nie było śmieszne! – zagrzmaiał.

Kilka godzin później zakończyli przygotowywanie pola do oprysków i wylądowali opodal samotnej boczniczy, na której stała cysterna.

Butkis, w gumowym kombinezonie ochronnym i przemysłowej masce przeciwgazowej – tego stroju zwykle używał, zajmując się środkami owadobójczymi – podłączył odpowiednie węże i rozpoczął przepompowywanie ładunku z wagonu do zasobników helikoptera.

Choć maszyna mogła udźwignąć trzysta galonów narazi rozpylić trzydzieści na minutę, Morgan obliczył, że trzeba będzie poświęcić dziesięć nocy na opryskanie całego pola.

W walizce miał numery telefonów sześciu innych pilotów, których zwerbował podobnie jak Butkisa.

Czekali na sygnał, gotowi do podjęcia identycznych działań w innych częściach kraju, jeśli tylko pierwsza próba przebiegnie pomyślnie.

Pół tuzina załadowanych do pełna cystern kolejowych czekało zaś w gotowości w pobliżu siedzib Biofeed w południowej części Stanów, z Agrenomics International zaś co tydzień wysyłano kolejną.

Parę minut później znowu lecieli z Butkiszem nad tym samym polem.

– Teraz lepiej – stwierdził pilot, gdy uruchomił rozpylacze i zerknął przez iluminator.

– Przynajmniej widzę, że przyskam.

Morgan nie odpowiedział.

Do tej pory zajmowało go głównie to, jak zrealizować plan pod względem logistycznym, jak uniknąć wpadki i jak nie zrobić sobie krzywdy, operując substancjami, które produkowali.

Teraz jednak uwalniał pierwszą partię wektorów i nieodwracalnie włączał je w łańcuch pokarmowy, a myśl o tym, jak gigantyczne było to przedsięwzięcie, przyprawiała go o zimne poty.

Nie chodziło wcale o to, że nagle odkrył w sobie sumienie czy doświadczył spóźnionego poczucia winy.

Był zbyt chciwy i zanadto pałał chęcią odegrania się, by nie poradzić sobie z takimi drobiazgami.

To, co czuł, przypisywał raczej emocjom, jakie towarzyszą zabójcy przy pierwszej zbrodni: aż do końca świata nie będzie takiej siły, która mogłaby cofnąć to, co uczynił.

Tyle że w tym wypadku chodziło o użycie pierwszej broni genetycznej masowego rażenia.

Spróbował nie myśleć o tym, co dzieje się w dole, ale jego umysł wciąż wracał do niedawnej odprawy, podczas której jeden z żyjących jeszcze specjalistów „klienta” nader szczegółowo omówił cały proces.

– Wektory niosące geny wirusa, w celach ochronnych podane w postaci sprayu cząstek lipidowych, szybko spenetrują drobniutkie otwory w ścianach komórkowych młodej kukurydzy,

powstałe podczas poprzedniego bombardowania.

W komórkach rozpocznie się odpowiedź na uraz, polegająca między innymi na uwolnieniu ligaz, enzymów wyspecjalizowanych w cięciu i łączeniu fragmentów DNA w celach naprawczych.

Tylko że tym razem enzymy te będą ciąć i łączyć także geny intruza.

Rankiem fragmenty wektorów i ich specjalny ładunek będą już w jądrach komórkowych, gotowe zaingerować w genetyczną maszynę swych gospodarzy.

W miarę wzrostu roślin zostaną odczytane, skopiowane i przekazane do nowych komórek, tworząc to, co nazywamy mozaiką genetyczną.

W połowie maja łany, które przymusiliśmy do szybszego wzrostu, wytworzą ziarno i będą gotowe do zbiorów wcześniej niż zwykła kukurydza.

Według naszych informacji, Biofeed będzie je reklamował jako szybko kiełkujące, nadające się do drugiego wysiewu już późną wiosną.

Farmerzy bez wątplenia ucieszą się z wizji podwojenia swych zbiorów i będą siać.

Nikt nie będzie wiedział, że większość nasion zawiera też śmiertelnośc informację genetyczną, którą przekażą następnym pokoleniom roślin.

Pod koniec lata, gdy dojrzeje drugi rzut, ziarno posłuży już nie tylko jako karma dla zwierząt hodowlanych, ale także dla nieproszonych gości: gryzoni, ptaków, nawet owadów.

Zakładamy, że co najmniej w jednym z tych organizmów nasz pasażer znajdzie to, czego potrzebuje, by przetrwać, i zadomowi się u jednego z amerykańskich gospodarzy.

Zaczną się rozmnażać tak, jak kiedyś w Afryce, a dwa tysiąclecia temu, jak przypuszczamy, także w Atenach.

Wtedy śmierć zaczną zbierać zniwo w samym sercu Ameryki.

– O jakim to amerykańskim gospodarzu mówimy? – spytał wtedy Morgan.

Wrodzony sceptycyzm kazał mu przypuszczać, że to tylko wielkie słowa, których ludzie „klienta” uporczywie nadużywali.

– To najściślej strzeżony z naszych sekretów zna go tylko garstka naszych przywódców i chyba właśnie w tym kryje się całe piękno tego planu.

Prócz nich nikt na całej planecie nie ma bladego pojęcia, kim będzie gospodarz, choć przecież tysiące zwierząt poddano badaniom.

Nawet spece od chorób zakaźnych z Atlanty.

– Jak się wam udało dokonać tego, czego nie dokonano CDC?

– Odczytaliśmy historię tego organizmu.

Badania nad nim są tak niebezpieczne, że tylko tuzin laboratoriów na świecie ma sprzęt, który się do tego nadaje, a i to przy zachowaniu restrykcyjnych procedur.

Z tej przyczyny najbardziej śmiertelnośc organizm na ziemi pozostaje też nadal najbardziej zagadkowy.

Mało wiadomo o jego patogenności, nie wiadomo, gdzie się ukrywa pomiędzy atakami, a sposób, w jaki wnika do ustroju naczelnych, wciąż pozostaje tajemnicą.

A wszystko to służy naszej sprawie, ma się rozumieć.

– Wciąż nie usłyszałem ani słowa o tym, jak wybraliście gospodarza.

– Mieliśmy do dyspozycji o wiele bardziej oddanych pracowników, wirusologów i genetyków gotowych zapłacić najwyższą cenę, nie tylko za poznanie sekretów tego idealnego zabójcy, ale

także za zidentyfikowanie części jego kodu genetycznego, która odpowiada za produkcję śmiertelnych toksyn, i za zakodowanie jej w nader zaraźliwym wektorze.

Poza tym zdołali oni za pomocą regulatorów genetycznych promotorów i transpozonów, jak je nazywają wyposażyć ukryte geny w odpowiednie „zapalniki”.

W rezultacie geny z wirusa uaktywnią się i dojdzie do pełnej ich ekspresji tylko w kontakcie z enzymami właściwymi dla naturalnego gospodarza.

Mamy więc pewność, że nie będą miały niepożądanego wpływu na wzrost kukurydzy.

Lecz gdy tylko znajdą się w przewodzie pokarmowym zwierzęcia, w którym mają się rozwijać kręgowca czy stawonoga natychmiast przenikną do komórek gospodarza, rozpoczną replikację i zaczną wydzielać truciznę.

– Wszystko to brzmi dla mnie jak czeza gadanina.

Skąd mam wiedzieć, że naprawdę tego dokonaliście?

– Niech pan spojrzy – odparł spec, włączając monitor.

Morgan drgnął w rozkołysanym kokpicie śmigłowca, próbując zablokować wspomnienie o tym, co wtedy zobaczył.

Lecz ziarniste obrazy mimo woli pojawiały się w jego głowie, równie jasne jak wtedy, gdy patrzył na nie po raz pierwszy, choć od tamtej pory były stałym elementem jego nocnych koszmarów, zawsze czarno-białych.

Na filmie uwieczniono bowiem nim amerykańskie samoloty obróciły w gruzy laboratorium i ich samych owoc wysiłków i geniuszu bohaterских genetyków.

Morgan widział znów mężczyzn, kobiety i dzieci robiących pod siebie w ciasnych celach więziennych.

Ich skóra była pokryta ciemnymi plamami; z ich nosów, ust i odbytów płynęła krew.

Niektórzy spoglądali w obiektyw z niedowierzaniem w oczach, jakby nie mogli zaakceptować nieszczęścia, które na nich spadło.

Inni jęczeli i wili się na posadzce, tylko ukradkiem zerkając na filmujących.

Ich mętne, pociemniałe oczy spoglądały błagalnie, jak gdyby nawet w ostatnich godzinach życia wciąż trzymali się nadziei, że ktoś uwolni ich od tej męki.

Jeszcze inni zaakceptowali swój los: leżeli nieruchomo we własnych odchodach, od czasu do czasu mrugając i wpatrując się w przestrzeń.

Ich twarze bez wyrazu były obwisłe, jakby okrywało je zbyt wiele skóry.

W najdalej posuniętych przypadkach tylko ciężki oddech zdradzał, że chorzy jeszcze żyją.

Zdezorientowane dzieci stały przy konających rodzicach i krzyczały wniebogłosy, daremnie wyciągając chude ramiona i szukając pocieszenia.

Jedno z nich, mały, nagi chłopiec usmarowany odchodami własnymi oraz matki, przestał wreszcie szturchać nieruchomą pierś matki i pokuśtykał w stronę kamery.

Jęcząc głośno, wsuwał ręce między kraty, szukając bliskości.

Operator odezwał się chłodnym tonem:

– Najważniejsze organy jamy brzusznej wątroba, śledziona oraz do pewnego stopnia nerki.

rozpłyną się w ciągu kilku dni.

Butkis po raz kolejny wprowadził maszynę w ostry nawrót i po chwili mknęli już w kierunku cysterny, by pobrać nowy ładunek.

W wąskiej szczelinie między chmurami błysnął księżyc, a jego drżący blask oświetlił młode, wilgotne liście, które właśnie spryskali.

Przez chwilę całe pole mieniło się srebrzyście.

Ślicznie, co? skomentował pilot, po czym odrzucił głowę do tyłu i zanucił: Oooklahoma, tam kukurydza pnie się ku niebu.

**Wiosna**

## Rozdział 7

*Środa, 3maja 2000 r.14.00*

*Przedmieścia Kailua*

Powietrze było zupełnie nieruchome, lecz mimo to, zbliżając się do zapuszczonego, otynkowanego na szaro budynku, Kathleen Sullivan dostrzegła nieznaczne poruszenie białej zasłony w otwartym oknie na piętrze.

Podwórko bez jednego drzewa piekło się w bezlitosnym słońcu; spękana ziemia pod jej stopami była twarda jak beton.

Nieliczne kępy trawy już dawno zmieniły się w pożółkłą słomę.

Psów nie było – odczekała w samochodzie okrągłą minutę, by się upewnić, że nie zaatakują.

Była jednak ostrożna: szła wolno, zerkając nerwowo ku tyłom domostwa, gdzie stały zrujnowana stodoła i średniej wielkości szopa, chylące się ku sobie jak dwie sterty odbarwionego, butwiejącego drewna.

Sullivan zaczęła podejrzewać, że nie ma tu już żadnych zwierząt.

Nie zauważyła też ani śladu maszyn rolniczych – choćby traktora czy pługu.

Może już nie uprawia ziemi, pomyślała, spoglądając na małe poletka ciągnące się za krzywym płotem, od stodoły po odległe o półtora kilometra podnóże wulkanu Ko'olau.

Wypatrzyła jedynie względnie nową, zupełnie nie pasującą do nędznego otoczenia czerwoną półciężarówkę, która stała pod zaniedbaną wiatą.

Wreszcie w polu jej widzenia pojawił się pusty, pordzewiały kurnik, przytulony do ogrodzenia.

Przykuł jej uwagę bardziej niż cokolwiek innego.

Zbliżając się do drzwi w kolorze wyblakłej zieleni, zajrzała do wnętrza domu przez brudne okna.

Zapukała głośno, z taką mocą, że ze spalonego słońcem drewna posypały się drobiny odłóżającego lakieru.

Z ciemnych pokojów odpowiedziała jej tylko cisza.

Cofnęła się o krok, w samą porę, by zauważyć rękę puszczającą skraj zasłony, która poruszyła się parę sekund wcześniej.

Panie Hacket? – zawołała.

–Tu doktor Sullivan.

W Departamencie Zdrowia Publicznego poradzono mi, żebym z panem porozmawiała.

Badam sprawę epidemii ptasiej grypy, która wybuchła tu osiemnaście miesięcy temu.

Znowu cisza.

Cholera, może powinnam po prostu pomaszerować do kurnika, zebrać próbki z najbliższego otoczenia i odjechać? – pomyślała ze złością.

Przyjechała na konferencję kilka dni przed terminem, specjalnie po to, by zebrać jak najwięcej danych.

Załatwiła sobie nawet dostęp do laboratorium genetycznego miejscowego uniwersytetu, gdzie mogła przeprowadzić reakcję łańcuchowej polimerazy we wszelkich zdobytych próbkach – by

znaleźć wektory genetyczne i udowodnić, że dzięki nim choroba może pokonać barierę gatunkową.

Poprosiła też Azrhana, swojego głównego technika z Nowego Jorku, by towarzyszył jej w tej wyprawie, ale wybłagał zwolnienie.

Moi rodzice przyjeżdżają z Kuwejtu.

Nie mogę zostawić ich samych w Nowym Jorku – wyjaśniał żalonym głosem.

Widać było, że szkoda mu straconej okazji, że chciałby wziąć udział i w spotkaniu, i w badaniu próbek.

Osiemnaście miesięcy wcześniej, gdy rozeszła się wieść, że wirus ptasiej grypy pokonał barierę gatunkową na Oahu, Kathleen Sullivan wpłynęła na komitet organizacyjny, by konferencję zorganizowano właśnie tu, na Hawajach.

To całkiem przekonujący dowód na poparcie tezy, że skoro takie katastrofalne zjawiska mogą zachodzić przypadkiem, bez udziału wektorów genetycznych, to z całą pewnością powinniśmy brać pod uwagę możliwość, że tym łatwiej zajdą z ich udziałem argumentowała wtedy.

A czyż możemy dobitniej uświadamiać ludziom niebezpieczeństwa poziomego transferu genów niż poprzez udział w konferencji lekarzy i uczonych, którzy tak skutecznie poradzili sobie z infekcją na własnym terenie?

Jeśli to oni opowiedzą o swoich doświadczeniach, w dodatku na tym samym terenie, gdzie doszło do śmiertelnej mutacji genów, abstrakcyjne dotąd zagrożenie stanie się dla delegatów jak najbardziej realne.

Sullivan nie wspomniała jednak członkom komitetu o zamiarze przeprowadzenia własnych badań, ponieważ doskonale wiedziała, że jako przedstawiciele ONZ będą jak ognia unikać udziału w jakichkolwiek kontrowersyjnych działaniach.

Z zamyślenia wybiło ją szuranie czyichś stóp za drzwiami.

Usłyszała zgrzyt klucza w zamku, drzwi się nieznacznie uchyliły i z wnętrza wydostała się woń chłodnej wilgoci, może nawet z domieszką pleśni.

– Pan Hacket?

Szpara poszerzyła się nieco, odsłaniając zgarbionego starca o wychudzonej twarzy i głęboko osadzonych oczach wpatrzonych wprost w intruza.

Do zapachu wilgotnego wnętrza domu dołączyła teraz silniejsza, kwaśna woń niemytego ciała, dymu papierosowego i moczu.

– Czego pani chce? – zapytał wojowniczo starzec.

Miał wysoki, niemal kobiecy głos.

– Panie Hacket, badam sprawę epidemii ptasiej grypy.

– Nie chcę już żadnych kłopotów.

Cholerni sąsiedzi już nawet ze mną nie gadają.

Mówią, że to ja wszystko zacząłem i przeze mnie musieli wyrznąć cały drób.

Niech się pani stąd zabiera.

Nie pozwolę, żeby mi tu ktoś znowu namącił.

– Panie Hacket, chciałabym tylko pobrać próbki gleby i roślin z okolicy kurnika, w którym trzymał pan chore ptaki.

– A po co?

Krzaczaste brwi uniosły się i wygięły niczym nastroszone uliczne kocury.

– Podejrzewamy, że coś spowodowało zmiany w wirusie i pozwoliło mu zaatakować ludzi.

– Niby co takiego?

O rany, jęknęła w duchu.

Jak mam temu pustelnikowi wyjaśnić genetykę?

– To skomplikowana sprawa, ale niektóre firmy zmieniają strukturę genetyczną roślin pastewnych, a wektory, których używają.

– Mówi pani o Franken paszach, o których czytałem.

Nie używamy ich tutaj.

Może jednak nie jest aż takim pustelnikiem, pomyślała Sullivan.

– A co z kawowcami?

Niektóre farmy eksperymentalne hodują genetycznie zmanipulowane odmiany, których ziarno nie zawiera kofeiny.

Słyszał pan w okolicy o takich uprawach.

– Nie!

A teraz wynocha z mojej ziemi i niech się tu pani więcej nie pokazuje.

Na natrętów mam strzelbę!

– Starzec trzasnął drzwiami i przekreślił klucz.

– Chryste – mruknęła Sullivan, w myślach szacując odległość, jaką musiałaby przebiec, żeby zebrać choć fiolkę ziemi i uciec.

Zależało jej na włączeniu wyników tego badania do prezentacji podczas konferencji.

Tylko że ten stary dziad zwyczajnie mnie zastrzeli, pomyślała.

– Cholera!

Cholera!

Cholera! – powiedziała, porzucając plan i ruszając w drogę powrotną.

– Pewnie z kontynentu – wymamrotał starzec, spoglądając przez okno na nieopaloną kobietę idącą w stronę samochodu.

Ale wcale nie zła dorzucił, przypatrując się jej biodrom kołyszącym się w rytm kroków.

Równie przyjemny był widok jej nóg, gdy wsiadając do wozu, nieco zadarła spódnice.

Obserwując samochód odjeżdżający w kierunku szosy, nie przestał głośno myśleć – taki miał nawyk a całe życie bowiem spędził w samotności.

– Ostatnia rzecz, której mi potrzeba wścibska baba szukająca wirusa i wyciągająca na wierzch stare brudy.

Ale oni będą jeszcze bardziej niezadowoleni – dodał.

Wstał i poczłapał w stronę szuflady, w której przechowywał ważne papiery.

– A jeśli się zmartwią, to może moja gęba zamknięta na kłódkę będzie dla nich warta jeszcze więcej niż do tej pory.

Do licha, może nawet dorzucą mi łódź do tej półciężarówki.

– Wyciągnął przed siebie lewą rękę z wizytówką, by odczytać cyfry, a prawą wybrał numer telefonu.

– Przekłęte dranie – mruczał, słuchając sygnału.

Codziennie pluł sobie w brodę, że nie zażądał większej kwoty za milczenie.

Przyjechali do niego wcześniej niż przedstawiciele władz, zaraz po tym, jak gazety doniosły o



dzieciaku, który zmarł na ptasią gripę.

Przywieźli dziesięć kawałków, niby za utratę stada – jeśli tylko nie wygada nikomu, że kupił od nich stado kur i zapas ziarna.

Przyjął gotówkę i uparł się, żeby dołożyli wóz, na który od dawna miał oko, a wszystko to za jedną obietnicę: że niedawny zakup pozostanie tajemnicą.

Ale potem władze skojarzyły śmierć chłopca z jego kurnikiem.

Podczas przesłuchania pytano go głównie o ostatnie zakupy, o ptaki i ich jaja.

Bał się, że skończy w więzieniu, jeśli się wyda, że podczas pierwszych rozmów zataił informacje, upierał się więc, że ostatnio nie poczynił żadnych zakupów.

Przeżył duży stres i teraz cała ta sprawa budziła w nim niechęć największą zaś to, że zgodził się na tak małą zapłatę.

– Tym razem zapłacą mi słono – wymamrotał, czekając ze słuchawką przy uchu.

– Biofeed International, oddział na Hawajach – zaintonowała recepcjonistka.

Podał nazwisko człowieka, z którym rozmawiał.

– Pan Bob Morgan już nie pracuje w naszej firmie.

Chciałby pan porozmawiać z jego następcą?

– Chciałbym.

Wystarczyło jednak kilka minut rozmowy z mężczyzną o bardzo młodo brzmiącym głose, pełnej ostrożnych aluzji do „umowy”, którą zawarli w sprawie „szkód” w stadzie kurczaków, by Hacket doszedł do wniosku, że nowy nic nie wie o układzie.

– Jeszcze raz z recepcjonistką bym chciał – rzucił wreszcie, zirytowany.

– Ostatnie znane nam miejsce zatrudnienia pana Morgana to firma Agrenomics International w pobliżu White-Plains, w stanie Nowy Jork – oznajmiła z wdziękiem dziewczyna.

Podam panu numer telefonu.

Rozłączywszy się, Hacket pomyślał o kosztach rozmów międzystanowych, lecz szybko uznał, że wydatek się opłaci.

W końcu chciał tylko zapytać Boba Morgana o nazwisko człowieka z Biofeed, który wiedziałby coś o ich sekrecie i którego zainteresowałoby, że niejaka doktor Kathleen Sullivan węszy na jego farmie, wypytując ptasią gripę.

I może jeszcze dodać, że ten ktoś, kimkolwiek jest, w zamian za tę informację powinien być gotowy do wypłacenia kwoty, która wystarczyłaby na zakup ślicznej motorówki.

*Poniedziałek, 8 maja, 19.00*

Steele nie widział niczego podobnego od czasu protestów teatrów ulicznych, których był świadkiem jeszcze w czasach studenckich.

Przed wejściem do centrum konferencyjnego w Honolulu aktorzy przebrani za olbrzymie monarchy biegali w kółko, trzepocąc motylimi skrzydłami, po czym dramatycznie padali na chodnik, niczym w owadziej wersji Jeziora Łabędziego.

Inni, przebrani za gigantyczne, zmutowane kolby kukurydzy, rozdawali ulotki z hasłem: „CZY WIESZ, co BYŁO W PŁATKACH, KTÓRE JADŁEŚ DZIŚ NAŚNIADANIE?”

„Korowód nakrapianych pomidorów, broczących zielonkawym śluzem z otwartych wrzodów,

sunął tanecznym krokiem przez tłum gapiów.

Przechodnie spieszący z pracy do domu, w większości Hawajczycy, traktowali cały happening jak czystą zabawę – ze śmiechem wskazywali palcami na porzebieranych aktorów.

Ich reakcja wywołała szybką kontrę aktywistów z megafonami, którzy natychmiast zdławili zaczątki radosnej imprezy, skandując: „Wycofać toksyczne produkty!

„Kręcąc głową, Steele przecisnął się przez ponurą cizbę nawiedzonych ekologów.

Ich agresywna taktyka wydawała mu się zupełnie obca; nie wątpił, że jeśli uda im się cokolwiek zwalczyć, to jedynie uśmiechy na twarzach ludzi.

Lecz gdy tylko znalazł się w budynku, w wielkiej grupie delegatów stłoczonych wokół recepcji, wyczuł coś całkiem innego: podniecenie pokrewnych dusz, podobne do tego, które czuł ćwierć wieku wcześniej, gdy sam uczestniczył w marszach na rzecz rozbrojenia, demonstracjach antywojennych czy zlotach pod hasłem „ocalić planetę”.

Klekot powielaczy zastąpił szum faksów wypluwających wiadomości, laptopy stały się narzędziem pracy autorów globalnych manifestów, a świergot telefonów komórkowych upodabniał całe zgromadzenie do gigantycznej ptaszarni, ale owa szczególna, elektryzująca atmosfera, która towarzyszy spotkaniom najświatlejszych umysłów świata jednoczących się przeciwko wielkiemu złu, nie zmieniła się ani trochę.

I była dla Steele’a tak samo namacalna jak dawniej.

Przewaga liczebna kobiet potwierdziła jeszcze jedną stałą: to właśnie istoty płci pięknej zawsze chętniej odpowiadały i odpowiadają na wołanie o pomoc, gdy Matka Ziemia jest w potrzebie.

Steele uśmiechnął się na wspomnienie o tym, jak dołączył do jednej czy dwu imprez specjalnie po to, by zawrzeć znajomość z urodziwą współ-demonstrantką.

Właśnie tak poznał Luanę – wypatrzył ją, gdy malowała transparenty, i chwycił za pędzel, by jej pomóc.

Nie pamiętał już nawet, jakiej sprawie wtedy się przysłużyli.

Uśmiechał się jeszcze, gdy nagle uświadomił sobie, że rozkoszuje się wspomnieniem o Luanie, wcale nie czując przejmującego bólu.

Proszę, proszę, pomyślał.

Może w końcu wymykam się z kajdan żałoby.

Wieczorem, podczas przyjęcia, stanął w tłumie gości i przyglądał się, jak kelnerzy w „strojach Aloha” – hawajskich sportowych koszulkach i marszczonych spodniach wnoszą tace ze stertami czerwonych skorupiaków, żółtej papryki i zielonych awokado, z dodatkiem białego ryżu i czarnych wodorostów.

Rozmowy toczone wokół brzmiały znajomo i obco zarazem.

Terminy takie jak retrowirus, rybosomy czy ekspresja genu należały do jego żargonu, ale między nimi pojawiały się słowa takie jak transpozony, pazmidy czy geny mieszane.

Nie miał pojęcia, co oznaczają; był tak zdezorientowany, że wątpił, czy zrozumie wystąpienia delegatów.

Co gorsza, był bodaj jedynym lekarzem w całym tym towarzystwie, a litery MD na jego plakietce z nazwiskiem działały na zebranych jak magnes.

– Ach, więc jest pan lekarzem?

– Tak.

– Czy nie martwi pana wpływ materiału genetycznego doustnych szczepionek modyfikowanych genetycznie na osoby je przyjmujące?

– Doustne co takiego?

– Jakie jest pańskie stanowisko w sprawie stosowania wektorów retrowirusowych?

– Retrowirusowych?

To znaczy podobnych do AIDS?

– Oczywiście atenuowanych.

– Mam nadzieję.

Po wielu takich dialogach Steele wypatrzył na dalekim końcu sali kobietę, którą otaczało podobne zainteresowanie.

Odetchnął z ulgą, widząc, że i ona ma na identyfikatorze litery MD, wyróżniające ją z tłumu.

Zauważył też jej piękną opaleniznę oraz to, że miała na sobie tradycyjną polinezyjską szatę, a splecione w warkocz włosy sięgały jej do pasa.

Może jest stąd, pomyślał, przypatrując się lekarce, która z niezmiennym uśmiechem udzielała wyczerpujących odpowiedzi na pytania.

Wygląda na to, że mogłaby mnie sporo nauczyć, zwłaszcza sztuki rozmawiania z tą zgrają.

Zadowolony, że ma powód, by zawrzeć znajomość, ruszył w jej stronę.

Zdażył pokonać połowę drogi, gdy ten sam mężczyzna, który przepytował go na temat szczepionek doustnych, przechwycił go i wciągnął w kolejny krąg rozmówców.

– Doktorze Steele, jest tu ktoś, kogo powinien pan poznać.

Ktoś, kto zgadza się z pańskim stanowiskiem w sprawie wektorów retrowirusowych.

– Z moim stanowiskiem?

– Doktor Steele jest medycznym autorytetem naszej konferencji – ciągnął mężczyzna, zwracając się do dyskutantów.

– Autorytetem?

Ależ w żadnym wypadku.

Obawiam się, że zanim do czegoś się przydam, będę musiał długo państwa obserwować i wiele się nauczyć.

– Nonsens, doktorze! – wtrącił jeden ze starszych mężczyzn.

– Od lat brakowało nam na tych sabatach lekarza z prawdziwego zdarzenia.

– Miał siwe, kręcone włosy, okulary w drucianej oprawie oraz ubranie człowieka, który za chwilę wejdzie na pokład swego jachtu: ciemną bluzę, bladobłękitną koszulę i beżowe spodnie.

Mężczyzna zatoczył ramieniem obszerny krąg.

– Wszyscy tu biegają i wieszczą sądny dzień, załamując ręce nad niszczeniem zdrowia rasy ludzkiej, a większość w życiu nie miała innego pacjenta niż laboratoryjny szczur.

Słuchający wybuchnęli śmiechem.

– Jednak dla mnie to zupełnie nowy świat – odparł Steele, chichocąc wraz z pozostałymi.

– Lecz mimo to dzięki za dodanie mi odwagi.

– Proszę zwracać się do mnie bez wahania, jeśli tylko będę mógł jakoś pomóc – rzekł mężczyzna, wręczając mu wizytówkę.

– Nazywam się Steve Pattoni jestem podstarzałym ekologiem, który nigdy nie wyrósł z lat sześćdziesiątych – dodał z szerokim uśmiechem, a potem przeprosił zebranych, odwrócił się i

ruszył w stronę kilku dziennikarzy przeprowadzających wywiad z atrakcyjną kobietą o złocistorudych włosach i pięknych, zielonych oczach.

Przywitali się po chwili raczej oficjalnym całusem w policzek, by wspólnie kontynuować rozmowę z reporterami.

To ta genetyczka z telewizji, doktor Kathleen Sullivan, pomyślał Steele.

Trzeba będzie porozmawiać z nią później, dowiedzieć się, w których dyskusjach widzi dla mnie miejsce.

Przeprosił towarzystwo i ruszając w dalszą drogę ku kobiecie, którą wypatrzył wcześniej, zerknął na wizytówkę Pattona.

„Stowarzyszenie Błękitna Planeta – prezes”, przeczytał, rozpoznając jedną z najbardziej aktywnych grup obrońców środowiska w Stanach Zjednoczonych.

Wsunął wizytówkę do kieszeni, mrużąc:

– Podstarzały ekolog, dobre sobie.

Zatrzymał się w stosownej odległości, czekając, aż ostatnia grupa dziennikarzy zakończy wywiad.

Kobieta stała przy otwartych drzwiach balkonowych, doskonale widoczna na tle pomarańczowych, karmazynowych i czerwonych odblasków, rzucanych na wodę przez tonące w oceanie słońce.

W ognistej łunie zobaczył zarys jej długich nóg i krągłość bioder, doskonale widoczne przez cienki, podświetlony materiał sukni.

Odwrócił głowę, czując się jak podglądacz, ale zaraz jął na nowo rzucać w jej stronę ukradkowe spojrzenia.

Tylko po to, żeby sprawdzić, czy już skończyła, przekonywał się w duchu.

Lecz za każdym razem jej sylwetka była równie doskonale widoczna i wreszcie, ku własnemu zdziwieniu, zaczął wpatrywać się w nią z otwartym zainteresowaniem.

Lekki wiatr poruszył suknię i wydał ją nieznacznie, a kobieta stanęła w minimalnie większym rozkroku, jak gdyby chciała pozwolić, by ruch powietrza ochłodził jej nogi.

Zawstydzony własnymi lubieżnymi myślami, Steele mimo wolnie podążył spojrzeniem wyżej, podziwiając cienką talię i elegancką linię smukłej szyi, której brązową skórę pieściły pojedyncze kosmyki włosów uwolnione z długiego warkocza.

Nie widział jej twarzy, jedynie zarys policzka, ananim podświetlony promieniami zachodzącego słońca, delikatny jak aura meszek.

Ostatnią składową osobliwego odurzenia, jakie go ogarnęło, był zapach jej perfum.

Kobieta skończyła wywiad, pożegnała się, odwróciła i w tym momencie napotkała skupione spojrzenie Steele'a.

– Dobry wieczór – powiedziała z wahaniem, wyraźnie zdziwiona.

Poczuł, że się rumieni.

– Dobry wieczór.

Doktor Richard Steele, z Nowego Jorku – odpowiedział, wyciągając rękę na powitanie.

– Miałem nadzieję, że pomoże pani koledze po fachu.

Wydaje się, że z łatwością odpowiada pani na pytania, a dla mnie to całkiem nowa dziedzina i nie radzę sobie tak dobrze.

A mówiąc całkiem szczerze, zaczynam się tutaj czuć dość głupio.

Przyglądała mu się przez sekundę, z ramionami skrzyżowanymi na piersiach i przekrzywioną w bok głową.

Wystarczająco długo, by Steele zdążył zauważyć delikatną linię jej smukłego nosa i pełne wargi.

Gdy się uśmiechnęła, wokół jej ust pojawiły się drobniutkie linie, znaki radości, ale oczy pozostały mroczne, a ich smutek ostro kontrastował z przyjemnym wyrazem twarzy.

– Ależ oczywiście, pomogę panu w miarę możliwości – odrzekła, wyciągając rękę i odsłaniając identyfikator.

– Doktor Sandra Arness, z Honolulu.

Obawiam się, że właśnie dlatego widział pan tak wielu chętnych do rozmowy ze mną.

Wszyscy chcą wiedzieć, gdzie tu można dobrze zjeść.

Steele się roześmiał.

– Co za ulga.

Już myślałem, że w porównaniu z panią jestem kompletnie nieprzygotowany.

Jaka jest pani specjalizacja.

Jej spojrzenie umknęło na ułamek sekundy.

– Jestem lekarzem rodzinnym – odpowiedziała szybko – ale w tej chwili mam urlop naukowy, A pańska?

– Pytanie zabrzmiało jak return po mocnym serwisie.

– Oddział ratunkowy.

Tyle że ponad pięć miesięcy temu zawał serca odstawił mnie na boczny tor.

– Przykro mi to słyszeć.

Wróci pan do zawodu?

– Mam nadzieję.

Moi nowi władcy, kardiologzy, twierdzą, że powinienem poczekać, aż będą pewni swego. Ale czuję się dobrze.

Przez chwilę wydawało się, że nie wie, co jeszcze powiedzieć.

Obracała w palcach długą nóżkę pustej szampanki.

– Może czas na dolewkę? – zaproponował.

– Czemu nie – odparła.

Gdy szli w stronę baru, zauważył, że nie nosi obrączki.

Z pełnymi kieliszkami w dłoniach znaleźli wolny stolik w kącie sali.

Zaczęli rozmawiać i szybko stało się jasne, że doktor Arness nie zamierza mówić wiele o sobie – przyznała mimochodem, że jest rozwiedziona i że „problemy zdrowotne” zmusiły ją do wzięcia urlopu naukowego, ale na pytanie o powody udziału w konferencji odpowiedziała tylko: „Temat mnie interesuje”.

Zadawała natomiast wnikliwe pytania i była tak pełna empatii, że nim minęła godzina, Steele zdążył już zwierzyć się jej z problemów z akceptacją roli wdowca, z trudnych stosunków z Chetemo raz z emocjonalnego wstrząsu, którego doświadczył, ocierając się o śmierć.

– Na pewno nie jesteś psychiatrą? zażartował lekko zdenerwowany, wycofując się instynktownie, gdy dotarło do niego, jak wiele swoich problemów zrzucił na jej barki.

Bo nawet w domu nie mówiłem nikomu o tym wszystkim.

– Ja po prostu wiem, co znaczy kogoś utracić – odpowiedziała.

– A poza tym ciebie łatwo się słucha.

– Sięgnęła ponad stołem i delikatnie położyła dłoń na jego ramieniu.

Jej oczy były pełne bólu, jak dwa świeże siniaki.

Steele wytrzymał to spojrzenie i miał wrażenie, że wyczytał w nich zaproszenie do zanurzenia się w ich mrocznej toni.

Czy powinienem zaproponować, żebyśmy poszli do mojego pokoju?

Zastanawiał się nad tym tak intensywnie, że omal zapomniał oddychać.

Właśnie wyciągnął rękę, żeby opuszkami palców pogładzić jej nadgarstek, gdy z oddali dobiegł kobiecy głos:

– Wielkie nieba!

Wpuść, człowieku, dwoje lekarzy w wielki tłum, a możesz być pewny, że się odnajdą i zaczną gadać o pracy.

Sandra natychmiast cofnęła rękę.

Steele odwrócił się i zobaczył Kathleen Sullivan.

Zbliżyła się do ich zacisznego stolika z uśmiechem na ustach i szeroko otwartymi ramionami.

– Witam, doktorze Steele.

Wiem, że jeszcze nie mieliśmy okazji się poznać – rzekła na powitanie.

– Jestem Kathleen Sullivan.

Witam w Honolulu!

A pani to doktor dodała, zwracając się do Sandry i mrużąc oczy, by odczytać małe literki przed wielkim MD na jej identyfikatorze.

– Arness odpowiedziała Sandra, uśmiechając się słodko i podając jej tę samą rękę, którą raptem parę sekund wcześniej tak zachęcająco dotykała Steele'a.

Sullivan uścisnęła ją serdecznie.

– Mam nadzieję, że w niczym nie przeszkodziłam.

Muszę porwać na chwilę doktora Steele'a, żeby wprowadzić go w szczegóły jutrzejszego rozkładu zajęć.

– Ależ oczywiście, doktor Sullivan.

Jest do pani dyspozycji.

A ja i tak miałam już wychodzić dodała Sandra, wstając.

– Życzę państwu udanego wieczoru.

Do zobaczenia na jutrzejszej sesji.

Steele zerwał się na równe nogi, ale zanim przyszły mu do głowy jakiegokolwiek słowa, Sandra skłoniła się i odwróciła, by oddalić się w kierunku wyjścia.

– Dobrej nocy, doktor Arness – zawołała za nią Sullivan, po czym zajęła jej miejsce za stolikiem.

– Doktorze, chcę, żeby towarzyszył mi pan podczas sesji plenarnej, a konkretnie w panelu poświęconym niebezpieczeństwom wykorzystywania nagiego DNA.

Skupimy się na przypadku wirusa ptasiej grypy, który półtora roku temu właśnie tu, na Hawajach, pokonał barierę gatunkową.

Będzie on ilustracją potencjalnego scenariusza, którego prawdopodobieństwo zwiększone jest wskutek użycia wektorów.

Siedząc naprzeciwko, Steele słuchał jej głosu, a wzrokiem odprowadzał Sandrę Arness aż do drzwi.

Wielkie dzięki, Kathleen Sullivan, pomyślał sarkastycznie.

Z całą pewnością uratowałaś mnie przed spotkaniem z odrobiną DNA, może nawet nagiego.

– W jaki sposób ptasia grypa nauczyła się zabijać ludzi? – zapytała doktor Julie Carr, stając następnego ranka przed wielkim ekranem, na którym wyświetlała czarno-białe zdjęcie z mikroskopu elektronowego, przedstawiające wirusa.

Nikt nie odpowiedział, bo wszyscy zebrani w sali potrafili rozpoznać pytanie retoryczne.

– Odpowiedzią są te kolce – kontynuowała, kierując laserowy wskaźnik na kolczastą powierzchnię jajowatej istoty.

– Są zbudowane z glikoprotein.

Niektóre są bogate w hemaglutyninę, cząsteczkę, która rozpoznaje i łączy się z konkretnym receptorem powierzchni komórki gospodarza, a tym samym decyduje o tym, które gatunki wirus może zaatakować, a których nie.

Inne zawierają neuraminidazę, cząsteczkę zdolną do rozpuszczania owych połączeń i uwalniania wirusa, by mógł zaatakować gdzie indziej, jeśli akurat w danej komórce nie dojdzie do infekcji.

Przeciwko tym cząsteczkom gospodarz kieruje odpowiedź immunologiczną.

Nawet najdrobniejsza zmiana w którejkolwiek z tych dwóch struktur pozwala wirusowi uniknąć przeciwciał, które gospodarz wytworzył w kontakcie ze starszą odmianą, a tym samym czyni go skuteczniejszym.

Osobnik, którego właśnie oglądamy, powinien mieć wyłącznie takie kolce, które pasują do receptorów na komórkach błony śluzowej kurczaka.

Doktor Carr wyświetliła kolejny slajd – i ten był portretem wirusa grypy, tyle że o kolczastych wyrostkach jaśniejących intensywną zielenią.

– Mają państwo przed sobą komputerowo zmodyfikowany kolorowy obraz, na którym widać te właśnie klucze proteinowe wyróżnione w metodzie ELISA do wykrywania wirusa H5N1, czyli odmiany atakującej ptaki.

Lecz kiedy zastosowałam metodę ELISA dla H2N3, czyli ludzkiej grypy, otrzymałam to.

Na ekranie ukazał się obraz wirusa grypy nakrapianego mozaiką czerwonych i zielonych plamek.

– Oto najgorszy koszmar wirusologa: autentyczna hybryda w osłonce białkowej zawierającej dwa komplety kluczy, dające jej dostęp zarówno do ptasich, jak i ludzkich komórek.

Wirus mógł zyskać tę podwójną tożsamość tylko w jeden sposób, zwany rekombinacją czyli przez wymianę materiału genetycznego między dwoma organizmami, a w tym wypadku przez włączenie genów odmiany ptasiej do kodu genetycznego ludzkiej odmiany grypy.

– Doktor Carr umilkła, by napić się wody.

– Domyślamy się, że doszło do tego w nozdrzach chłopca, gdzie już rozwijała się ludzka grypa.

Prawdopodobnie podczas głaskania kurcząt jego dłoń miała kontakt z odchodami, w których znajdował się ptasi wirus.

Wystarczyło wtedy, że potarł nosi już przedstawiciele dwóch odmian wirusów znaleźli się obok siebie.

Na szczęście historia wskazuje, że rekombinacja pomiędzy odmianami H5N1 i H2N3 zachodzi niezwykle rzadko.

Znamy jedynie ten jeden przypadek na Hawajach oraz zdarzenia z Tajwanu sprzed trzech lat.

Powiedziałam: na szczęście, gdyż trudno sobie wyobrazić skutki prawdziwej epidemii ptasiej grypy wśród ludzi.

Nie jesteśmy na nią odporni, bo i dlaczego mielibyśmy być, skoro przez miliony lat wirus ten spokojnie rezydował w ptasich organizmach?

Gdyby jednak hybryda, którą tu widzimy, przetrwała i namnożyła się, znaleźlibyśmy się w takiej samej sytuacji, w jakiej znaleźli się na przykład pierwotni mieszkańcy Hawajów, gdy w osiemnastym wieku podróżnicy z Europy przywlekli tu odrę.

Jako że nigdy wcześniej nie mieli do czynienia z tą chorobą wieku dziecięcego, ponad dwadzieścia procent chorych zmarło.

Fakt, że osiemnaście miesięcy temu udało nam się uniknąć podobnego losu, jest istnym cudem, nawet jeśli weźmiemy pod uwagę, że władze sanitarne zadziałały szybko, a zarażony chłopiec mieszkał w dość odludnej okolicy, gdzie nie miał częstych kontaktów z innymi dziećmi. Dziękuję państwu za uwagę.

Dynamiczna prezentacja, pomyślał Steele, klaszcząc entuzjastycznie wraz z innymi słuchaczami, podczas gdy niepozorna pani wirusolog wracała na swoje miejsce.

Siedziała o trzy krzesła od Steele'a i należała do tej samej grupy ekspertów, zwołanej przez Sullivan.

– Dziękuję, Julie – powiedziała Kathleen, podchodząc do mikrofonu.

– Jak państwo widzieli, doktor Carr jest światowej klasy innowatorem w dziedzinie technik barwienia preparatów w mikroskopii elektronowej.

Powiększenia wykonanych przez nią zdjęć mogłyby zawisnąć obok płócien Salvadora Dalego w nowojorskim Muzeum Sztuki Współczesnej.

– Odczekała chwilę, aż ucichnie umiarkowana fala wesołości, po czym uśmiechnęła się przebiegle i dodała: – Julie, pewnie dostałabyś za nie znacznie więcej, niż zarabiamy jako naukowcy.

Tym razem rozległ się potężny aplauz.

– No tak ale kontynuujmy tę imprezę.

Wiemy już, w jaki sposób choroba może pokonać barierę gatunkową i jak katastrofalne mogą być tego skutki.

Na szczęście, jak zauważyła doktor Carr, natura stara się, by takie przypadki były rzadkością.

Ale czy byłoby tak, gdyby w scenariuszu pojawił się przypadkowo nowy element: wektory genetyczne?

Obawiam się, że te ludzką ręką spreparowane twory przyczynią się do znacznie częstszego pojawiania się takich przypadków.

Proszę myśleć o nich jak o czymś w rodzaju wirusów, zakaźnych wirusów DNA, które dokonują inwazji i włączają się nieodwracalnie w łańcuchy genów innych gatunków, zapewne również człowieka.



– Sullivan umilkła, przyglądając się zaszuchanym delegatom.  
– Proszę sobie wyobrazić następującą sytuację – dodała po chwili.  
– Powiedzmy, że farmer uprawia na swoim polu genetycznie modyfikowane zboża. Fragmenty uszkodzonych roślin albo nasiona wszystkie oczywiście zawierające DNA zmutowane wektorem genetycznym bez trudu mogą trafić z pola do miejsca, które odwiedzają kury.

Załóżmy też, że komórki owych roślin już obumarły, oddając do gleby swoje nagie DNA, w tym także to pochodzące od wektorów.

Kury, jak wiadomo, lubią grzebać w ziemi.

Jeśli wśród nich będzie choć jedna zarazona wirusem H5N1, czyli ptasią grypą, i zdarzy jej się wznieść i wciągnąć do płuc choćby kurz z cząsteczkami nagiego DNA a pamiętajmy, że jest to DNA turbodoładowane regulatora migenów, transpozonomi, które inżynierowie genetycy rutynowo pakują do wektorów, by zwiększyć ich skuteczność w penetrowaniu genów organizmu docelowego.

Słowa, które umyślnie dobierała, znów wzbudziły falę śmiechów.

– Tylko że będąc rozebrany DNA, nasz jurny komandos nie potrzebuje nawet klucza, by spenetrować cel, w przeciwieństwie do zwykłych wirusów, które pokazywała nam doktor Carr.

Otóż nasz wektor może wdzierać się bezpośrednio do każdej komórki, z którą wejdzie w kontakt, włącznie z komórkami wyściełającymi układ oddechowy kurczaka, gdzie zadomowił się już wirus ptasiej grypy H5N1.

Gdy wektor dostanie się już do tych komórek, zacznie wędrować wzdłuż łańcucha RNA wirusa H5N1, a własne wyposażenie genetyczne zakażonego ptaka zacznie replikować oba, powstanie matrycowy RNA, czyli pierwszy krok na drodze do ich ekspresji.

Jednym z możliwych rezultatów będzie szczep ptasiej grypy turbodoładowany łańcuchami transpozonów, wzmacniaczy i promotorów pochodzącymi z wektora.

I jeśli umieścimy takie słodkie maleństwo w pobliżu ludzkiego wirusa H2N3, powiedzmy w nozdrzach zakażonego farmera kto nam zagwarantuje, że nie dojdzie do pokonania bariery gatunkowej, która sprawiała, że taka rekombinacja przez miliony lat była prawdziwą rzadkością?

Innymi słowy, jeśli DNA dwóch odmian będą mieszać się ze sobą w dowolny sposób, pojawi się hybrydowa grypa, na którą żaden człowiek nie jest odporny, i tym razem najprawdopodobniej dojdzie do epidemii.

W sali odezwał się chór szeptów, który skojarzył się Steele'owi z szelestem w nieopatrznie poruszonej kryjówce węży gdzieś pod stertą suchych liści.

Pochylił się do siedzącego obok z kamienną twarzą Steve'a Pattona i skomentował:

Bez wątpienia przykuła ich uwagę.

– Istotnie – odparł uprzejmie Patton.

W miarę jak szum na sali stawał się głośniejszy, na jego twarzy zaczął malować się niepokój.

– Tylko że czasem nie jest zbyt mądrze drażnić takich ludzi czystymi spekulacjami.

Wciąż ją ostrzegam, że lepiej prowokować przedstawicieli przemysłu biotechnologicznego wyłącznie faktami, które łatwo udowodnić, choćby po to, by nie narażać na szwank naszej wiarygodności.

Ona jednak uparcie nagłaśnia hipotetyczne zagrożenia.

– Patton odetchnął głęboko, bo wypowiedział te słowa jednym tchem, jak człowiek, który zbyt długo ukrywał to, co ma do powiedzenia.

– Nie chcę przez to powiedzieć, że jej obawy co do śmiertelnych odmian grypy są nieuzasadnione czy zbyt słabo oparte na czystej wiedzy naukowej – dodał szybko – ale oni i tak zaraz wpakują ją w tarapaty, bo nie przedstawiła żadnych twardych dowodów na poparcie swoich hipotez.

Proszę mnie źle nie zrozumieć. To świetna dziewczyna i ma genialny instynkt w pracy laboratoryjnej ma zdumiewającą zdolność wyobrażania sobie procesów wewnątrzkomórkowych na poziomie molekularnym.

– Patton przerwał, zerkając na Sullivan, która bezskutecznie próbowała przywrócić spokój w sali.

Jej coraz mocniej zmarszczone czoło przypominało czoło nadciągającego frontu burzowego.

– Przepraszam – powiedział, wstając energicznie z krzesła – ale to ja jestem następnym prelegentem i chyba powinienem jej pomóc.

Zdaje się, że współpraca z nią jest dla niego frustrująca, pomyślał Steele, obserwując, jak Patton podchodzi do Sullivan, kładzie dłoń na jej ramieniu i szeptem jej coś do ucha.

W pierwszej chwili wydawało się, że akceptuje jego dotyk, ale potem jej kark zeszywniał.

Odwróciła się i przeszła na przeciwległy kraniec podwyższenia, poza zasięg jego ramion.

Zakryła ręką mikrofon i powiedziała coś do Pattona z martwym uśmiechem na ustach.

Jej oczy ciskały przy tym gromy, a wargi raz po raz nieznacznie odsłaniały zęby.

Widząc, jak iskrzy między nimi, Steele doszedł do wniosku, że musi chodzić o coś więcej niż tylko o różnice w kwestii taktyki.

Może są po rozwodzie, pomyślał, nie mogąc się oprzeć wrażeniu, że Sullivan ma niemałą wprawę w urządzaniu Pattonowi ostrej jazdy.

Doktor Sullivan odezwał się donośny głos, a zaraz po nim z głośników rozległ się pisk sprzężenia zwrotnego.

– Za kogo pani się uważa?

Dlaczego wykorzystuje pani pozycję moderatora tej dyskusji do szerzenia pseudonaukowych, niczym nie uzasadnionych bzdur?

W jednej chwili wszyscy umilkli i odwrócili się ku przejściom międzyrzędami krzeseł, gdzie stały mikrofony, do których już ustawiła się kolejka chętnych.

Osobą, która właśnie przemówiła, był łysy olbrzym w średnim wieku, o aparycji asa zawodowego w restlingu.

Nazywam się Sydney Aimes ciągnął, czerwony z wściekłości aż po czubek nagiej czaszki.

Jestem głównym negocjatorem delegacji handlowej Stanów Zjednoczonych na tę konferencję.

Oświadczam pani, że prawo tego kraju do wolnego handlu genetycznie modyfikowanymi organizmami będzie regulowane wyłącznie na podstawie odkryć naukowych, a nie obraźliwych wymysłów.

Innymi słowy, niech pani trzyma język na wodzy, bo w niektórych stanach za takie słowa można słono zapłacić, choćby z tytułu utraconych dochodów.

Tym razem publiczność się podzieliła: niektórzy syknęli lub westchnęli z oburzeniem, inni zaś powitali tę wypowiedź gromkimi brawami.

Kathleen Sullivan otworzyła usta tak szeroko, jakby czekała na badanie stomatologiczne.

Patton pokręcił głową, wyjął mikrofon z jej dłoni, spojrzał na nią, jakby chciał powiedzieć: „A

nie mówiłem?” poczym dał delegatom sygnał, by się uciszyli.

Sullivan odwróciła się i ruszyła w głąb sali; jej twarz była purpurowa, a oczy płonęły intensywną zielenią.

Zajęła jedyne wolne miejsce – to, które opuścił Patton.

Rany, teraz dopiero jest na niego wściekła, pomyślał Steele.

Pewnie dlatego, że miał rację.

Najwyraźniej nie doceniła ryzyka.

Patton odczekał jeszcze chwilę, po czym przedstawił się i rzekł:

– Być może nie wszyscy z państwa wiedzą, ale pan Aimes miał na myśli to, iż w niektórych stanach prawodawcy wprowadzili coś, co nazwaliśmy ustawą o zniesławieniu warzywek.

Jej celem jest zdławienie wszelkich form otwartej dyskusji, choćby takiej jak ta, którą tu prowadzimy.

– Większość słuchaczy zareagowała śmiechem.

– Ale proszę się nie martwić.

Mądrzy politycy na Hawajach oparli się temu szaleństwu i dlatego możemy tu wypowiadać się swobodnie.

Bo choć niektórzy nazywają zniesławieniem dyskusję w gronie naukowców o potencjalnych skutkach inżynierii genetycznej, to doktor Sullivan i ja uważamy ją za przejaw zwykłej odpowiedzialności.

Głośne „buuu” zmieszały się tym razem z oklaskami, ale większość delegatów przyjęła tę deklarację w milczeniu.

Patton wskazał ręką na miejsce, w którym Aimes wciąż tkwił przy mikrofonie, spojrzał wprost na niego i dodał:

– Toczmy tu taką właśnie dyskusję, Sydney, która prowadzi do zorganizowania solidnych badań i przedstawienia twardych dowodów naukowych, których się domagasz.

Których wszyscy się domagamy.

Lecz jak wielokrotnie mówiła doktor Sullivan w swych publikacjach a ostatnio pisano o tym także na internetowej stronie programu „Na straży środowiska” przypadkowe skażenie roślinności wektorami genetycznymi nie może być prawidłowo ocenione, jeżeli badacze nie będą wiedzieli, jakie testy powinni wykonać i jakich użyć primerów.

– Tak, tak, Steve, wszyscy słyszeliśmy już te histeryczne przepowiednie – przerwał mu Aimes, przewracając oczami dla większego efektu.

– Jak zwykle, nie mówisz nam nic nowego!

Przenieś się może wreszcie do królestwa prawdziwej nauki i przyznaj, że nie istnieją dowody na to, że genetycznie modyfikowana żywność jest szkodliwa dla ludzkiego zdrowia.

Sposób, w jaki mówcy zwracali się do siebie, podpowiedział Steele’owi, że jest świadkiem jedynie kolejnego epizodu w publicznej wojnie, która toczy się od dawna.

W jego własnym świecie, świecie medycyny, podobne dysputy nie należały do rzadkości.

Był świadkiem wystarczająco wielu z nich, by doskonale znać objawy: przeciwnicy dobrze się znali, solidnie okopali się na swoich pozycjach i bezwstydnie powtarzali wiecznie te same argumenty, co jakiś czas jedynie zmieniając forum.

Typowym narzędziem takiej walki było przyjmowanie odpowiednich póz oraz przemawianie z

przesadną emfazą.

– Ależ mamy coś nowego, Sydney – oznajmił Patton.

Nacisnął klawisz sterownika połączonego kablem z gniazdkiem w podium i na ekranie ukazał się obraz tuzina kolorowych, pionowych pasów.

Aimes najpewniej nie spodziewał się tego diagramu, bo wpatrywał się weń jak zwierzę zahipnotyzowane blaskiem reflektorów nadjeżdżającej ciężarówki.

– Stowarzyszenie Błękitna Planeta dotarło do genetyków z wielu komercyjnych laboratoriów w różnych krajach, którzy dzielają nasze obawy w sprawie ryzyka związanego ze stosowaniem nagiego DNA – ciągnął tymczasem Patton.

– W tajemnicy dostarczyli nam własne wektory, a wraz z nimi próbki traw, drzew i innych roślin rosnących w pobliżu laboratoriów.

W sali rozległy się szepty podniecenia.

– Tak, panie i panowie.

Z dumą przedstawiam państwu nasze odkrycia, nareszcie bowiem mogliśmy przeprowadzić porządne badania próbek pod kątem przypadkowego skażenia genetycznego.

– Patton skierował wskaźnik laserowy na górną część wykresu słupkowego.

– Każdy pasek ilustruje odsetek pozytywnych rezultatów w każdym z laboratoriów.

Jak widać, we wszystkich przypadkach stwierdzono wysokie stężenie wektorów.

Tym razem to Aimesowi opadła szczęka, na sali zaś zapanował chaos.

– To zwyczajne łągarstwo – stwierdził, pozbierawszy się po chwili.

– Skąd mamy mieć pewność, że dowody nie są sfabrykowane? – zapytał i natychmiast zawtórował mu chór oskarżycielskich głosów.

Patton zignorował je całkowicie.

Prezentował kolejne wykresy, omawiając ich znaczenie i jak kaznodzieja raz po raz podnosząc głos, by przekrzyczeć chór protestów i wyrazów niedowierzania.

– Tutaj widzimy znaczącą koncentrację wektorów w listowiu, ale nie w korzeniach roślin, co oznacza, że skażenie nastąpiło z powietrza.

Znów odpowiedział mu głośny pomruk i głosy z sali:

– O mój Boże, nie.

– Sprzedaż poleci na pysk.

– Muszę zadzwonić do mojego maklera.

Reporterzy siedzący w głębi sali zaczęli się przemieszczać w stronę sceny, kolejno włączając potężne reflektory i kamery.

– Tutaj natomiast widzimy wysokie wartości w korzeniach i niższe w listowiu, co oznacza, że wchłonięcie DNA może także nastąpić z gleby.

Steele był coraz bardziej zaintrygowany płynącym z ekranu strumieniem informacji.

Wydawało mu się, że ledwie zaczyna rozumieć znaczenie tego wszystkiego, gdy usłyszał:

– I to już wszystkie przezrocza, drodzy państwo.

A teraz chciałbym prosić naszego eksperta od spraw zdrowia, doktora Richarda Steele'a, by podzielił się z nami swoją czysto medyczną opinią na temat potencjalnych zagrożeń dla ludzi, jakie może nieść tego typu skażenie.

Steele drgnął, wystraszony tym, że tak szybko oczekuje się jego opinii.

Poczuł się jeszcze dziwniej, gdy tak niesforna dotąd publiczność umilkła nagle, a jednocześnie skierowały się ku niemu wszystkie obiektywy kamer i aparatów.

– Dziękuję, panie Patton – zaczął, gdy ktoś podsunął mu i włączył mikrofon.

Spojrzał na czerwone światelko w jego podstawie, rozpaczliwie próbując zebrać myśli, a potem zerknął na Sullivan, mając nadzieję, że podsunie mu jakiś koncept.

– Niech pan zaakcentuje potrzebę przebadania pracowników laboratorium szepnęła mu życzliwie.

Jej twarz wróciła do swej normalnej barwy, a oczy nabrały profesjonalnego chłodu.

– Dzięki – mruknął, przyciągając bliżej mikrofon.

– To oczywiście, że te niezwykle odkrycia oznaczają potrzebę przeprowadzenia dalszych poważnych badań – zaczął – i to takich, które obejmą także ludzi, na początek zwłaszcza pracowników laboratoriów.

Steele urwał, wyczuwając, że idzie mu całkiem nieźle, po czym dodał: – Być może do czasu, aż w pełni rozpoznamy wpływ wektorów, wskazane byłoby stosowanie szczególnych środków ostrożności w obchodzeniu się z wektorami i w sposobach pozbywania się ich.

W sali rozległ się pomruk aprobaty.

– Chciałby pan, żebyśmy zapisali tę wypowiedź jako oficjalny wniosek? zapytał Patton.

– Oczywiście – odparł Steele, myśląc: dlaczego nie?

Jeśli powiedziało się A, trzeba powiedzieć B.

– Chwileczkę! – zagrzemiał w głośnikach głos Aimesa.

Aureola światel otaczająca Steele'a zwróciła się na powrót ku mikrofonowi na stanowczo zbyt niskiej mównicy, nad którym znów pochylał się zwalisty mężczyzna.

– Chciałbym zapytać pana Pattona, czy którykolwiek z jego szpiegów doniósł mu, że drzewa, trawy i inne rośliny z okolic laboratoriów podupadły na zdrowiu.

– Co takiego? – spytał ekolog.

– Powiedz nam, Steve, w jakim stanie były te rośliny?

Martwe?

Umierające?

A może stały się purpurowe w różowe groszki?

– Jasne, że nie warknął najeżony Patton.

– Nie dostały różowych groszków czy nie masz żadnych dowodów, że doznały jakiegokolwiek uszczerbku?

– Zdobycie dowodów na genetyczny uszczerbek wymaga lat badań, nowych pokoleń.

– Ach tak, zatem wracamy do waszego odwiecznego argumentu: „Za wcześnie, by coś stwierdzić”.

Zastanówmy się: drzewo może żyć choćby i kilkaset lat.

Sugerujesz, że do tego czasu powinniśmy ot tak, na wszelki wypadek, zamknąć wszystkie ośrodki bio-inżynieryjne?

– Dobrze wiesz, że nie to miałem na myśli.

– Bo tak naprawdę liczy się tylko to, czy te odrobiny DNA są szkodliwe dla kogokolwiek lub czegokolwiek – ciągnął Aimes.

– I dopóki nie udowodnisz, że są, nie masz prawa pyskować, że...

– Wzywam do głosowania nad wnioskiem doktora Steele – przerwał mu Patton, nie zwracając uwagi na zaciekle protesty i żywą gestykulację Aimesa.

Wniosek przeszedł z trudem, a proporcje głosów odzwierciedlały rozłam między handlowcami a uczonymi.

Aimes podszedł do Steele'a, gdy tylko Sullivan ogłosiła przerwę w obradach, a przedstawiciele mediów się rozeszli.

– Ty pieprzony draniu – wycodził – właśnie stworzyłeś stan zagrożenia dla gałęzi przemysłu wartej sto miliardów rocznie.

Co oznacza, że wielu Amerykanów może stracić pracę, a większość z nich, gdy tylko zobaczy cię w wieczornych wiadomościach, uzna cię za wroga numer jeden.

– A ja uważam, że wykazałem rozsądek – odparł cicho Steele.

– W żadnym biznesie nie wolno lekceważyć ryzyka dla zdrowia.

– Tu chodzi o handel, dupku, nie o medycynę, więc spieprzaj!

Sullivan, która czekała w pobliżu, podeszła i wzięła Steele'a pod ramię, gdy tylko Aimes się oddalił.

– Przypadkiem słyszałam.

To palant, ale niestety tak się składa, że palanty są w tej sprawie górą, przynajmniej w tym zakątku planety.

– Ruszyli razem w stronę jednego wyjść z sali konferencyjnej.

– Żartuje pani!

Jak oni mogą ignorować te badania?

– Mając tyle pieniędzy i taką władzę?

Całkiem spokojnie!

Steve ma rację, choć bardzo mnie dziś zirytował, mówiąc mi to prosto w twarz.

Dopóki nie zdobędę dowodu na bezpośrednie zagrożenie dla ludzi, idioci tacy jak Aimes będą blokowali każdy nasz krok.

Aż wreszcie dojdzie do katastrofy, której nie będą mogli tolerować nawet tacy jak on i banda jego tłustych kumpli.

A przy okazji, dobrze pan sobie poradził z mediami.

Będzie pan gwiazdą, przynajmniej tej jednej nocy, gdy tylko materiał dotrze do sieci telewizyjnych.

Mogę poprosić kolegów z Nowego Jorku, żeby zadzwonili do pańskiej rodziny i uprzedzili, że pokaże się pan w telewizji.

– Dzięki, ale to nie będzie konieczne – odparł Steele, chcąc osobiście zadzwonić do Cheta i Marthy.

Nie zamierzał przepuścić okazji do poinformowania ich, że nareszcie – i dla odmiany – zrobił coś naprawdę sensownego, zamiast zachowywać się jak pajac, którego musieli tolerować niemal dwa lata.

Zaraz potem jednak zadał sobie pytanie, czy propozycja Sullivan nie była aby dyskretną próbą wysondowania jego sytuacji małżeńskiej.

– Może więc postawię panu chociaż drinka? – zapytała, odrobinę zniżając głos.

Steele miał inne plany.

– Przykro mi, ale teraz nie mogę.

Mam nadzieję, że zaproszenie pozostanie otwarte?

– Jasne – odrzekła, uśmiechając się i uwalniając jego ramię.

W tym momencie spostrzegł ich Steve Patton, idący od strony drzwi.

Zawahał się na ułamek sekundy i zgubił rytm kroków, nieznacznie marszcząc brwi.

Zaraz jednak się opanował i zawołał, kierując się ku nim:

– Tu jesteście!

Jezu, Kathleen, nie wściekaj się, że znowu to mówię, ale twój upór w sprawie teorii o wektorach genetycznych i ptasiej grypie, nie podpartej dowodami, sprawia, że wychodzimy na idiotów.

Aimes polazł do holu i czaruje dziennikarzy, twierdząc, że zjawiając się tutaj jedynie ze spekulacjami.

Pozwólcie, że zacytuję sukinsyna: „sławna Kathleen Sullivan przyznaje otwarcie, że nie zdobyła ani strzępu dowodu łączącego genetycznie modyfikowaną żywność z ptasią grypą czy jakąkolwiek inną ludzką chorobą”.

Steele spostrzegł lekki rumieniec na policzkach Kathleen, ale zniknął on równie szybko, jak się pojawił.

Ku jego zdziwieniu znowu chwyciła go pod ramię i odpowiedziała spokojnie:

– To dureń.

Steele nie umiał stwierdzić, czy zdumienie Pattona wywołał jej spokój czy też to, że tak polubiła towarzystwo innego mężczyzny.

– Jasne, że tak – zgodził się stary ekolog po namyśle.

Ale dyskredytując ciebie, podważa też wyniki naszych badań.

Twierdzi wprost, że nasza sprawa to dym bez ognia.

„Robienie afery z paru łańcuchów nagiego DNA znalezionych w komórkach całkowicie zdrowych roślin”, tak to określił.

Kathleen, powiadam ci, jeśli on nie zmieni swojej śpiewki: „Nie ma dowodów na to, by ktokolwiek ucierpiał z powodu genetycznie modyfikowanej żywności” – tym razem parodia napuszonego stylu Aimesa wypadła doskonale – a my nie dostarczymy wkrótce twardych dowodów na to, że jest inaczej, to obawiam się, że uda mu się powstrzymać ONZ przed przyjęciem nowych regulacji w sprawie wektorów.

– A głosowanie? – wtrącił Steele.

– Mój wniosek przeszedł.

Oboje spojrzeli na niego jak na idiotę.

– Kathleen, znam cię dobrze – dodał Patton.

– Zawsze, gdy dajesz się ponieść spekulacjom, masz w głowie przynajmniej plan eksperymentu, który może dowieść słuszności lub niesłuszności twoich hipotez.

Jeżeli i tym razem trzymasz asa w rękawie i potrafiłabyś dowieść potencjalnego związku wektorów z przeniesieniem ptasiej grypy na ludzi, to teraz jest odpowiedni moment, by go użyć.

– Zrobię, co będę mogła – odrzekła.

I tym razem Patton wydawał się zaskoczony jej spokojem.

– Na pewno – odparł.

- A teraz przepraszam.
- Skinął głową obojgu na pożegnanie, odwrócił się i ruszył w tę samą stronę, z której przyszedł.
- Naprawdę spodziewa się pani zdobyć dowód? Spytał Steele, zaintrygowany jej słowami. Zależało mu, by utrzymać rozmowę w bezpiecznych granicach spraw czysto zawodowych. Nie zamierzał stać się pionkiem w grze, która toczyła się między Sullivan a Pattonem.
- Być może.
- Ale gdzie?
- Niedaleko stąd.
- Oswobodziła jego ramię po raz drugi. – Do zobaczenia jutro – dorzuciła, a potem, nie oglądając się za siebie, wyszła na ulicę.

Steele widział przez szybę, że Patton na nią czekał.

Próbował chwycić ją za łokieć, ale cofnęła ramię.

Poczerwieniał i ruszył za nią, wciąż coś do niej mówiąc i bez przerwy wymachując rękami.

Spojrzała na niego ze znużeniem, apotem zostawiła go na schodach.

Chryste, pomyślał Steele, spoglądając za nią.

Cały ten dzień to klasyczny „Jerry Springer Show” w wersji naukowej.



## Rozdział 8

Ukryła się w kępie palm.

Wysoko nad jej głową wiatr szarpał ich pióropusze tak hałaśliwie, jakby obok przejeżdżał pociąg.

Gdy spoglądała w górę, kojarzyły jej się z wielkimi miotłami usiłującymi zetrzeć z nocnego nieba wszystkie gwiazdy.

Przyglądała się też chmurom o srebrzystych wierzchołkach, nadciągającym od strony morza; ich ciężkie brzuchy prawie zahaczały o wierzchołki gór, które zostawiła za plecami.

Muszę się trzymać ich cienia, postanowiła, szykując się do sprinterskiego biegu na otwartej przestrzeni.

Kolejny raz przyjrzała się zalanej srebrną poświatą farmie, wypatrując jakiegokolwiek ruchu, ale prócz unoszących się raz po raz luźnych gontów niczego nie zauważyła.

Gdyby nie wiedziała, że w zapuszczonym domostwie mieszka Hacket, podejrzewałaby, że od dawna nikt tu nie zaglądał.

Budynek był szary i zasuszony, jak pusty pancerzyk zrzucony przez owada.

Mocno pochylona wreszcie wyskoczyła na pole porośnięte trawą sięgającą do pasa i puściła się biegiem w stronę domu.

Pół godziny wcześniej, tuż przed północą, zaparkowała wóz dobrych czterysta metrów stąd, poczym przeszła przez pola na tyły posiadłości Hacketa, gdzie liście i drzewa zapewniały jej jako taką osłonę.

Teraz jednak, pokonując dwieście metrów dzielących ją od ogrodzenia, przy którym znajdował się kurnik, czuła, że jest doskonale widoczna.

Próbowała trzymać się plam mroku sunących po ziemi w tym samym kierunku i nieustannie obserwowała dom, wyobrażając sobie, że Hacket stoi w jednym z tych ciemnych okien i nie spuszcza jej z oka.

Zasłony zwisały zupełnie nieruchomo po obu stronach szyb, niczym wartownicy, toteż przypuszczała, że budynek jest szczelnie zamknięty.

Pewnie gorąco tam jak w Hadesie, pomyślała, bo mimo wiatru nawet na otwartej przestrzeni nocne powietrze było ciepłe.

Kto może spać w takiej duchocie?

Cholera, może w ogóle nie ma go w domu?

Na ostatnich stu metrach bryła stodoły była już na tyle duża, że przesłoniła dom. Zbliżając się, usłyszała głośne skrzypienie i pojękiwania; drewniana budowla pracowała jak wielki okręt walczący z podmuchami wiatru.

Ledwie dopadła płotu i zaczęła biec wzdłuż niego, gdy rozległ się donośny huk, ogłuszający jak wystrzał armatni.

Stała jak wryta, czując przyspieszone bicie serca.

Przykucnęła i zajrzała między deski.

Zobaczyła szerokie drewniane drzwi z boku stodoły, kołyszące się na wietrze i raz po raz uderzające w ścianę.

Nie widząc żywej duszy, poderwała się znowu, przesadziła chwiejny płot, za którym się ukrywała, i przywarła do ziemi po drugiej stronie.

Parę sekund później była już przy kurniku i klęcząc, zbierała do próbek drobiny gleby, kępki trawy oraz kawałki zielska.

Jeżeli znajdzie w nich ślady wektorów genetycznych, myślała, dowiedę przynajmniej, że dotarły w pobliże zakażonych ptaków.

Może nie będzie to dowód w rodzaju dymiącego rewolweru, ale przynajmniej pierwsze ogniwo łańcucha dowodów pośrednich.

Znalazła też kilka zeschniętych ziaren kukurydzy. Pewnie resztką karmy, pomyślała, ładując je do pojemnika.

Serce omal jej nie stanęło, gdy za jej plecami rozległ się kolejny głośny huk drewnianych drzwi.

– Chryste – mruknęła, uspokajając się nieco.

Przez moment żałowała, że jej stosunki ze Steve'em popsęły się tak, że wołała nie prosić go o udział w tej wyprawie.

Gdy przestała z nim sypiać, zaczęły się problemy z jakimkolwiek wspólnym działaniem.

Sądziła, że Steve będzie bardziej taktowny, ale wszystko wskazywało na to, że z początku zwyczajnie nie mógł się pogodzić z jej decyzją.

Naciskał na nią, by znowu została Jego kochanką, aż wreszcie przestała się swobodnie czuć w jego towarzystwie.

To, czego tak bardzo chciała uniknąć – rozpad ich przyjaźni – wydawało się nieuniknione, aż wreszcie, po kilku tygodniach, Patton jakoś się pozbierał.

Przeprosił nawet i stopniowo znów stał się sobą.

– Wybacz głupotę facetowi w średnim wieku, Kathleen – powiedział jej przy kawie w stołówce studenckiej.

– Proszę, uznajmy to za spóźniony skutek głębokiego wpływu, jaki wywarłaś na starego lubieżnika.

Zapewniam cię, że nie jestem aż taki głupi, by pozwolić, żeby emocje zepsuły nasze stosunki zawodowe.

– Masz całkowitą rację, to zbyt ważna sprawa.

Współpraca trwała więc dalej, ale okazała się trudna, zwłaszcza w badaniach nad wektorami. – Zbyt często ich dyskusje o charakterze naukowym zyskiwały ładunek emocjonalny, który obojgu przeszkadzał w zachowaniu obiektywizmu.

W końcu jednak i ta faza minęła i szczęśliwie doprowadzili projekt badawczy do końca, przy okazji czyniąc pierwszy trudny krok na drodze do uczynienia przerwanej sprawy sprawą przeszłości.

Kathleen pozwoliła sobie nawet na nadzieję, że być może z czasem znowu staną się zgranym zespołem.

I dlatego postawa Steve'a, streszczona w słowach „a nie mówiłem”, tak bardzo rozwścieczyła ją tego dnia.

Była jak policzek po tyłu wysiłkach, jakie podejmowali, by na powrót być dobrymi kolegami, jeśli nie przyjaciółmi.

Ale się porobiło, pomyślała, żałując, że w ogóle dała mu się uwieźć. W tej chwili znacznie bardziej interesował ją Richard Steele.

Poprzedniego wieczoru, gdy wprowadzała go w zagadnienia konferencji, chwycił ich sens z szybkością, która zrobiła na niej wielkie wrażenie.

– Szybko się pan uczy pochwaliła go, gdy skończyli.

– A pani jest dobrą nauczycielką – odparł, wreszcie zapominając o poważnej minie i całkiem niespodziewanie obdarzając ją czarującym uśmiechem.

Omal nie wypaliła, że powinien to robić częściej.

Zdumiała ją, jak atrakcyjny stał się w tym momencie.

– Dziękuję odpowiedziała.

Rozmawiali jeszcze o sprawach zawodowych, o Nowym Jorku, o polityce uniwersytetu, a najwięcej o wpływie jej specjalności na jego praktykę medyczną.

W końcu przyznał, że zmęczyła go podróż, i zostawił ją.

Wspólnie spędzony czas wystarczył jej jednak, by uznać go za mężczyznę, który w sensie intelektualnym potrafi dotrzymać jej kroku.

Odkąd rozwiodła się przed pięciu laty, miała romanse, ale każdy z nich trafiał w końcu na tę samą mieliznę: trudność, z jaką męskie ego przyjmowało jej wrodzoną inteligencję oraz sukcesy zawodowe.

Wyjątkiem był Steve Patton.

Jak na ironię, zawsze zachwycił się jej intelektem i z autentyczną przyjemnością przyjmował jej zwycięstwa w rozwiązywaniu problemów naukowych – być może właśnie to, jako zupełna nowość, najbardziej ją urzekło w początkowej fazie znajomości.

Choć oczywiście, jego zdaniem, to nie „kompatybilność umysłów” była fundamentem tego związku.

A jednak właśnie bystrość Steele’a wydawała się jej pociągająca. Choć może niekoniecznie zamierzała już teraz zrobić coś w tej sprawie.

Zaproponowała mu drinka głównie po to, żeby dowiedzieć się o nim czegoś więcej i być może poprosić o pomoc.

Gdy odmówił, twierdząc, że ma inne plany, było jej zbyt głupio, by namawiać go do udziału w nocnej eskapadzie na farmę.

Zauważyła go później z Sandrą Arness w hotelowym barze i już nie musiała się zastanawiać, jakie to „plany” miał na myśli.

Boże, ależ ona ma udękę w oczach, pomyślała wtedy.

Zaraz jednak przeniosła spojrzenie na Steele’a i odniosła wrażenie, że podobny smutek dostrzega i w jego spojrzeniu.

Być może i on zмага się z demonami przeszłości, przemknęło jej przez głowę.

Powracając do zbierania próbek, musiała przyznać w duchu, że na widok tych dwojga w barze poczuła coś więcej niż ukłucie zazdrości.

Do diabła, jak to jest, że dwoje smutasów zawsze odnajdzie się w tłumie? – mruknęła.

Była zła, że została pominięta, nawet jeśli miałaby to być tylko jednorazowa przygoda, z której pewnie i tak wycofałaby się w ostatniej chwili.

Z niepotrzebną siłą szarpnęła kolejną kępe zielska z niezadeptanego miejsca przy narożniku

kurnika i zauważyła, że wraz z nią trafiła się łodyga kukurydzy, bezwątpienia wyrosnięta z niedojedzonej karmy.

Później ją opiszę, postanowiła, pragnąc wydostać się stąd jak najszybciej.

Bezceremonialnie wcisnęła próbki do torby.

Potrzebowała jednak także próbek słomy i karmy z wnętrza kurnika; być może znalazłyby się na nich odchody ptaków, a gdyby udało się odnaleźć w nich wektory, miałyby dowód na istnienie kolejnego niezbędnego ogniwa w łańcuchu zdarzeń, który sobie wyobraziła.

Byłby to znak, że nośniki genetyczne zaprojektowane specjalnie, by wywołać mutację, naprawdę docierały do zarażonych ptaków i mogły wraz z wirusem dotrzeć do ciała dziecka.

Najlepiej zaś, myślała, byłoby znaleźć w ptasich odchodach samego wirusa i poszukać w nim wektorów, ale po tak długim czasie było to raczej mało prawdopodobne.

Niestety, nie było już okazów wirusa znalezionych w ciele chłopca.

Pracownicy CDC w Atlancie pozbyli się próbek nadesłanych przez doktor Carr, gdy tylko uznano, że groźba epidemii została zażegnana.

Wyjęła z torby lateksowe rękawice i włożyła je na wypadek, gdyby miała się natknąć na cudem ocalałego wirusa, po czym odnalazła koślawe drzwiczki kurnika.

Gdy je otwierała, skrzypnęły tak przeraźliwie, że przez moment spodziewała się zobaczyć w oknie Hacketa.

Nonsens, pomyślała uspokajająco.

Nawet jeśli jest w domu i coś usłyszysz, uzna, że to sprawka wiatru.

Mimo to na wszelki wypadek podbiegła jeszcze do węgła stodoły, by sprawdzić, czy za żadną z szyb nie zapaliło się światło.

W pierwszej chwili dom wyglądał na równie ciemny i opuszczony jak wcześniej. Ale gdy już miała się odwrócić, dostrzegła błądy, zamazany kontur twarzy za jednym z brudnych okien na piętrze.

Twarzy, która spoglądała wprost na nią.

Przez warstwę kurzu i w nędznym świetle nie umiała rozpoznać jej rysów, zauważyła tylko oczy, które wyglądały jak ciemne plamy na pośmiertnej masce, nie wiedzieć czemu zawieszony w powietrzu.

Twarz obróciła się gwałtownie i zniknęła.

O Boże, pomyślała Sullivan i rzuciła się biegiem w stronę kurnika.

Otworzyła drzwi, wpadła do środka, sięgnęła ku częściowo zadaszonym grzędom i wyszarpnęła garść słomy.

Nie miała czasu i światła, by sprawdzić, czy próbka jest wystarczająco zanieczyszczona odchodami.

Wepchnęła ją do torby, wymknęła się na zewnątrz i pobiegła ku ogrodzeniu.

Nagle księżyc wychynął zza chmur, pola zajaśniały srebrnym blaskiem i każdy szczegół krajobrazu stał się widoczny jak na dłoni.

Dwustumetrowy szlak, który wydeptała, odcinał się ciemną linią wśród wysokich traw. Gdyby ruszyła nim w drogę powrotną, bez trudu zostałaby namierzona.

Przez szum wiatru przebił się huk otwieranych z impetem drzwi domu, a zaraz potem czyjś krzyk.

Nie była pewna, czy twarz, którą widziała, należała do Hacketa, ale wciąż pamiętała jego słowa: „Na natrętów mam strzelbę!

„ Czy staruch mógł być naprawdę aż tak szalony, by kogoś postrzelić?

Gdyby puścił się w pogoń za nią, nie zdążyłaby się schronić w lesie. Odwróciła się, gorączkowo poszukując kryjówek na terenie farmy. Rzuciła się w stronę drzwi, wciąż z hukiem tłukących o krzywą ościeżnicę.

Schylona wbiegła do środka i zamknęła je za sobą, ale zaraz uświadomiła sobie, że Hacket może zauważyć, iż nagle ucichły.

Uchyliła je nieznacznie, tylko na tyle, by wyjrzeć na zewnątrz.

Gdyby wypatrzyła gospodarza, puściłaby je swobodnie, by znowu huknęły o ścianę.

Jednak ku jej zdumieniu w polu widzenia pojawiły się dwie postacie: obie w kapturach i z bronią w ręku.

Na końcach luf skierowanych ku górze spostrzegła zarys pękatek cylindrów.

Pistolety z tłumikami!

Sullivan poczuła, jak niewidzialna ręka ściska jej żołądek i całą resztę przewodu pokarmowego, aż po przełyk.

Siłą woli opanowując drżenie kolan, rozglądała się gorączkowo.

I tylko cząstka jej umysłu zachowała zdolność trzeźwego myślenia, zadając pytanie: po co Hacketowi ludzie z tłumikami?

Nieznajomi rozmawiali ze sobą w języku, którego nie rozumiała.

Zauważyła, że skóra ich dłoni jest smagła, i początkowo sądziła, że to rdzenni Hawajczycy rozmawiający w którymś z polinezyjskich dialektów.

Tylko że szorstkie dźwięki w niczym nie przypominały miękkich słów, które słyszała ostatnio na wyspie.

Dwaj mężczyźni zniknęli z jej pola widzenia.

Ile by dała, żeby wiedzieć, dokąd poszli!

Nasłuchiwanie ich kroków nie miało sensu, bo szumi świst wiatru w przewiewnej, skrzypiącej stodole zagłuszał wszelkie ciche odgłosy.

Musiała znaleźć inny punkt obserwacyjny.

Wolniutko domknęła drzwi, założyła skobel i rozejrzała się w poszukiwaniu okna lub innego otworu w ścianie.

Dostrzegła promień księżycowego światła wpadający przez brudny prostokąt szkła po prawej stronie.

Minęło kilka sekund, nim jej oczy przyzwyczyły się do ciemności, i rozejrzawszy się, zrozumiała, że trafiła do ciasnej komórki bez wyjścia.

Ruszyła w stronę sterty narzędzi rzuconych wprost na klepisko – były tam szufle, widły i grabie.

Po kilku krokach potknęła się o kłęb gumowego węża, straciła równowagę i huknęła kolanami o żelazny pręt.

Krzyknęła z bólu, lecz zaraz umilkła, nasłuchując, by się przekonać, czy ktoś ją usłyszał.

Nie oddychała nawet, zasłuchana w świst wiatru.

Nikt nie podbiegł do drzwi.

Poderwała się z ziemi i po kilku krokach była już przy oknie. Musiała stanąć na palcach, by wyrzeć na zewnątrz.

Natychmiast spostrzegła jednego z mężczyzn: stał w świetle księżyca, tuż przy ogrodzeniu, wpatrzony w pole.

Drugiego nie było.

Pomyślała, że być może jednak przyczaił się tu, za drzwiami.

Potrzebowała jakiejś kryjówki w panice rozglądała się na wszystkie strony, ale nie znalazła odpowiedniego miejsca.

Mężczyzna stojący przy ogrodzeniu zawołał, a odpowiedź nadeszła gdzieś od strony pola.

Dzięki Bogu, pomyślała, wdzięczna za chwilę ulgi.

Świetnie, ale kiedy już sprawdzą pole, zajrzą i do stodoły!

Najwyższy czas wezwać kawalerię.

Drżącą dłonią sięgnęła do torby, wyjęła telefon i wybrała numer 911.

– Jestem na farmie niejakiego Hacketa, tuż przy nadmorskiej szosie na północ od Kailua wyszeptana, gdy zgłosiła się policyjna telefonistka, nie przestając obserwować mężczyzny stojącego przy płocie.

– Ściga mnie dwóch mężczyzn.

Obaj mają pistolety z tłumikami!

– Proszę pozostać przy telefonie! – poleciła policjantka.

– Miejscowa policja będzie tam za parę minut.

– Ma pani jakąś kryjówkę?

Czuwający przy ogrodzeniu odwrócił się w stronę stodoły i przyglądał przez chwilę jej tylnej ścianie.

Wreszcie przerzucił nogę nad płotem, zeskoczył na ziemię i ruszył w stronę drzwi, które Sullivan zamknęła chwilę wcześniej.

– O Boże, on tu idzie! – pisnęła do słuchawki.

– Ma pani broń? – spytała policjantka.

– Nie!

– Gdzie się pani ukryła?

– W stodole. Drzwi są zamknięte, ale otworzy je bez trudu i zobaczy mnie.

– Nie ma innego wyjścia na zewnątrz.

Sullivan wtuliła się w ścianę, by choćby pod ostrym kątem móc obserwować nadchodzącego napastnika.

– Czy on już wie, że pani tam jest?

– Podejrzewa. Już nie mogę mówić, usłyszysz mnie.

– Jeszcze jedno pytanie. Drzwi otwierają się do środka czy na zewnątrz?

– Na zewnątrz.

– Więc słuchaj uważnie, skarbie: znajdź coś ciężkiego, jakieś narzędzie, rurkę, choćby kawał drewna, stań po stronie zawiasów i bądź gotowa walnąć go porządnie, ale nie wcześniej, niż wsunie głowę do środka, żeby się rozejrzeć.

Sullivan zamknęła telefon, położyła go z torbą na ziemi i chwyciła oskard.

Ledwie zdążyła zająć pozycję, gdy napastnik szarpnął wielkimi drzwiami stodoły, sprawdzając

solidność zamka.

Zaraz potem wymierzył serię potężnych kopnięć; deski za plecami Sullivan trzęsły się tak mocno, że musiała się zaprzeć nogami, by nie dać się odrzucić od ściany.

Zobaczy mnie i zastrzeli, zanim go zdzieję, myślała w panice potęgowanej każdym kolejnym kopnięciem.

A jeśli nawet zdążę, to załatwi mnie ten drugi.

Rozległ się trzask pękającego drewna i deska tuż obok skobla wygięła się w łuk. Po kilku kolejnych kopniakach pękła i odpadła, a w otworze pojawiła się ręka.

Macając ostrożnie, nieuchronnie zbliżała się do skobla i pętli, o którą był zahaczony.

Sullivan mocniej zacisnęła dłonie na trzonku oskarda, ustawiła narzędzie poziomo i przyjąwszy pozycję baseballowego pałkarza, z całej siły wyprowadziła cios.

Nie trafiła w sam środek dłoni, ale zaostrzona stal bez trudu przebiła ciało i kości, grzęznąąc głęboko w drewnie.

Palce rozcapierzyły się w okamgnieniu, a z zewnątrz dobiegł głośny wrzask bólu.

Przebita dłoń drżała i wiała się niczym konający pająk.

Wiedząc, że ranny intruz może użyć drugiej ręki, zbrojnej w pistolet, Sullivan nie traciła czasu: otworzyła skobel i z całej siły pchnęła drzwi.

Wrzask stał się jeszcze głośniejszy, gdy wiatr uderzył w rozległą powierzchnię desek i wraz z nimi porwał przybitego do nich mężczyznę.

W szczelinie pod drzwiami Sullivan zobaczyła tylko jego stopy, gdy ze wszystkich sił starał się zatrzymać szarpane wiatrem skrzydło.

Nie miał jednak szans: wiatr dmuchał w otwarte drzwi jak w żagiel i wreszcie zwyciężył; napastnik próbował jeszcze przebierać nogami, by cofając się, utrzymać przynajmniej pionową pozycję, ale stracił równowagę i drzwi pociągnęły go za sobą, uwieszonego za przebitą oskardem dłoń, by z hukiem zatrzymać się na ścianie stodoły.

Rycząc z bólu, upuścił pistolet na ziemię i wolną ręką pochwycił trzonek oskarda, próbując wyrwać go z deski.

Ignorując jego wycie i szlochy, Sullivan wybiegła zanim, podniosła broń i rozejrzała się w poszukiwaniu jego partnera.

Gdy go zobaczyła, biegł już w jej stronę, ale dzieliło ich jeszcze dobre sto metrów.

Zawróciła przez prawe ramię i pobiegła ku dalekiemu narożnikowi stodoły.

Gdy znikwała za węglem, usłyszała tuż koło ucha jakby bzyk przelatującej osy.

– Szlag! – zawołała, skręcając w stronę domu i wijącej się za nim szosy.

Biegła, zmagając się z porywistym wiatrem, prawie bez tchu, czując w piersi palący ból.

Wiedziała, że na dłuższym dystansie nie ma szans.

W jej głowie pojawiały się dyktowane rozpaczą plany.

Od domu dzieliło ją może sześćdziesiąt metrów.

Mogła na przykład ukryć się po drugiej stronie i posługując się bronią, utrzymać napastnika na dystans, czekając na przybycie policji.

Tyle że przedmiot, który ścisnęła w dłoni, był jej zupełnie obcy i wcale nie była pewna, czy potrafi zeń strzelać.

Jeden z guziczków z boku zapewne służył do odbezpieczenia pistoletu, ale teraz nie miała

czasu zastanawiać się nad tym.

Pomyślała, że może zdołałaby dotrzeć do szosy i zatrzymać przejeżdżający samochód.

Pamiętała z poprzedniej wizyty, że odległość nie była zbyt wielka. Spojrzała przez ramię za siebie; przeciwnik jeszcze się nie pojawił.

Może się zatrzymał, żeby pomóc koledze, pomyślała z nadzieją.

I wtedy przypomniała sobie o Hackecie i jego strzelbie.

Może czał się na nią w domu?

W jednej chwili zwolniła i niespokojnie spojrzała w zasłonięte okna.

Nie zauważyła go za żadną ze srebrzystych firan, ale przypuszczała, że właśnie tam się ukrywa.

Jak najbliżej podstawy murów, tam będzie mu trudno trafić, podpowiadał jej instynkt.

Przypieszyła, spodziewając się, że lada chwila w jej ciało wbije się kula.

Lecz choć biegła z całych sił, odległość dzieląca ją od domu zdawała się rosnąć, jakby Kathleen biegła w koszmarnym śnie.

Znów spojrzała za siebie, by sprawdzić, czy stamtąd nadejdzie śmierć.

Nikogo nie zobaczyła.

Mimo to zaczęła zygzakować, żeby utrudnić przeciwnikom celowanie.

Przy każdym kroku wyęczała słuch, próbując namierzyć choćby najcichszy odgłos syreny, lecz wciąż słyszała jedynie szum wiatru i własny oddech.

Minęło ledwie parę minut, odkąd zatelefonowałam, pocieszała się, i tylko wydaje się, że to cała wieczność.

Jednocześnie przeklinała w duchu własną krótkowzroczność: dlaczego nie zapamiętała dokładnego adresu?

A jeśli nazwa „farma Hacketa” nie była dla policji wystarczająco precyzyjną informacją?

Nie mogli przecież namierzyć jej telefonu komórkowego.

Może w ogóle nie ruszyli na pomoc?

Na myśl o tej ewentualności poczuła na podniebieniu smak żółci i omal nie straciła resztek nadziei na ocalenie.

Dobiegając do pierwszych okien na parterze, dławiła się już kwaśnym płynem; zaczęła kaszleć, a siła spazmów omal nie zwała jej z nóg.

Znów spojrzała przez ramię i tym razem zobaczyła wroga, który właśnie wypadł zza węgła stodoły.

W ciemności między nimi, mniej więcej na wysokości piersi, pojawiły się jaskrawe rozbłyski i niemal w tej samej chwili powietrze wokół Sullivan wypełniło się brzęczeniem całego roju rozjuszonych szerszeni.

Przerażenie wyłączyło w niej resztki logicznego myślenia.

Spostrzegła najbliższą kryjówkę – otwarte drzwi głównego wejścia do domu, o kilka metrów po lewej – i instynktownie rzuciła się ku nim, wprost w złowrogi mrok holu.

Ładując, prawie nie czuła bólu w zdartych kolanach i rękach; myślała wyłącznie o tym, by uciec przed napastnikiem.

Wyczerpana, z trudem poderwała się z podłogi i pobiegła w ciemność, ale potknęła się na schodach i przewróciła raz jeszcze – tym razem uderzenie wycisnęło powietrze z jej płuc i krzyknęła głośno.



Podniosła się jednak szybko i wbiegła po stopniach. Dotarłszy do końca, wymacała drzwi w ścianie i skryła się za nimi, nasłuchując.

Tupot kroków dobiegł od strony drzwi wejściowych do domu.

W panice rozejrzała się po pokoju tonącym w księżycowej poświacie, szukając lepszej kryjówki.

I wtedy zobaczyła Hacketa: siedział w wielkim fotelu, spoglądając prosto na nią.

Zduśiła w sobie krzyk i już miała wybiec z powrotem na korytarz, by nie dać mu się złapać, gdy nagle uświadomiła sobie, że jest nieruchomy.

Odetchnęła i zbliżyła się do niego na palcach, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Jego ramiona zwisały dziwnie luźno, a z bliska dał się wyczuć bijący od niego kwaśny odór moczu z nieco słodsza wonią kału.

Walcząc z mdłościami, zbliżyła dłoń do fałdów skóry wylewających się spod kołnierzyka, by sprawdzić mu tętno.

Gdy go dotknęła, głowa Hacketa opadła na jej rękę, jakby był szmacianą lalką, a może raczej workiem połamanych kości, sądząc po upiornym skrzypieniu w karku.

Głośne kroki na schodach wyrwały Sullivan z szoku, a instynkt kazał zanurkować wprost za wielki fotel, na którym spoczywało ciało Hacketa.

Kuląc się w jego cieniu, słuchała, jak uzbrojony napastnik zbliża się do pokoju. I wtedy wydało jej się, że do szumu wiatru dołączył nowy dźwięk: ciche, dalekie wycie syreny.

Sekundę później drzwi otworzyły się gwałtownie i mężczyzna wtargnął do środka.

Nie widziała go ze swej kryjówki, ale nie słysząc skrzypienia drewnianej podłogi, uznała, że stanął za progiem zupełnie nieruchomo.

Ściskając w dłoni pistolet, słuchała jego ciężkiego oddechu, usiłując zapanować nad własnym.

Pewnie zaraz usłyszysz nadjeżdżający radiowóz i ucieknie, pomyślała.

Lecz on nawet się nie poruszył.

Proszę, odejź stąd, modliła się w milczeniu.

Żadnej reakcji.

Chryste, przecież musiał zrozumieć, że gliny już jadą.

Dlaczego nie ucieka?

Mężczyzna ruszył energicznym krokiem, minął foteli stanął przy oknie.

Gdy spoglądał w dal, widziała jego plecy i prawą rękę zaciśniętą na broni.

O Boże, pomyślała, wpatrując się szeroko otwartymi oczami w jego sylwetkę widoczną na tle okna.

Nie była pewna, czy nie zobaczy jej, gdy tylko się odwróci.

Wiedziała, że powinna przynajmniej ukryć twarz, ale teraz, gdy stał ledwie o trzy metry od niej, najcichszy nawet szelestu brania zwróciłby jego uwagę.

Postanowiła, że lepiej będzie go zranić.

Wstrzymując oddech, wolniutko uniosła pistolet, skierowała lufę na górną część jego pleców i przesunęła odrobinę w prawo, celując w bark.

Pomału wypuszczając powietrze z płuc, nacisnęła spust.

Nie ustąpił.

Omali nie krzyknęła z rozpaczy.

Opanowała się jednak zaczęła przesuwac kciuk, szukając wybruszeń, które zauważyła wcześniej na kolbie. Jedno z nich wydało jej się tym właściwe, więc nacisnęła je.

Nic.

Ponownie pociągnęła za spust.

Ani drgnął.

Kolejna próba również spelzła na niczym.

Sparaliżowana strachem na myśl o tym, że intruz odwróci się i zobaczy ją, bezszelestnie położyła broń na podłodze i opuściła głowę, kryjąc ją w ramionach.

Czekała, nie mając odwagi nawet zerknąć na niego; nie słyszała niczego poza szumem wiatru i coraz głośniejszymi syrenami.

Jeśli musisz mnie zabić, modliła się, to przynajmniej strzel mi prosto w głowę.

## Rozdział 9

Steele obudził się na dźwięk syren policyjnych wozów, które mknęły i cichły kolejno w niezbyt odległym miejscu.

Gdy wyłączyła się ostatnia, leżał, nasłuchując huku fali zderzającej się ze skałami dziesięć metrów poniżej tarasu, zmieszanego z nieustannym szelestem palmowych pióropuszy kołysanych wiatrem.

Od czasu do czasu silniejszy podmuch wprawiał długie, sztywne liście w pionowy łopot i rosnące najbliżej budynku zaczynały uderzać o listewki otwartych okiennic, niczym długie palce o tarkę do prania.

Odgłosy nocy były tak donośne, że minęło kilka sekund, nim usłyszał cichutki płacz Sandry u jego boku.

Odwrócił się ku niej i zobaczył w świetle księżycy elegancką linię jej nagich pleców, bioder i nóg, których widok tak go rozpałił poprzedniego wieczoru.

Teraz jednak drżała pod jego spojrzeniem, wzbudzając smutek, niepożądanie.

Uprawiali seks, ale bez powodzenia.

Zaczęli z zapalem, łapczywie lgnąc do siebie.

Błądził po jej ciele dłońmi i ustami, jak człowiek, który po długiej głodówce rzuca się na pierwszy posiłek.

Odpowiadała w podobnym stylu, ponaglając go, by ją pieścił i szybciej odnajdywał te szczególne miejsca, apotem spieszył do kolejnych.

Lecz choć była tak aktywna, nie jęczała z rozkoszy, a w jej głosie pojawiała się rozpaczliwa nuta, jakby nie działała żadna ze sztuczek, które na niej próbował.

Gdy w nią wszedł, była sucha.

Chciał się wycofać, by nie sprawiać jej bólu, lecz ona z tym większą natarczywością zachęcała go, by kontynuował, prężąc się i prosząc, by działał mocniej – tak długo, aż Steele stracił siły i chęć.

Zupełnie bez formy, zirytowany własną niemożnością doprowadzenia Sandry na szczyt i zawstydzony kondycją swego libido, nie mógł zrobić absolutnie nic.

– Wolałabyś, żebym już poszedł? – spytał zażenowany fatalnym występem.

– Nie! Nie odchodź – poprosiła, przyciągając go ku sobie.

– Może spróbujemy później?

Nie odpowiedziała.

Leżała, trzymając go w ramionach i wpatrując się w ciemność.

Gładził jej włosy i plecy, aż zasnęła i przewróciła się na drugi bok.

Właśnie wtedy, gdy księżyc przyświecał jaśniej między pędzącymi chmurami, miał czas, żeby przyjrzeć się jej sypialni.

Była martwa jak reszta domu Sandry: schludnie urządzone, uporządkowane, żadnych szpargałów, żadnych książek, płyt czy czasopism, niczego, co tworzyłoby nastrój relaksu, swobody, ciepła.

Sterylności dodawał jej także brak rodzinnych fotografii, choć prostokąty mniej wyblakłej farby

na ścianach podpowiadały Steele'owi, że dawniej wisiały tam obrazki, których Sandra nie chciała już oglądać.

Jako lekarz podejrzewał, że są to skutki metodycznej działalności, prawdopodobnie będącej odbiciem całego jej życia.

Tworzenie surowych ram, sztywnych struktur, wrażenia pełnej kontroli, a także usuwanie pamiątek z przeszłości wszystko to było w gruncie rzeczy tą samą strategią, którą on również stosował: strategią panowania nad straszliwą desperacją, której przejawów był świadkiem.

Jest tak krucha jak porcelana, a ten dziki seks zburzył jej starannie przygotowaną obronę, uwalniając Bóg wie jak głęboki ból, diagnozował w myślach na chwilę przed zaśnięciem.

I żałował, że w ogóle się w to zaangażował.

Teraz zaś, widząc ją we łzach, tylko utwierdził się w swej ocenie sytuacji.

Próbował wyłączyć swój chłodny, medyczny umysł, nie analizować jej cierpień, nie klasyfikować i nie szufladkować objawów, gdy tak leżeli nadzy w pościeli, ale równie dobrze mógłby próbować przestać oddychać.

Dobrze wyćwiczony umysł lekarza nigdy nie przechodzi do porządku dziennego nad najmniejszym przejawem choroby: musi badać i diagnozować, nawet gdy chodzi o najbliższych.

I dlatego, choć wydawało mu się to niestosowne, jego umysł kontynuował analizę i formułował wnioski: kobieta, która łkała we własnym łóżku, nie była potencjalną kochanką; była udręczoną duszą wymagającą fachowej pomocy.

Czując, że otwiera się między nimi przepaść nie do przebycia, Steele zapytał łagodnie:

– Sandro, co mogę dla ciebie zrobić?

– Nic – szepnęła, nie odwracając się.

– Nikt nie może już nic dla mnie zrobić.

– Dlaczego? Powiedz mi, o co chodzi.

Nie sądzisz chyba, że to partactwo z mojej strony, które miało być udanym seksem, ma jakikolwiek związek z tobą.

– Richard, nie jestem aż tak płytka odparła.

– Ja mówię o żalobie.

Kiedy cię poznałam, kiedy się dowiedziałam, jak z nią walczysz, i zobaczyłam, że mnie pragniesz, pomyślałam, że może uda mi się uciec z własnego piekła choć na chwilę, na jedną noc.

Nie udało się.

I chyba nigdy się nie uda.

– O żalobie?

Mówiłaś przecież, że jesteś rozwiedziona.

– Twój mąż nie żyje?

Zadając pytania, czuł się jak lekarz spisujący historię choroby.

Nie od razu odpowiedziała.

– Nie.

Straciłam dziecko – wyznała w końcu głosem niewiele donośniejszym od szeptu.

– Mój śliczny, mały Tommy odszedł półtora roku temu. Zabiła go ta ptasia grypa, o której dyskutowaliście dziś przez cały dzień.

Steele nagle poczuł suchość w ustach.

– Ledwie skończył trzy latka ciągnęła.

Od jego śmierci każda minuta jest dla mnie męką, a wszystko, co robię, zwyczajnie nie ma sensu.

Spokój ducha znajduję tylko w tych paru sekundach, gdy budzę się rano i jeszcze nie pamiętam, że on nie żyje.

Przypuszczam, że jestem jedną z tych osób, dla których ten stan rzeczy nigdy się nie odменя, które nie radzą sobie z tym.

– Znam takich ludzi, choćby z własnej praktyki.

Są jak żywe trupy.

Richard daremnie szukał odpowiednich słów.

Sandra mówiła dalej:

– Poszłam na tę konferencję z tego samego powodu, dla którego bliscy ofiary morderstwa uczestniczą w egzekucji zabójcy.

Sądziłam, że pomoże mi to w zamknięciu tego rozdziału, gdy zobaczę ekspertów, którzy wytłumaczą mi, dlaczego mój syn musiał umrzeć, zademonstrują to, jak w końcu udało im się pokonać sprawcę, jak moja profesja zwycięża i panuje nad tą przeklętą chorobą!

– W jej głosie pojawiła się nagła gorzkość, a ramionami wstrząsnął silniejszy szloch.

– Niestety, nie pomogło – załkała.

– Nic nie zmieni tego, jak straszliwie za nim tęsknię.

Absolutnie nic.

Steele nie mógł wydobyć z siebie głosu.

Przez całe dorosłe życie próbował pocieszać żywych nad ciałami zmarłych i doświadczenie nauczyło go, że bez względu na to, jak bardzo będzie się starał, żadne słowa nie przyniosą ulgi rodzicowi, który stracił dziecko.

– Sandro, tak mi przykro – wyszeptał, zbliżając się do niej i wyciągając ramię, by ją objąć.

Nareszcie przestała być dla niego „trudnym przypadkiem”, stała się bratnią duszą, rodzicem przytłoczonym tragedią, której sam nigdy nie chciałby doświadczyć.

– Tak bardzo, bardzo mi przykro – powtarzał.

Noc była gorąca, ale ciało Sandry pozostało zimne jak lód.

Gdy obudził się po raz drugi, nie było jej w łóżku.

– Sandra? zawołał cicho.

Bez odpowiedzi.

Spojrzał na podświetlaną tarczę zegarka.

Dochodziła druga dziesięć.

Spał niespełna godzinę.

– Sandra? – powtórzył, tym razem głośno, wstając z łóżka. I wtedy ją zobaczył.

Stała naga na niskim kamiennym murku otaczającym taras.

– Sandra! – krzyknął i skoczył ku szklanym drzwiom, które ich dzieliły.

Nie poruszyła się.

Stała plecami do niego, w lekkim rozkroku, tak samo jak wtedy, gdy zobaczył ją po raz pierwszy, tyle że teraz jej długie włosy nie były zaplecione w warkocz.

Z rozmachem odsunął drzwi i całym ciałem poczuł gwałtowny szkwał.

Gdzieś w dole lawina wody przewalała się po twardych koralowcach.

– Sandra, na miłość boską! – zawołał błagalnie, biegnąc w stronę odległego o dziesięć metrów murka.

W świetle księżyca jej skóra wydawała się biała jak marmur i równie nieprzenikniona.

Richard nigdy się nie dowiedział, czy w huku fal Sandra usłyszała jego wołanie.

Zanim ją pochwycił, ugięła kolana, wzbila się w powietrze i zniknęła za krawędzią urwiska w perfekcyjnie oddanym skoku.

– Miała pani cholernie dużo szczęścia, że nie wypatrzył pani za tym fotelem – rzekł detektyw kierujący śledztwem.

– Wiem – odpowiedziała Kathleen Sullivan ledwie słyszalnym głosem.

Policjant spoglądał na nią nachmurzony, opierając się o otwarte tylne drzwi wozu patrolowego, w którym siedziała.

Nie wyglądał na zachwyconego wyjaśnieniami, które usłyszał w odpowiedzi na pytanie o powody nocnej wyprawy.

Sullivan nie bardzo wiedziała, jakich jeszcze przydatnych informacji mogłaby udzielić; wtuliła się w kanapę i spróbowała zapanować nad drgawkami.

O tym, że wydarzenia tak się potoczyły, a zabójca nie wypatrzył jej za fotelem, zdecydował detal: chmura, która przesłoniła księżyc na tych kilka sekund, gdy odwracał się plecami do okna i wybiegał z pokoju.

– Czego oni tu szukali?

I dlaczego zabili pana Hacketa? – spytała po długiej chwili.

Policjant westchnął ciężko.

– Wydaje się, że przeszkodziła im pani w wyjątkowo brutalnym włamaniu.

Prawdopodobnie próbowali go obrabować w dzisiejszych czasach ludzie giną nawet i za mniej niż sto dolarów.

Starzy ludzie mieszkający na odludziu są idealnym celem. Wszyscy tu znali pana Hacketa, nawet my. Plotka głosi, że ostatnio był przy forsie.

Ponad rok temu porzucił rolnictwo i kupił sobie piękny, nowiutki wóz. Niektórzy twierdzą nawet, że w tej starej ruderze ukrywał fortunę.

W to akurat nie wierzę, bo wszystko wskazuje na to, że żył z dnia na dzień. Przypuszczam natomiast, że same opowieści o ukrytym majątku mogły zwabić zabójców.

Pewne jest to, że go zaskoczyli.

Nie zdążył nawet sięgnąć po tę swoją strzelbę, stała w holu, naładowana i gotowa do strzału. Pewnie próbowali go zastraszyć, żeby powiedział im, gdzie ukrył pieniądze, kiedy pani się zjawiała.

Skręcili mu karki ruszyli za panią, żeby pozbyć się świadka.

Sullivan wzdygnęła się na wspomnienie gwałtownego ruchu upiornej twarzy, którą widziała w oknie.

– Ale oni mieli tłumiki powiedziała wciąż drżącym głosem.

– Skoro mieli pistolety z tłumikami, dlaczego gonie zastrzelili?

Była w szoku i właściwie nie wiedziała, dlaczego akurat ten szczegół uznała za znaczący.

Być może jako naukowiec, gdy tylko napotykała zjawisko pozbawione sensu, choćby i

trywialne, odruchowo traktowała je jak pustkę wymagającą zapelnienia.

– Kto wie? – odparł detektyw, niecierpliwie machając ręką.

– Może lubili skręcać ludziom karki, dranie – dodał, odwracając się w stronę dużej policyjnej furgonetki, która właśnie wjeżdżała na podwórze.

Gruboskórna odpowiedź policjanta przyprawiła ją o kolejny dreszcz.

– Coś panu wyjaśnię powiedziała.

Odwrócił się ku niej.

– Pracuję w specyficznej branży, w której wszystko opiera się na jednym prostym założeniu: jeżeli wiem, dlaczego coś się dzieje, mogę to kontrolować.

Osoba taka jak ja doznaje szczególnego wstrząsu, kiedy przypadkowo płynąca po niebie chmura decyduje o jej życiu lub śmierci.

Mam też swój sposób radzenia sobie z takimi przeżyciami.

Muszę zrozumieć co, jak i dlaczego.

Może wtedy zdołam wmówić sobie, że będę umiała przewidzieć coś takiego, jeśli zdarzy się po raz drugi.

W przeciwnym razie będę się obawiać, że za każdym razem, gdy wytknę nos z domu, ktoś mnie napadnie bez szczególnego powodu i bez ostrzeżenia.

Zatem proszę, niech mi pan wyświadczy tę uprzejmość.

W wątlým blasku samochodowej lampki zauważyła, że z każdym jej słowem na twarzy policjanta maluje się coraz większe zdziwienie.

– Naprawdę nie wiem, dlaczego go nie zastrzelili – odpowiedział po chwili, tonem całkiem autentycznego wahania.

– Wygląda na to, że zamierzali spalić za sobą tę budę.

Znaleźliśmy w jednym z pokoiów pojemniki z benzyną.

Może nie chcieli zostawić kuli w ciele ofiary, żeby upozorować wypadek?

Tylko że coś takiego nie mogło się udać.

Koroner mógłby uznać, że człowiek skręcił sobie kark, spadając ze schodów w płonącym domu bo na to wskazywałyby zwęglone szczątki, ale nasi specje od podpaleń na pewno nie przegapiliby śladów tak prymitywnego narzędzia zbrodni jak benzyna.

– Detektyw wyprostował się i przeciągnął, z grymasem bólu na ustach.

– Do licha, w tych czasach świry biorą prochy i często zabijają bez najmniejszego powodu.

Jednego tylko może pani być pewna – dodał, uśmiechając się kwaśno i spoglądając na Sullivan smutnym wzrokiem.

– Pogonimy tych dwóch jak trzeba, kimkolwiek są i skądkolwiek przyszli.

Tu, w rajku, nie witamy z otwartymi ramionami drani importujących tego rodzaju występki.

Na podwórzu stało już kilka policyjnych samochodów, a światła na ich dachach pulsowały czerwienią, bielą i błękitem.

Policjant uniósł głowę, słysząc odgłosy kolejnej fali pojazdów tym razem głównie kombi i furgonetek z emblematami stacji telewizyjnych na drzwiach.

– Naturalnie rozumie pani, że niewolno jej udzielać informacji o tej sprawie, nawet jeśli media zrobią wielkie halo z pani obecności tutaj – bardziej rozkazał, niż stwierdził, spoglądając spođe łba na przybyszy.

Skinęła głową.

Młody funkcjonariusz przybiegł do nich od strony stodoły.

– Sir, mam tu jej telefon i torbę – zameldował.

– Znalezliśmy je tam, gdzie mówiła.

W środku rzeczywiście pełno zielska.

A drzwi wyglądają tak, jak opisała, połamane deski i tak dalej.

Ani śladu dwóch zabójców, za to znaleźliśmy plamy krwi.

Trop prowadzi na pola.

Mamy więc mnóstwo próbek DNA rannego w rękę, a na oskardzie powinniśmy znaleźć odciski drugiego, który pewnie pomagał mu się uwolnić.

Detektyw słuchał nowin, coraz mocniej marszcząc brwi.

– Zawiadomiliście wszystkie jednostki?

– Tak jest.

– Młody policjant pochylił się w stronę samochodu i dodał: – Proszę pani, my z rodziną zawsze oglądamy pani program.

Bardzo się cieszę, że nic się pani nie stało.

Spojrzała na jego gładką twarz i pomyślała, że nie może być wiele starszy od chłopaków, których ostatnio przyprowadzała Lisa.

Ciekawe, ile czasu potrzeba, żeby zniszczyć tę młodzieńczą gorliwość i zastąpić ją maską zmęczenia i cynizmu, jak u jego przełożonego, pomyślała.

– Dziękuję – odpowiedziała.

Gdy się oddalił, nagle bardziej niż czegokolwiek innego zapagnęła usłyszeć głos swojej córki.

– Czy mogę zabrać swoje rzeczy? – zapytała starszego policjanta.

– I chciałabym już jechać.

Muszę dostarczyć próbki do laboratorium genetycznego przy uniwersytecie, a w południe odlatuję do Nowego Jorku.

Jeśli pan chce, będę do dyspozycji nowojorskiej policji.

Policjant zawahał się, ale oddał jej torbę.

– Wie pani, doktor Sullivan, ja też oglądam ten program.

– Jego głos stał się niespodziewanie łagodny, a znużona twarz, ku jej zdumieniu, rozjaśniła się w uśmiechu.

– Moja najstarsza córka jest prawdziwą fanką pani.

Zaczyna studia biologiczne tu, w Honolulu. Będzie wniebowzięta, jeśli przywiozę jej pani autograf.

Sullivan podpisała się na odwrocie koperty na dowody rzeczowe, dziwiąc się w duchu, jak fałszywie oceniła starego glinę po jego szorstkiej powierzchowności.

Ledwie skończyła, gdy w radiu rozległ się trzask, a potem słowa:

– Do wszystkich wozów w rejonie Kailua.

Mamy wezwanie z dziewięćset jedenaście; mężczyzna zgłasza samobójstwo przy Kaliki Road dwieście pięć.

Zgłaszać się.

– Jezu Chryste, to tylko parę minut drogi stąd – mruknął detektyw, sięgając na przednie



siedzenie po mikrofon.

– Wszystko przez tę pełnię dodał, wciskając klawisz nadawania.

Zadzwońiwszy pod 911, Steele wybiegł z sypialni Sandry z powrotem na taras i wychylił się ponad murkiem, gorączkowo szukając zejścia nad brzeg oceanu.

O jedną kondygnację niżej i mniej więcej piętnaście metrów na lewo dostrzegł stopnie prowadzące z małego podwórka w dół, wzdłuż klifu.

Przebiegł przez mieszkanie, nawet nie szukając ubrania, pognął na dół i odnalazł kolejne szklane drzwi, za którymi znajdowało się podwórko – zapewne dawny plac zabaw chłopca.

Po kilku sekundach był już na kamiennych stopniach, które wcześniej wypatrzył.

Pędził w dół, rozpaczliwie wypatrując Sandry w spienionej kipieli.

Za każdym razem, gdy księżyc pojawiał się na niebie, Steele widział kordony piany wokół wielkich, czarnych skał sterczących z wody.

Może wpadła w głębinę pomiędzy nimi, myślał z nadzieją, coraz słabszą po każdym uderzeniu potężnych fal, z sykiem wzbijających fontanny wodnego pyłu.

Znalazł małą zatoczkę i zaczął się gorączkowo wspinać na kolejne skałki, nie zauważając nawet, że rani sobie dłonie i stopy.

– Sandra! – wrzasnął, ledwie słysząc własny głos na tle ryku oceanu.

Od czasu do czasu wysokie grzywacze sięgały po niego, a wtedy chwycił się skalnych występów, by nie dać się zepchnąć albo pociągnąć powracającym masom wody.

W pewnej chwili stracił grunt pod nogami i fala zabrała go ze sobą, lecz już następna cisnęła go z powrotem na skały.

Złagodził siłę uderzenia ugiętymi nogami i krzyknął z bólu, gdy całym ciałem szorował po pełnej ostrych występów powierzchni skały, by wylądować na płyciźnie.

Pozbierał się szybko i stwierdził, że stoi na płaskiej skale, którą woda obmywała tylko raz na jakiś czas.

Długo wpatrywał się w spienioną toń otaczającą go ze wszystkich stron i prawie stracił nadzieję, gdy nagle spostrzegł coś, co wyglądało jak kępa wodorostów uwięziona w stojącej wodzie za skałkami.

Kolejna fala dotarła jednak i tam: zmyła ciemne kosmyki, by odsłonić biały owal twarzy oraz piersi.

Ciało Sandry Arness unosiło się na plecach, a niewidzące oczy zdawały się spoglądać w gwiazdy.

Po paru sekundach był już przy niej; podparł ramieniem jej głowę i przycisnął usta do jej chłodnych warg, próbując wpompować powietrze do jej płuc.

Zaraz potem poczuł Naroku coś śliskiego.

Pomyślał, że być może to jakieś zanieczyszczenia z kolektora ściekowego.

Chwilę później uświadomił sobie, że substancja o konsystencji pasty do zębów wypływa z tylnej części czaszki Sandry.

Natychmiast wyłączył emocje, chroniąc się w pancerzu wyuczonego zawodu.

Zgodnie z procedurą: dwa oddechy na przemian z piętnastoma uciśnięciami klatki piersiowej tak jak sam uczył rezydentów, gdy omawiali działania ratownicze podejmowane w pojedynkę – bo

za nic nie chciał spojrzeć w oczy prawdzie, że jej płuca już nigdy nie będą oddychać.

I właśnie takiego ujrzeli go sanitariusze, policjanci i reporterzy: nagiego, daremnie reanimującego martwe ciało i od stóp do głów brozącego krwią z niezliczonych zadrapań.

## Rozdział 10

W normalnych okolicznościach taka historia trafiłaby jedynie do lokalnych mediów i zainteresowała nielicznych odbiorców, gustujących w taniej sensacji.

Steele był jednak od poprzedniego wieczora gwiazdą ogólnokrajowych wiadomości telewizyjnych, jako ekspert wzywający do uregulowania sprawy nagiego DNA, toteż media rzuciły się łapczywie na tę tragedię.

W południe lokalnego czasu był już bohaterem wszystkich wieczornych programów informacyjnych na wschodnim wybrzeżu kontynentu.

Zdjęcia wyraźnie oszołomionego doktora Steele'a, owiniętego kocem, usmarowanego krwią i prowadzonego do policyjnego wozu, wypełniły ekrany telewizorów w czterech strefach czasowych, a komentatorzy snuli niesmaczne opowieści:

– Wczorajszy zawzięty krytyk nagiego DNA, doktor Richard Steele, został dziś wczesnym rankiem znaleziony nagi opodal miłosnego gniazdka kochanki-samobójczyni.

– Naga prawda!

Ekspert od DNA przesłuchiwany w sprawie samobójstwa lekarki.

– Od triumfu do tragedii: wiarygodność zwolennika regulacji kwestii nagiego DNA, który skończył na skałach.

Szczegóły zaraz po reklamie.

Nikt nie zadał sobie trudu wyjaśnienia, że policja uwolniła Steele'a jeszcze tego samego ranka.

Żadnego z dziennikarzy nie interesowały też kwestie podnoszone przez całą społeczność naukową chcieli jedynie dokopać leżącemu.

Lecz największy niesmak wzbudziło w Richardzie to, że zredukowali śmierć Sandry do roli pikantnego szczegółu.

– Dranie! – wrzasnął, rzucając pilotem w hotelowy telewizor, i zaraz skrzywił się z bólu.

Na oddziale ratunkowym szpitala ogólnego w Honolulu opatrzono wszystkie jego rany i zadrapania, ale piekący ból nie ustępował.

Telewizor nie ucierpiał.

Na ekranie pojawił się jakiś piękniś z modelowaną fryzurą, by radośnie zrelacjonować nocną przygodę Kathleen Sullivan.

– Mój Boże – jęknął Steele, który jeszcze o niczym nie wiedział.

Przejęty próbował dodzwonić się do niej, ale uzyskał jedynie informację, że właśnie odmeldowała się z hotelu i pojechała na lotnisko.

Może nawet nie wie, jakiego cyrku narobiłem, pomyślał.

Ciekawe, czy przed wejściem na pokład samolotu zdąży się dowiedzieć.

Zadzwoił do domu – odebrała Martha.

– Nic mi nie jest – zapewnił ją czym prędzej.

– Policja mnie wypuściła.

– Lepiej niech pan już wraca do domu, Richardzie – przerwała mu.

– I to szybko.

Chet pana potrzebuje.

Wstydzi się iść do szkoły.

Trzy godziny później miał już bilet, ale przed wejściem do samolotu zatelefonował jeszcze do doktor Julie Carripo prosił, by poinformowała go, gdy tylko będzie znana data pogrzebu Sandry.

– Naturalnie – odparła bez wahania.

– Ale co z panem? Jak się pan czuje? To musiało być straszne.

Troska w jej głosie omal nie przełamała barier, które wzniósł, by pohamować emocje.

– Och nic mi nie będzie – odpowiedział, ale nawet w jego uszach nie brzmiało to zbyt przekonująco.

– Doktorze Steele, nie chcę być bezczelna, ale być może ktoś powinien to panu powiedzieć.

Nie ponosi pan winy za jej śmierć.

Ale i nie zapobiegłem jej, chciał zareplikować.

– Dzięki – odrzekł spokojnie.

– Cieszę się, że pani to powiedziała.

– Niech pan dba o siebie.

O świcie czasu nowojorskiego był już pod drzwiami swego domu przy rogu Trzydziestej Szóstej i Lexington.

Zostawił bagaż w przedsionku i cichutko poszedł wprost do pokoju Cheta.

Podszedł na palcach do wezglowia łóżka i usiadł, by zaczekać, aż chłopak się obudzi. Wciąż jeszcze wpatrywał się w śpiącego syna, gdy promienie słońca przedarły się przez żaluzje i oświetliły jego młodą twarz.

Steele z wahaniem wyciągnął rękę i pogładził zmierzwioną, ciemną czuprynę.

Chet wzdrygnął się przez sen, ale zaraz znieruchomiał, przyjmując dotyk z uśmiechem zadowolenia.

Tydzień później

Morgan spoglądał posepnie na szarą toń East River, płynącej na południe, wokół skrajnego cypla Manhattanu, Statui Wolności i dalej, ku oceanowi.

Barwą przypominała mu farbę, którą pomalowano podłogę w jego garażu: miała połysk, który w teorii maskował plamy oleju, ale w praktyce nie sprawdzał się do końca.

Wydawało się, że zwawy nurt chce jak najszybciej opuścić Amerykę, a myśl o tym kojarzyła się Morganowi z własnymi cichymi planami wyjazdu z kraju.

Przeniósł wzrok nieco wyżej, na widoczny po drugiej stronie rzeki Queens, a ściślej na olbrzymi napis „Coca-Cola”, który żegnał śmieci płynące rzeką.

Wielkie „C” wznosiły się niemal tak wysoko jak wieże, brudne kominy i betonowe silosy, które dominowały w industrialnym pejzażu tamtych okolic.

Za plecami Morgana trwał zaś nieprzerwany zgiełk ruchu ulicznego, dochodzący z biegnącej estakadą trasy Franklina D. Roosevelta, zlewający się z przenikliwymi krzykami mew.

Jeszcze dalej wznosiły się gmachy szpitala miejskiego oraz kompleks budynków akademii medycznej, opatrzonych zdobieniami przypominającymi wielką, uśmiechniętą buźkę.

Wszystko to lśniło od kropel deszczu, zbyt małych, by można je było zobaczyć, ale

wystarczająco materialnych, by powietrze przywierało do twarzy jak mokra gaza.

Niech pan powie naszemu klientowi, żeby w najbliższej przyszłości nie aranżował już wypadków w rodzaju „niewłaściwe miejsce i niewłaściwy czas” – wybuchnął mężczyzna stojący obok Morgana.

Zbyt podejrzenie byto wyglądało.

Wystarczy, że ci kretyni spaprali jedną robotę no daj pan spokój, użyli pieprzonych pistoletów z tłumikami, żeby upozorować „włamanie do domu”!

Mamy cholerne szczęście, że mimo tak oczywistej partaniny gliniarze z Honolulu zinterpretowali całe zajście mniej więcej tak, jak chcieliśmy.

Morgan nie odpowiedział.

W gęstniejącym, wieczornym mroku wciąż wpatrywał się w dal.

Za czterdzieści dziewięć dni będę urządzony na całe życie i bezpieczny w tropikalnym raju, powtarzał sobie w duchu.

Tyle że ta sprawa z Sullivan i nieprzyjemne wrażenie, że coś może się jednak nie udać i zostaną złapani, wstrząsnęły nim na tyle mocno, że już nawet wizja nieskończonego bogactwa nie kołała jego nerwów tak jak dawniej.

Podobnie jak szansa na zrujnowanie szefów Biofeed International, którzy nader chętnie czerpali zyski z jego pracy, a następnie, gdy tylko pojawiły się kłopoty, zwolnili go bez skrupulów.

Morgan zaczynał już nawet fantazjować o tym, że rzuca to wszystko i daje nogę, ale niestety miał bolesną świadomość, że klient natychmiast kazałby go wytropić i zabić.

Po raz pierwszy w życiu nie mógł zasnąć bez wsparcia pigułek nasennych i stanowczo zbyt często budził się już po paru godzinach, czując przyspieszone bicie serca i oddychając z trudem.

– Ataki paniki – orzekł jego lekarz, wręczając mu kolejną porcję kapsułek, tym razem nie żółtych, ale czerwonych.

Podmuch wiatru uderzył go w plecy i wraz z nową porcją zimnego deszczu zalewającą mu kark i głowę wytrącił z ponurej zadumy.

Morgan spojrzał z ukosa na człowieka, który wciągnął go w to szaleństwo, kusząc pieniędzmi i okazją do zemsty.

Wiedział, że powinien starannie dobierać słowa, bo jeśli zdradzi, jak bardzo chciałby mieć już to wszystko za sobą, zostanie uznany za niebezpiecznego.

– Ale jeśli ona znajdzie wektory i ujawni to zaczął ktoś w Biofeed może spanikować i uznać, że pora się oczyścić.

Wtedy pojawi się moje nazwisko i trop prowadzący do Rodez.

– Wie pan przecież, że ona musi umrzeć, zanim to nastąpi.

– Wiem, do ciężkiej cholery!

Wiem!

Ale jeśli zabijemy ją teraz, gliniarze jeszcze raz bardzo starannie przemyślą sprawę rzekomego zbiegu okoliczności na Hawajach.

Będą podejrzewać, że od samego początku właśnie ona była celem ataku, a wtedy bez trudu wpadną na to, że ktoś po prostu nie chciał, żeby weszła na farmie Hacketa, szukając wektorów genetycznych i ich związków z ptasią grypą.

A kiedy śledztwo w sprawie morderstwa potoczy się w tym kierunku, panikarze z Biofeed

zaczną gadać, a policja trafi dzięki nim wprost do pana.

– Powtarzam, niech pan powie klientowi, żeby odwołał swoje psy!

Morgan poczuł, że jeszcze głębiej tkwi w potrzasku.

Na jego i tak wilgotnej skórze pojawiły się krople zimnego potu.

– Niby jak miałbym go do tego przekonać? – warknął.

– Nic pan nie rozumie?

Jego ludzie nie zrezygnują.

Pewnie już są w Nowym Jorku i polują na nią.

– Niech pan mu wyśle wiadomość.

Przypomni mu, jak niewiele mamy czasu.

Powie, że ludzie z laboratorium na Hawajach potrzebują co najmniej trzech tygodni, żeby dokończyć badanie zebranych przez nią próbek.

Może nawet więcej.

A nawet jeśli znajdą w nich wektor, co wcale nie jest takie pewne, biorąc pod uwagę ich brak doświadczenia, to wynik badania będzie tak niewiarygodny, że moim zdaniem nawet ona weń nie uwierzy i nie ośmieli się tego opublikować, nie potwierdziwszy ich we własnym laboratorium, w Nowym Jorku.

Zyskamy więc kolejne kilka tygodni.

Wtedy możemy ją powstrzymać, tuż przed odkryciem tropu prowadzącego do Biofeed.

– Za dużo w tym jeśli i może – przerwał mu Morgan, pozwalając, by w jego głosie pojawił się ton zbyt długo skrywanej urazy.

On nie będzie czekał.

– Musi!

Sprawy zajdą wtedy tak daleko, że nie będzie miało znaczenia nawet to, czy gliniarze uznają jej śmierć za czysty przypadek, typowy skutek bezsensownej przemocy w nowojorskim stylu.

Cokolwiek wymyślą, znów zyskamy kilka tygodni.

Będzie zbyt późno, by ktokolwiek zdołał nas powstrzymać.

– To jest gra na krawędzi ryzyka.

– Zabijcie ją teraz, a policja będzie miała całe siedem tygodni na wytropienie sprawców.

Woli pan taki scenariusz?

Morgan czuł nieznośny ucisk w żołądku.

– Jasne, że nie! – odparł i umilkł, bo nagle poczuł w ustach smak żółci i musiał kilka razy przełknąć, zanim się opanował.

– Zatem doszliśmy do porozumienia – ciągnął mężczyzna, korzystając z milczenia Morgana.

– Ale na miłość boską, niech pan go przekona, żeby pozwolił nam zająć się nią własnymi sposobami.

Sądząc po dotychczasowych osiągnięciach jego importowanej siły roboczej, możemy się spodziewać jedynie kolejnej wpadki.

– A jeśli ona rozgryzie całą sprawę i rozgłosi wszystko wcześniej, niż się pan spodziewa? – spytał Morgan, gdy tylko odzyskał głos.

– Zanim zdążymy ją uciszyć?

Mężczyzna spojrzał na niego wilkiem.

– Bez obaw.

Moja pozycja daje mi do niej wystarczający dostęp.

Mogę bez trudu śledzić jej poczynania.

– Obaj wiemy, że nie może pan tego zagwarantować – odparował buntowniczo Morgan.

– Temat jest zamknięty! ryknął mężczyzna. Zrozumiano?

– Jego krzyk sprawił, że mewy, które przysiadły opodal nich, licząc na poczęstunek, wzbiły się w powietrze z gwałtownym łopotem skrzydeł i głośnym wrzaskiem oburzenia.

A może chciałby pan, żebym zaczął osobiście kontaktować się z naszym klientem i poinformował go, że entuzjazm, z którym realizował pan nasz projekt, zaczyna wygasać?

Morgan umilkł, osaczony bardziej niż kiedykolwiek.

Jego skóra lepiała się już do koszuli i zaczynał czuć kwaśną woń własnego potu.

– Świetnie.

Uznajmy tę sprawę za zakończoną – dodał mężczyzna, tonem tak lekkim, jakby właśnie ustalili drobną kwestię podczas spotkania w interesach.

– A jak tam nasze uprawy na południu? – spytał beztrąsko.

Morgan nie umiał przestawić się tak szybko.

Wciąż naelektryzowany po ostatniej wymianie zdań odparł ponuro:

– Według moich informacji, w przyszłym tygodniu zaczną się zbiory, a zaraz potem sprzedaż i nowy siew, zgodnie z planem.

– Uświadomił pan naszemu klientowi, że jest to broń uśpiona, w przeciwieństwie do tej, której użyjemy w pierwszym uderzeniu?

Nie chcę, żeby ścigał nas potem i skarżył się, że traci cierpliwość, czekając na rezultaty.

– Uświadomiłem.

– Świetnie!

Kolejny punkt programu do odhaczenia, pomyślał Morgan, nie przerywając milczenia, które z każdą chwilą gęstniało między nimi.

– Jest jeszcze ktoś, kim powinien pan się natychmiast zająć – oznajmił nagle mężczyzna po kilku sekundach ciszy.

Zanim stanie się poważnym problemem.

– Kto taki? – spytał kompletnie zaskoczony Morgan.

– Ten lekarz, Richard Steele.

Ten sam, który tak elokwentnie wypowiadał się w czasie konferencji transmitowanej w telewizji, a potem zrobił z siebie kompletnego durnia.

– On?

Już go sprawdziłem.

Jest nieszkodliwy.

Moi ludzie z ochrony twierdzą, że popołudnia spędza w parku, gawędząc z innymi dziadkami.

– Proszę go nie lekceważyć.

Jako lekarz może wykorzystać swoją wiedzę do zneutralizowania tej części naszej operacji – odparł mężczyzna, wskazując na trasę FDR – jeśli tylko dowie się o niej na czas.

Poza tym lekarz nie zostaje szefem oddziału ratunkowego, jeśli nie ma dość oleju w głowie i stalowych nerwów.

Jeśli Sullivan przekona go, żeby się do niej przyłączył, i razem zaczną deptać nam po piętach, będziemy mieli kłopoty.

Niech pan posłucha, jaki mam plan.

Dalsze słowa utonęły w warkocie silnika i łopocie wirnika nadlatującego śmigłowca.

Morgan zadarł głowę i wypatrzył maszynę na tle czarnych chmur, które nie wróżyły rychłego końca deszczów.

W ciągu paru sekund hałas stał się nieznośny dla uszu.

Helikopter zbliżył się, zawisł nad nimi i wolniutko opadł na asfaltowe lądowisko po lewej, niewiększe od dwóch kortów tenisowych.

Stojąc tuż za otaczającą je siatką, byli na tyle blisko, by podmuch wirnika zmusił ich do odwrócenia się plecami.

Kuląc się w strumieniu powietrza, Morgan zanurzył dłonie w kieszeniach płaszcza turkoczącego wokół jego nóg i wyjął jednorazowy aparat fotograficzny, który kupił po drodze, w sklepie z pamiątkami.

Niczym rasowy turysta zaczął uwieczniać na kliszy nieruchomy już śmigłowiec, starając się uchwycić w kadrze charakterystyczną bryłę gmachu ONZ, która miała być wskazówką dla jego pilotów.

– Jest pan pewny, że nasze trzy helikoptery zmieszczą się na takim placu?

Pytanie, które towarzyszył wykrzyczał mu wprost do ucha, tylko spotęgowało jego ból.

Jak gdyby w odpowiedzi, na niebie ukazała się druga maszyna.

Hałas wzmógł się jeszcze bardziej, gdy wolniutko opuszczała się na płytę lądowiska, by zakołysać się na podwoziu obok pierwszej.

Gdy zwolna cichło wycie wirników, Morgan wskazał na żółty symbol oznaczający miejsce dla trzeciego helikoptera, poczym bez słowa powrócił do pstrykania zdjęć.

Wydawało się, że celuje obiektywem w pasażerów wysiadających z maszyny i kierujących się ku przyczepie kempingowej, służącej jako biuro portu śmigłowcowego w największym mieście świata.

W rzeczywistości jednak interesowały go głównie pobliskie pompy i zbiorniki z paliwem.

Po chwili uniosł aparat wyżej, by zmieścić w kadrze także szpital.

Potem skierował uwagę dalej, na południe, chwytając szeroką panoramę nabrzeża.

– Czy na pewno będziemy mieli dostęp do tego obiektu w odpowiednim dla nas czasie? – spytał jego towarzysz.

– Na pewno – odparł Morgan i wypstrykawszy rolkę filmu, schował aparat do kieszeni.

– Żadna z firm korzystających z tego lądowiska nie może zostawiać tu maszyn na noc, a lokalny ruch powietrzny zostanie wstrzymany pół godziny przed rozpoczęciem pokazu.

Nasze śmigłowce przylecą tu na tankowanie w ostatniej chwili.

Mężczyzna odwrócił się i spojrzał na drogę ekspresową biegnącą w górze.

– Jaką część trasy wyłączą w tym roku?

– Dwadzieścia osiem przecznic, od Czternastej do Czterdziestej Drugiej.

– Morgan spojrzał w górę i rozpostarł ramiona, jakby relacjonował wędkarską przygodę.

– A jako że to pierwszy rok nowego milenium, zamykają też niewielki odcinek pod mostem Brooklyńskim.



Jego towarzysz w milczeniu przyglądał się skrajowi nadbrzeżnej trasy FDR, Morgan zaś mimowolnie zaczął wyobrażać sobie jej wstęgę wypełnioną tłumem ludzi.

Dodał też w myśli tłumy ludzi na samym brzegu rzeki i jeszcze gęstsza ciżbę spóźnialskich na prowadzących kuniej ulicach.

Nie miał pojęcia, ilu gapiów zmieści się na okolicznych dachach, ale władze miasta już wydały komunikat, że spodziewają się w tym rejonie rekordowej liczby widzów, na pewno przekraczającej trzysta tysięcy.

– W jaki sposób rozstawimy maszyny?

– Jedna polecą nad FDR.

Druga wzdłuż nadrzecznej promenady, na której teraz stoimy, a trzecia nad boczne ulice i dachy budynków, aż po Lexington.

Pilot tej ostatniej ma zwrócić szczególną uwagę na ludzi w rejonie szpitala.

– Morgan umilkł, wyobrażając sobie tłumy na dachach dobrego tuzina budynków.

– Jeśli dopisze nam szczęście, zainfekujemy połowę personelu medycznego za jednym przelotem, a to wprowadzi dodatkowe zamieszanie, gdy pierwsi chorzy zaczną się zgłaszać na oddział ratunkowy.

Naturalnie wtedy już będą chorzy za sprawą własnego DNA i żaden lekarz im nie pomoże – dodał, mając nadzieję, że jego wymuszony entuzjazm może uchodzić za autentyczny.

Prawda jednak była taka, że z każdym słowem czuł coraz większą niechęć.

– Z jakiego pułapu będziecie rozpylać?

– Co najmniej z trzydziestu metrów.

Będzie to delikatna mgiełka.

To nie to samo co ostrzał pola kukurydzy.

Ten wektor, zaprojektowany do wchłaniania przez drogi oddechowe albo kontakt ze skórą, oczami i ustami, może być aplikowany ze znacznie większej wysokości, dzięki czemu lepiej się rozprzestrzeni.

Na to przynajmniej wskazują symulacje laboratoryjne.

Uważamy, że mikroskopijne cząstki lipidowe których używamy do ochrony inwazyjnego DNA, nadadzą preparatowi nieco tłustą konsystencję.

Pod koniec upalnego dnia w kontakcie z opalenizną może przynieść nawet lekką ulgę, zachęcając ludzi do wcierania go w i tak zaognioną skórę.

Skoro już mówimy o szczegółach mamy zamiar ograniczyć panikę, rozpuszczając w mediach plotki, że firma produkująca kosmetyki zamierza zrobić sobie reklamę, rozpylając nad tłumem jeden ze swych preparatów do opalania.

Mamy nadzieję, że i w ten sposób zwiększymy liczbę zakażonych.

– Jakiej skuteczności możemy się spodziewać?

– Badania na zwierzętach wskazują, że zachoruje mniej więcej czterdzieści procent osób, które będą miały kontakt z preparatem.

Czyli sto dwadzieścia tysięcy ludzi.

– O mój Boże wyszeptał mężczyzna głosem tak cichym, jakby naprawdę się modlił.

Raz jeszcze spojrzął na estakadę, tym razem jakby z niedowierzaniem, jak ktoś, kto przygląda się niezrozumiałemu dziełu sztuki.

Obserwując go, Morgan zastanawiał się, czy przypadkiem aż do tej chwili ów człowiek nie traktował całego tego planu jako czysto akademickiego ćwiczenia – tak jak on sam, aż do pewnej nocy spędzonej nad polem kukurydzy w Oklahomie.

Czyżby mój towarzysz potrzebował tej wizyty na miejscu akcji i wiedzy o wszystkich szczegółach, by nareszcie zrozumieć, jakie będą prawdziwe skutki tego projektu?

Może wreszcie zaczniesz się pocić tak jak ja, pomyślał z nadzieją Morgan.

A jeśli tak, to od tej chwili będziemy w identycznym położeniu, jeśli chodzi o nerwy, a to oznacza, że skończą się twoje groźby i nie będziesz miał ochoty meldować komukolwiek o moim gasnącym entuzjazmie, ciągnął w duchu Morgan, ale oczami wyobraźni nie przestawał widzieć tłumów zebranych na trasie i wokół niej, wzdłuż rzeki.

Był to obraz ludzi wyciągających szyje i patrzących wprost na niego, jakby jakaś siła kazała im obserwować potwora, który na zawsze zmieni ich wyposażenie genetyczne.

– Wróćmy do sprawy Richarda Steele'a – zaproponował mężczyzna stojący u jego boku, przerywając ciszę, która zdawała się trwać wiecznie.

*Wtorek, 23 maja, 6.55*

Właściwie było to wezwanie, a nie zaproszenie.

– Chciałbym spotkać się z panią przy śniadaniu, doktor Sullivan – oznajmił Greg Stanton, gdy w poprzednim tygodniu rozmawiali przez telefon.

– Może we wtorek rano, o siódmej?

Drżała, idąc ciemnymi, pustymi korytarzami wiodącymi do jego gabinetu, ale wcale nie z zimna.

Pokolenia studentów medycyny nazywały to miejsce Bunkrem.

Mieścił się on na samym szczycie dwudziestopiętrowego obelisku pełnego laboratoriów i sal wykładowych, gdzie przyszli lekarze przechodzili podstawowe szkolenie z nauk medycznych, nim pozwolono im na pracę z pacjentami.

To tu rodziły się decyzje, które regulowały ich codzienną egzystencję, wpływały na wybór rezydentury, a w niektórych wypadkach decydowały nawet o tym, czy czekała ich kariera w medycynie czy też nie.

Najnowsza sfera przyszłych uzdrowicieli miała dokonać najazdu na swych profesorów i przeżyć kolejny dzień ćwiczeń nie wcześniej niż za godzinę – około ósmej.

Administratorzy, którzy kierowali procesem nauczania, pojawiali się w wyłożonych dywanami biurach jeszcze półgodziny później.

Sullivan wiedziała, że spotkanie z dziekanem o siódmej rano zwykle oznacza, że nie chce on, by ktokolwiek słyszał dochodzące z jego gabinetu wrzaski lub płacz, zwykle towarzyszące omawianiu wyjątkowo drażliwej sprawy.

Dzień dobry, doktor Sullivan powitał ją Greg Stanton, gdy zapukała w otwarte drzwi.

Wyszedł zza masywnego, palisandrowego biurka i przemierzywszy wielki, bury dywan, uścisnął jej rękę.

Pachniało świeżo zaparzoną kawą; srebrny dzbanek stał obok tacy z rogalikami, na stoliku otoczonym czterema beżowymi fotelami.

Sullivan wiedziała od ofiar wcześniejszych poranków u szefa, że podczas naprawdę brutalnych spotkań śniadania nie serwowano.

Zatem to tylko drażliwa sprawa, pomyślała z ulgą.

– Dzień dobry, Greg, i proszę, mów mi Kathleen – odpowiedziała, starając się od pierwszej chwili nadać spotkaniu mniej oficjalny charakter.

Jako weteran sztuki przetrwania w pełnym nierówności świecie akademickiej medycyny wiedziała doskonale, że nieformalne stosunki nigdy nie szkodzą, a czasem dają jej nawet lekką przewagę w walce z potężniejszym przeciwnikiem.

W ich dotychczasowych kontaktach Stanton wydawał się miłym człowiekiem, ale koniec końców miał absolutną władzę nad jej pracą i pozycją zawodową i choćby dlatego instynktownie pozostała nieufna.

– Ależ oczywiście, Kathleen zgodził się, wskazując jej fotel.

– Kawy?

Przyjęła filiżankę, dyskretnie przypatrując się jego twarzy, by wykryć w niej zapowiedź mniej przyjemnych wydarzeń, lecz jego twarde niebieskie oczy oraz uprzejmy uśmiech tworzyły nieprzeniknioną maskę.

Jak zwykle robił wrażenie starannością ubioru: miał na sobie nienagannie uszyty, beżowy garnitur oraz błękitną koszulę, doskonale pasujące do jego karnacji; nie bez powodu podwładni czasem nazywali go „modelem”.

Gdy wreszcie zauważył, że jest obserwowany, Kathleen czym prędzej rozpoczęła rozmowę:

– Świetnie wyglądasz, Greg.

Najwyraźniej nie pozwalasz, by nadmiar pracy przeszkadzał ci w treningach pływackich.

Usiadła wygodnie, gotowa wysłuchać riposty.

Stanton zajął miejsce naprzeciwko niej, ale nie nalał sobie kawy.

– Przejdę od razu do rzeczy zaczął.

Od czasu konferencji na Hawajach sypią się na mnie gromy, głównie z powodu twoich sensacyjnych spekulacji na temat związku genetycznie modyfikowanej żywności z przypadkiem ptasiej grypy, który wykryto tam półtora roku temu.

Sullivan zamarła.

– Zaraz, zaraz, przecież nie miałeś nic wspólnego z tą imprezą.

To ONZ wyznaczyła mnie na szefową delegacji, niezależnie od mojej pozycji tutaj.

– Wiem, wiem! – przerwał jej.

– Ale ludzie z branży biotechnicznej nie czynią tak subtelnych rozróżnień.

Krótko mówiąc, grupa grubych ryb reprezentowana przez tego dupka, Sydneya Aimesa, nalega, żebyś wycofała się ze swoich twierdzeń, bo w przeciwnym razie wstrzymają darowizny na rzecz uczelni, które, jak się domyślasz, są znaczące.

– To szantaż! – zawołała, przysiadając sztywno na samym skraju fotela.

– Wiem i też jestem wściekły z tego powodu.

Niestety, Rada Dyrektorów Uniwersytetu związała mi ręce.

Albo się podporządkujesz, albo mam zażądać twojej rezygnacji.

Sullivan nie odpowiedziała, bo z wrażenia zabrakło jej tchu.

– I sprzedałbyś ot, tak naszą akademicką niezależność, Greg? – wykrztusiła w końcu.

– Nie do wiary!

– Jasne, że nie sprzedalbym.

Stałbym za tobą do samego końca, gdybyś miała choć strzęp dowodu na poparcie swoich twierdzeń.

Tylko że nie przedstawiłaś żadnych konkretów, Kathleen.

Nie stałaś się też bardziej wiarygodna, zakradając się nocą na tę farmę.

Cholerne pismaki zrobiły z ciebie detektywa-amatora, nie naukowca.

Dziękuję Bogu, że przynajmniej nic ci się nie stało.

Jego odpowiedź sprawiła, że Sullivan poczuła na policzkach palący rumieniec.

– A to dlaczego?

Czy gdybym zginęła, straciłbyś jeszcze więcej dotacji? wypaliła, zrywając się na równe nogi, gotowa wyjść.

– To była tania zagrywka, doktor Sullivan! – odparł, zastępując jej drogę.

– Kathleen, przecież wiesz, że zawsze popierałem ciebie i twoją pracę.

Zamierzam nadal to czynić.

Szczerze mówiąc, jestem zdumiony, że nie znasz mnie na tyle, żeby wiedzieć, że nie posunąłbym się do tego rodzaju nacisku.

Stanton zakończył ripostę wierną kopią uśmiechu, którym powitał ją w drzwiach, i gestem poprosił, by wróciła na miejsce.

Usiądź, proszę, i zastanówmy się, jak wybrnąć z tej hucpy.

Tak się składa, że podzielam niektóre twoje obawy co do wektorów, który używa się dziś do transferu genów.

Sullivan wpatrywała się w jego oczy, ale ich zimne spojrzenie nie powiedziało jej absolutnie nic.

– Proszę, Kathleen – dodał łagodnie, jak gdyby szorstkie słowa nigdy nie padły.

– Daj sobie pomóc.

Twoja sprawa jest zbyt ważna, żebyśmy mogli stracić cię w taki sposób.

Zawahała się, ochłoneła nieco i zaczęła kalkulować, czy powinna obdarzyć go zaufaniem.

Odwołała się do doświadczeń z przeszłości.

Tak jak twierdził, rzeczywiście zawsze wspierał jej badania i jej obecność w akademii medycznej.

Prawdą było jednak i to, że przez swą medialną aktywność, przez odkrycia i publikacje, przez te wszystkie lata sama przysporzyła uczelni niemałego wsparcia darczyńców.

Czy broniłby jej i teraz, gdyby miała się stać obciążeniem dla budżetu?

Wiedziała, że niejedyn raz obcinał fundusze na badania, ale z drugiej strony w dobie cięć budżetowych na wszystkich uczelniach medycznych działo się to samo.

Pamiętała jednak i zasłyszane skargi o tym, jak bezlitośnie potraktował niektóre programy naukowe.

Jeżeli kiedykolwiek stawiał opór presji pieniądza, stając po stronie moralności, to Sullivan nie słyszała o takim wypadku.

To, że Stanton ubierał się jak zamożny makler, również nie pomagało mu uchodzić za obrońcę zasad.

– Co masz na myśli? – zapytała, nie siadając.

Znów uśmiechnął się przelotnie; Kathleen podejrzewała już, że ćwiczył ten grymas przed lustrem.

– Czy możesz mi przedstawić fakty, które potwierdzą twoje teorie, że wektory genetyczne stanowią zagrożenie dla człowieka? – spytał Stanton z błyskiem nadziei w oku.

– Nawet jeśli byłyby to wstępne wyniki badań, mógłbym przedstawić je zarządowi i bronić twojej sprawy.

Wiem na przykład z gazet, że udało ci się zebrać próbki podczas tej nocnej eskapady, zanim rozpętało się piekło.

Czy już poddajesz je analizie?

Instykt badacza, zakazujący ujawniania danych przed ich publikacją – a wyostrzony przez lata walki z plagiatorami – nie pozwolił jej na natychmiastową odpowiedź.

– No, tak – przyznała wreszcie, uznawszy, że Stanton nie stanowi zagrożenia w tej materii.

Zwłaszcza że nie współpracując z nim teraz, naraziłaby swoją karierę na znacznie większy szwank, niż wdając się w konflikt z jakimkolwiek plagiatorem.

– Zostaną zbadane na uniwersytecie w Honolulu.

Za trzy, cztery tygodnie powinniśmy wiedzieć, czy znajdują się w nich obce łańcuchy DNA, wskazujące na obecność sztucznie stworzonych wektorów, ale szansę na pozytywny wynik oceniam raczej marnie.

Stanton skrzywił się na te słowa.

– A czy zechciałabyś przekazać mi raport, gdy tylko otrzymasz dane choćby sugerujące, że jesteś na właściwym tropie?

Oczywiście zachowam go dla siebie, ale dysponując nawet tak skromnym dowodem, będę mógł nie tylko bronić tezy, że naprawdę chodzi tu o wolność badań naukowych, ale także niech pomyślę, jak mógłbym to nazwać na użytek zarządu?

– Umilkł, nieco teatralnie spoglądając w sufit, jakby tam spisano słowa, których szukał.

– Że twoja nieortodoksyjna metoda pozyskania próbek jest dowodem twojej naukowej wytrwałości, a nie symptomem twojej lekkiej.

Stanton znów zawiesił głos, tym razem patrząc prosto w oczy Sullivan.

Wreszcie uśmiechnął się szeroko i zawadiacko, po czym dokończył:

– Szajby?

Wydawało się, że jego cichy śmiech wypełnia cały gabinet.

Po raz pierwszy, odkąd wkroczyła do jego królestwa, zobaczyła w jego oczach iskrę autentycznego rozbawienia, pasującą nareszcie do jego przyjemnie uśmiechniętych ust.

Teraz dopiero poczuła się odrobinę swobodniej.

– Szajby? – powtórzyła, zabawnie unosząc brew.

– Ja oczywiście nie podejrzewam cię o coś takiego zapewnił ją pospiesznie, wciąż uśmiechnięty.

– To media starają się stworzyć takie wrażenie dodał, poważniejąc.

Oczywiście wpadka Richarda Steelfe'a nie pomogła twojej sprawie.

Gdyby nie wpakował się w taki skandal, prasa pewnie potraktowałaby twoją przygodę z większym szacunkiem.

Przepraszam, że ci go wcisnąłem.

Najwyraźniej jego opinie nie są już warte funta kłaków.

Niespodziewana krytyka zaskoczyła Sullivan.

– Co chcesz przez to powiedzieć? – zapytała, gotowa stanąć w obronie Steele’a.

Opinie, które wygłaszał podczas konferencji, brzmiały bardzo rozsądnie – wyjaśniła, dziwiąc się w duchu, że nagle tak się o niego troszczy.

– Do licha, gdyby choć co dziesiąty specjalista z waszej profesji chwycił sens tych spraw tak szybko jak on, może mielibyśmy wreszcie oficjalne wsparcie organizacji medycznych dla naszego stanowiska, a nie to żenujące milczenie, które jak dotąd jest normą.

Poza tym to, co zrobiła ta nieszczęsna kobieta, a tak że to, że byli razem, nie ma nic wspólnego z jego zdolnością oceny.

– Sullivan urwała nagle, widząc, jakie zdumienie maluje się na twarzy zasłuchanego Stantona.

– Przepraszam cię.

Chodzi o to, że Steele spisał się znakomicie, a atak medialny na niego jest zwyczajnie niesprawiedliwy.

Zdaje mi się, że ostatnią rzeczą, której biedaczysko teraz potrzebuje, są te wszystkie oszczerstwa – wyjaśniła.

– A skoro już o tym mówimy, to co z nim właściwie jest?

Wiem, że przeżył atak serca – dodała, siląc się na obojętny ton.

– Prawie dwa lata temu umarła jego żona.

Nie potrafi sobie z tym poradzić.

– Och! – wykrzyknęła Sullivan.

Zupełnie nie spodziewała się takiej odpowiedzi.

Rozwód – być może.

Los pracoholika, który odpycha od siebie rodzinę – tak.

Ale nie to, że stracił kobietę swego życia!

Wydawał się jej tak bliski wiekiem, że zwyczajnie nie mieściła jej się w głowie możliwość, że przeżył już tego rodzaju stratę.

– Sądziłem, że konferencja i związane z nią sprawy będą świetną sposobnością, żeby wciągnąć go w coś pożytecznego – tłumaczył Stanton.

– Rozmawiałaś z nim po powrocie? – spytał lekko zbolalym głosem.

– Nie.

Zostawił mi wiadomość na sekretarce, że przeprasza za zamieszanie, które wywołał, ale kiedy próbowałam oddzwonić w zeszłym tygodniu chyba ze dwanaście razy, żeby mu powiedzieć, że nie ma za co przepraszać, po prostu nie odbierał.

– Co u niego?

– Kto wie? Ze mną też nie rozmawia.

– Stanton westchnął i spojrzał na Sullivan w skupieniu, jakby dokonywał jakichś kalkulacji.

– Czy ty przypadkiem nie jesteś nim zainteresowana?

– Nie! – odparła zdecydowanie zbyt szybko, czerwieniąc się.

A co cię to obchodzi, jeśli jestem, omal nie dodała, ale w porę ugryzła się w język.

Wyczuwała, że Stantonowi chodzi o coś więcej niż tylko kłopoty z niesfornym podwładnym.

– Doktor Steele wydał mi się miły, ale i smutny – dodała, uciekając w oficjalny ton.

– Żal mi go było, to wszystko.

I nadal jest mi żal, może nawet bardziej teraz, gdy mi wyjaśniłeś, z czym próbuje sobie poradzić.

Ale dlaczego oto pytasz?

Jest twoim przyjacielem?

– Był.

Nie wiem, kim jest dzisiaj.

Co gorsza, Aimes upiera się, żeby wykorzystać jego przypadek jako przykład dla innych.

– Co przez to rozumiesz?

– Zażądał zwolnienia Richarda i nie pozostawia mu takiej furtki jak tobie.

– Co takiego?

Rozumiem, że może chce mścić się na mnie, ale skąd to twarde stanowisko wobec Steele'a?

– Przede wszystkim stąd, że nic mu za to nie grozi.

Zarząd już jest wściekły na Richarda za te wszystkie sensacyjne nagłówki, które nam zafundował.

Praktycznie we wszystkich artykułach i materiałach telewizyjnych akcentuje się jego związki z uniwersytetem i szpitalem miejskim w Nowym Jorku.

A negatywny obraz w mediach oznacza mniejsze dotacje.

To wystarczy, żeby żądania Aimesa znalazły niemałe poparcie szefów.

– Łajdacy!

– Ja jednak podejrzewam, że Aimesowi chodzi przede wszystkim o to, żeby ostrzec wszystkie inne autorytety medyczne, którym mogłoby przyjść do głowy, że warto wygłosić swoje zdanie w sprawie genetycznie modyfikowanej żywności.

Bez obrazy, ale wszyscy już się przyzwyczaili, że ekolodzy i genetycy robią raban w tej sprawie, naśladując swych europejskich kolegów, ale gdyby alarm podniósł któryś z poważanych amerykańskich lekarzy, klienci Aimesa mieliby nie lada problem propagandowy.

Ludzie słuchają lekarzy, zwłaszcza krajowych.

Dlatego Aimes domaga się usunięcia Steele'a, za udział w propagowaniu „niczym niepodpartych pseudonaukowych oszczerstw”.

Jak widzisz, obecnym stanie ducha naszych szefów biedny Richard jest w jeszcze większych opałach niż ty.

Sullivan była tym wszystkim przerażona.

– I naprawdę nie możesz mu pomóc?

Przez chwilę miała wrażenie, że jego ciało kurczy się i marszczy pod starannie wyprasowanym ubraniem.

– Czyja wiem? – odparł, wzruszając ramionami.

Wyglądał na pokonanego.

– Nawet gdybym mógł go obronić przed tymi palantami, co chyba nie jest już możliwe, to czy byłbym w stanie obronić go przed nim samym?

– Słucham?

– Przed zawałem stał się naprawdę trudny we współpracy z personelem.

Ludzie go tolerowali, bo jest fantastycznym fachowcem, ale nawet jeśli całkiem wróci do zdrowia, to nie będzie mógł wrócić na swój oddział i zachowywać się tak jak do tej pory.

Sullivan spoglądała na niego z rosnącym niedowierzaniem.

– Chcesz powiedzieć, że straciłby posadę nawet bez pomocy Aimesa?

– Na Boga, mam nadzieję, że nie, ale sytuacja naprawdę nie wygląda różowo.

– Stanton urwał nagle i usiadł sztywno w fotelu.

– Naprawdę nie możemy już dyskutować na ten temat – oznajmił chłodno.

– Przepraszam, ale przez ten krótki czas, kiedy rozmawiałam z doktorem Steele'em, zdążyłam odnieść wrażenie, że praca jest wszystkim, co mu zostało.

Stanton wyglądał teraz na zakłopotanego, a może nawet zawstydzonego.

– Czy rozumiemy się w kwestii twoich meldunków o postępach w badaniach? – spytał, wracając do władczego tonu.

– Oczywiście – odrzekła uprzejmie.

– To dobrze.

Ale trzy czy cztery tygodnie to dość długi czas, jak na moje zmagania z zarządem.

Czy nie dałoby się przyspieszyć tych testów na Hawajach?

– Obawiam się, że nie.

Procedura badawcza jest długa i skomplikowana, a przecież ci ludzie mają też swoje zadania do wykonania.

– Pamiętaj tylko, Kathleen, że nie muszę dostać ukończonego opracowania, ze wszystkimi kropkami nad „i” i wszystkimi kreseczkami w „t”.

Proponuję, żebyś dowiadywała się co parę dni i nawet jeśli tamci odkryją coś niezbyt znaczącego, natychmiast przychodziła z tym do mnie.

– Stanton posłał jej kolejny wyćwiczony uśmiech.

– Będę uparcie twierdził, że to bardzo obiecujące dane.

Skinęła głową i odpowiedziała mu uśmiechem, wyciągając rękę na pożegnanie.

Uścisnął ją, ale Kathleen miała wrażenie, że interesuje go już coś innego, za jej plecami.

Odwróciła się i w narożnym oknie zobaczyła wspaniałą panoramę East River.

Barwy wschodzącego słońca rozlewały się po czarnej, lśniącej powierzchni wody, niczym płynny ogień.

Na południowym zachodzie wznosiły się bliźniacze wieże WTC, o tak wczesnej porze już płonące złotym blaskiem.

– Nie byle jaki widok skomentowała z uznaniem.

Z mojego gabinetu widać wieże, ale to tutaj fantastyczne.

– To prawda.

Nigdy nie mam dość tego widoku – odpowiedział Stanton, wpatrując się w niezwykle spektakl.

Koła zakwiczały jak niedorzęta świnia, gdy wagon metra hamował przed stacją, a odgłos ten jeszcze wzmógł ból głowy, który męczył Kathleen, odkąd pożegnała się ze Stantonem.

Wcześniej była tak przejęta trudnym położeniem Steele'a, że powaga jej własnej sytuacji – wizja utraty laboratorium, jeśli zostanie pozbawiona pracy na uczelni dopiero teraz zaczynała do niej docierać.



Wprawdzie miała pewne wpływy z prywatnych kontraktów z firmami przemysłowymi i z praw autorskich, wystarczające na pokrycie czynszu, ale nie mogła zaprzeczyć faktom: z własnej kieszeni nie była w stanie utrzymać laboratorium.

Skacząc po dwa schodki, opuściła stację i w rekordowym tempie pieszo minęła trzy przecznice dzielące ją od laboratorium placu Waszyngtona.

Wysiłek, który zwykle pozwalał jej rozluźnić zastępe mięśnie szyi i głowy, tym razem nie pomógł.

Minąwszy kamienny łuk u wejścia do parku, zakręciła młynka ramionami, ale i to nie przyniosło jej ulgi.

Wręcz przeciwnie, za każdym razem, gdy trącała łokciem studentów spieszących kamiennymi ścieżkami na zajęcia, nowy impuls bólu przeszywał jej czaszkę.

Nie inaczej zareagowała nawet na przyjazne machnięcie ręką w stronę jednego z gliniarzy obsługujących stały posterunek parkowy srebrzystej przyczepie, którą jakiś dowcipniś nazwał kiedyś Pączkiem.

Wjechała windą na ostatnie piętro budynku i gdy weszła do swego gabinetu, przy biurku zobaczyła Azrhana Doumaniego, pochłoniętego rozmową telefoniczną w języku francuskim.

Gdy tylko ją ujrzał, urwał w pół zdania i wykrzyknął:

– Excusez-moi, Monsieur, mais elle esfici – i przekazał jej słuchawkę.

– Dzwoni inspektor Radne, z południa Francji – wyjaśnił.

– W małym miasteczku zwanym Rodez znaleziono zwłoki mężczyzny, genetyka nazwiskiem Gaston, Pierre Gaston.

Został zamordowany, a wśród papierów, które po nim zostały, znajduje się list adresowany do pani.

## Rozdział 11

– Dzień dobry, doktor Sullivan.

Jak rozumiem, asystent już pani wytłumaczył, kim jestem i dlaczego dzwonię.

– W głosie mężczyzny dał się wyczuć zaledwie ślad francuskiego akcentu.

– Tak, muszę od razu powiedzieć, że nie znam nikogo o takim nazwisku. Mówił pan, Pierre Gaston?

– Tak jest.

Znaleźliśmy jego zwłoki w sarkofagu, w katedrze w Rodez. Mniej więcej tydzień temu robotnicy wykonujący prace renowacyjne przypadkowo odsunęli pokrywę, gdy za pomocą wyciągu podnosili cały sarkofag.

Odór natychmiast im uświadomił, że w środku znajduje się coś znacznie świeższego niż zmumifikowane ciało księdza zmarłego przed wiekami.

Zidentyfikowaliśmy Gastona na podstawie karty dentystycznej, a autopsja wykazała, że ktokolwiek go zabił, uczynił to, łamiąc mu kark jak zapalkę.

W umyśle Kathleen Sullivan pojawił się obraz upiornej twarzy, wykonującej gwałtowny ruch w ciemnym oknie.

– O mój Boże! – wyszeptała, czując ucisk w gardle.

– Pani coś mówiła, madame?

– Nie – odrzekła szybko, panując już nad głosem.

– Tylko nadal nie rozumiem, co ta sprawa ma wspólnego ze mną.

– My również nie bardzo to rozumiemy, maaame.

Chodzi o to, że Gaston zostawił u swego notariusza list, który miał być wysłany do pani w razie jego aresztowania.

Został nam przekazany wraz z innymi papierami, włącznie z testamentem, gdy tylko odkryto zwłoki.

– W razie aresztowania?

– Tak, właśnie tak brzmiało pisemne polecenie.

Na razie jednak nie wiemy, co to miało oznaczać, bo nic nie wskazuje na to, by Gaston dokonał czegoś, za co mógłby być ścigany.

Miałem nadzieję, że dowiem się czegoś od pani.

– Przykro mi, inspektorze, ale jak już mówiłam, w ogóle nie znałam tego człowieka, a przynajmniej nie przypominam sobie, bym go znała.

Biorąc udział w konferencjach, spotykam bardzo wielu ludzi, których nazwisk nie jestem w stanie zapamiętać.

– Człowiek, o którym rozmawiamy, nie żyje od Nowego Roku, tak więc ewentualny jego osobisty kontakt z panią musiał nastąpić wcześniej. Możliwe zresztą, że znał panią wyłącznie z jej publikacji, Docteur.

Ostatnie słowo zaakcentował mocniej, a wypowiedział je jakby z większym szacunkiem dla jej profesji niż ten, do jakiego przyzwyczaiła się po tej stronie Atlantyku.

– Gdy zajrzeliśmy do jego plików z danymi, zarówno w pracy, jaki w domu znaleźliśmy wiele

odnośników do pani artykułów opublikowanych w Internecie.

Jeśli wierzyć spisowi odwiedzanych stron, ostatnio, a ściślej tuż przed Bożym Narodzeniem, czytał artykuł o pani na stronie redakcji „Na straży środowiska”.

Zdaje się, że wzywała pani firmy biotechniczne do współpracy przy badaniu roślin rosnących w pobliżu ich laboratoriów, w poszukiwaniu śladów wektorów genetycznych.

Zainteresowało nas to, ponieważ w pewien sposób jest związane z treścią listu. Chce pani, żebyśmy przeczytał, co do pani napisał?

- Proszę – odpowiedziała, czując, jak jej puls przyspiesza.
- List jest datowany dwudziestego trzeciego grudnia – zaczął inspektor.

*Droga doktor Sullivan,*

*Jest pani na właściwym tropie.*

*Sugeruję, żeby przebadala pani okolice naszego ośrodka.*

*Kryje się tu pewien sekret związany ze znanymi wydarzeniami na Tajwanie i na Oahu, który pewnie panią zaszokuje.*

*Proszę mnie wyciągnąć z więzienia, a pokażę pani coś jeszcze bardziej śmiernego.*

*Merci\Pierre Gaston*

Sullivan z trudem panowała nad podnieceniem.

- Gdzie pracował ten człowiek? – zapytała.
- W ośrodku badawczym rolnictwa Agriterre Incorporated.

Ale jak już wspomniałem, przesłuchaliśmy jego przełożonego, doktora Francois Dancereau, który zapewnił nas, że sprawy zawodowe Pierre’a Gastona były w najlepszym porządku.

Nazwisko Dancereau wydało jej się znajome, ale teraz nie miała czasu, by się nad tym zastanawiać.

- Czy firma ta pracuje nad modyfikacją roślin uprawnych za pomocą wektorów genetycznych?
- Dyrekcja twierdzi, że to tylko laboratorium badawcze opracowujące produkty dla rolnictwa, zwiększające wydajność plonów.

Policjant zacytował oficjalne stanowisko firmy, ale w jego głosie było tyle sarkazmu, że nie powstydziliby się go nawet kelner z bistra przy Champs-Elysees.

– Odmówiono mi jednak podania szczegółów, zasłaniając się tajemnicą handlową, która wiąże ich z klientami.

Nie naciskaliśmy zbyt mocno.

- Ale ten list.
- Dopiero teraz dostaliśmy pozwolenie sądu na odczytanie go, a rozmowy z Dancereau i innymi ludźmi z Agriterre prowadziliśmy wcześniej, nie mając powodu przypuszczać, że ktokolwiek z nich może coś ukrywać albo jest w jakiś sposób powiązany ze śmiercią Pierre’a Gastona.

Teraz sprawa wygląda zupełnie inaczej i weźmiemy ten ośrodek pod lupę.

Najpierw jednak chciałem się przekonać, czy to, co napisano w liście, ma dla pani jakiś sens. Wie pani może na przykład, co on miał na myśli, pisząc o sprawie łączącej Tajwan i Oahu?

Wyobraźnia Kathleen Sullivan pracowała już na najwyższym biegu, tworząc skojarzenia,

których nie odważyłaby się wypowiedzieć nawet w samotności.

– Nie wiem – odparła ostrożnie – ale zastanowię się, jeśli da mi pan trochę czasu.

Milczenie w słuchawce oznaczało, że inspektor nie jest zachwycony jej odpowiedzią.

– Mogłabym też przebadać próbki roślin z okolicy laboratorium – dodała szybko.

Tak jak zasugerował, poszukam w nich wektorów genetycznych.

Wyjaśnię panu, jak pobrać próbki.

Trzeba je będzie wysłać jak najszybciej, kurierem.

Wolę dokonać analizy tutaj, z własnym zespołem, niż lecieć do Francji.

– Magnifique, Madanze. Miałem nadzieję, że zaproponuje nam pani pomoc. Wiem, że w tej dziedzinie jest pani czołowym autorytetem, pozwoliłem sobie sprawdzić to w Internecie.

Inspektor mówił teraz tak głośno, że musiała odsunąć słuchawkę od ucha.

– Jak pani rozumie, bardzo nam zależy na szybkim rozwiązaniu tej zagadki, najwyraźniej związanej z wektorami genetycznymi, o których tak często pani mówi i pisze. Postaram się, żeby próbki dotarły do Nowego Jorku jutro po południu.

Jego typowo francuski entuzjazm obudził w niej ostrożność naukowca.

– Muszę pana ostrzec, że nie wiem, jakich konkretnie wektorów powinnam szukać, a to oznacza, że wynik może być negatywny.

I właśnie dlatego zastanawiam się, czy ten pański Pierre Gaston naprawdę chciał, żebym znalazła to, czego używali? Bo jeśli tak, to po co ta zabawa w kotka i myszkę?

Dlaczego nie powiedział mi tego wprost, jak wszyscy inni uczeni, którzy odpowiedzieli na mój artykuł?

Cisza, która zapadła teraz w słuchawce, trwała tak długo, że Sullivan zaczęła już podejrzewać przerwanie połączenia.

– Inspektorze Radne? – odezwała się po długiej chwili.

– Jestem tu i rozmyślam nad pani nader słusznym pytaniem. Być może nawet znam już odpowiedź.

Sullivan usłyszała jego mocny wdech, a potem długi wydech.

Pewnie pali papierosa, pomyślała, wyobrażając sobie francuskiego żandarma, wizerunek wykreowany przez Claude'a Rainsa w filmie Casablanca.

– Chociaż szef Agriterre zaprzecza, jakoby popełniono przestępstwo przeciwko firmie ciągnął Racin wydaje się oczywiste, że Gaston zrobił coś, za co spodziewał się aresztowania.

Być może kiedy pisał ten list, chciał wykorzystać groźbę zbadania przez panią tych wektorów jako argument przeciwko komuś, kto mógłby posłać go do więzienia.

Obietnicę pokazania pani czegoś jeszcze bardziej śmiertelniejszego dołożył zapewne jako dodatkową przynętę, chcąc zyskać pani wsparcie w sprawie odzyskania wolności, gdyby pierwotny plan nie wypalił i naprawdę skierowano przeciwko niemu oskarżenie.

Może i tak, pomyślała Sullivan.

Tylko że ktoś ukręcił mu łeb.

Ciemnawy bar pod hotelem Plaza był tego popołudnia wyjątkowo zatłoczony, a poziomem hałasu pasował raczej do modelu portowej tawerny niż wodopoju dla wytwornych gości luksusowego hotelu.

O szesnastej trzydzieści Steele wstał od ciemnego dębowego stolika, który stał mu się równie bliski jak biurko w szpitalnym gabinecie, wetknął pod pachę pęk przeczytanych gazet pełnych dziennikarskich mądrości i ruszył do domu.

– Hej, doktorze, ledwie pan dzisiaj tknął swojego drinka zauważył kelner, krępy osiłek zupełnie nie pasujący do otoczenia, bo łatwiej było wyobrazić go sobie jako wykidajkę-rozjemcę knajpianych bijatyk niż roznosiciela koktajli z drogim szampanem.

– Czemu nie zamówił pan sodowej? Orzeszki serwujemy i z wodą – dodał.

Jego wargi i brwi, grube jak liny, wygięły się, biorąc w nawias pulchne policzki.

Steele uznał to za uśmiech.

– Następnym razem – odparł, przedzierając się przez tłum spragnionych, którzy odwiedzali bar w porze tańszych trunków.

Wyszedłszy z budynku, poczuł na czole chłodny kapuśniaczek i energicznym krokiem ruszył wzdłuż Piątej Alei.

Okrywając się szczelniej płaszczem przeciwdeszczowym, kluczył między przechodniami i ich parasolami, utrzymując synkopowy, zygzakowaty krok, który wymagał pełnej koncentracji.

Aromat frankfurterek i precli niósł się daleko w wilgotnym powietrzu, wypełniając jego nozdrza i wzmagając apetyt na długo przed tym, nim dotarł do wózków i budek, które sprzedawcy rozstawili na rogach ulic.

Lubił ich pasiaste jak choinkowe cukierki daszki, rozpraszające szarość mocnym kontrastem bieli i czerwieni, korzystnym zwłaszcza na tle bardziej stonowanych, ciemniejszych markiz nad sklepami takich sieci, jak Saks, Gucci czy Wempe.

Poza tym Steele traktował je jako miernik postępów w swych codziennych marszach.

Kilka przecznic dalej wyziewy ruchu ulicznego skutecznie wypierały przyjemne zapachy i smaki.

Głowę Steele'a wypełnił jazgot koni mechanicznych, tupot butów oraz chór tysięcy dialogów, permanentny jak szum górskiego strumienia.

Spróbował się odciąć od tego wszystkiego, kierując myśli ku osobie, która od powrotu z Hawajów zaprzętała jego uwagę bardziej niż ktokolwiek inny.

Ku Chetowi.

Zdołał go przekonać, by poszedł do szkoły, zanim jeszcze chłopak wstał z łóżka w ów pierwszy poranek.

– Jadąc taksówką z lotniska, słyszałem w radiu tylko jedną krótką wzmiankę o sobie – pocieszał przerażonego syna.

– Nikt nie pamięta takich niesmacznych opowiastek dłużej, niż trwa oczekiwanie na kolejny skandal.

– Ja pamiętam! – zaoponował bojowo Chet.

– Żaden kumpel, z którym warto się przyjaźnić, nie urządzi ci jazdy na ten temat.

– Nie, ale zrobią to ludzie, którzy nie są moimi przyjaciółmi.

Moje imię stanie się jednym wielkim żartem.

– Ależ Chet, kogo obchodzi ich zdanie?

Umarła porządna kobieta.

Odebrała sobie życie, ponieważ parszywa choroba zabrała jej synka, a ona nie umiała ponownie

znaleźć sensu w życiu.

Jeśli ktoś ci dokuczy, przypomnij mu o tym.

To, co się stało, już nikogo nie będzie śmieszyć.

– Tato, przestań! – skarcił go Chet, spoglądając nań dziwnie twardym wzrokiem.

– Bandzie dzieciaków nie będę tłumaczył takich rzeczy.

Ale o siódmej trzydzieści spakował książki i z wyrazem determinacji na twarzy ruszył do szkoły.

W kolejnych rozmowach Steele z coraz większym trudem znajdował odpowiedzi.

– Dlaczego w ogóle poszedłeś z tą kobietą? – zapytał Chet przy kolacji.

– Polubiłem ją.

Lubiłem zwłaszcza nasze rozmowy.

I wydawało mi się, że i ona mnie lubi.

– Nie sądzisz, że mama miałaby cito za złe?

– Sądzę, że bardziej miałaby mi za złe, gdybym dalej kręcił się w kółko i nie próbował zmienić czegoś w moim życiu.

Chet drgnął zdziwiony i kilka razy przełknął, po czym skwitował:

– Ale i tak nie spodobałoby się jej to, co zrobiłeś na Hawajach.

– Chet, moim zdaniem nie spodobałoby się jej tylko to, że nie byłem dość czujny, żeby powstrzymać tę nieszczęsną kobietę przed odebraniem sobie życia.

I tylko za to siebie winie.

Bo jeśli chodzi o moje seksualne zainteresowanie tą panią, to mama pomyślałaby pewnie: „No, najwyższy czas”

Oczy chłopaka omal nie wyskoczyły na talerz.

Steele jeszcze nigdy nie był z nim aż tak szczery.

Objawienie, że rodzic, zwłaszcza własny, może żywić takie wątpliwości i pragnienia, najwyraźniej było dla chłopaka szokiem.

Do końca posiłku rozmawiał głównie z Marthą i wyłącznie o szkole, ale od czasu do czasu jego zazwyczaj gładkie czoło marszczyło się jak u zdumionego światem szczeniaczka, a spojrzenie nieodmiennie wędrowało ku tacie.

Od tamtej pory Steele rozmawiał z nim nieco rozważniej.

Tuż przed Pięćdziesiątą Ulicą zwolnił kroku przed katedrą Świętego Patryka, po której masywnych stopniach schodził kondukt pogrzebowy, otoczony szpalerem parasoli.

Niczym wielka, czarna stonoga żałobnicy zbliżyli się do karawanu czekającego przy krawężniku i złożyli w nim trumnę.

Steele przecisnął się przez tłumek, dotarł do rogu ulicy i skręcił w lewo.

Był już tylko o trzy przecznice od Lexington.

Pieszycy było tu zdecydowanie mniej, a szybsze tempo marszu sprawiło, że poczuł się lepiej.

Szybko połykając dystans, spojrzał na zegarek i stwierdził, że do kolacji szykowanej przez Marthę ma jeszcze ponad godzinę.

Zamiast więc skręcić ku Trzydziestej Szóstej, jak zazwyczaj, poszedł dalej w stronę East River, by zahaczyć o szpital i zabrać dokumenty ubezpieczeniowe, które sekretarka zostawiła dlań w jego

gabinecie.

Jeszcze bardziej przyspieszając kroku, znowu rozmyślał o Checie.

Po tamtej rozmowie chłopak zaczął zostawać nieco dłużej przy stole, przynajmniej na tyle, by Martha mogła posłuchać, co dzieje się w jego życiu.

O szkolnym koncercie, podczas którego miał zagrać na gitarze, o przygotowaniach do egzaminów końcowych i o tym, że jeszcze nie ma dziewczyny na imprezę klasową na zakończenie roku.

Steele przysłuchiwał się zaś temu wszystkiemu wdzięczny, że przypadła mu w udziale chociaż rola obserwatora.

Lecz w ostatnich dniach Chet podjął próby nawiązania z nim dialogu.

Odbyli nawet krótką dyskusję o wynajęciu domku gdzieś nad oceanem, choćby na tydzień najbliższego lata, ale rozmowa skończyła się na szczęście bez konkretnych ustaleń.

– Zawsze to jakiś początek – orzekła Martha któregoś wieczoru, gdy Chet poszedł już na górę.

Steele skierował myśli ku innym sprawom: zastanawiał się, jak wejść do szpitala, nie natykając się po drodze na nikogo znajomego.

Od powrotu z Hawajów starannie unikał miejsca pracy – nie miał dość siły, by znosić spojrzenia docinki kolegów.

Idąc do gabinetu właśnie teraz, pod koniec dnia, miał nadzieję, że przynajmniej w administracyjnym skrzydle budynku będzie pusto.

Najbardziej zależało mu na tym, by nie spotkać na swej drodze Grega Stanton.

Greg był, owszem, dobrym przyjacielem, ale też zapalonym politykiem, gdy w grę wchodziła jego życiowa rola dziekana wydziału medycznego.

Albo „wyjątkowo wrednym sukinsynem”, jak ujmowali to ci, którzy mieli nieszczęście zakłócić dopływ darowizn dla uczelni.

Steele wierzył ich słowom; sam dość często miał okazję słyszeć jego wściekłe tyrady o „pasożytach na etatach”.

Lepiej zaczekać, aż opadnie kurz, pomyślał, nie mając wątpliwości, że fatalny szum medialny, który wywołał, wystarczająco utrudni zmagania Grega Stanton z uniwersyteckimi buchalterami.

Decyzja o tym, czy będzie mógł powrócić na stanowisko szefa oddziału ratunkowego, miała zapaść dopiero za miesiąc.

Steele miał nadzieję, że do tego czasu wszyscy zajmą się swoimi sprawami i wstyd, który przyniósł szpitalowi, pójdzie w zapomnienie.

Nie chciał też napotkać Kathleen Sullivan.

Choć zwykle bywała w szpitalu rzadziej niż Stanton, sekretarka uprzedziła Steele'a, że „doktor Sullivan zaglądała kilka razy w nadziei, że go złapie”.

Czerwienił się ze wstydu na samą myśl o spotkaniu z nią.

Cóż mógłby jej powiedzieć po tym, jak dostarczył jej przeciwnikom – sydneyom aimesom całego świata – nowy rodzaj amunicji do walki z jej sprawą?

Sami nie wynaleźliby lepszej broni!

Lecz mimo to miał wrażenie, że Sullivan z determinacją dąży do spotkania.

Tego dnia znów odsłuchiwał kilka wiadomości od niej; upierała się, żeby oddzwonił.

Tym razem zmieniła taktykę i próbowała go zwabić, wspominając o „ważnych nowych

wątkach”, które chciała z nim omówić.

Akurat, pomyślał, głęboko przekonany, że Sullivan próbuje tylko pilnować, by pozostał w biegu i nie poczuł się całkiem niepotrzebny.

A myśl o tym, że zadaje sobie tyle trudu, żeby okazać mu uprzejmość, irytowała go niezmiernie.

– Nie będę obiektem niczyjej akcji dobroczynnej! mamrotał, czekając na czerwonym świetle przy Pierwszej Alei.

Zaraz potem pomyślał ze złością, że być może oddzwoni do niej, gdy już wróci do pracy, i przynajmniej na tym polu odzyska utraconą pozycję.

Gdy pojawiła się zielona strzałka, przeszedł na drugą stronę ruchliwej arterii i znów skręcił na południe, mijając gmach Organizacji Narodów Zjednoczonych.

Jak zwykle budynek otaczał tłum turystów; wielu spieszyło wprost do głównej bramy, w nadziei że dołączą do ostatniej tego dnia wycieczki.

Byli też delegaci ze wszystkich krajów świata, w sprinterskim tempie opuszczający miejsce pracy.

Steele zawsze lubił podsłuchiwać rozmowy, które prowadzili w biegu:

– ... nie wiem, czy jest z CIA, czy może to najdurniejszy doradca do spraw rolnictwa, jakiego kiedykolwiek mi przysłali.

– ... naturalnie, podczas spotkań rady oficjalnie toczę z nią wojnę, ale wieczorem, w łóżku, rozpoczynamy proces pokojowy.

– ... spróbujcie oprotestować sprzedaż broni, a ja zaprzeczę, że kiedykolwiek do niej doszło. Tym sposobem powinniśmy skończyć przed meczem Rangersów. Niemcy oddali mi swoje miejsca.

Dotarłszy do Czterdziestej Drugiej, skręcił w lewo, w końcowy fragment niesławnej ulicy – tak pustej, że chyba trudno o bardziej dobitne zaprzeczenie jej reputacji jako królestwa seksu i hucznych imprez.

Nie było tam w zasadzie niczego poza murami z czerwonej cegły, bez okien, paroma zapomnianymi bramami, rampami wyładowniczymi zapuszczonych fabryczek oraz wybiegiem dla psów, otoczonym drucianą siatką.

Zielsko sterczące pomiędzy płyt chodnikowych było niezbitym dowodem na to, jak rzadko bywali tu ludzie.

Nie docierał tu nawet zgiełk miasta.

W porównaniu z echem kroków Steele’a odgłosy centrum, które zostawił za sobą, oraz samochodów mknących górą po FDR, wydawały się dalekie i stłumione.

Posłuszny instynktowi nowojorczyka, nakazujące mu unikać samotnych spacerów w zapomnianych miejscach, wyciągał nogi, by jak najszybciej dotrzeć do przelotu pod trasą szybkiego ruchu i przejść do East River Esplanade Parku.

Stamtąd mógł już, włączywszy się w nurt biegaczy i rowerzystów, dojść wzdłuż rzeki aż do Trzydziestej Trzeciej i do szpitala.

Po drodze minęło go kilka taksówek, o szczelnie zamkniętych szybach zroszonych deszczem.

Tą samą drogą ku trasie FDR jechała rozklekotana ciężarówka.

Przez chwilę panowała cisza, aż wreszcie zjawiała się czarna furgonetka.

Sunęła tak wolno i cicho, że Steele nie zauważył jej, póki kierowca nie zwolnił, prowadząc wóz



tuż obok niego.

Ciekawe, czego chce, pomyślał, zachowując czujność, gdy szofer parkował na wysokości wybiegu dla psów, mniej więcej pięćdziesiąt metrów przed nim.

Dwaj mężczyźni w szarych mundurach i czapkach z daszkiem wysiedli z furgonetki, by wypuścić z budy dwa owczarki niemieckie wielkości dorodnych wilków.

Steele zwolnił instynktownie, widząc, że zwierzęta nie są prowadzone na smyczy.

W tym momencie jeden z mężczyzn wydał krótką komendę.

Psy ochoczo wbiegły przez dwuskrzydłową bramę zamykającą wybieg i zaczęły beztronską zabawę.

Pewnie ochroniarze, pomyślał Steele.

Mężczyzna, który wydał komendę, zdjął kurtkę i wraz z czapką rzucił ją do wnętrza wozu.

Wyjął zza paska koszulę, sięgnął po coś, co wyglądało jak pudło z narzędziami, i pobiegł w stronę wejścia do parku.

Słuchając kłapania jego skórzanych butów o betonowe płyty, Steele pomyślał, że to dość dziwny strój do uprawiania joggingu.

Drugi mężczyzna wszedł do zagrody i rozsiadł się na ławce, plecami do ulicy, obserwując zwierzęta toczące bitwę na niby.

Gdy Steele podszedł bliżej, psy przerwały zabawę i przysiadły obok siebie pośrodku wybiegu, spoglądając na niego w ciszy i raz po raz nerwowo wysuwając wielkie, różowe jęzory spomiędzy czarnych warg.

Steele mimowolnie szacował w duchu wysokość bramy, zastanawiając się, czy potrafiłyby ją przeskoczyć.

Musiała mieć przynajmniej półtora metra wysokości, ale bez trudu mógł wyobrazić sobie tych dwóch włochatych brutali przesadzających ją jednym susem.

Dzięki Bogu, wyglądają na wyszkolone i posłuszne, pocieszał się w myślach, jeszcze bardziej przyspieszając kroku i nieustannie czując na sobie spojrzenie ich czarnych oczu.

Przejdzie pod trasą Franklina D. Roosevelta, prowadzące do Esplanade Parku, zawsze kojarzyło się Steele'owi z wielkim lochem.

Miało prawie dwadzieścia pięć metrów szerokości i długości. Zamknięte na obu krańcach stalowymi prętami na całej wysokości, nie miało własnego oświetlenia.

Skojarzenie z gigantyczną celą budziło też betonowe, łukowate sklepienie, zawieszony nie więcej niż trzy metry nad kamiennym podłożem.

Stanąwszy u małej żelaznej bramki, zajrzał do mrocznego wnętrza tunelu, zanim wszedł, jak zawsze bacznie rozglądając się po ciemnych zakamarkach, w których ktoś mógł się ukryć.

Choć Nowy Jork stał się znacznie bardziej bezpieczny niż dawniej, Steele czuł, że jest to jedno z tych miejsc, w których zawsze można liczyć na kłopoty.

I smród.

Duszne powietrze cuchnęło moczem i nie tylko, zmuszając go do oddychania ustami – starej sztuczki, którą stosował, mając w pracy do czynienia z podobnymi aromatami.

Tego dnia jednak przejście pod trasą wydawało się puste.

Steele obejrzał się przez ramię.

Ani psy, ani człowiek nie zwracali na niego uwagi.

Karcąc się w duchu za niepotrzebne panikarstwo, minął bramkę i energicznym krokiem zagłębił się w półmrok, zmierzając wprost do jasnej plamy wyjścia.

Potrzebował niespełna trzydziestu sekund, by dotrzeć na drugą stronę, lecz gdy spojrzął na bramkę, stwierdził, że jest zamknięta łańcuchem i masywną kłódką.

– Co, u diabła? – mruknął, a betonowy loch wzmocnił jego głos do krzyku.

Echo odbiło się kilkakrotnie od łukowatych ścian i złało z pomrukiem pędzących samochodów, dochodzącym z góry przez stalowo-betonową konstrukcję.

Zdziwiony Steele właśnie miał się odwrócić i ruszyć w drogę powrotną, gdy usłyszał nowy dźwięk.

Zamarł.

Z ciemności dobiegał basowy warkot, coraz głośniejszy, bo wzmacniany przez echo.

Po chwili dołączył do niego drugi, podobny dźwięk.

Steele wolniutko odwrócił głowę i zobaczył dwie pary lśniących oczu, a tuż pod nimi błysk białych kłów.

Nie oddychał; nie ośmielił się nawet mrugnąć.

Wyteżał wzrok ze wszystkich sił, próbując się przekonać, czy właściciel towarzyszy swym pupilom.

Nie zobaczył nikogo.

Musiał uciec z zagrody, pomyślał, spodziewając się, że lada chwila usłyszy komendę i psy powrócą do swego pana.

Ale nie usłyszał.

Za to warkot był coraz głośniejszy.

Może powinienem na nie wrzasnąć, myślał owładnięty paniką.

A jeśli sprowokuję je do ataku?

Kątem oka spostrzegł, że jedno ze zwierząt przygarbiło się nieznacznie i zrobiło krok naprzód.

Drugie również z półotwartym pyskiem i obnażonymi kłami oraz jeszcze dzikszym, gardłowym warkotem.

Wpatrywał się w oczy psów, sparaliżowany żądzą krwi, którą dostrzegał w ich płonących ślepiach, podsycaną głodem tak pierwotnym jak u najdzikszych bestii z dżungli.

Sekundę później zauważył drżenie tylnych łap, zwiastujące gotowość do skoku.

Już czas, pomyślał.

– Pomocy! – ryknął, skacząc w górę.

Pochwycił żelazne pręty i błyskawicznie zaczął się wspinać w górę.

Jeden z psów skoczył za nim i pochwycił go zalewą łydkę.

Wyjąc z bólu, Steele szarpnął nogą i się uwolnił.

Drugie zwierzę nie trafiło w cel: skok był spóźniony o sekundę.

– Pomocy!

Na pomoc! – krzyczał Steele, a echo powtarzało jego słowa.

Przyłgnął poziomo do prętów i zaczął się wspinać bokiem, ręka za ręką, noga za nogą. Metal był jednak wilgotny od mżawki i zanim dotarł do szczytu, jego mokre dłonie nie mogły już utrzymać ciężaru ciała, a podeszwy butów zaczęły się ślizgać.

Wolno osunął się w dół.

Pies, któremu nie udało się pierwszy atak, przykucnął na tylnych łapach i skoczył pionowo w górę, chwytając zębami za połę płaszcza.

Ważył co najmniej pięćdziesiąt kilogramów; pod jego ciężarem Steele osunął się jeszcze niżej.

Drugi pies dołączył do akcji i po chwili oba wisiały w powietrzu, kręcąc się w kółko jak psi akrobaci na trapezach.

– Puść, do cholery! – wrzasnął Steele, rozpaczliwie zaciskając dłonie na prętach.

Mięśnie jego ramion zaczynały drżeć z wysiłku pod dodatkowym obciążeniem, a stopy ślizgały się po kracie.

Guziki płaszcza puszczały jeden po drugim, ale materiał trzymał się nieźle, a ciężar psów ściągał Steele'a w dół.

Po paru sekundach jego nogi były już wyżej niż barki.

Czuł, że krew z rany cieknie mu po nodze – zmoczyła już but, a teraz zaczynała spływać w kierunku pachwiny.

Wrzeszczał i przeklinał ile sił w płucach, chcąc tylko, by ktoś wreszcie usłyszał jego głos, lecz gdy zerknął poza pręty, nie zobaczył nikogo.

Jeden z psów zwolnił uścisk i opadł na ziemię, lecz natychmiast skoczył ponownie, tym razem mierząc w jego głowę.

Steele gwałtownie ugiął szyję, unikając potężnych szczęk, ale i tak poczuł zadrapanie na głowie i usłyszał tuż nad uchem głośnie kłapanięcie.

Strach sprawił, że udało mu się – mimo obciążenia w postaci drugiego psa – wspiąć nieco wyżej.

Sekundę później na jego płaszczu zawisł pierwszy, raz jeszcze ściągając go w dół.

Steele wiedział, że długo nie wytrzyma.

Za wszelką cenę musiał się pozbyć płaszcza.

Zacisnął z całej siły lewą dłoń, a prawą sięgnął do klapy, próbując jednym szarpnięciem ściągnąć okrycie z ramienia.

Wilgotne ubranie jednak przywarło do jego ciała, a walcząc z nim, znowu zaczął się osuwać.

Sięgnął ręką niżej i zaczął okładać pięścią łeb wilczura. Zwierzę warknęło, zwolniło uścisk szczęki próbując jeszcze w locie pochwycić go za nadgarstek, ciężko opadło na kamienie.

Drugi pies spróbował tej samej sztuczki i podążył śladem towarzysza.

Uwolniony od balastu, Steele podciągnął się na sam szczyt.

Nie było tu dość miejsca, by prześliznąć się nad kratą, ale wystarczyło go, by przerzuciwszy nogę i ramię na drugą stronę, zawisnąć w miarę bezpiecznie.

Rozwścieczone psy miotały się, warczały i skakały w górę, raz po raz kłapiąc paszczami wysoko w powietrzu, ale nie mogły go dosięgnąć.

Sfrustrowane zaczęły czekać z takim zapalem, że Steele był pewny, iż lada chwila ktoś je wreszcie usłyszy.

Tymczasem mżawka zmieniła się w deszcz i boleśnie bliski chodnik po drugiej stronie kraty pozostał pusty.

Steele spojrział w przeciwnym kierunku, gdzie za prętami ciągnęła się Czterdziesta Druga Ulica.

Czując, że miejsce strachu zajmuje wściekłość, zawołał głośno:

– Hej, ty od tych psów!

Zabierz je stąd, do kurwy nędzy!

Tylko echo odpowiedziało na jego krzyk.

– Oszalałeś, do ciężkiej cholery?

Zawołaj je!

Cisza.

Steele zobaczył samochody jadące ulicą, ale wszystkie miały szczelnie zamknięte okna.

Spojrzał na zranioną nogę.

Rana wciąż mocno krwawiła; lewa nogawka była już zupełnie przemoczona, a ból stawał się coraz bardziej dotkliwy.

Trzymając się kraty jedną ręką, Steele zdołał podciągnąć mankiet spodni na tyle wysoko, by odsłonić miejsce, w którym pies wyrwał kawałek jego ciała.

W odrobinie światła docierającej z zewnątrz zobaczył ranę w kształcie litery U; strzępy rozerwanego mięśnia zwisały na boki, brocząc ciemnoczerwoną krwią.

Głównie żylna, pomyślał, próbując ucisnąć ranę przez materiał spodni. Krzywił się już nie tylko z bólu, ale i na myśl o tym, jak łamie podstawowe zasady zachowania jałowości rany.

Będę potrzebował ciężarówki antybiotyków, pomyślał z rozpaczą, niemal pewny, że wda się infekcja.

Lecz porowaty materiał wchłaniał krew w takim tempie, że wkrótce Steele zdał sobie sprawę ze znacznie większego zagrożenia.

Spojrzał jeszcze raz i zobaczył gruby jak ołówek strumyk jasnoczerwonej krwi bijący gdzieś z głębi rany.

– Szlag! – wykrzyknął głośno.

Bez wahania sięgnął palcami do rany. Piekący ból nasilił się natychmiast, wymuszając kolejny krzyk.

Steele gorączkowo przelykał ślinę, by zapanować nad falą mdłości, ale nie przestał sondować palcami rany.

Podążając za ciepłym strumieniem, szukał źródła; pamiętał anatomię tego miejsca i w miarę pewnie przesuwiał palce między brzuścami mięśnia brzuchatego łydki, raz po raz sztywniejąc z bólu.

Oddychał głęboko i szukał dalej, rejestrując opuszkami kolejne punkty orientacyjne: żyły, więzadła, a nawet nerw, który dał o sobie znać, posyłając elektryzujący impuls ku stopie, gdy niechący przycisnął do kości.

Pocił się obficie i zaczynało mu brakować powietrza, a zawroty głowy stały się tak mocne, że bał się omdlenia.

Mimo to koncentrował uwagę na pulsującym strumieniu, który nareszcie doprowadził go do naczynia będącego źródłem krwotoku.

Zebrał siły, doskonale wiedząc, że to będzie bolało, a następnie z całą mocą docisnął śliską, przerwana tętnicę kciukiem do kości piszczelowej.

Wyrwał się z jego piersi najgłośniejszy jak dotąd krzyk, a zaraz po nim nadeszła nowa fala mdłości.

Pulsujący, przeraźliwy ból ogarnął całą nogę, przy wtórze kłapiących poniżej szczęk, podobnych do demonicznych kastanietów.

Odwrócił głowę w stronę Czterdziestej Drugiej.

– Pomocy!

Wykrwawię się! – zawołał.

Jego głos nie był już tak donośny.

Psy nie ustępowały.

Atakowały wściekle, przy wtórze szumu mknących gdzieś w górze samochodów i ogłuszającego łoskotu przejeżdżającego pociągu.

– Na miłość boską, pomocy! – powtarzał, stopniowo tracąc nadzieję na to, że ktokolwiek go usłyszy.

Myśli pojawiały się w jego głowie już tylko pojedynczymi błyskami.

Być pożartym przez psy czy to nie niedorzeczna śmierć? Tym bardziej absurdalna, że atak nastąpił w sercu wielkiego Nowego Jorku.

Myśl o tym, że może już nigdy nie zobaczyć Cheta, podziałała na niego jak uderzenie w twarz.

Zapragnął z determinacją walczyć o życie.

Tylko brakowało mu sił.

Jedyny plan działania, jaki miał – wisieć na tej kracie najdłużej jak się da – wydawał się idiotyczny i z góry skazany na niepowodzenie, a myśl o ucieczce była tylko żalną fantazją.

Zaczął więc się zastanawiać nad ostatnią sprawą, na którą miał jeszcze wpływ: w jaki sposób umrzeć.

Lepiej będzie najpierw wpaść we wstrząs, rozumował chłodno, żebym był bliski utraty przytomności, gdy będę spadał.

Pomysł był dobry, ale ogarniała go senność, a ból odbierał mu siły i tak naprawdę nie miał pojęcia, jak długo jeszcze wytrzyma w tej pozycji.

Jeżeli naprawdę chciał wywołać pewien stopień znieczulenia, powinien lada chwila zwolnić ucisk przerywanego naczynia.

Raz jeszcze pomyślał o samotnym, pogrążonym w żałobie Checie.

Nie!

Do diabła, nie wybiorę tej drogi, dopóki jest jakaś szansa!

Skierował spojrzenia na park, wciąż pusty, podobnie jak Czterdziesta Druga Ulica po drugiej stronie mrocznego lochu.

Ruch w ciemności był tak powolny, że w pierwszej chwili Steele miał wrażenie, że to oczy odmawiają mu posłuszeństwa.

Ale parę sekund później w kącie opodal bramki zapaliła się zapalka, wyławiając zmroku chudą twarz nakrapianą bliznami i ocienioną daszkiem ochroniarskiej czapki.

Jezu Chryste, pomyślał Steele z przerażeniem i niedowierzaniem, ten łajdak stoi tam i obserwuje wszystko od samego początku!

To nie był wypadek.

Płomyk zniknął, a w ciemności jarzyła się już tylko czerwona końcówka papierosa.

Zanim Steele otrząsnął się z szoku na tyle, by móc coś powiedzieć, z chodnika za jego plecami dobiegło wołanie:

– Halo, proszę pana!

Potrzebuje pan pomocy?

Steele odchylił głowę i zobaczył kobietę w nieprzemakalnej kurtce i kaloszach, trzymającą na smyczy parę ociekających wodą spanieli.

– Tak!

Proszę zadzwonić pod dziewięćset jedenaste i wezwać policję!

Tam stoi szaleniec, który wypuścił na mnie te psy.

Potrzebna karetka.

Mam uszkodzoną tętnicę!

Kobieta wyjęła z kieszeni telefon.

Z mrocznego końca tunelu dobiegł przenikliwy świst.

Jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki psy uspokoily się, zawróciły i pobiegly ku ciemnej postaci, która właśnie znikala za furtką.

Parę sekund później czarna furgonetka nawróciła na Czterdziestej Drugiej Ulicy i zniknęła w dali.

## Rozdział 12

– Jasne, że nie mogę tego udowodnić, Greg.

Po prostu dostrzegam podobieństwa tych dwu zgonów obu ofiarom skrecono kark oraz to, że pojawienie się wirusa H5N1, a ściślej ptasiej grypy u ludzi, jest jedyną rzeczą łączącą Oahu z Tajwanem.

I trochę mnie to wszystko przeraża.

– Naprawdę wierzysz, że genetyk z Francji i farmer z Oahu zostali zabici, żeby nie wydała się jakaś tajemnica związana z ptasią grypą?

Daj spokój, Kathleen.

Dziś rano prosiłem, żebyś dostarczała mi twarde, naukowe dowody, a ty zjawiasz się wieczorem, żeby podzielić się kolejną teorią spiskową.

Sullivan siedziała sztywno.

Słuchając wcześniej jej relacji, Stanton spoglądał na nią z każdą chwilą bardziej sceptycznie, aż w końcu nabrała przekonania, że popełniła błąd, przychodząc do niego.

Po ostatnich zajęciach wpadli na siebie w korytarzu, gdy Greg zbierał się już do wyjścia. Pod wpływem impulsu powiedziała mu, że pojawił się nowy trop, a on zapragnął od razu poznać szczegóły – zaprosił ją na drinka do klubu wydziałowego.

W przyjemnie urządzonej wnętrze, umeblowanym głębokimi fotelami w kwieciste wzory i ozdobionym wazonami pełnymi świeżo ściętych, wiosennych kwiatów, zasiedli przy dyskretnie oświetlonym stoliku.

Stanton wysłuchał opowieści, ale zbagatelizował ją.

– Ja jeszcze w nic nie wierzę – zareplikowała Sullivan.

– Mówię tylko, że pojawiła się bardzo niepokojąca ewentualność.

– Upiła łyk piwa i wierzchem dłoni otarła pianę z ust.

Stanton nie interesował się swoim kieliszkiem białego wina.

– A ja twierdzę, że znowu spekulujesz.

Chryste!

Przecież ostrzegalem, że nie powinnaś tego robić.

– Zawsze wyśmiewałam ekstremistów z ruchu obrońców przyrody, którzy teoriami spiskowymi próbowali tłumaczyć poczynania firm biotechnologicznych, służące rzekomo tuszowaniu własnych błędów.

Ale ta sprawa jest inna.

Osobista.

– Nie rozumiem.

– Chodzi o to, Greg, że jeśli śmierć tego starca w Kailua ma coś wspólnego z przypadkiem ptasiej grypy sprzed osiemnastu miesięcy i jeśli weźmiemy pod uwagę moment, w którym nastąpiła, to czyż nie jest oczywiste, że nie tylko on miał zginąć?

– Chyba nie sugerujesz.

– A właśnie że tak, do cholery.

To nie przypadek, że zabito go wkrótce po tym, jak odwiedziłam go, domagając się próbek

gleby, żeby poszukać wektorów genetycznych.

Muszę przyjąć założenie, że i mnie chcieli sprzątnąć.

– Na Boga, Kathleen, to kompletna paranoja!

Jeżeli zarząd się dowie, że głosisz takie teorie, w żaden sposób nie zdołam uratować twojej posady.

Proszę cię, zapomnij o tym, zanim zniszczysz swoją karierę tak, że nie będę już mógł ci pomóc.

– Zapewniam, doktorze Stanton, że nie jestem paranoiczką – odparowała, nie hamując już swego irlandzkiego temperamentu.

Gdy tak siedział naprzeciwko niej, w eleganckim garniturze, wymuskany i pewny siebie, lekceważąc jej obawy, miała szczerą ochotę oblać go winem.

– Za tezę, że mężczyźni z pistoletami i tłumikami byli zawodowymi zabójcami, a ja ich celem, stoi żelazna logika.

– Doktor Sullivan, naprawdę wolałbym nie kontynuować.

– Ale wysłuchasz mnie, Gregu Stantonie! – przerwała mu gwałtownie.

– A potem możesz mnie uznać za wariatkę albo pozwolić, żeby Aimes i jego kołesie zakończyli moją karierę.

Co tylko zechcesz.

Stanton otworzył usta, jakby chciał odpowiedzieć, ale rozmyślił się, widząc jej gniewne oblicze.

– Wszystkie szczegóły pasują – ciągnęła Sullivan.

– Trzymali go w tym dusznym domu, za zamkniętymi oknami, żebym nie usłyszała żadnych odgłosów, które mogłyby mnie spłoszyć.

Zwlekali z zabiciem go aż do mojego przybycia, żeby czas naszych zgonów był zgodny. Nie użyli przeciwko niemu broni palnej, choć później próbowali wpakować mi kulkę. Zamierzali spalić dom, dość nieudolnie, żeby to, co zaszło, ułożyło się w sensowną całość.

Chcieli przekonać policjantów, że nieznanemu rabusie upozorowali wypadek właściciela domu, a następnie zastrzelili mnie, bo przypadkiem wlażłam im w drogę.

– A dlaczego to mieliby robić sobie tyle kłopotu? zapytał uprzejmie Stanton, choć jego spojrzenie nie pozostawiało wątpliwości, że uważa Sullivan za wariatkę.

– Ano dlatego, że nie mogli tak po prostu mnie zabić, nie zdradzając przy tym swoich oczywistych intencji zamiaru przeszkodzenia mi w zbadaniu próbek.

Stanton pokręcił głową jakby w wielkim znużeniu i pochylił się, by oprzeć łokcie na stoliku.

– Kathleen, czy wspominałaś jeszcze komuś o swoich podejrzeniach? – spytał, podpierając głowę dłońmi i opuszkami palców masując skronie.

– Owszem, omawiałam je z paroma bliskimi kolegami. Dlaczego pytasz?

Stanton spojrzał na nią i westchnął, masując skórę tuż przy kącikach oczu.

– Z kim?

– Z doktorem Doumanim, moim głównym technikiem i ze Steve'em Pattonem, oczywiście. Pracowaliśmy razem nad tą sprawą przez lata, więc rutynowo wymieniamy informacje.

Sullivan nie dodała, jak krucha stała się ostatnio ich zawodowa współpraca.

W duchu jednak musiała przyznać, że były kochanek zareagował na jej opowieść wręcz entuzjastycznie: „Nareszcie mamy konkrety.



Daj mi znać, jeśli będę mógł jakoś pomóc”.

– Próbowałam też porozmawiać z doktorem Steele’em – dorzuciła.

– Chciałabym znać jego zdanie, skoro już jest wprowadzony w nasze sprawy, a jeszcze ma świeże spojrzenie.

– I co Richard o tym wszystkim sądzi?

– Nie wiem.

Zostawiłam mu wiadomość na sekretarce, ale jeszcze się nie odezwał.

Możliwe, że wciąż mnie unika.

– Rozumiem. Z kimś jeszcze rozmawiałaś?

– Nie.

Bo co?

– Bo zamierzam nadal próbować chronić cię przed Aimesem i zarządem, Kathleen.

Proszę więc: ani słowa więcej na ten temat, niech już nikt się nie dowie o twoich pomysłach. Rozumiesz? Trzymajmy się twardych, naukowych dowodów, tak jak się umówiliśmy.

Kiedy spodziewasz się próbek z Francji?

– Jutro po południu.

– Jak sądzisz, ile potrwią testy?

– Zakładając, że mój zespół będzie pracował pełną parą mniej więcej trzy tygodnie.

– Jak tłumaczyłem ci rano, jest to okropnie długi czas, kiedy na twoją obronę nie mam prawie nic.

Podobnie jak w wypadku danych z Hawajów, informuj mnie o wszystkim, co uda ci się ustalić.

– Naturalnie.

– Zatem ustalone.

– Stanton usiadł wygodniej w fotelu i w końcu pociągnął łyk wina.

– Wiesz co? – odezwał się po chwili, uśmiechając się tym razem całkiem szczerze.

– Jeżeli wyniki twoich badań wykażą związek między ptasią grypą a genetycznie modyfikowaną żywnością, mamy szansę na nagrodę Pulitzera.

Cholera, może nawet na Nobla!

– Uniósł kieliszek w toaście, a potem odstawił prawie pełny na stolik i położył dłonie na podłokietnikach, gotów wstać.

– A teraz wybacz, ale muszę wracać do domu, do żony i dzieci.

Gdy tylko dotarł karetką do szpitala, zaczął się zachowywać nie jak pacjent, ale jak audytor.

Kontrolował wszystkie poczynania swoich rezydentów i niższego personelu.

W parę sekund podłączono kroplówki.

Monitory pracy serca i ciśnienia krwi zaczęły pracować, zanim jeszcze spytano go o numer ubezpieczenia i nazwisko panięńskiej matki.

W końcu pielęgniarka podała mu midazolam i przestał się przejmować.

Chwilami dryfował w sen i tylko czasem interesował się pracą rezydentów pochylonych nad raną.

– Zmieszany, niewstrząśnięty – zażartował, gdy jeden z nich podszedł ze strzykawką z antybiotykiem, który dodał do kroplówki.

Przysłuchiwał się rozmowom o podłużnym rozdarciu tętnicy oraz o obfитоści krwawienia wynikającej raczej z długości rany niż z kalibru uszkodzonego naczynia.

– Załatajcie mnie w końcu, do cholery! – warknął półprzytomny, zasypiając.

– W sumie nie jest tak źle, Richard – orzekł szef chirurgii naczyniowej, gdy zjawił się przy nim w smokingu.

Najwyraźniej przybył do szpitala wprost z imprezy towarzyskiej; lekarze często wyświadczaali sobie takie przysługi.

– Naprawimy to pod miejscowym.

Steele znowu odpłynął, a gdy odzyskiwał świadomość, posłusznie poruszał palcami stóp, gdy go o to proszono, albo przysłuchiwał się wskazówkom rezydenta, który „robił już coś takiego”, udzielanym młodszemu koledze.

Obserwował też rosnącą kupkę strzępów skóry i mięśnia, z którymi musiał się pożegnać, a które raz po raz dorzucano do basenu stojącego między jego udami.

W pewnym momencie odgłosy wyjątkowo zapamiętałego wycinania tkanek sprowokowały go do głośnego komentarza:

– Próbnijcie mi urznąć całą pieprzoną nogę?

Kolejna dawka midazolamu zapewniła mu błogostan, w którym w zasadzie było mu już obojętne, czy to zrobią.

– Kartoteka panu puchnie, doktorze Steele – zażartowała przełożona pielęgniarek, opatrując łydkę.

– To już druga wizyta w ciągu sześciu miesięcy.

– Zgadza się.

– Uśmiechnął się blado, nieco zawstydzony zamieszaniem, które spowodował.

Nie cierpiał być po niewłaściwej stronie szpitalnej pościeli, zwłaszcza otoczony swoimi ludźmi.

Co gorsza, leżał na brzuchu, gdy go zaopatrywali.

Że też trafił akurat tu, na scenę swych największych triumfów, gdzie tyle razy rozstrzygał bitwę życia i śmierci, a teraz jedynie martwił się, czy zadek nie wystaje mu spod szpitalnej koszuli.

– Gdzie mam kłuć? – spytała pielęgniarka, sugestywnie unosząc brew.

Stała nad nim, przygotowując strzykawkę z anatoksyną tężcową.

Wstydliwie odsłonił ramię.

– Tu to żaden ubaw – mruknęła, po czym wbiła igłę głęboko w pośladek Steele’a.

Chwilę później poprosił o telefon, by zawiadomić Marthę i Cheta.

Pewnie umierają z niepokoju, pomyślał.

– Jestem pewna, że wpadł w szpitalu na któregoś ze swych kolegów i zapomniał o bożym świecie – zapewniła swego gościa Martha McDonald, serwując kolejną filiżankę herbaty.

– Zadzwońiłabym na komórkę, ale ostatnio przestał nosić przy sobie to przeklęte ustrojstwo.

– Nie ma sprawy, chętnie poczekam – odparła Kathleen Sullivan, coraz bardziej zażenowana, że w ogóle postanowiła tu przyjść.

Zadziałała pod wpływem impulsu, bo zależało jej na tym, by wreszcie się z nim zobaczyć.

Nawet jeśli nie miał ochoty z nią rozmawiać, czuła, że musi go ostrzec przed groźbą utraty pracy.

Pożegnawszy się ze Stantonem, pojechała do domu, wykąpała się i włożyła bladozieloną bluzkę

oraz spódnicę w takim samym kolorze.

Dodała małe kolczyki ze szmaragdami, których prawie nigdy nie nosiła, paroma pociągnięciami szczotką doprowadziła do ładu praktyczną, krótką fryzurę i ruszyła w stronę drzwi.

– Niedługo wracam, Lisa zawołała przez ramię.

Jej młodsza i szczuplejsza kopia oderwała się na moment od telewizora.

– Oooo!

Mama idzie na randkę rzuciła drwiąco.

– Skąd taki pomysł, mądralo? Idę na spotkanie w interesach.

– I dlatego włożyłaś szmaragdy, mamusku?

Sullivan posłała jej przekorny uśmiech.

– Nieznośna jesteś!

– A ty piękna, mammo.

Baw się dobrze.

Naciskając guzik dzwonka, była zdenerwowana jak uczennica.

Gdy zapytała o Steele'a, gospodyni spojrzała na nią z takim niedowierzaniem, że w pierwszej chwili pomyślała, iż pomyliła adres.

– Proszę wejść – odezwała się w końcu kobieta.

– Przepraszam, że tak się dałam zaskoczyć, ale doktor Steele bardzo rzadko przyjmuje gości – dodała, po czym poprowadziła Sullivan do pokoju, w którym teraz siedziały. Pierwsza godzina minęła im na niezobowiązującej rozmowie.

Sullivan dyskretnie przyglądała się salonowi: dominującym elementem wystroju był fortepian.

Meble były gustownie dobrane, a zarazem wygodne i praktyczne; w każdym kącie stały ozdobne rośliny, a ściany pomalowano na ciepły, żółty kolor.

Za dnia musi tu być cudownie słonecznie, pomyślała.

Lecz najbardziej przykuły jej uwagę fotografie.

Gdy Martha wyszła do kuchni, żeby zaparzyć herbatę, Sullivan wstała, by przyjrzeć się im z bliska.

Na każdej z nich zobaczyła uśmiechniętą kobietę o gęstych, czarnych włosach i wspaniałych, pełnych życzliwości oczach.

Na wielu zdjęciach uchwycono ją z ukrycia podczas codziennych prac: przy grillu, wymachującą drewnianą łyżką niczym d'Artagnan w spódnicy; uchylającą się przed strugą wody z basenu; roześmianą i tulącą małego chłopca o ciemnych, kręconych włosach i oczach identycznych jak jej.

Inne, zwłaszcza te, na których dziecko było jeszcze małe, były zwykle pozowane, ale i na nich nie brakło jej wspaniałego uśmiechu.

Tak wygląda kobieta, która wie, że jest kochana, pomyślała Sullivan.

Na niektórych zdjęciach pojawiał się i Steele, ale większość chyba robił sam.

Fotografie samego chłopca były pamiątką kamieni milowych w jego życiu – Sullivan w podobnych chwilach uwieczniała kiedyś swoją Lisę na taśmie wideo: z dumną miną jechał na rowerze, triumfalnie ścisnął w dłoni złapaną rybę albo cieszył się ze zdobycia bramki.

Kilka minut później, gdy ten sam chłopiec zszedł do salonu, by się przywitać („Lubię pani programy w telewizji”, wyznał jej nieśmiało), oceniła, że od czasu, gdy po raz ostatni utrwalono na

zdjęciach jego dziecięcą radość, musiały minąć co najmniej dwa lata.

– Na pewno nie jest pani głodna, doktor Sullivan? – spytała bodaj szósty raz Martha.

– Nie, dziękuję – odparła konsekwentnie Kathleen.

W tym momencie gdzieś w głębi domu odezwał się sygnał telefonu.

Martha przeprosiła i poszła odebrać.

Kilka minut później siedzieli już we troje w samochodzie Kathleen Sullivan, pędząc do nieodległego szpitala.

– Niemożliwy człowiek – narzekała Martha.

– Nie dość, że dał się pogryźć, to jeszcze upierał się, żebyśmy nie robili z tego afery i nie jechali do niego!

Sullivan dyskretnie została w poczekalni oddziału ratunkowego, a Chet i Martha pobiegli dalej, mijając po drodze kilkoro wahadłowych drzwi opatrzonych napisem „WSTĘP WZBRONIONY”.

Spacerując wśród łez rannych i przyglądając się strumieniowi noszy nadjeżdżających od strony podjazdu dla karettek, czuła ten sam głęboki podziw, który ogarniał ją zawsze, gdy odwiedzała ten oddział.

Brutalność urazów i choroby, z którymi lekarze mieli tu do czynienia, wydawały jej się krańcowo odległe od jej własnego, sterylnego, molekularnego sposobu patrzenia na świat.

Miała zarazem wrażenie, że otaczające ją obrazy ludzkiego cierpienia są równie prawdziwym fragmentem życia Richarda Steele’a jak fotografie, które oglądała w jego salonie.

Ileż on musi mieć odwagi, żeby dzień za dniem zmagać się z tak ekstremalnymi sytuacjami, myślała z uznaniem.

W dodatku dawniej musiał być bardzo silny, skoro nawet krwawa łaźnia, jaką jest w istocie jego praca, nie utwardziła jego serca – potrafił kochać tę niezwykłą kobietę, której duch spogląda teraz na niego ze ścian salonu.

Pięć minut później Martha powróciła i można było odnieść wrażenie, że ani przez chwilę nie martwiła się losem Steele’a.

– To nic takiego.

Że też ciągał na stu z powodu takiego draśnięcia – powiedziała, uśmiechając się do Cheta, po którym widać było, że czuje głęboką ulgę.

Uściskawszy go, spojrzała na zegarek i dodała: I w dodatku w dzień roboczy, a jutro szkoła.

Chodźmy już, młody człowieku, pora do domu.

– To powiedziawszy, pochyliła się ku Sullivan, mówiąc: Pielęgniarka mówiła, że doktor Steele zostanie tu jakiś czas, aż znieczulenie przestanie działać.

– Martha zachichotała.

– Podobno sam wymyślił taki regulamin, a teraz się wścieka.

– Odwiozę was do domu – zaproponowała Sullivan.

– Nie trzeba.

Tak długo i cierpliwie pani czekała.

Proszę tam wejść i powiedzieć mu to, co ma pani do powiedzenia. Nie ma nic lepszego do roboty, niż słuchać, a poza tym jeśli nie dopadnie go pani teraz. – Martha nachyliła się, jakby chcąc się podzielić z Sullivan straszliwą tajemnicą. –... On nie odpowiada na telefony.

Mrugnąwszy porozumiewawczo, uśmiechnęła się na pożegnanie i zniknęła za drzwiami.

Podążając za nią, Chet rzucił przez ramię:

– Dobranoc, doktor Sullivan.

– Dobranoc, Chet – odpowiedziała, kolejny raz zdumiona tym, jak bardzo jego oczy przypominają oczy matki.

Różniło je tylko jedno: matka wiedziała, że jest kochana, spojrzeniu syna zaś brakowało tej pewności.

Steele poczerwieniał ze wstydu, gdy tylko weszła za parawan.

Leżał na łóżku złożonym prawie pod kątem prostym, ciasno owinięty szpitalną koszulą.

Kathleen niebyła pewna, ale miała wrażenie, że od powrotu z Honolulu schudł parę kilo.

– Doktor Sullivan powitał ją bez entuzjazmu.

Dziękuję za podwiezienie mojej rodziny, ale muszę powiedzieć, że nie spodziewałem się pani tutaj.

– Przepraszam więc, że przychodzę nieproszona, ale musimy porozmawiać, a Martha mówiła, że nie ma przeciwwskazań.

– Martha mówiła.

– Tak, cudowna z niej kobieta.

Bardzo o was dba.

Muszę też przyznać, że Chet to wspaniały młodzieniec.

Pewnie jesteście z niego dumni.

– Owszem, ale.

– Ale proszę mi mówić Kathleen.

Mogę usiąść, Richard? – spytała i nim odpowiedział, przyciągnęła składane krzesło i usadowiła się na nim.

– Martha wspomniała, że nic ci nie grozi.

– Rzeczywiście.

– Ale co się właściwie stało?

Powiedziano nam tylko, że zaatakowały cię dwa owczarki niemieckie.

Uciekły?

– Proszę posłuchać, doktor Sullivan.

– Kathleen.

– Tak, oczywiście, Kathleen.

Chciałem powiedzieć, że jeśli chcesz porozmawiać o kłopotach, których narobiłem w Honolulu, to od razu przyjmij moje szczerze przeprosiny.

– Nie, Richard – przerwała mu zdecydowanie.

– Naprawdę nie masz za co mnie przeproszać.

To media powinny żałować swojej postawy. Zachowały się wobec ciebie okrutnie.

Prawie nikt nie wspomniał o biednej doktor Arness.

To chyba najbardziej mnie rozgniewało!

Steele wyglądał na skonsternowanego, jakby spodziewał się zgoła odmiennej reakcji.

Biedaczysko, pomyślała Sullivan.

Pewnie zadręcza się myślą, że w porę nie zauważył samobójczego nastroju Arness.

– I nie powinieneś się obwiniać o jej śmierć!

Słyszałeś, Richard? – dodała szybko, patrząc mu prosto w oczy.

Steele przestał zaciskać szczęki.

Po chwili rozluźniły się też mięśnie wokół jego ust.

– Dziękuję, Kathleen – odparł.

– Podnosisz mnie na duchu.

Widząc, jak tych kilka słów odmieniło jego oblicze, Sullivan nagle straciła ochotę na rozmowę o prawdziwej przyczynie swej wizyty.

– Opowiedz o tych psach – powtórzyła, chcąc jak najbardziej odwlec w czasie niemiłą chwilę, kiedy będzie musiała poinformować go, że jego kariera zawisła na włosku.

Może powinnam nawet poczekać z tym do jutra, pomyślała.

Steele znów zacisnął zęby.

– Jakiś maniak poszczuł je na mnie.

– Co?!

– Słyszałaś.

Facet sobie stał i palił papierosa, podczas gdy jego bestie próbowały rozerwać mnie na strzępy.

Przywołał je dopiero wtedy, kiedy jakaś kobieta zauważyła mnie i zadzwoniła na policję.

To jakiś psychopata.

– Mój Boże!

Nie próbował cię okraść?

– Próbował mnie zabić, kropka.

Nie powiedziała ni słowa o pieniądzach.

Żadnego „Dawaj portfel! czy „Wyskakuj z kasy!”

Przypuszczam, że ten drugi też brał w tym udział.

– Ten drugi?

– Tak.

Początkowo było ich dwóch. Ten drugi poszedł przodem, żeby zamknąć bramkę i uwięzić mnie.

To, iż napastników było dwóch, podsunęło Sullivan absurdalną myśl.

Próbowała odsunąć ją od siebie, ale bez powodzenia.

Sprawdźmy ją, pomyślała, może wtedy da mi spokój.

– W jakim języku się porozumiewali?

– Nie powiedzieli ani słowa.

– A jak wyglądali?

– Typowo.

Dorosły, biały, średniego wzrostu, tak się takich opisuje – odparł, uśmiechając się krzywo.

– Tyle że nosili dość łatwo rozpoznawalne mundury.

Ten z papierosem miał znak szczególny.

– Biali – szepnęła Sullivan, czując, że ucisk w żołądku ustępuje; to nie mogli być ci sami ludzie, którzy ją ścigali.

Napawająca lękiem myśl oddaliła się, by zająć należne jej miejsce między sennymi koszmarami.

– Biali, w mundurach ochroniarzy – ciągnął Steele.

– Jeden miał głębokie blizny po trądziku, gębę jak pizza.

Sullivan poczuła, że coś ściskają za gardło.

– Z taką buźką ma szansę trafić w ręce policji.

Steele mówił, ale słyszała tylko dzwonięcie w uszach. To niemożliwe, powtarzała sobie w duchu.

Niemożliwe, do cholery! – ... I tak będzie najlepiej, bo gotów kogoś zamordować.

Nie pozwolę sobie na to!

Koniec z teoriami spiskowymi!

Sullivan bardzo się starała, ale nie mogła zapomnieć; niechciana myśl wirowała w jej głowie, a wraz z nią wirował świat.

– Kathleen? Kathleen, co się dzieje? Nic ci nie jest?

Jego głos wreszcie przebił się przez mętlik panujący w jej głowie.

– Nic – odpowiedziała pospiesznie.

– Już dobrze.

– Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że Steele pochylił się mocniej i trzyma ją za nadgarstek, badając tętno.

– Strasznie zbladłaś już się bałem, że to reakcja wazowagalna.

Schyl się, opuść głowę.

– Naprawdę nic minie jest.

– Głowa w dół!

Usłuchała.

– Co to jest reakcja wazowagalna? – spytała, nie wychylając głowy spomiędzy kolan.

– Omdlenie.

– Ja nie mdleję!

– To dobrze.

Ale przez chwilę pozostań w tej pozycji.

Bo jeśli twoje tętno nie wróci do normy, to zemdlejesz.

– Zawsze tak się rządysz?

Steele się roześmiał.

– Na moim oddziale mówimy „przejmuję dowodzenie”.

– Ale to wstyd.

– Wstyd ci będzie, jeśli mnie nie usłuchasz i za chwilę wylądujesz twarzą na podłodze.

Spierali się jeszcze przez chwilę, gdy nagle oznajmił:

– Tętno wróciło do normy.

Możesz się wyprostować.

Tyle że sam wciąż pochylał się nad nią, trzymając palce na jej nadgarstku.

– Najwyższy czas.

Widok, który ją powitał, gdy uniosła głowę, sprawił, że urwała w pół zdania.

Spiesząc jej z pomocą, Steele rozluźnił tasiemki szpitalnej koszuli i teraz tylna część jego ciała sterczała dumnie na widoku.

Sullivan zaczęła chichotać.

– No co? – zdziwił się.

Chichot przerodził się w śmiech – głośny, cudownie rozładowujący śmiech, który pozwolił jej choć na chwilę zapomnieć o szoku, jaki wywołał opis niedoszłego zabójcy, a ściślej skojarzenie, że mogła doń należeć ta sama zeszepecona bliznami twarz, którą widziała przy siedzibie Agrenomics.

Na sekundę opuściły ją strach i gniew.

– O co chodzi? powtórzył zdezorientowany Steele.

W odpowiedzi zarechotała tak głośno, że nie mogła wykrztusić z siebie słowa.

Nadal nic nie rozumiejąc, Steele zawtórował jej.

Ocierając łzy płynące po policzkach, Sullivan myślała o tym, jak genialnie zaraźliwą rzeczą jest śmiech, zwłaszcza po tak długiej serii wydarzeń nienastrajających do wesołości.

To, że dźwięki, które wydawał z siebie Steele, bardziej przypominały suchy kaszel niż śmiech, spotęgowało jej zdziwienie jego reakcją.

– No co? – spytał w końcu Steele.

Tym razem zlitowała się i pokazała mu, co tak ją rozbawiło.

Gdy się obejrzał i zwrócił ku niej zdumioną twarzą, nie wytrzymała i znów zaczęła kwiczeć ze śmiechu.

Złapał za rozchylone poły koszuli, zasłaniając się, a na jego twarzy, która wydawała się dotąd zastygła w smutku, rozkwitł wreszcie uśmiech, jakiego Sullivan jeszcze nie widziała.

Zaraz potem znów zabrzmiał jego chichot.

– Ejże, ciszej tam! – zawołała jedna z pielęgniarek.

Ze wszystkich sił próbowali się opanować, ale gdy tylko jedno ucichło, zaczynało wydawać z siebie na wpół stłumione parsknięcia i oboje na nowo wybuchali śmiechem.

– Dobrze, to było dobre – przyznała Sullivan podczas jednej z nielicznych przerw.

– Lepsze niż tysiąc psychiatrów – wysapał Steele.

Zabawa skończyła się nagle, gdy potężna hebanowa dłoń odsunęła parawan i w prześwicie pojawiła się równie potężna postać.

– Które z państwa wesółków jest niedoszłą ofiarą morderstwa? – zagrzmiął mężczyzna, ukazując odznakę i identyfikator opatrzony napisem: „detektyw Roosevelt McKnight, NYPD”.

Kathleen szybko zapomniała o wesołości, gdy Richard zaczął relacjonować przebieg wydarzeń.

Kiedy detektyw McKnight zapytał, czy ktoś mógłby życzyć Steele’owi śmierci, a ten odparł, że nie, wbiła spojrzenie w podłogę, w posępnym milczeniu wspominając kostropatą twarzą oświetloną płomykiem zapalki.

– Co cię gryzie, Kathleen? – spytał Steele.

Uniosła głowę i zobaczyła, że obaj przypatrują się jej z uwagą.

– Nic odpowiedziała o wiele za szybko.

– Gówna prawda.

– Richard, to zbyt szalona hipoteza, żeby o niej mówić.

Nawet bardziej szalona niż ta, którą dziś rano sprzedałam Stantonowi, a i tak omal nie wyszedł z siebie.

– Stantonowi? – przerwał jej Steele.

– A co on ma z tym wspólnego?

– Nic.

Po prostu opowiedziałam mu o sprawach, które wydają mi się bardzo dziwnym zbiegiem



okoliczności, a on się wściekł.

I tak ma już dość kłopotów z zarządem z powodu wrzasku, który podniósł się po moich wypowiedziach w Honolulu.

– Przepraszam! – wtrącił McKnight, a uprzejme słowo zabrzmiało w jego ustach tak, jakby wrzasnął „Zamknąć się!

„Gdy umilkli, powiedział: Doktor Sullivan, może zacznie pani od początku i wyłoży fakty w taki sposób, żeby nadażył za panią nawet taki stary platfus jak ja, zgoda?

– Był to rozkaz, nie propozycja.

– Właściwie to nie wiem, czy ta sprawa ma jakiś początek.

Jest w niej tyle wątków.

– Proszę mówić! rozkazał, trzymając w gotowości notatniki długopis.

Najpierw opowiedziała mu o swojej przedświątecznej wizycie w Agrenomics.

Potem streściła przebieg niesławnej wyprawy na Hawaje, podkreślając, że czas tak zwanego włamania na farmę Hacketa może wskazywać, że to ona była celem.

Pełne skupienia milczenie, z którym obaj mężczyźni przyjmowali jej opowieść, żywo kontrastowało z lekceważeniem Stanton.

Historia morderstwa Pierre’a Gastona, a zwłaszcza jego listu, w którym wspomniał o jedynych dwóch miejscach na świecie, w których wirus H5N1 zaatakował ludzi, sprawiła, że Steele usiadł na łóżku napięty jak struna.

Wzmianka o tym, że francuskiemu genetykowi ktoś skręcił kark tak jak Hacketowi, spowodowała, że długopis McKnigha zawisł nagle nieruchomo w powietrzu, a on sam zmarszczył czoło, wyraźnie zaniepokojony.

Może te moje pomysły nie są aż tak szalone, pomyślała, kończąc relację.

– Zatem jaki to ogólny plan łączy te tak odległe od siebie zdarzenia? – spytał w końcu McKnight nieco znużonym głosem.

– Przypuszczam, że może to ludzie z branży biotechnologicznej próbują zatuszować i ukryć przed opinią publiczną jakąś katastrofalną pomyłkę, którą popełnili.

– Kto na przykład? Zna pani jakieś nazwiska?

– Jasne, że nie. Dopiero co dowiedziałam się.

– A jaką to katastrofalną pomyłkę próbują utrzymać w tajemnicy?

– Przypuszczam, że sprawa jest związana z tym, przed czym przestrzegam od dawna, i dodatkowo połączona z występowaniem przypadków ptasiej grypy u ludzi.

Nigdy nie popierałam teorii spiskowych na temat działalności wielonarodowych koncernów, ale w tym wypadku nie mogę przestać się zastanawiać, jak daleko ich szefowie mogliby się posunąć, by zatuszować wielką wpadkę.

– Gdy wybrała się pani do Agrenomics, udało się pani znaleźć jakiegokolwiek dowody, że właśnie ta firma może być winowajcą?

– Nie.

Szczerze mówiąc, badania zebranych próbek wykazały ich absolutną czystość.

I to właśnie uważam za podejrzanę.

– To znaczy?

Sullivan zarumieniła się nieznacznie.

– Wiem, że zabrzmiało to głupio, ale skoro nie można wykluczyć, że celowo zaczęli używać specjalnych filtrów ochronnych, których się domagałam, to istnieje podejrzenie, że już wcześniej wiedzieli, że wektory nagiego DNA mogą się przedostawać do środowiska.

McKnight westchnął głęboko, wyciągnął się na krześle zarekwizowanym w pokoju pielęgniarek i schował notatki do kieszeni.

– I co teraz?

Powinna się pani cieszyć, że okazali się porządnymi biznesmenami i obywatelami.

– Chyba że używają czegoś, czego ujawnienie w moich badaniach byłoby im nie na rękę.

– Niezła historia, doktor Sullivan – stwierdził detektyw i z trzaskiem rozciągając zastałe palce wielkich dłoni, wstał, zbierając się do wyjścia.

Niestety, nie podlega ona jurysdykcji NYPD z wyjątkiem wątku „gęby jak pizza”, ma się rozumieć.

– Zaraz, zaraz – wtrącił się Steele.

– Nie sądzi pan, że powinniśmy poważnie przemyśleć resztę tej historii? Jak może pan odrzucić.

– Doktorze, może pan być pewny, że priorytetowo potraktujemy sprawę tego świra, który pana zaatakował.

Do diabła, żeby szczuć ludzi psami?

Takie rzeczy nie zdarzały się nawet czterdzieści lat temu, gdy byłem dzieciakiem w Alabamie.

Chciałbym, żeby spędził pan jutro trochę czasu z policyjnym grafikiem, a także przejrzał kolekcję zdjęć z naszej kartoteki.

Kiedy będziemy mieli portret pamięciowy, a doktor Sullivan potwierdzi podobieństwo do człowieka, którego widziała w Agrenomics, wezwiemy ich do ujawnienia nazwy firmy ochroniarskiej, która dla nich pracuje.

A jeśli chodzi o całą resztę spraw, o których tu usłyszałem, to doprawdy nie moja liga.

Jeśli doktor Sullivan zdobędzie jakiegokolwiek dowody, może zainteresuje nimi FBI albo Interpol.

A tymczasem mogę jedynie zalecić państwu jedno, ostrożność.

Sullivan miała ochotę nawrzeszczyć na detektywa, nie tylko dlatego, że dość łatwo odrzucił jej podejrzenia, ale także za to, że zachowywał się teraz, jakby wcale jej tu nie było.

Pamiętała jednak, że jest gościem na oddziale Steele'a, i tylko dlatego trzymała język na wodzy.

– To wszystko? – zdumiał się Steele.

McKnight narzucił na ramiona zmięty beżowy płaszcz, bardziej podobny do poplamionej brezentowej płachty niż do ubrania.

– Coś panu wyjaśnię, doktorze.

Macie szczęście, że to ja do was przyszedłem.

Ja jestem wrażliwym detektywem doby New Age, bo takich promuje dziś nowojorska policja.

Jeśli zaś chodzi o większość moich kolegów z tej dzielnicy, to powiedzmy ogólnikowo, że nie mają aż tak otwartych umysłów.

– Wie pan, co by powiedzieli na tę historyjkę doktor Sullivan?

„Jezu, mamy tu Francuza, który napisał, że zna tajemnicę Tajwanu i Oahu, a potem ktoś –

pewnie zdradzony mąż babki, z którą uciekł – skrzył mu kark.

Po roku później serwują nam farmera z Oahu, któremu kark skrzyła zapewne parka gnojników obrabiających jego dom.

Ale na Oahu i Tajwanie były przypadki ptasiej grypy, więc mamy spisek?

O nie, nie wydaje mi się”.

– Nie tak prędko, detektywie McKnight! – Wybuchnęła Kathleen.

Zerwała się na równe nogi, kierując przeciwko policjantowi nie tylko swój gniew, ale i swój irlandzki temperament.

– Nie spławi mnie pan tak łatwo.

Spojrzał na nią z góry.

Z takim wzrostem, pomyślała, pewnie ma w tym niemałą wprawę.

– Proszę mnie źle nie zrozumieć, doktor Sullivan odpowiedział.

– Jestem pani wielkim fanem i szczerze uważam, że powinna pani zachować ostrożność.

Ale dopóki nie zdobędzie pani twardych dowodów na poparcie swoich teorii, wszyscy policjanci tego świata będą panią traktować tak jak ja przed chwilą, a może i gorzej.

Z niechęcią musiała w duchu przyznać mu rację.

W milczeniu dyszała złością, mimo bólu karku uporczywie spoglądając mu w oczy.

Wreszcie przyszedł jej do głowy mały podstęp.

– Pytał pan o nazwiska, więc podsunę panu podejrzanego.

Kogoś, kto w mojej obecności ostrzegał doktora Steele, że właśnie narobił sobie bardzo wielu wrogów.

– Naprawdę?

Kogo mianowicie?

Udało jej się nie uśmiechnąć szeroko, gdy z satysfakcją mówiła:

– Powinien pan przesłuchać niejakiego Sydneya Aimesa.

– Sądysz, że wpadłam w paranoję? – zapytała, gdy detektyw wyszedł.

– Chciałbym tak sądzić – odparł smętnie Steele.

Znowu usiadła przy jego łóżku.

– Czy to znaczy, że zgadzasz się ze mną, że ktoś tu próbuje coś ukryć i że wszystkie te sprawy są ze sobą powiązane?

Nawet atak na ciebie?

– Sam nie wiem.

Trochę to wszystko naciągane.

– Steele urwał zamyślony.

– Ale wszystkie te zbiegi okoliczności trudno zlekceważyć, a jako lekarz mam zdecydowaną awersję do traktowania serii wydarzeń jako osobnych epizodów, połączonych przez czysty przypadek.

Przyszły mu do głowy słowa z doskonale znanego podręcznika:

Lepiej zakładać, że to jeden proces patologiczny stoi za różnorodnymi objawami, jakie obserwuje lekarz, niż wnosić, iż pacjent walczy z kilkoma niepowiązanymi chorobami jednocześnie.

Zaraz przypomniał sobie jednak słowa innego wielkiego nauczyciela: „Nie patrz na całą resztę

swego życia w tak uproszczony sposób”.

Luana przypominała mu o tym za każdym razem, gdy zbyt zanurzał się czysto klinicznej metodzie rozumowania.

Ciekawe, co by powiedziała o tej sprawie, pomyślał.

– Obawiam się, że to nie koniec złych wiadomości – odezwała się Sullivan.

Steele spojrział na nią pytająco, ale milczała.

Przyglądając się jej, pomyślał, że bardziej opanowanej i pewnej siebie kobiety jeszcze nie spotkał.

Jej wygląd – bezpretensjonalna, prosta fryzura, brak makijażu (jeśli się nie mylił) oraz skromny strój w pastelowym odcieniu zieleni – wskazywał, że Kathleen dobrze się czuje we własnym ciele.

Nawet kamienie, które zdobiły jej uszy, były niczym w porównaniu z błyskiem w jej szmaragdowych oczach.

– To znaczy? – rzucił zachęcająco, zauważywszy, że próbuje coś powiedzieć.

Sprawa musi być poważna, pomyślał, skoro ktoś taki jak ona tak nagle zapomniał języka.

– Greg Stanton wezwał mnie do siebie dziś rano.

Znasz tę jego specjalność spotkania o siódmej rano.

– O rany.

Ze śniadaniem czy bez?

– Ze – odparła z uśmiechem.

– Uff – sapnął żartobliwie.

– Kłopot w tym, że być może ciebie czeka spotkanie bez śniadania.

– Co takiego?

– Mamy podobny problem.

Wydaje się, że Sydney Aimes postanowił zdyskredytować mnie, a z ciebie zrobić odstrasżający przykład.

Patrzyła, jak jego rysy twardnieją, gdy tłumaczyła mu sytuację i przedstawiała zamiary zarządu względem nich obojga.

Kiedy skończyła, wyglądał jak z krzyża zdjęty.

Ciszę przerywały jedynie odgłosy z oddziału: pikanie monitorów, szmer cichych rozmów między pacjentami i personelem oraz dalekie echo czyichś torsji.

– Chryste, wiedziałem, że nie będzie zachwycony, ale do głowy by mi nie przyszło, że mogę stracić pracę – odezwał się w końcu, jakby nieobecny głosem.

Sullivan nie mogła patrzeć na gorycz w jego spojrzeniu.

– I Greg zamierza na to pozwolić? Spytał przez zaciśnięte zęby.

– Niezupełnie.

Będzie opóźniał sprawę jak się da.

– A co nam z tego przyjdzie?

– Będę miała czas, żeby odkryć tajemnicę próbek, które dostanę jutro z Francji.

Może dowiemy się wreszcie, z czym walczymy.

– Sullivan nie umiała odczytać z jego zawziętej miny, czy jej plany pocieszyły go choć trochę.

Steele wydawał się jej tak oszołomiony perspektywą utraty pracy, że być może nie zdawał

sobie nawet sprawy z tego, że oboje mogą stracić życie.

– Jak mogę ci pomóc? – spytał po kilku sekundach głosem tak stłumionym, jakby dobiegał zza muru.

Spoglądając na jego częściowo nagą pierś i na resztę ciała okrytą cienką koszulą, Sullivan miała w głowie kilka pomysłów.

W typowo irlandzkim stylu, gdy miała do czynienia ze śmiercią, zawsze budziło się w niej buntownicze pragnienie celebrowania uroków życia.

Odpowiedziała jednak całkiem zwyczajnie:

– W tej chwili nijak.

Po prostu trzymaj w odwodzie swój bystry umysł.

Podejrzewam, że będzie nam potrzebny, gdy przyjdzie czas na układanie danych w logiczną całość.

Jak powiedziałam Gregowi Stantonowi, moja dziedzina jest ci obca, więc masz po swojej stronie atut świeżego spojrzenia.

Będziesz musiał tylko odświeżyć sobie wiedzę z podstaw biologii molekularnej.

Podeślę ci trochę książek.

Są koszmarnie nudne, więc zaznaczę ci fragmenty, które powinieneś przeczytać.

Sullivan pożegnała się, życząc mu dobrej nocy, poklepała go pocieszająco po ramieniu i zniknęła za parawanem.

Kilka minut później salowy zaczął uczyć Steele'a trudnej sztuki chodzenia o kulach.

I choć Richard przez lata sam zalecał ich używanie tysiącom pacjentów, szybko się przekonał, że jest w tej dyscyplinie beznadziejny.

## Rozdział 13

– Matko Boska – jęknęła Sullivan, gdy rozpakowała próbki zebrane przez Racine'a na terenie należącym do Agriterre Incorporated.

Przyleciały z Francji w styropianowej chłodziarce, późnym popołudniem następnego dnia, tak jak obiecano.

Gdy rozłożyła je przed sobą, zajęły całą długość siedmiometrowego stołu laboratoryjnego.

Racine postąpił ściśle według jej instrukcji: dostarczył pojedyncze próbki gleby, korzeni oraz – w zależności od rodzaju roślinności w danym miejscu – żdźbła trawy, łodygi oraz liście.

Wszystkie zebrano z określonych miejsc przy ścianie budynku i w różnych odległościach od niej, dokładnie według życzenia Sullivan.

Tyle że w przeciwieństwie do jej nocnej wyprawy do Agrenomics, akcja policji w Agriterre zaowocowała zebraniem aż tysiąca dwustu próbek, które teraz należało przebadać.

– Zaczniemy od tych z bezpośredniego sąsiedztwa budynku – zarządziła Sullivan, zwracając się przez ramię do Azrhana Doumaniego i czterech techników, których wybrała do tego zadania.

– Jeżeli znajdziemy wektory, to właśnie w tych próbkach wystąpią w największym stężeniu.

Resztę na razie zmagazynujemy.

Obawiam się, że będziemy pracować do późnej nocy, więc jeśli ktoś na was czeka, proponuję zadzwonić do domu.

Szybko podzielili się pracą i rozpoczęli procedurę, która z dążyła już się stać rutynowa.

Jedni umieszczali fragmenty próbek w moździerzach, dodając porcję ciekłego azotu.

Białe opary opływały ich zakryte rękawiczkami dłonie, gdy zaczęli mielić zamrożone próbki na proch.

Inni poddawali tak uzyskany materiał działaniu odczynników i odwirowywali, by uzyskać chromosomy – pływały na powierzchni jak piana w kąpieli.

Doumani i Sullivan wzięli na siebie obróbkę tak uzyskanego supernatantu: dokonywali cięcia i łączenia DNA za pomocą enzymów restrykcyjnych, przeznaczonych do całego szeregu wektorów DNA stosowanych na świecie, a nie tylko jednego, właściwego wirusowi mozaiki kalafiora.

Oznaczało to dodatkową pracę, każdą bowiem próbkę musieli zbadać ponad dziesięciokrotnie.

W ciągu godziny zdążyli umieścić pierwszych pięćdziesiąt porcji roztworu na cienkich paskach żelu do elektroforezy.

Były gotowe do podróży przez specjalne pole elektryczne, które przez całą noc miało rozdzielić kolejne łańcuchy DNA według rozmiarów i masy molekularnej.

A przecież rozpracowali zaledwie pięć kompletów próbek z całej dostawy.

Tysiąc sto dziewięćdziesiąt pięć do przerobienia obwieściła Sullivan, uśmiechając się promiennie do Doumaniego i uruchamiając sprzęt do elektroforezy: maszynę nieco większą od fotokopiarki, a być może zdolną odkryć sekret Pierre'a Gastona.

Jej asystent tylko uśmiechnął się blado i zabrał się do szykowania żelu dla następnych próbek.

Dziwne, pomyślała.

Spodziewałam się, że będzie co najmniej tak samo podekscytowany jak ja.

– Wszystko w porządku, Azrhan?

– Oczywiście, doktor Sullivan.

Jestem tylko zmęczony odpowiedział szybko, unikając jej wzroku.

Nie uwierzyła mu.

Od powrotu z Honolulu był wyraźnie rozkojarzony i z pewnością nie można było tłumaczyć zmęczeniem worków luźnej skóry, które pojawiły się ostatnio pod jego oczami.

Raz już rozmawiali na ten temat kilka dni wcześniej, gdy popełnił poważny błąd, pomagając jednemu z jej studentów w przeprowadzeniu eksperymentu.

Wyjaśnił jej wtedy raczej ogólnikowo, że ma problemy rodzinne, po czym naturalnie gorąco przeprosił i zapewnił, że podobne pomyłki już się nie powtórzą.

Oby nie, pomyślała, spoglądając na ogrom czekającej ich pracy, ale fakt pozostawał faktem: martwiło ją marne samopoczucie Azrhana.

Pracowali do nocy, powtarzając te same czynności dla każdego pakietu próbek.

O dwudziestej trzydzięci zabrakło im miejsca do elektroforezy: wykorzystali pozostałych pięć maszyn, choć wykonali ledwie ułamek zadania.

– Sądysz, że możemy gdzieś wybłągać, pożyczyć albo ukraść więcej sprzętu? – spytała Sullivan swego asystenta, kładąc dłoń na beżowej obudowie najbliższego urządzenia.

–Przez najbliższych parę tygodni nie będziemy robić prawie nic oprócz rozdzielania DNA.

– Podzwonię po innych laboratoriach – odparł i ziewając, zerknął na zegarek.

– Jak tylko zaczną pracę.

– W takim razie reszta idzie do domu, złapać trochę snu – zarządziła Sullivan, zwracając się do techników.

– Od tej chwili pracujemy na zmiany, żeby optymalnie wykorzystać sprzęt, który już mamy.

Dwie osoby muszą tu wrócić za siedem godzin, kiedy będziemy mieli wyniki z pierwszej partii próbek.

Zmianę wieczorną liczymy od szesnastej do północy.

Dogadajcie się między sobą, kto zacznie.

Azrhan, myślę, że jedno z nas powinno tu być o każdej porze, żeby nadzorować proces i pilnować maszyn, więc czekają nas dwunastogodzinne zmiany.

Wolisz dni czy noce?

– Wolę dni, bo moja narzeczona.

– W porządku! – przerwała mu.

Bez względu na to, którą zmianę by wybrał, nie była zachwycona perspektywą pozostawienia laboratorium w jego rękach.

Gdy wszyscy opuścili salę, wróciła do swojego gabinetu i rozłożyła kanapę.

Zamierzała wstać o siódmej, by zobaczyć pierwsze, najważniejsze rezultaty i nie zostawiać ich ocenie Azrhana – w każdym razie nie teraz, nie w takim stanie jego umysłu.

Poza tym czekało ją spotkanie z resztą personelu: musiała wyjaśnić wszystkim, które projekty zostaną zawieszane, by wszystkie siły można było skierować na badanie próbek z Rodez.

Lecz choć była już skrajnie wyczerpana, nie mogła zasnąć.

Deszcz łomotało szklane tafle nad jej głową, a błyskawice rozciągały nad miastem ramiona jak roztopione korzenie próbujące się zakotwiczyć w okolicznych budynkach.

Do jej bezsenności przyczyniały się jednak nie tylko regularne grzmoty za oknem, ale także

wycie i bulgotanie w rurach starego budynku, i cała gama dźwięków, których nie umiała zidentyfikować.

Przewracała się więc z boku na bok i gdy tylko zamykała oczy, w upiornej wizji spoglądała na nią twarz Hacketa, po czym ktoś w ciemności skręcał mu kark.

Czy próbki analizowane w sąsiednim pokoju skrywały prawdę o przypadkach ptasiej grypy na Tajwanie i Oahu?

Czy człowiek, który próbował zabić Richarda Steele'a, miał jakiś związek z tą tajemnicą?

Bez wahania wybrała jedną z generowanych komputerowo podobizn mężczyzny o twarzy pokrytej trądzikowymi bliznami, a kiedy to zrobiła, detektyw McKnight zaczął traktować ją nieco poważniej.

Niespokojna, wstawiała co jakiś czas, by sprawdzić, czy elektroforeza przebiega bez zakłóceń.

Z niecierpliwością oczekiwała wyników, choć doskonale wiedziała, że nie można przyspieszyć w pełni zautomatyzowanego procesu.

Kilka maszyn po prostu stało na stołach, ciszę przerywały tylko z rzadka kliknięcia dobiegające gdzieś z ich trzewi, a światełka kontrolne i cyfrowe liczniki jarzyły się w mroku czerwienią i zielenią.

To, że na zewnątrz nic nie wskazywało, by wewnątrz dokonywało się jakiegokolwiek działanie, potęgowało jeszcze frustrację Sullivan.

Wreszcie, gdy horyzont zarysował się w oddali cieniutką linią, odpłynęła, by we śnie znowu stać się ofiarą dwóch mężczyzn w kapturach, ścigających ją przez pola wysokich traw i krzyczących coś w szorstko brzmiącym, obcym języku.

Przez kolejnych kilka dni i nocy skupiali się na drugiej fazie monotonnej procedury: zbierali podejrzanym wektorom z różnobarwnych placków żelu do elektroforezy i płukali je w Gene Clean, po czym używali odpowiednich primerów, by zidentyfikować i powielić właściwe fragmenty służące do identyfikacji.

Ten krok, na którego wykonanie sprzęt do PGR potrzebował mniej więcej godziny, często owocował odkryciem tak wielu fragmentów DNA, że na elektroforezę potrzeba było kilku dni, by je pogrupować.

W końcu jednak zaczęli je identyfikować, a im więcej danych zbierali, tym większe przygnębienie ogarniało Sullivan.

Wszystko, co dotąd odkryli, było jedynie powieleniem odkryć z badań wykonanych w różnych częściach świata.

Znajdowali wciąż te same fragmenty DNA, pochodzące z kilkunastu wektorów, a najczęściej spotykany był ten oparty na wirusie mozaiki kalafiora.

Pojawiały się też różne odmiany powszechnie stosowanych transpozonów, promotorów i wzmacniaczy, które pomagały włączeniu, replikowaniu i ekspresji genów przenoszonych przez dany wektor w organizmie nowego gospodarza.

Wszystko to wydawało się tak zwyczajne, że Sullivan coraz częściej zachodziła w głowę: co takiego miałam tu odkryć, zdaniem Pierre'a Gastona?

Przepracowali ostatni majowy weekend wraz z Dniem Pamięci – wciąż bez przełomowych rezultatów.



Jedynym jasnym punktem tego etapu pracy były wizyty Richarda Steele'a – nawet jeśli poruszał się z trudem, o kulach.

Przeczytał książki, które mu dała, i domagał się kolejnych.

Zaproponowała mu nieograniczony dostęp do biblioteczki przy laboratorium i z przyjemnością zauważyła, że już w następnym tygodniu zaczął się pojawiać regularnie, pod koniec każdego dnia – teraz podpierając się już tylko laską – by wypytywać o sprawy, które nie do końca zrozumiał.

– Twoja pasja do genetyki jest zaraźliwa – przyznał podczas jednej z wizyt.

– Musisz być świetną nauczycielką.

– Fascynująca jest potęga genu – odparła bez wahania, uradowana komplementem i jak zawsze skora do dzielenia się entuzjazmem skupionym na pracy, którą kochała.

– Nie rozumiem, jak można zobaczyć DNA i nie doświadczyć tego samego podziwu, jaki dajmy na to Einstein i Bohr musieli odczuwać na myśl o atomie.

I bez wątpienia podobny jest potencjał genu, dający się wykorzystać dla słusznych i bardzo niesłusznych celów.

Godzinę później zatelefonował McKnight.

Udało mu się błyskawicznie zdusić ich dobry nastrój, gdy podzielił się mało zachęcającymi informacjami.

– Okazuje się, że firma Agrenomics sama zatrudnia ochroniarzy, na indywidualne umowy.

Podobno przed paroma tygodniami zwolniła człowieka z bliźniami na twarzy.

Według karty pracowniczej nazywał się Fred Smith. W kadrach podali mi nawet powód: „Złe zachowanie”.

Ponoć zatrudnili go, bo w ramach umowy o pracę oferował usługi wyszkolonych psów, ale wszyscy inni ochroniarze zwyczajnie się ich bali.

Dostałem nawet jego adres i sami zgadnijcie co dalej. Facet się wyprowadził, nie podając nowego adresu.

Jeśli nie liczyć prawa jazdy i aktu urodzenia, właściwie nie ma żadnych dowodów, że istniał.

„Fred Smith” to prawdopodobnie fałszywe nazwisko.

– A co z Sydneyem Aimesem? Spytała Sullivan.

– Myślałem, że mu żyłka pęknie, tak się wkurzył, kiedy odwiedziłem go w jego biurze.

Gdy tylko wspomniałem, że jego słowa wypowiedziane pod adresem doktora Steele'a można uznać za groźbę, wezwał pół tuzina prawników.

Od tej chwili nie zdradziłby mi nawet drogi do kibla, nie konsultując się z nimi szeptem przez pięć minut.

W sumie jednak nic nie zyskałem poza tym, że solidnie wyprowadziłem go z równowagi.

Pod koniec drugiego tygodnia badań Sullivan była już prawie pewna, że to, co zdaniem Pierre'a Gastona było jeszcze bardziej śmiertelne, nie miało nic wspólnego z wektorami, które od początku zgłębiali.

Musiał mieć na myśli sam genetyczny ładunek, który wektory jako środki transportu – miały przenosić, rozumowała, czyli gen albo geny, które chciano przerzucić przez barierę gatunkową, wszczepić do nowego organizmu.

A skoro tak, to z równie marnym skutkiem mogła poszukiwać konkretnego ziarenka piasku na plaży – dobranie w ciemno odpowiedniego primera graniczyło z cudem, było bowiem

nieskończenie wiele możliwości.

Mapowanie genetyczne, jedyny proces, który pozwala odkryć sekwencję kwasów nukleinowych zupełnie nieznanego łańcucha DNA, było wykluczone.

Wymagało drogiego, wielce specjalistycznego sprzętu, który posiadały bardzo nieliczne ośrodki badawcze i którego tak często używano, że niebyło szans na wykorzystanie go w najbliższej przyszłości.

W końcu uganiając się za Bóg wie czym, rozmyślała Sullivan, opierając się wyłącznie na liściku od faceta, który umarł pięć miesięcy temu.

To raczej niewiele, by ubiegać się o dostęp do sekwencera. Nawet gdybym mogła mapować gen, od której próbki miałabym zacząć?

Nikt nie wie, w którym z tysięcy wyodrębnionych wektorów znajduje się to, czego szukamy.

Mimo wszystko zajęła się badaniem żelów, w których udało się wyodrębnić fragmenty wirusa mozaiki kalafiora i innych mikroorganizmów służących jako wektory, które już udało im się zreplikować i podzielić według odcisków i palców.

Oglądając je kolejno pod mikroskopem, zobaczyła u dołu każdego z preparatów poziomą smugę DNA.

Były to nienaruszone chromosomy nośnika z primerami, gotowe do replikacji.

Dłuższe, a zatem i cięższe łańcuchy oporniej poddawały się działaniu pola elektrycznego.

Sullivan wiedziała, że gdzieś pośród nich znajdują się też geny, które wektor miał przenieść.

– DNA, którego szukam, jest właśnie tam – szepnęła.

– I musi być jakiś sposób na wydobycie go.

Na razie jednak mogła tylko się z tęsknotą wpatrywać w mikroskopowy obraz, niczym w daleki horyzont, do którego niepodobna dojść.

Zmagając się z problemem, nie zauważyła nawet, że Doumani i większość personelu rozeszli się już do domów.

Gdy skończyły jej się pomysły, postanowiła zmienić strategię.

Może inspektor Racine mi pomoże, pomyślała.

Jeżeli zrobił nalot na Agriterrei wziął firmę pod mikroskop, jak zapowiadał, to pewnie już zabezpieczył jej archiwum.

Jeśli będę mogła zajrzeć do ich dokumentacji naukowej, rozumowała, to może dowiem się, jakie geny próbowali przenosić.

Mogę też zapytać, czy pojawiły się nowe ślady w sprawie morderstwa Pierre'a Gastona.

Jeśli udało się ustalić sprawcę, może wyjaśni się sprawa ataku na mnie na Hawajach, a także próby zabójstwa Steele'a.

Czy nie za późno, żeby do niego dzwonić?

Zegarek wskazywał dziewiętnastą piętnaście, zatem we Francji było kwadrans po pierwszej nad ranem.

Po chwili zastanowienia poprzestała na wysłaniu wiadomości pocztą elektroniczną.

Wylogowała się z Internetu i powróciła do badania żelów.

Dwadzieścia minut później przypomniała sobie, że obiecała o siódmej zadzwonić do Grega Stantona.

– Cholera! – mruknęła, sięgając po telefon.

Minęło dziesięć dni od spotkania, a on codziennie domagał się meldunków o postępach.

Lecz za każdym razem, gdy rozmawiali o próbkach z Rodez, pojawiała się z jej strony więcej pytań niż odpowiedzi.

Nawet w sprawie próbek z farmy Hacketa nie miała dla niego dobrych nowin.

Wybierając numer, otworzyła notes, w którym zapisywała najważniejsze fakty z licznych rozmów z laboratorium w Honolulu.

Próbki, które zanalizowano tam do tej pory, nie zawierały żadnych śladów wektorów DNA.

Podczas ostatniej rozmowy usłyszała, że władze ośrodka zaczynają ograniczać czas i środki, które przeznaczano dotąd na dokonywanie elektroforezy na jej zlecenie.

– Które próbki czekają jeszcze na badanie? – spytała dyżurnego technika, ledwie kryjąc rozdrażnienie z powodu ślamazarnego tempa prac.

– Kilka większych chwastów, łodyga kukurydzy, kilka pojedynczych ziaren i oczywiście ptasie odchody.

Posłaliśmy ich próbkę do Julie Carr, żeby zgodnie z pani życzeniem poszukała wirusów, zwłaszcza H5N1, alei te badania dały negatywny wynik.

Sądzę, że osiemnaście miesięcy to zbyt długo, by można było oczekiwać, że wirus przetrwał.

Ale Julie zasugerowała, że skoro już szukamy wektorów w odchodach, to może włączymy też primer doszukania RNA wirusa H5N1.

Może przetrwała choć odrobina.

Byłby to równie dobry dowód obecności wirusa w przewodzie pokarmowym ptaka.

Wysłała już zamówienie do CDC w Atlancie nae nzymy restrykcyjne i primery, które będą nam potrzebne.

– Dobry pomysł – odparła Sullivan, siląc się na optymistyczny ton, ale jednocześnie dusząc słuchawkę w morderczym uścisku na myśl o kolejnym opóźnieniu.

Sztucznie brzmiący głos automatycznej centrali telefonicznej uczelni wyrwał ją z ponurych rozmyślań.

Odsłuchiwała opcje, które zaoferował, i wybrała odpowiednią kombinację klawiszy, by irytująco władczy – w tym roku męski – głos wreszcie umilkł i połączył ją ze Stantonem.

Ku jej zdziwieniu, szef wciąż jeszcze czekał na jej telefon.

Dwadzieścia cztery godziny później nadeszła odpowiedź od Racine'a.

*Droga doktor Sullivan,*

*Doprawdy doskonały pomysł – byłoby świetnie, gdyby przejrzała Pani ich dokumentację.*

*Niestety, choć nasz pierwszy atak kompletnie ich zaskoczył, dzięki czemu mogliśmy bez żadnych ograniczeń pobrać w Agriterre potrzebne pani próbki, to później prawnicy firmy zebrali siły i pozbawili nas dostępu do ośrodka.*

*Krótko mówiąc, zaangażowaliśmy się w swoistą wojnę biurokratyczną, z jakich słynie Francja.*

*Jeśli dopisze nam szczęście, sąd wkrótce nakaze dyrekcji firmy udostępnić wszelką dokumentację, którą oczywiście bez zwłoki Pani prześlę.*

*Jeśli chodzi o nasze śledztwo w sprawie Gastona, to i tu nie poczyniliśmy wielkich postępów.*

*Wiemy już, niemal od początku dochodzenia, że tego popołudnia, gdy zniknął, jego mieszkanie odwiedziła kobieta, która, wedle słów gospodyni, „była tam już kilka razy w ciągu poprzednich*

sześciu miesięcy” i wydawała się „o wiele zbyt piękna dla takiego ropucha jak Gaston”.

Nie udało nam się ustalić nawet tożsamości tej kobiety, a tym bardziej miejsca jej pobytu i ewentualnego związku ze sprawą morderstwa.

Wiemy natomiast, że owej nocy, a była to noc sylwestrowa, Gaston wrócił do siedziby Agriterre, wszedł do laboratorium, po czym opuścił ośrodek.

Nikt nie wie, dlaczego to zrobił.

Dyrektor, doktor Francois Dancereau, nadal twierdzi, że w zasobach firmy absolutnie niczego nie brakuje.

Zapewniam, że w pełni podzielam Pani rozgoryczenie i że doceniam wysiłki, jakie podejmuje Pani w naszym imieniu.

Naturalnie gotów jestem służyć wszelką pomocą,

Szczerze oddany,  
inspektor Georges Racine

Nazywaj się, jak chcesz, pomyślała Kathleen, ale ja i tak widzę Claude’a Rainsa.

Czytając wiadomość na ekranie komputera, nieomalże czuła zapach gauloise’ów i widziała, jak za jego dłonią ciągnie się smuga dymu papierosowego.

Tylko że w przeciwieństwie do bohatera Casablanki ty jeszcze nie wykryłeś „zwykłych podejrzanych”.

Rozczarowana, już miała się wylogować z sieci, gdy przypomniała sobie, że nazwisko doktora Francois Dancereau wydaje jej się jakby znajome.

Może miał odczyt na którejś z konferencji, w których uczestniczyłam?

Albo napisał artykuł, który czytałam?

Zamiast wyłączyć komputer, Sullivan otworzyła stronę Medline – najpełniejszą listę publikacji w dziedzinie medycyny – i wpisała nazwisko szefa francuskiej firmy.

BRAK DANYCH.

Warto było spróbować, pomyślała, wracając do ostatniej porcji żelów.

Poniedziałek, 5 czerwca, 21.00

– Spokojnie!

Krąży wokół prawdy jak ćma dokoła płomienia, ale jak dotąd nie dotarła do niej – mówił do słuchawki, próbując uspokoić Morgana.

– A jeśli wierzyć ostatniej wiadomości wysłanej do niej parę dni temu przez tego inspektora policji z Rodez, on także nie czyni żadnych postępów.

– To nie panu zastukał do drzwi detektyw z wydziału zabójstw.

– Nie szukał pana.

Poza tym to było ponad tydzień temu i jak dotąd nie wrócił, nieprawdaż?

To jasne, że nie potrafi znaleźć związku między tym idiotą ochroniarzem a działalnością Agrenomics.

W każdym razie nie widzi nic ponad to, co usłyszał w waszych kadrach.

– Kiedy zajmiemy się Sullivan i Steele’em? – spytał wyraźnie wystraszony Morgan.

– Może gliny nie widzą związku, ale tych dwoje nie spocznie, póki nie dopną swego.

Zwłaszcza teraz, gdy mają tyle podejrzeń względem Agrenomics, a to oczywiście dzięki panu i pańskiemu genialnemu pomysłowi skorzystania z usług naszych ludzi!

– Wkrótce – odparł cicho jego rozmówca i przerwał połączenie, świadomie ignorując krytykę.

Umościł się wygodniej w fotelu i spojrzął w okno, na bliźniacze wieże skąpane w promieniach zachodzącego słońca.

– Wkrótce – powtórzył cicho zajmimy się wszystkim.

Także tobą, mój mały, przerażony przyjacielu.

*Wtorek, 6 czerwca, 5.50*

Usłyszała jego głos dobiegający z daleka.

Właściwie był to krzyk, a słowa brzmiały tak samo jak szorstka mowa zakapturzonych napastników.

Ocknęła się gwałtownie i w pierwszej chwili nie bardzo wiedziała, gdzie się znajduje.

Rozejrzała się w wąłym blasku świtu, który wdarł się już do jej gabinetu.

Przypomniała sobie po paru sekundach: kanapa, laboratorium.

Na powrót ułożyła głowę na poduszce, czując mocne bicie serca.

To tylko zły sen, pomyślała, szczelniej opatulając się kocem.

Ostatnie deszcze sprawiły, że wszyscy narzekali na chłód i wilgoć w laboratorium, zwłaszcza że ani jedne drzwi się nie domykały.

W dodatku bez względu na pogodę już w maju rutynowo wyłączano ogrzewanie.

Leżała więc drżąc, mając nadzieję, że rozgrzeje się chociaż na tyle, by złapać jeszcze parę godzin snu, i w pierwszej chwili w ogóle nie zwróciła uwagi na powracający głos.

I nawet gdy w końcu go wychwyciła, uznała go początkowo za dalekie echo grającego radia.

Dopiero gdy głos nagle zmienił się w krzyk, uświadomiła sobie, że rzekomy sen dzieje się naprawdę, gdzieś w korytarzu za drzwiami jej gabinetu.

Przeszył ją lodowaty dreszcz, bynajmniej nie związany z chłodem.

Gwałtownie usiadła na posłaniu, a rytm pracy jej serca w okamgnieniu osiągnął trzycyfrową wartość.

Głos odzywał się falami jeszcze przez chwilę.

Potem już tylko pojedyncze pokrzykiwania przerywały ciszę.

Sullivan była prawie pewna, że głos należy do mężczyzny.

Może rozmawia przez telefon, pomyślała.

Choć nie rozumiała poszczególnych słów, gwałtowne staccato i nieregularny, dynamiczny rytm żywo przypominały dialogi, które prześladowały ją w nocnych koszmarach.

To nie może być jeden z nich, próbowała sobie wmówić, czując przykry ucisk w gardle.

Zeskoczyła z kanapy i boso, na palcach podbiegła do biurka.

Sięgnęła po telefon, by zadzwonić pod 911.

Trzymając już dłoń na słuchawce, nagle zrozumiała, że popełnia błąd.

Lampka połączenia wewnętrznego!

Jeżeli podniosę słuchawkę, rozbłyśnie lampka na jego telefonie i będzie wiedział, że tu jestem.

Obróciła się napięcie, chcąc zadzwonić z telefonu komórkowego, ale w półmroku nie mogła go znaleźć.

Miała nadzieję, że dopóki intruz prowadzi rozmowę, nie przyjdzie po nią.

Szybko sięgnęła za kanapę, na której spała.

Nic.

Przerzuciła kupkę ubrań, które zdjęła wieczorem – również bez rezultatu.

Wsunęła rękę we wszystkie kieszenie kitla, który odwiesiła do szafy.

Telefonu nie było.

Musiałam go zostawić na stole laboratoryjnym, pomyślała, czując, jak żołądek jej się kurczy.

Szybko włożyła sukienkę i buty, by być gotową do ucieczki.

Powoli, by grube podeszwy nie zaskrzypiały na linoleum, zbliżyła się do drzwi.

Uchyliła je wolniutko i głos natychmiast przybrał na sile mężczyzna musiał znajdować się w którymś z najbliższych pokoiów.

Teraz dopiero wyraźnie usłyszała słowa – brzmiały obco i szorstko, ale straszliwie znajomo – i nie miała już wątpliwości, że zabójcy posługiwali się tym samym językiem.

Wyrzała na korytarz i dostrzegła wąski klin światła rozcinający ciemność u uchylonych drzwi pokoju Azrhana.

Przez mleczną szybę widać było cień postaci przechadzającej się od ściany do ściany.

Rozmowa stała się teraz jeszcze gwałtowniejsza; intruz urwał w pół słowa, jakby ktoś mu przerwał, a potem zakończył krótką chwilę milczenia tyradą tak gwałtowną, że Sullivan nie musiała znać tego języka, by się domyślić jej niecenzuralności.

Może to tylko Azrhan, zastanawiała się, a niepewność potęgowała jej strach tak bardzo, że zaczynało jej brakować tchu.

Słyszała już kiedyś, jak mówił po arabsku, ale ta rozmowa brzmiała inaczej.

Czy obcy dialekt i wściekłość mogły tak bardzo zniekształcić jego głos, że nie potrafiła go rozpoznać?

Chcąc dotrzeć do sali, w której zostawiła komórkę, musiała minąć drzwi pokoju Azrhana.

Tę samą trasę trzeba było pokonać, by dotrzeć do wyjścia na korytarz zewnętrzny, gdzie znajdowały się windy.

Mimo strachu wyszła w ciemność i wolno ruszyła przed siebie.

Im była bliżej świetlistego klina, tym bardziej skłonna była uwierzyć, że to jednak Azrhan.

W końcu nie słyszałam, żeby ktoś się włamywał, myślała, zatem intruz musiał mieć klucze.

Czy nie powinnam najpierw tam zajrzeć, zanim na darmo sprowadzę tu policję?

Bo jeśli to naprawdę on, to przecież ma prawo korzystać z tych pokoi o każdej porze dnia i nocy, a także wypowiadać się w dowolnym języku.

Tylko dlaczego akurat w tym.

Sullivan starała się nie myśleć o najgorszym, ale akurat to skojarzenie sprawiało, że mroczne podejrzenia zaczynały drażnić jej umysł jak pasożyty.

Była tuż obok drzwi, gdy usłyszała wyjątkowo jazgotliwy ciąg zdań i trzask odkładanej słuchawki.

O-oo, pomyślała, zamierając w pół kroku.

Cień za szybą ciemniał z każdą sekundą.

On wychodzi!

Omali nie krzyknęła ze strachu.

Instynktownie cofnęła się i schroniła za drzwiami własnego gabinetu.

Chciała je zamknąć, ale zacięły się, zanim zaskoczył zamek.

Pchnęła mocniej, a wtedy domknęły się z hukiem.

Nie śmiała nawet oddychać; stała tylko i nasłuchiwała.

Z początku w korytarzu panowała cisza, ale po chwili rozległ się odgłos niepewnych kroków.

– Doktor Sullivan, nie śpi pani? – spytał Azrhan.

## Rozdział 14

– Nie chciałem przeszkadzać.

– Jego głos zdradzał napięcie; był co najmniej o pół oktawy wyższy niż zwykle.

– Co tu robisz w środku nocy?

– To długa historia – odparł, nerwowo poruszając nogą i spoglądając na Sullivan żałośnie znad filiżanki herbaty.

– Mów – zarządziła.

Skrzywił się w odpowiedzi.

Nie pozwoliła mu powiedzieć ani słowa, gdy gotowała wodę, parzyła herbatę i składała kanapę. Znajomy rytm prostych czynności pozwolił jej zapanować na łomotem, który czuła w piersi.

Dopiero gdy zasiedli po przeciwnych stronach jej biurka, z filiżankami w dłoniach, dała mu szansę wytłumaczenia się.

– Zgoda – westchnął wreszcie.

Jego ciało wyraźnie sflaczało, jakby poddawał się komuś, kto trzyma go w zapaśniczym uścisku.

– Jak już pani mówiłem, mam problemy rodzinne.

Zwłaszcza z rodzicami.

Podczas pracy podyplomowej poznałem dziewczynę, Amerykankę. Mieszkamy razem.

Gdy rodzice przyjechali z wizytą, byli oburzeni, że jest Amerykanką, że żyjemy w grzechu i że nie ukrywałem przed nimi prawdy, iż nie zamierzam wracać do Kuwejtu.

Widzi pani, moi rodzice są gorliwymi muzułmanami i nie chcą o tym wszystkim słyszeć.

Co gorsza, mam dwudziestoletniego brata, który chce iść w moje ślady i zamieszkać w Ameryce.

Ojciec wini mnie i za to.

– W jakim języku dziś mówisz?

– Farsi.

Moja rodzina pochodzi z Iranu.

Po upadku szacha uciekliśmy do Kuwejtu i uzyskaliśmy obywatelstwo. Nauczyliśmy się arabskiego dialektu naszego nowego kraju, ja sam byłem smarkaczem, więc po jakimś czasie opanowałem go w naturalny sposób, ale ojciec upierał się, żebyśmy rozmawiali w domu po dawnemu.

Jeszcze dziś, gdy jesteśmy sami, używamy ojczystej mowy, zwłaszcza podczas kłótni czyli w ostatnich dniach praktycznie zawsze.

– Jakże jeszcze narody używają tego języka?

– W Afganistanie mówią bardzo podobnym dialektem.

I w zasadzie nigdzie indziej.

– Dlaczego pani pyta? – zainteresował się Azrhan.

Jego głos był tym razem jeszcze o oktawę wyższy i brzmiał stanowczo zbyt niewinnie.

– Po powrocie z Honolulu opowiadałam ci o ataku na mnie.

Cytowałam też kilka fraz z tego obcego języka, który wtedy słyszałeś.



Czy domyśliłeś się, że mówię o farsji, i celowo nie powiedziałeś mi o tym?

Nie odpowiedział.

Nawet na nią nie spojrział.

– Domyśliłeś się?

– Tak – przyznał, wyraźnie zawstydzony.

– Więc dlaczego mi nie powiedziałeś?

Cisza.

– Azrhan, albo wyjaśnimy sobie wszystko, albo przyjmę twoją rezygnację.

Dlaczego, u diabła, nie powiedziałeś mi, że rozpoznajesz język, który zasłyszałam?

Uniósł głowę, ukazując oczy pociemniałe od gniewu.

– Zgoda, powiem pani.

Czy ma pani pojęcie, doktor Sullivan, jak to jest być Arabem w tym kraju?

Nawet dobry Arab, taki jak ja – super bystry, odnoszący sukcesy, ciężko pracujący zdecydowanie zbyt często napotyka podejrzliwe spojrzenia, gdy idzie ulicą.

Zbyt często policja zatrzymuje jego samochód i zbyt często lotniskowe służby poddają go drobiazgowym kontrolom.

– Azrhan! Ja nigdy nie mierzyłam cię inną miarą niż twoja zdolność do.

– Wiem o tym.

Pod pani skrzydłami zawsze mogłem liczyć na równą szansę.

Mówię o tym, co jest tam – wyjaśnił, wskazując na okno.

– Nie możesz mnie winić.

– Powiedzmy, że nie obnoszę się z moim irańskim pochodzeniem. Nie wszyscy Amerykanie muszą wiedzieć.

Gdy mnie pytają o narodowość, mówię, że jestem Persem.

– Dlaczego?

– Bo choć minęło ponad dwadzieścia lat od kryzysu z zakładnikami, obrazy tamtej zbrodni pozostały na zawsze wypalone w umysłach Amerykanów.

Kiedy mówię Iran, myślą właśnie o tym.

Coś się wtedy zmienia w waszych oczach, kimkolwiek jesteście, bez względu na to, jak otwarci jesteście intelektualnie i jacy liberalni.

Jest tak, jakby zamykała się w was jakaś kłapa, i od tej pory patrzycie na mnie inaczej.

A jeśli powiem, że jestem z Kuwejtu, nagle staję się kumplem dla wszystkich, bo tacy jesteście zadowoleni z siebie, żeście nas wyzwolili, a także diabelnie pewni, że nie jesteśmy waszymi wrogami.

Azrhan odwrócił głowę, a potem zapatrzył się w dno swojej filiżanki.

Oddychał ciężko, ale szybko się opanował.

– Nie mogę znieść tej opadającej kłapy, doktor Sullivan – dodał po chwili.

Mówił cicho, bez śladu niedawnego gniewu.

– Zwłaszcza wtedy, gdy widzę ją w ludziach, którzy są dla mnie ważni.

Jest jak kurtyna, która przedziela naszą znajomość, i jakoś tak jest, że potem już nic nie jest takie jak dawniej.

Nie zdradziłem pani, że znam ten język, bo wiedziałem, że zapyta pani, skąd go znam.

Musiałbym albo skłamać, albo ujawnić moją prawdziwą narodowość.

Nie mogłem znieść myśli, że ta sama kłapa zamknęłaby się w pani, niszcząc naszą znajomość.

– Azrhanie, natychmiast spójrz mi w oczy! – poleciła.

Niechętnie uniósł głowę i usłuchał.

– Co widzisz?

Nie odpowiedział, ale i nie odwrócił wzroku.

– No? popędziła go.

Uśmiechnął się niepewnie.

– Widzę, że jest pani na mnie wściekła jak diabli.

– A jakąś kłapę tam widzisz?

– Nie – odparł i zaśmiał się nerwowo.

– I jeśli nie chcesz nigdy zobaczyć żadnych kłap w tych moich ślicznych zielonych, nie waż się więcej mnie okłamywać.

Zrozumiałeś?

– Tak, proszę pani! – przytaknął służbiście, znowu uśmiechnięty.

– Powiedz mi jeszcze, dlaczego przyszedłeś właśnie tu, i to w środku nocy.

Uśmiech zniknął.

– Inna strefa czasowa – odpowiedział szybko Azrhan.

– Gdy tu mamy środek nocy, mam szansę zastać ojca.

Poza tym wiedziałem, że pewnie znowu będziemy się kłócić, więc nie chciałem dzwonić z domu, żeby nie niepokoić mojej dziewczyny.

Sullivan obserwowała jego oczy.

Uciekły w bok tylko na moment; potem wytrzymały jej spojrzenie.

– W porządku.

Przygotujmy się do porannej zmiany – powiedziała cicho.

Kiedy wyszedł, wciąż nie czuła się uspokojona.

We wszystkim, co mówił, było echo prawdy i naprawdę chciała mu wierzyć.

Gryzło ją przede wszystkim to, że współpracowali ze sobą tak blisko, a jednak nigdy nie wspomniał jej o sprawach, które dogłębnie go raniły.

Może sama była rasistką i nieświadomie wolała nie widzieć tego, jak on postrzega rzeczywistość?

A może nie dostrzegała jego złych emocji, bo ukrywał je celowo, by w ich wspólnej pracy nie pojawiły się tarcia?

Taką postawę mogłaby zrozumieć, a nawet uznałaby ją za szlachetną.

Ale czy przypadkiem nie ukrywał swojej prawdziwej tożsamości ze znacznie bardziej złowrogich przyczyn?

Przemęczona i gnana rozpaczliwym pragnieniem odkrycia, kto tak naprawdę życzy jej śmierci, a do tego całkiem niezdolna do rozwiązania zagadki nieznanych fragmentów DNA pozwoliła, by kłapa opadła i w jej umyśle.

Poddała się myślom, które wydawały się absurdalne.

Czy Azrhan Doumani mógł być częścią tego, co zdarzyło się w Rodez i na Oahu?

Czy ich zawodowa zażyłość była od początku starannie zaplanowanym oszustwem?

Czy Azrhan zdobył jej zaufanie specjalnie po to, by móc obserwować jej poczynania?

Paranoiczne myśli wylewały się z jej umysłu jak ropa z rany, aż wreszcie wydało jej się podejrzane nawet to, że Doumani nie towarzyszył jej podczas konferencji w Honolulu.

Czy odmówił dlatego, że miał kontakt z tamtymi ludźmi i wiedział, że zamierzają ją zabić?

Samo pytanie przyprawilo ją o mdłości.

Nie! Nie, do cholery!

Nie pozwolę sobie na takie myśli.

A jednak sobie pozwoliła i obraz Azrhana w jej oczach się zmienił.

Zaczynała unikać kontaktu wzrokowego, a kiedy mimowolnie przechwyciła jego spojrzenie, widziała w oczach Doumaniego nieprzenikniony czarny smutek, który łamał jej serce.

Niech to szlag, klęła w duchu, wściekła na siebie.

Szlag!

Szlag!

Szlag!

*Piątek, 9 czerwca, 11.46*

Było niemal południe, gdy zatrzymał samochód przybocznej drodze, pod samotnym dębem.

Gigantyczny cień był nakrapiany plamkami słonecznego blasku, bijącego w ziemię wprost z jednostajnie błękitnego nieba.

Od kolejnego wzniesienia dzielilo Steele'a ponad półtora kilometra asfaltowej wstęgi, biegnącej między polami młodej kukurydzy, której pędy mierzyły ledwie sześćdziesiąt centymetrów.

Mniej więcej osiemset metrów od miejsca, w którym stał, zaczynał się teren należący do Agrenomics.

Długi, niewysoki budynek otaczała oaza drzew i trawników.

Gdzieś na tyłach posesji zaczynała się opuszczona bocznica kolejowa, a poza ogrodzeniem skręcała na zachód tak jak mówiła Kathleen.

Lecz jej wzmianka o dużych szklarniach nie przygotowała go na widok gigantycznych budowli ze stali i szkła, które właśnie podziwiał.

Każda z sześciu mogła pomieścić półtora boiska futbolowego, miał zatem przed sobą prawie trzy hektary upraw pod szkłem.

Posiadłość otaczało wysokie ogrodzenie z siatki, zwieńczone kłębami drutu kolczastego i ostrymi szpikulcami, o czym świadczyły metaliczne błyski w słońcu.

Kathleen miała rację, pomyślał Steele.

Jak w więzieniu.

Pewien szczegół jednak zaintrygował go jeszcze bardziej: cały kompleks wyglądał na opuszczony.

Na parkingu stało tylko parę samochodów, a poza samotnym ochroniarzem przy bramie na całej posesji nie było widać żywej duszy, ani przy budynku, ani w rejonie szklarni.

Te ostatnie obserwował ze szczególną uwagą, używając nawet lornetki, ale pod odbijającymi słońce tafłami szkła nie dostrzegł najmniejszego ruchu.

Zmienił pozycję w fotelu i opuściwszy szybę, poczuł na twarzy ciepły wietrzyk.

Za drzwiami pasażera uparcie krążyła pszczoła, raz po raz przysiadająca na purpurowych łąbinach i wczesnych floksach rosnących w rowie.

Metaliczne pyknięcia stygnącej karoserii przerywały monotony, kojący szum liści, zwisających niczym drżące, jedwabiste szmaragdy.

Przyjechał tu w nadziei, że ktoś z personelu zechce pogadać z nim o typku z gębą jak pizza, który kiedyś tu pracował.

I że będzie bardziej rozmowny niż dwa tygodnie wcześniej, podczas wizyty McKnighta.

Wybrał porę lunchu, by podążyć śladem pracowników do miejsca, w którym zwykle jadali najpewniej poza terenem firmy, gdzie byliby bardziej skłonni do otwartej rozmowy, zwłaszcza gdyby postawił im parę piw.

– Na początek pokażę im moją ranę na nodze i powiem, że nie bez kozery czuli się nieswojo, gdy Fred Smith przyprawiał te swoje potwory – wyjaśnił Sullivan, gdy rozmawiali o jego planach.

– Na oddziale ratunkowym nauczyłem się jednego w kwestii pozyskiwania informacji.

Jeśli chodzi o znajomych sąsiadów, współpracowników i tym podobnych nic nie rozwiązuje języków lepiej niż potwierdzanie czyichś najgorszych podejrzeń na temat bliźniego.

Sullivan obruszyła się na jego cyniczny stosunek do ludzkiej natury, ale zaraz stwierdziła, że to skandal, że musi wyręczać policję.

– Nie do wiary, że nie chcieli nawet sprawdzić, czy tonie ktoś z Agrenomics napuścił na ciebie tego Pizzowatego – stwierdziła z oburzeniem.

– Prawda?

– Właśnie tak to widzę zapewnił ją.

– Tylko dlaczego gliny są innego zdania?

– Bo nie mają bladego pojęcia, kto i dlaczego miałby chcieć mnie zabić.

Bo nie widzą związku między sprawami z Rodez i Hawajów. Bo jedyny twój dowód podejrzanych działań Agrenomics to fakt, że w testach firma wypadła czyściutka jak łąza.

Czy możemy się dziwić, że McKnightnie działa bardziej zdecydowanie?

Oczy Sullivan zapaliły się nagle i Steele obawiał się, że zbyt szczerze przedstawił jej swoją opinię.

Lecz już po chwili złowieszczy blask przygasł, a Sullivan mruknęła niechętnie:

– Chyba masz rację.

– W takim razie najwyższy czas, żebyśmy dowiedzieli się więcej o tym miejscu.

Rozmawiając z ludźmi o Pizzowatym, spróbuję zanurkować trochę głębiej w sprawy tej czystej jak łąza firmy i pogrzebać kijem w mrowisku.

Na pewno znajdzie się ktoś niezadowolony, kto zechce wyjaśnić nam to i owo.

Niestety, nie znalazł się nikt taki.

Steele zajeżdżał do sympatycznej kafejki z barem, odległej o osiem kilometrów od laboratorium, ale minęła godzina i nie pojawił się tam ani jeden z pracowników.

– Kanapki wszyscy żrą czy co? – mruknął do siebie, zastanawiając się co dalej.

Za dnia, w otwartym terenie, nie miał szans, by ukradkiem przedostać się za ogrodzenie – płot był wysoki, a samotny strażnik nie pozwoliłby mu nawet się zbliżyć do budynku.

Poza tym, co by to dało?

Może spróbuję zatrzymać kogoś w drodze do domu, pomyślał, spoglądając na zegarek.

Czyli za trzy i pół godziny.

Raz jeszcze spojrzął w stronę bocznic kolejowej.

Przycisnął lornetkę do oczu, wyregulował ostrość i prześledził przebieg niskiego nasypu pośród pól, krzewów i drzew.

Tor mijął szklarnie w niewielkiej odległości.

Może stamtąd uda mi się zerknąć do środka, dedukował Steele, a jeśli przyjdę od strony bocznic, może nikt mnie nie zauważy.

Bolała go lewa noga, gdy maszerował po podkładach, ale udało mu się utrzymać dobre tempo.

Od ataku minęło już siedemnaście dni, a od zdjęcia szwów – tydzień.

Ból pojawiał się w chwili, gdy unosił się na palcach stopy, w naturalny sposób angażując mięśnie łydki.

Wiele włókien zostało zerwanych, wielu brakowało, i choć mięsień pomału wracał do formy, blizna ograniczyła zasięg ruchów.

Popołudniowe słońce prażyło szuter między podkładami, a pociemniałe drewno uwalniało opary kreozotu, których specyficzny zapach drażnił jego nos i gardło.

Zmęczony wysiłkiem oddychał przez usta, a wiatr targał jego rozpiętą koszulą, osuszając pot i chłodząc klatkę piersiową.

Steele był dumny, że udało mu się zrzucić brzuch, którego dorobił się zimą; zerwanie z picciem i zwiększenie aktywności nareszcie przyniosło skutek.

Głosy cykad nadawały rytm jednostajnemu szelestowi krzewów i młodych drzew rosnących wzdłuż toru, dając nadzieję, że nikt nie usłyszy chrzęstu kamyczków pod butami.

Zanim Steele zaparkował w innym miejscu przy drodze, oddalił się o półtora kilometra od siedziby Agrenomics.

Dopiero wtedy, zarzuciwszy na szyję pasek lornetki, ruszył pieszo w głąb pola, by odnaleźć bocznice.

Znalazłszy się na niewielkim wzniesieniu, zobaczył odległe o kolejne półtora kilometra na zachód miejsce, w którym boczny tor łączył się z kolejowym szlakiem.

W kilkakrotnie większej odległości majaczyła gęsta sieć torów, tworząca węzeł z kilkunastoma bocznicami, na których stały wagony towarowe.

Wypatrzył przez lornetkę toczącą się po zwrotnicach małą lokomotywę spalinową.

Gdy się zatrzymała, przyłączono do niej kilka wagonów, po czym równie wolno pojechała w przeciwną stronę.

Steele zauważył też mężczyznę w dzinsach i kasku, który jechał uwieszony drabinki, ręką dając znaki maszyniście.

Dokoła torów rozciągały się zielone pola młodych zbóż, bujnie rosnących po obfitych deszczach.

Trudno było wyobrazić sobie bardziej senny pejzaż.

Może zajrzę i do tych ludzi, kiedy skończę tutaj, pomyślał Steele, podejmując marsz w stronę Agrenomics.

Powierzchnia szyn, między którymi szedł, lśniła, a to oznaczało, że używano ich regularnie.

Może dowiem się, co stąd wywożą i dokąd.

Szklarnie miał teraz po lewej stronie.

Zbliżając się, poprzez liście spojrzął na tylną ścianę budynku laboratorium.

Odetchnął z ulgą, widząc, że nie ma w niej okien.

Pochyliwszy się, skręcił w kierunku najbliższego narożnika ogrodzenia i przycupnął za konstrukcją z grubych rur i elastycznych węży.

Pewien, że pozostaje niewidoczny, przyjrzał się bliżej swojej kryjówce.

Miał wrażenie, że jest to przepompownia obsługująca wagony kolejowe.

Podobny zestaw urządzeń dostrzegł za płotem, przy budynku, gdzie kończyła się bocznicą.

Z rosnącą ciekawością zastanawiał się, czym napełniane są wagony.

Ruszył szybkim krokiem wzdłuż siatki, ku polom uprawnym.

Ten odcinek ogrodzenia liczył dobrych trzysta metrów.

Rozglądając się w poszukiwaniu kamer monitoringu, zamierzał udawać, że wypatruje ptaków, gdyby ktoś zainteresował się jego osobą.

Nie zauważył ani jednego obiektu, lecz mimo to, na wszelki wypadek, zatrzymywał się od czasu do czasu, kierując lornetkę ku niebu.

Wreszcie dotarł do narożnika ogrodzenia i skręcił, wciąż szukając wzrokiem kamer.

Przyklęknął, żeby rozmasować łydkę, bo marsz po mniej równym terenie nie wpływał na nią najlepiej.

Przy okazji zaczął grzebać palcami w ziemi tuż pod drutem wzmacniającym dolną krawędź siatki.

Tuż pod cieniutką warstwą gleby trafił palcami na betonową wylewkę.

– Chryste! mruknął, uświadomiwszy sobie, że jeśli ma się przedostać na drugą stronę, to tylko za pomocą nożyc do cięcia drutu.

Podniósł się i spróbował zajrzeć do najbliższej szklarni, lecz choć panele dachowe wykonano z przezroczystego szkła, ściany boczne doskonale odbijały światło, utrudniając dostrzeżenie czegokolwiek w środku.

Steele miał wrażenie, że widzi stoły z niekończącymi się korytami, z których sterczały prawie dwumetrowe łydgi, ale cokolwiek na nich rosło, zostało już zebrane.

Rozczarowany odwrócił się i ruszył w drogę powrotną.

Był właśnie w połowie drogi do bocznic, gdy nagle usłyszał głosy.

– Szlag! – jęknął, rozglądając się niespokojnie.

Nie zobaczył nikogo.

Głosy jednak nie ucichły.

Były słumione, nie potrafił więc rozróżnić słów; brzmiały jak rozmowa tocząca się w sąsiednim pokoju.

Muszą być w szklarni, pomyślał, wyteżając wzrok, by dostrzec choćby cień ruchu za najbliższą szklaną ścianą.

Nie zauważył jednak niczego, prócz zarysu smukłych łydeg.

Rozmowa trwała; ktoś się roześmiał.

– Co u diabła? – mruknął Steele, rozglądając się ze zdumieniem, jakby nagle zaczął podejrzewać, że napotkał ducha.

Albo to duch, albo słońce mi dokucza, pomyślał.

Muszę to sprawdzić.

Głosy nie dochodziły ani z boków, ani z tyłu, ani z przodu.

Dochodziły z dołu.

Steele spojrział na ziemię pod stopami.

Zwyczajny piach, pomyślał.

Poruszył czubkiem buta – pod spodem też piach.

Rozglądając się naprawo i lewo, wypatrzył wreszcie prostokątną metalową klapę niedbale przysypaną piachem – znajdowała się po drugiej stronie płotu, opodal miejsca, w którym stał.

Gdy przyklęknął, głosy stały się nieco mocniejsze.

Teraz już nie miał wątpliwości: dobiegały spod stalowej klapy.

*Pięć godzin później*

Świergot telefonu komórkowego zdawał się trwać całą wieczność.

Budząc się z wolna, przesunęła dłonią po podłodze w kierunku źródła dźwięku.

Gdy wreszcie otworzyła oczy, jeszcze przez chwilę nie pamiętała, dlaczego śpi we własnym gabinecie.

Podnosząc słuchawkę, zdążyła zerknąć na zegarek.

– Psiakrew! – sapnęła.

Dziewiętnasta pięćdziesiąt.

W jednej chwili przypomniała sobie, co miała w planach: „Należy mi się pół godziny drzemki”, powiedziała technikom przed dwiema godzinami, gdy już nie była w stanie zapanować nad opadaniem powiek.

Nocne zmiany rozregulowały jej rytm snu, mimo iż starała się nie opuszczać popołudniowych drzemek w domu, a Lisa chodziła na palcach, by jej nie przeszkadzać.

„Chcę popracować nad ostatnią grupą żelów, więc obudźcie mnie koniecznie”, poinstruowała swoich ludzi.

Najwyraźniej mieli inne plany.

– Kathleen?

Tu Julie Carr.

Przepraszam, że przeszkadzam, ale mam nowiny!

Nie wyobrażasz sobie, jakie dziwaczne.

– Julie z Hawajów? – spytała nieprzytomnie Sullivan, podnosząc się z kanapy i spoglądając w okno, za którym na zachód od bliźniaczych wież niebo nabierało z końcem dnia pomarańczowej barwy.

– Tak jest – potwierdziła wirusolog.

– U nas dochodzi druga, a właśnie skończyliśmy testy próbek, które przywiozłaś z farmy Hacketa.

– Naprawdę? – odpowiedziała Sullivan, wciąż jeszcze lekko zaspana.

Ale właściwie dlaczego się tym zajmujesz?

Ledwie parę tygodni temu główny technik mówił, że badania moich próbek zostały.

– To było, zanim wystąpił błąd, który zmienił wszystko.

Pozwól, że zacznę od początku.

– Błąd?

– Przede wszystkim znaleźliśmy ślady wektorów genetycznych w ziarnach kukurydzy, którą Hacket karmił swoje kurczaki – ciągnęła Julie.

– Nośniki wykonano głównie z wirusa mozaiki kalafiora, ale wykryliśmy też kilka innych typów, używając primerów, które włączyliście z Pattonem do programów badawczych w innych częściach świata.

– O Boże!

Zatem miałam rację.

– Znaleźliśmy też małe fragmenty DNA wirusa ptasiej grypy, H5N1, w kurzych odchodach.

Tym razem używaliśmy enzymów restrykcyjnych i primerów odpowiednich dla tego wirusa, które dostałam z CDC w Atlancie.

Teraz dopiero umysł Sullivan odzyskał sprawność.

– W takim razie mamy dowód na poparcie mojej teorii.

Wektory i wirus H5N1 spotkały się w przewodzie pokarmowym kurczaków.

Julie, to jest wystarczający materiał do publikacji.

Moja teoria, że wektory pozwalają wirusowi H5N1 pokonać barierę gatunkową, nabiera rumieńców.

Pocałuj się w nery, Sydneyu Aimesie!

Poczucie sprawiedliwości na chwilę wzniosło jej ducha na wyżyny, mimo iż słowa Julie mogły oznaczać nader ponurą prognozę dla rodzaju ludzkiego.

Sullivan wiedziała, że jest w tej ekstazie coś makabrycznego; lekarze i naukowcy miewali takie chwile, gdy udawało im się znaleźć potwierdzenie własnych przypuszczeń, nawet jeśli oznaczało ono kłopoty.

– Chwileczkę, dziewczyno, jeszcze nie usłyszałaś najlepszego.

Nie powiedziałam ci, co się zdarzyło, kiedy popełniliśmy błąd.

– Jaki błąd?

– Jak wiesz, nasi ludzie w laboratorium robili te testy w każdej wolnej chwili, a to oznaczało, że pracę wykonywał często najmłodszy personel.

Jedna z laborantek pomyliła primery i dodała ten, który miał ujawnić wirusa ptasiej grypy w kurzych odchodach, do reakcji PGR, w której badano ziarna kukurydzy pod kątem wektorów wirusa mozaiki kalafiora.

– Co takiego?

– Wiem, że brzmi to idiotycznie, ale tak właśnie było.

– Ale co z tego?

Mogła przecież wyrzucić mieszaninę i powtórzyć PCR.

– Otóż to.

Ale ona nie zauważyła pomyłki, a jej koleżanka przepuściła uzyskane fragmenty DNA przez żel do elektroforezy.

– Zaraz, zaraz.

Jakie fragmenty DNA?

Skoro użyła niewłaściwego primera, nie powinno dojść do replikacji DNA!



– A jednak były tam fragmenty.

Duże, długie łańcuchy DNA wirusa H5N1.

To z nich wzięła się nasza ptasia grypa.

– Słucham?

– H5N1 znajdował się w kukurydzy, Kathleen!

Wprowadziły go tam wektory oparte na wirusie mozaiki kalafiora.

Ktoś zmodyfikował kukurydzę, używając DNA ptasiej grypy.

– Chyba żartujesz!

– Ja też nie mogłam w to uwierzyć.

– Ale w jaki sposób.

W głowie mi się nie mieści, że ktoś mógł przypadkowo wprowadzić H5N1 do kukurydzy.

– Bo wcale tak nie było.

– Że co?

– Podobnie jak ty, nie mogłam sobie wyobrazić, jak do tego doszło.

Ale kiedy przyjrzałam się wszystkim tym fragmentom H5N1 i porównałam je z materiałami, które przysłano mi z CDC, zauważyłam, że nie są kompletne.

Z początku sądziłam, że to wynik naturalnego rozkładu, ale w miarę jak napływały wyniki testów kolejnych ziaren, przekonywałam się, że za każdym razem brakuje identycznych fragmentów DNA.

A kiedy umieszczałam te niepełne łańcuchy w odpowiedniej osłonce wirusowej i na odpowiedniej pożywce, nie dochodziło do replikacji.

Właśnie wtedy zrozumiałam, z czym mamy do czynienia.

– Nadal nie rozumiem.

– Ależ rozumiesz.

Ktoś systematycznie pousuwał te fragmenty DNA, które pozwalały wirusowi się rozmnażać, Kathleen.

Innymi słowy, ktoś go zatenuował.

My działamy podobnie, usuwamy część wirusa odpowiedzialną za replikację, gdy chcemy uzyskać szczepionkę, ale pozostawiamy nienaruszoną wystarczającą jego część, by białka powierzchniowe stymulowały produkcję przeciwciał w ciele przyjmującego.

Tyle że w tym wypadku modyfikacji dokonano na poziomie samego DNA.

– Czy ty naprawdę próbujesz mi powiedzieć to, co podejrzewam?

– Ta kukurydza jest genetyczną szczepionką, Kathleen.

Marnie wykonaną, niezmiernie niebezpieczną genetyczną szczepionką.

Testy ptaków z Kailua wypadły pozytywnie dla H5N1 nie dlatego, że stado było chore, tylko dlatego że poprzez karmę zwierzęta te zostały zaszczepione przeciwko infekcji, o czym nie wiedzieliśmy.

Włączyły za tentowane DNA do własnych genów, wyprodukowały osłonkę białkową wirusa i skierowały odpowiedź immunologiczną przeciwko niemu.

Gdybyśmy przebadali ptaki znacznie dokładniej, pewnie zorientowalibyśmy się, co jest grane, ale mieliśmy tu zmarłego dzieciaka i pospieszyliśmy się z wnioskami.

Cóż mogę powiedzieć?

Te kurczaki były mimo wszystko bardzo niebezpieczne.

Paskudziły szczepionką zawierającą prawie nietkniętego wirusa H5N1 turbodoładowanego wzmacniaczami, promotorami i transpozonami.

Nic dziwnego, że doszło do rekombinacji między H5N1a wirusem ludzkiej grypy, gdy tylko mały Tommy Arness wytarł nos brudną ręką.

Do licha, gdybyśmy nie wybili tego stada, każdy, kto miał z nim do czynienia, mógł wyhodować w sobie podobną hybrydę i mielibyśmy totalną epidemię.

– Mój Boże! – szepnęła Sullivan.

– Mówię ci, wdepnęliśmy w niezłe gówno – kontynuowała Julie.

– Poinformowaliśmy o sprawie Departament Zdrowia Publicznego, a tam dali sygnał policji i stróże prawa natychmiast złożyli wizytę w Biofeed, bo wiadomo, że jest to jedyna firma na wyspie prowadząca badania na wystarczająco wysokim poziomie, by mogła być zamieszana w produkcję genetycznej szczepionki.

Szefostwo tak się oburzyło oskarżeniami o handel tego rodzaju produktami, że ich wrzaski słychać było pewnie i w Nowym Jorku.

Nic dziwnego, że zaraz potem armia prawników firmy zablokowała dostęp do archiwum, ale policjanci odpowiedzieli, że wszystkie te dane mają związek ze sprawą nieumyślnego morderstwa, zgonem Tommy'ego Arnessa, i podobno rano mają uzyskać nakaz ujawnienia wszelkich informacji.

Cisami detektywi odkopują sprawę morderstwa na farmie Hacketa i ataku na ciebie, w kontekście domniemanej próby ukrycia przyczyny śmierci chłopca.

A ja przypuszczam, że sama podejrzewałaś taką wersję wydarzeń.

– Zwłaszcza ostatnio – odparła Sullivan, wybiegając myślą zbyt daleko naprzód, by tracić czas na opowiadanie o związkach między Rodez, Agrenomics i Pizzowatym.

– Julie, czy mogłabyś przesłać mi kurierem enzymy restrykcyjne i primery dla H5N1, których używałaś?

– Jasne. Po co ci one?

– Powiem ci tylko, że być może wkrótce i ja pochwalę się zaskakującym odkryciem.

Odłożywszy słuchawkę, Sullivan ledwie mogła zapanować nad podnieceniem.

Przede wszystkim chciała zawiadomić Grega Stanton, że nareszcie jest w posiadaniu dowodu, który łączy sprawę ptasiej grypy z morderstwami w Rodez i na Oahu.

Zastała go w domu; ze słuchawki dobiegały stłumione odgłosy przyjęcia.

Ale Stanton wysłuchał jej cierpliwie i z uwagą, a kiedy skończyła, rzekł:

– Dobra robota, ale będzie mi potrzebny pisemny raport doktor Carr.

Chcę mieć go w ręku, kiedy będę rozmawiał z zarządem. Kiedy przeprowadzisz testy na ptasią gripę na próbkach z Rodez?

– Odczynniki dostanę dopiero w poniedziałek rano, kurierem.

Pierwszych wyników spodziewam się przed północą.

– Świetnie.

Co będziesz robić do tego czasu?

– Zostaję w laboratorium.

Spróbuję dokończyć bieżące badania i przygotuję próbki na poniedziałkowe badanie, gdy dotrą

primery.

– Tylko proszę, nie ogłaszaj niczego przedwcześnie – zakończył Stanton i odłożył słuchawkę.

Mimo ostrzeżenia miała wielką ochotę zadzwonić do Sydneya Aimesa i przekazać mu dobrą nowinę.

Z przyjemnością przypomniała sobie, jakie widowisko zrobił z siebie podczas konferencji, gdy jego łysa głowa i byczy kark nabrały purpurowej barwy.

Teraz będzie wyglądał jak wielki fiut na dwóch nogach, pomyślała.

Lecz uczucie triumfu szybko minęło.

Z mrocznych zakamarków umysłu, gdzie instynkt i niewypowiedziany lęk czekały, by zakraść się do jej snów, popłynęło teraz wyraźne ostrzeżenie, jakby ktoś szeptał jej do ucha: stanie się też zdecydowanie bardziej niebezpieczny.

Lepiej niech Stanton się nim zajmie, postanowiła.

Zadzwoniła natomiast do Steve'a Pattona.

Podobała jej się nie tylko myśl o tym, że po tygodniach milczenia nareszcie będzie miała mu coś do powiedzenia, ale i to, że da mu temat, na którym będzie mógł się skupić.

W ostatnich dniach ich znajomość powróciła do stanu, w którym potrafili już dyskutować o pracy bez zbędnego zażenowania, a Sullivan liczyła, że wkrótce sytuacja stanie się całkiem normalna.

Właśnie dlatego obiecała sobie, że z wyjątkową wstrzemięźliwością będzie smakować swą małą zemstę za „A nie mówiłem”, które usłyszała od niego w Honolulu.

Minęło o kilka sygnałów więcej niż zwykle, zanim odebrał, a kiedy to zrobił, rozpoznała w jego głosie tę samą gardłowość, która jeszcze niedawno doprowadziły ją do rozpacz.

Teraz jednak, słysząc jego przyspieszony oddech i jakby stęknienia dochodzące ze słuchawki, czuła wręcz coś na kształt ulgi, wiedząc, że Patton znowu jest z kobietą.

Poczuła się niejako zdjęta z haczyka.

Zastanawiała się nawet, czy nie odłożyć słuchawki bez jednego słowa i zadzwonić nazajutrz, ale gdy się odezwał, wszystkie łóżkowe odgłosy natychmiast ucichły.

– Kathleen?

Zdradziła ją funkcja identyfikacji dzwoniącego.

A niech to, pomyślała, skoro tak, to opowiem mu od razu o odkryciu Julie.

Kiedy skończyła i na dokładkę streściła mu swój plan działania względem próbek z Rodez, odrzekł:

– Zatem twoje spekulacje okazały się bliskie prawdy.

Gratuluję.

I proszę, przyjmij moje przeprosiny za krytykę, na którą pozwoliłem sobie swego czasu.

Tak wielkoduszna odpowiedź z jego strony sprawiła jej przyjemność.

Zdziwiła się jeszcze bardziej, gdy Steve nie zakończył rozmowy w pośpiechu, tylko zaczął zadawać pytania o skutki tworzenia szczepionek genetycznych, o znaczenie ich obecności na Oahu oraz o to, w jaki sposób mogą się wiązać ze sprawami z Rodez, a nawet Tajwanu.

Sullivan zauważyła też, że jego głos szybko przybrał naturalny ton, nie zdradzający podniecenia.

Co sobie pomyśli twoja partnerka, pomyślała.

Kusiło ją nawet, żeby beczelnie oto zapytać, ale opanowała się – zbyt wielką ulgę sprawiło jej wyłączenie się z prywatnego życia tego człowieka.

Skupiła się na udzielaniu odpowiedzi, ale zaczęła tracić cierpliwość, bo nie chłonał informacji zbyt szybko i musiała powtarzać niektóre wypowiedzi.

Chyba przyzwyczaiałam się do nauczania osób pokroju Richarda Steele'a, pomyślała.

Niestety, nie wszyscy są tak błyskotliwi jak on.

Biedny Steve, dodała w duchu, gdy rozmowa dobiegła końca.

Chyba wreszcie się od ciebie uwolniłam.

Myśl ta napełniła ją mieszaniną smutku i ulgi; ze zdziwieniem zauważyła, jak zwyczajnym człowiekiem wydawał jej się teraz Patton.

Chwilę później zadzwoniła do Azrhana, żeby uprzedzić go, że do poniedziałku muszą się uporać ze wszystkimi rutynowymi zajęciami.

– W porządku, doktor Sullivan.

Chce pani, żebym podczas weekendu pomógł w przygotowaniach? spytał nienagannie neutralnym tonem, tym samym, którego używał konsekwentnie od konfrontacji sprzed czterech dni.

– Dzięki, Azrhan, na pewno przydasz mi się jutro.

– Odpowiedziała mu równie gładko, choć w duchu wciąż się zastanawiała, czy ich znajomość kiedykolwiek powróci na dawne tory.

Wybierając numer telefonu komórkowego Steele'a, złapała się na tym, że niecierpliwie oczekuje jego reakcji.

Spodziewała się, że będzie równie podniecony odkryciem Julie Carr jak ona.

– Abonent jest czasowo niedostępny.

Proszę zostawić wiadomość – powiedział automat.

– A niech to! – wykrzyknęła na głos i dopiero po chwili dotarło do niej, że właśnie taką zostawiła mu wiadomość.

Przepraszam, Richard – dodała szybko.

– Czasem zdarza mi się coś palnąć.

Proszę, zadzwoń do mnie.

Mam ważne nowiny.

Zaraz potem ogarnął ją niepokój.

Richard zapowiadał, że wybiera się do Agrenomics, żeby porozmawiać z pracownikami.

– Posiedzę z nimi godzinę przy lunchu.

Co złego mogę i się przytrafić, jeśli nie liczyć zatrucia pokarmowego od brudnej łyżki? mówił.

Sullivan poczuła skurcz żołądka na myśl o tym, że mógł zadać niewłaściwe pytania niewłaściwej osobie.

Zadzwoniła do jego domu.

– Ach, to pani, doktor Sullivan – powitała ją Martha lekko zawiedzionym głosem, jakby spodziewała się kogoś innego.

– Czy Richard już wrócił?

– Telefonował po południu i mówił, że mamy się nie martwić, bo coś ważnego mu wypadło i wróci do domu bardzo późno.

Dlatego teraz sądziłam, że to on.

Mam mu przekazać, żeby oddzwonił?

– Tak, proszę, gdy tylko wróci.

Proszę mu powiedzieć, że przez całą noc będę w laboratorium.

– Czy to coś poważnego? – zapytała zaniepokojona Martha.

– Ależ skąd.

Milczenie Marthy, choć krótkotrwałe, świadczyło o tym, że nie do końca uwierzyła w to zapewnienie.

– Cóż z niego za człowiek!

I jeszcze mówi mi, żebym się nie martwiła – odezwała się w końcu zrzędlwym tonem.

– Jestem pewna, że nic mu nie jest, Martho.

Gospodyni westchnęła ciężko.

– Módlmy się o to.

I dziękuję, doktor Sullivan.

Przekażę mu, że pani dzwoniła.

Richard, do cholery, pomyślała Kathleen, przerywając połączenie.

W coś ty się znowu wpakował?

Spojrzała w zamyśleniu w okno.

Zachodzące słońce było już tylko cieniutką linią ognia, której najdalej wysunięty na północ punkt przebijał pokrywę czarno-purpurowych chmur niczym płomienista lanca.

Biała błyskawica zajaśniała właśnie w tym miejscu, niczym niebiańskie krótkie spięcie, a kolumny cumulusów rozjarzyły się srebrem, złotem i szarością, jak bąble ciekłego ołowiu w kadzi.

Jeśli jeszcze tam jesteś, pomyślała, to mam nadzieję, że przynajmniej znalazłeś schronienie przed burzą.

## Rozdział 15

Nie był przygotowany na deszcz.

Krople spływały mu do oczu, tak że nie widział prawie nic, gdy klęcząc w ciemności, mocował się nożycami z siatką ogrodzenia.

Drut okazał się znacznie grubszy, niż mu się wydawało, a do tego narzędzie wyslizgiwało mu się z rąk, gdy napinał mięśnie.

Trząśł się z zimna, bo mimo wysiłku tracił ciepło z powodu mokrego ubrania i deszczu.

– Cholera! – powiedział, gdy nożyce po raz kolejny wypadły mu z rąk.

Z każdą sekundą coraz bardziej czuł się pokonany.

Plan wydawał się świetny jeszcze popołudniu, gdy Steele wracał do samochodu z zamiarem powrócenia tu nocą, by zajrzeć pod metalową pokrywę.

Pojechał do węzła kolejowego, po drodze zahaczając o sklep narzędziami rolniczymi.

Kupił mocne nożyce do drutu, łom i latarkę, a gdy płacił za wszystko, kasjer zmierzył go bardzo podejrzliwym spojrzeniem.

Na stacji benzynowej zatankował do pełna, a przy okazji kupił jednorazowy aparat fotograficzny z fleszem.

I tylko jedno nie przyszło mu do głowy: że warto kupić kurtkę przeciwdeszczową i kapelusz.

Niebo jaśniało cudownym błękitem, a nieliczne białe chmurki nie wyglądały groźnie.

Nie spieszył się z powrotem do szklarni, uznając, że zmierzch będzie najodpowiedniejszą porą.

Być może zadnia mógł podawać się za obserwatora ptaków, jeśli tylko wystarczająco często gapił się w niebo, ale wycinając dziurę w płocie, pewnie czuł się pod osłoną ciemności.

Podczas wizyty na bocznicach węzła kolejowego postanowił udawać miłośnika pociągów i szybko udało mu się nawiązać kontakt z kolejarzami.

Chcąc się uwiarygodnić, pstryknął nawet parę zdjęć rdzewiejącej lokomotywy spalinowej, która przetaczała wagony w tę i z powrotem.

Wkrótce pokierował rozmowę ku tematowi, który mógł zainteresować jego nowych znajomych.

– Ale kto w ogóle chce w tych czasach wozić coś pociągami? – spytał.

– Słyszałem, że już zamykają pomniejsze linie.

Żyłasty, siwowłosy mężczyzna w czapce maszynisty zsuniętej wysoko nad pocięte liniami czoło, spojrzał na niego groźnie i zapytał:

– Pan jesteś reporter?

– Nie, jestem lekarzem.

Po prostu lubię pociągi.

– Bo wszystko przez tych dziennikarzy, co wiecznie zapowiadają koniec kolei – oznajmił ponuro starzec.

Steele pokiwał głową ze współczuciem i dodał na pocieszenie, że przynajmniej jedna nowa firma daje kolejarzom zarobić, gestem wskazując przy tym mniej więcej w kierunku siedziby Agrenomics.

Jeden z młodszych mężczyzn prychnął pogardliwie.

– Już nie.

Ostatni ładunek wywieźliśmy stamtąd tydzień temu.

Zresztą tym razem nie był to żaden interes, bo i kurs bliski.

Wagon podłączyliśmy do lokalnego towarowego i pojechał do Queens.

– Wcześniej woziliście więcej? – dążył Steele.

– O, tak.

Co tydzień jeden transport, przez całą zimę – odparł młody kolejarz.

– W dodatku wagony szły składami transkontynentalnymi, na południe i południowy zachód.

Pamiętam, bo zawsze wpisywaliśmy w listach przewozowych „ładunek niebezpieczny”.

– Naprawdę?

A niby jaki to niebezpieczny ładunek mogli wyprodukować w tych szklarniach?

– To może być jeden z tych tam ekologów – wtrącił staruch, znów spoglądając na Steele’a spode łba.

– Lepiej nic mu nie mów.

– Przymknąłbyś się już, Dusty – odparł młodzik, mrugając porozumiewawczo do Steele’a.

– Bo jeszcze pan doktor pomyśli, że mamy tu codo ukrycia.

Stary posłał mu pogardliwe spojrzenie, ale się nie odezwał.

Młody kolejarz pochylił się w stronę Richarda.

– Dusty zrobił się podejrzliwy względem obcych, odkąd diesle zastąpiły parowozy.

Zdaje mu się, że każda zmiana jest zmianą na gorsze i że ludzie zadający pytania to początek kolejnej zmiany.

– To co w końcu wysyłali z Agrenomics? – spytał Steele, udając niewinnie zaciekawionego.

Kolejarz wzruszył ramionami.

– To, czego potrzeba farmerom produkty zwiększające wydajność plonów.

Tyle że te są modyfikowane genetycznie.

W gazetach nawet ostatnio o tym piszą.

– Ale mnie to wcale nie rusza.

Tak sobie myślę, że ci faceci wiedzą, co robią, są super ostrożni.

Kazali nam klasyfikować ładunek w tej samej kategorii co pestycydy.

Wie pan, szczególna ostrożność i tak dalej.

Inaczej mówiąc, pewnie nie chciałbym się w tym wykapać, ale z drugiej strony nic bardziej groźnego niż inne toksyczne gówna, które wozimy.

Pół godziny później Steele zatrzymał wóz na parkingu przydrożnej restauracji, którą wypatrzył wcześniej w pobliżu Agrenomics.

Zamówił piwo i wkrótce przekonał się, że jedyną osobą, której będzie mógł pokazać bliźnę i której opowie o Pizzowatym, jest barman.

– W życiu nie widziałem tego typu – powiedział, przyglądając się portretowi pamięciowemu, który podał mu Steele.

– Ale prawda jest taka, że od nich już prawie nikt tu nie zagląda.

– Naprawdę? spytał Steele z udawanym niedowierzaniem i rozejrzał się po sali urządzonej w stylu western.

– Ale dlaczego? – spytał takim tonem, jakby każdego, kto postanowi nie odwiedzać tak wspaniałego lokalu, uważał za szaleńca.

– Zwolnienia! warknął w odpowiedzi barman, zawierając w tym jednym słowie potężny ładunek szczerej pogardy.

Miał prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu i nosił błękitną dzinsową koszulę bez rękawów, a na pokaźnym bicepsie miał tatuaż przedstawiający motocykl i flagę Konfederacji.

Plakietka z nazwiskiem sugerowała, że jest z Teksasu, ale akcent miał raczej brooklyński.

– Zaczęli wywalać ludzi całkiem nagle, bez uprzedzenia.

Ogłosili, że wprowadzają letni plan produkcyjny, ale nikt w to nie wierzy.

Babka z finansowego mówiła, że chociaż otwierali ten ośrodek z taką pompą, to nigdy nie zrobili kokosów.

Do diabła, czemu mnie to nie dziwi?

Połowa akcji spółek biotechnologicznych, które mam, poleciała w marcu na pysk i do tej pory nie odrobiła strat.

– Gdyby w lokalu znajdowała się spluwaczka, barman bez wątplenia użyłby jej na końcu tego zdania.

A ochroniarzy jeszcze tam trzymają? spytał Steele.

Może któryś z nich wie coś o tym facecie, który poszczuł mnie psami.

Większość pracuje tylko w nocy i nigdy tu nie zaglądają.

Zdaje mi się, że utrzymali robotę dłużej niż inni, przynajmniej do ostatniego tygodnia.

Wieczorem przejeżdżam obok Agrenomics w drodze do domu, to i widuję ich furgonetki.

Ale od piątku i to się zmieniło.

Widziałem tylko jeden wóz na parkingu.

Steele wrócił do samochodu i zatelefonował do domu, żeby ostrzec Marthę, że wróci późno, apotem pojechał polną drogą do miejsca, w którym krzyżowała się z torem kolejowym prowadzącym do Agrenomics, i tam zaparkował.

Zatem zwijają interes, pomyślał, układając w pamięci informacje, które zasłyszał w ciągu całego popołudnia.

Możliwe, że naprawdę skończyły im się pieniądze.

Kolejarze twierdzą, że ładunków było coraz mniej, a księgowi pewnie jęczeli, że nie ma nowych zamówień.

Ale Steele'a zaintrygował czas, w którym działo się to wszystko.

Otworzył drzwi i wysiadł z wozu, żeby rozprostować nogi. Niebieskawe palce mroku otaczały go i sięgały ku złotawym chmarom owadów, unoszącym się nad polami.

Uwagę Steele'a zwróciła na chwilę gonitwa parki ptaków, których świergot mącił wieczorną ciszę.

Z rękoma splecionymi na piersi, oparłszy się plecami o samochód, przyglądał się ich harcom, wciąż rozmyślając o Agrenomics.

Mineło siedemnaście dni, odkąd został zaatakowany.

McKnight pojawił się tu i zaczął zadawać pytania kilka dni później.

Zaraz potem firma zaczęła wręczać ludziom wypowiedzenia.

Zbieg okoliczności?

Być może.

– Tylko cholernie nieprawdopodobny – mruknął Steele.



Jeżeli szefowie Agrenomics mieli coś na sumieniu, wizyta McKnighta musiała nimi wstrząsnąć.

Bo choć ja uszedłem z życiem, rozumował Steele, na pewno byli jeszcze wtedy pewni, że nikt, a już na pewno nie Kathleen Sullivan, nie skojarzy osoby Pizzowatego z ich cichą działalnością.

A tu nagle zjawia się detektyw z wydziału zabójstw i wypytuje o ochroniarza z trądzikowymi bliznami na twarzy, podejrzanego o usiłowanie morderstwa.

Steele poczuł szybsze bicie serca.

To dlatego tak szybko pozbyli się personelu.

Nie chcą tu nikogo, bo gliny mogą wrócić w każdej chwili, a wtedy ktoś mógłby powiedzieć o jedno słowo za dużo, myślał.

Odepchnął się biodrami od samochodu i zaczął spacerować dokoła, pewien, że właśnie rozszyfrował plan Agrenomics, którego celem było zatarcie śladów.

Może nie jest to równoznaczne z przyznaniem się do winy, pomyślał, ale na pewno wskazuje, że mają coś do ukrycia.

Mniej więcej w tym momencie zauważył krągłe czoło czarnej chmury wyłaniającej się zza horyzontu.

Teraz jednak był tak podniecony myślą, że być może zbliżył się o krok do swych niedoszłych morderców i być może zbliży się jeszcze bardziej, jeśli się dowie, co ukryto pod szklarniami, że w ogóle nie wziął pod uwagę przełożenia wyprawy na inny dzień.

Zwłaszcza że wedle jego oceny nie zapowiadało się na wielką burzę. Teraz jednak musiał zmagać się nie tylko z kolejnym okiem drucianej siatki, ale i z ulewnym deszczem.

I właśnie tu wychodzi cała moja wiedza na temat pogody, myślał ze złością, zawzięcie mrugając, by strącić grube krople wody.

Najbliższy reflektor oświetlający plac po drugiej stronie ogrodzenia stał dobrych trzydzieści metrów dalej, a to oznaczało, że Steele pracował praktycznie po ciemku.

Wolał jednak nie ryzykować i nie włączył latarki; to, że nie wypatrzył ani jednej kamery monitoringu, nie oznaczało jeszcze, że naprawdę ich tu nie ma.

Wiedział, że cyfrowe kamery instalowane w szpitalu potrafiły rejestrować obraz w niemal całkowitych ciemnościach.

Jeden z techników pokazał mu zaś, że cyfrowy zoom jest w stanie uchwycić obraz twarzy nawet z odległości kilkuset metrów.

Gdzieś nad jego głową przecięła niebo kolejna błyskawica. Grzmoty następowały po sobie tak szybko, że praktycznie zlewały się w jednostajny huk.

Steele czuł, że jego przedramiona zaczynają drżeć przy każdym zaciśnięciu dłoni na uchwytych nożyc i że z każdym przecięciem drutu jego siły słabną.

Zastanawiał się właśnie, czy kolejny piorun nie trafi w ogrodzenie i nie skróci jego cierpień, gdy nagle ostrza nożyc zmogły szczególnie oporny fragment drutu.

Uchwyty zamknęły się z wielką siłą, a gwałtowne zderzenie kłykci sprawiło, że Steele zawył z bólu.

Gdyby noc była bardziej pogodna i cicha, a w okolicy kręcili się ochroniarze, z pewnością usłyszeliby ten okrzyk.

Masując obolałe palce, Steele w duchu dziękował Bogu za tę burzę.

Po chwili wznowił atak na ogrodzenie i po dwudziestu minutach miał wycięte dwa kilku dziesięciocentymetrowe boki prostokątnego otworu.

Odchyliwszy luźny fragment, zacisnął dłonie na łomie i latarce, poczym ślizgając się łatwo po błocie, przecisnął się na drugą stronę.

Zgrywając w czasie użycie latarki z błyskawicami, szybko odnalazł krawędź metalowej klapy.

Pochwycił łom oburącz, wsunął czubek zagiętego końca pod krawędź płyty i pociągnął z całej siły do góry.

Kłapa nawet nie drgnęła.

Za drugim szarpnięciem ustąpiła nieznacznie.

Steele ustawił łom nieco inaczej i zyskawszy korzystniejszą dźwignię, zdołał unieść metalowe wieko na wysokość kilkunastu centymetrów.

Spod ziemi nie dochodziło światło.

Postanowił zaryzykować: pochylił się nad ciemną szczeliną i zapalił latarkę, kierując snop światła w dół.

Schody.

Biegną prostopadle do ogrodzenia, zauważył.

W dół ale dokąd?

Obawiając się, że rozszczelnienie wjazdu uruchomiło niesłyszalny alarm, przyjął założenie, że ma bardzo niewiele czasu.

Zobaczę ile się da, a potem spadam, obiecał sobie w duchu i zaczął bezgłośnie odliczać sekundy.

Mocując się z ciężką klapą, zdołał odsunąć ją nieco w bok, na tyle, by mógł się wśliznąć do środka.

Świecąc sobie latarką, opuścił się na dół i zszedł po kilkunastu stopniach.

Znalazł się w niskim tunelu prowadzącym mniej więcej w kierunku szklarni.

Okolo siedmiu metrów dalej tunel łączył się pod kątem prostym z większym korytarzem.

Tu także nie było żadnego źródła światła, ale korytarz ciągnął się w prawo co najmniej tak daleko, jak sięgał blask latarki.

Po lewej stronie snop światła wyłuskał z ciemności drzwi, odległe o dobrych sto pięćdziesiąt metrów.

Nie były to jednak zwyczajne drzwi, lecz raczej wjazd, podobny do tych, jakie widuje się w okrętach podwodnych.

W jego górnej części znajdował się iluminator.

Steele doliczył już do piętnastu.

Zakładał, że odległość dzieląca wejście do podziemi od głównego budynku daje mu nie więcej niż minutę na wizytę w tunelu.

Puścił się sprintem w stronę pancernego wjazdu, by choć rzucić okiem na to, co znajdowało się po drugiej stronie.

## Rozdział 16

Jeden parowiec, dwa parowce, trzy parowce.

Odliczał w myśli sekundy tak jak w szpitalu, gdy uciskał klatkę piersiową umierającego pacjenta.

Gnając w tempie trzech susów na każdy „parowiec”, pokonał dwadzieścia metrów, gdy raptem skurcz mięśni lewej łydki naprężył ścięgna, wywołując mniej więcej taki skutek jak kopniak w plecy.

– Szlag! – wrzasnął Steele, omal nie padając na twarz.

Cudem utrzymał się na nogach i biegł dalej, ale zaczął kuleć i doliczywszy do piętnastu, pokonał zaledwie połowę odległości.

W takim tempie nie ucieknę ochroniarzom, pomyślał.

Jeśli już się ruszyli.

Kuśtykając pospiesznie, rozglądał się na boki w poszukiwaniu innego wyjścia, z którego mógłby skorzystać, ale nie znalazł ani kolejnych kłap, ani bocznych korytarzy.

Dziwne, pomyślał, taki długi tunel i tylko jedne drzwi na samym końcu.

Jakby chcieli zachować jak największy dystans między budynkiem a tym, co dzieje się po drugiej stronie tego wjazdu.

Zżerała go ciekawość, gdy doliczywszy do dwudziestu pięciu, trafił stopami na linoleum, na którym zapiszczały podeszwy jego butów.

W tej samej chwili spostrzegł w ciemności nad głową małe czerwone światełko, jarzące się jak rozżarzony węgielek.

Skierował ku niemu latarkę i zobaczył obiektyw kamery, spoglądający wprost na niego.

Cóż, pomyślał, jeśli strażnicy dotąd mnie nie zauważyli, to teraz już na pewno.

Przyspieszył, oddychając coraz ciężiej i starając się nie myśleć o skurczu, który przy każdym kroku zmieniał jego łydkę w kamień.

Zbliżając się do wjazdu, skierował chybotliwy promień światła na masywny uchwyt i wbudowaną obok klawiaturę.

Znał takie zamki ze szpitala: ich otwarcie wymagało wprowadzenia czterocyfrowego kodu.

To oznaczało, że nie ma szans dostać się do środka.

W biegu wyjął z kieszeni aparat, który po południu kupił na stacji benzynowej.

Wciąż nie słyszał kroków ochroniarzy w głębi korytarza.

Może nadejdą od strony dziury, którą wyciąłem w ogrodzeniu.

Jeśli tak, to będę w pułapce.

Co wtedy?

Kulaw łeb?

A może wezwą policję i oskarżą mnie o włamanie?

Wyrok skazujący oznaczałby zakaz wykonywania zawodu.

Gdyby nie Chet, wołałbym chyba kulę w łeb, pomyślał z rozpaczą.

Przy czterdziestym „parowcu” stanął u wjazdu.

Gruby iluminator wykonany z pleksiglasu rozpraszał blask latarki, ale i w tak marnym świetle

Steele zauważył po drugiej stronie szafki, ławki oraz wózek z zielonymi kitlami podobnymi do chirurgicznych i pudłem jednorazowych rękawiczek lateksowych.

Pomieszczenie przypominało przebieralnię sali operacyjnej.

Przesunął snop światła nieco dalej i zobaczył kolejny, podobny właz, z dużymi oknami po obu stronach.

Załamania światła w grubych szybach jeszcze bardziej utrudniały obserwację, ale dostrzegł w bocznych pomieszczeniach stoły laboratoryjne, wyciągi wentylacyjne, stojaki z probówkami, a nawet podobny do kuchenki inkubator – wszystko to nie różniło się niczym od wyposażenia typowego szpitalnego laboratorium bakterio – albo wirusologicznego.

Kiedy jednak skierował latarkę na wprost, w iluminator drugiego wjazdu, zobaczył pomieszczenie o ścianach najeżonych dyszami, a za nim trzeci hermetyczny właz – i wtedy zrozumiał, że ma przed sobą coś, czego nie widuje się w zwykłym szpitalu.

Skierował latarkę dalej na prawo i drgnął odruchowo, widząc w kręgu światła coś, co przypominało ludzkie skóry wiszące rzędem na ścianie.

Opanował się szybko, rozpoznawszy tuzin srebrzystoszarych kombinezonów z rękawicami, butami i hełmami o przezroczystych wizjerach.

Czarne żebrowane rury podobne do dredów łączyły hełmy z pasami uniformów, gdzie zapewne znajdowały się zawory.

Trzy inne, karmazynowe skafandry wisiały opodal – te wyposażono w znacznie solidniejsze pasy ze zbiornikami powietrza.

Spod sufitu zwisały zwoje dość cienkich pomarańczowych węży, zakończonych metalowymi okuciami, podobne do tych, które tłoczą do opon sprężone powietrze.

Steele powrócił świetlną plamą nieco bliżej i dostrzegł w kącie regały pełne segregatorów, książek i kaset wideo.

Na stoliku obok stały magnetowid i telewizor.

Gdzieś w oddali rozległ się huk drzwi o ścianę, a zaraz potem gwar głosów i tupot nóg.

Steele obrócił się gwałtownie i zobaczył daleki prostokąt światła oraz małe, ciemne sylwetki.

Ponad nimi sekcja po sekcji zapalały się jarzeniówki; ich surowe światło zbliżało się szybciej niż ludzie.

Steele raz jeszcze odwrócił się ku włazowi i pospiesznie pstryknął serię zdjęć z fleszem.

Skończył, zanim zapaliły się ostatnie jarzeniówki.

Pognał w stronę wyjścia, ale zarazem w stronę ludzi, którzy chcieli go dopaść.

Naliczył sześciu ochroniarzy; z tej odległości nie widział jeszcze, czy są uzbrojeni.

Słyszał natomiast ich krzyki, powielone echem w zamkniętej przestrzeni: chcieli, żeby się zatrzymał.

Narzucił kurtkę na głowę i pochylił się, przebiegając pod obiektywem kamery, tak jak ludzie mafii, gdy przemykają skuci przed obiektywami reporterów.

Jeśli się z tego wykaraskam, pomyślał, najlepiej będzie nie zostawiać im mojej podobizny.

Spojrzał przed siebie i ocenił, że sześciu ochroniarzy pędzących z przeciwka ma do pokonania dwukrotnie większą odległość niż on.

Tyle że zbliżali się do bocznego tunelu, którym tu wszedł, ze znacznie większą prędkością.

Spróbował przyspieszyć, czując, że serce pracuje z niemniejszym wysiłkiem niż mięśnie ud. Ciekawe, co by na to powiedział mój kardiolog, pomyślał.

Od bocznego tunelu dzieliło go już tylko pięćdziesiąt metrów; od pościgu – sto pięćdziesiąt.

Wciąż nie widział twarzy strażników, ale nie miał już kłopotów ze zrozumieniem ich okrzyków:

– Zatrzymaj się, łajdaku!

– Stój, bo strzelam!

– Już po tobie, skurwielu!

Kątem oka dostrzegł, że jeden z nich wyciąga z kabury pistolet.

O cholera!

Przyspieszył jeszcze bardziej, ignorując pulsujący ból w nodze i nie odrywając wzroku od mężczyzny z bronią w ręku.

Nie może zaryzykować strzału, pomyślał przytomnie.

Mógłby przecież rozbić iluminator we włazie; to dlatego celuje tylko w sufit.

Ale kiedy znajdziemy się na gorze, będą do mnie walić jak do tarczy.

Znowu skrócił o połowę dystans dzielący go od odnogi korytarza; do nadbiegających miał jeszcze sto metrów.

Gdy wreszcie skręcał w prawo, dzieliło go od nich już tylko pięćdziesiąt metrów.

W kilka sekund wbiegł po schodach i przez szczelinę obok klapy wymknął się na powierzchnię.

W biegu porwał z ziemi łom i sprintem pomknął ku dziurze w ogrodzeniu.

Rzucił się szczupakiem w błoto i błyskawicznie przecisnął na drugą stronę.

W okamgnieniu podniósł odchyłony strzep siatki i przypiął go zagiętym drutem, by nie opadł.

Odwróciwszy się, pomknął w ciemność najbliższego pola.

Nie zanosilo się na rychły koniec burzy.

Deszcz bił prosto w jego twarz niczym zimny prysznic, a stopy zapadały się w rozmięktą ziemię.

Błyskawice prawie nie gasły; dawały tyle białego światła, że gdyby tylko ktoś spojrział teraz w jego stronę, dostrzegłby go bez trudu.

Steele rzucił się znowu na ziemię, by wykorzystać zasłonę niskiego jeszcze łąnu kukurydzy, i na czworakach ruszył przed siebie.

Pokonał dobrych sto metrów, zanim odważył się spojrzeć za siebie, na niezbyt dobrze oświetlony plac za budynkiem Agrenomics.

Ścigający go ochroniarze biegali od szklarni do szklarni, przyświecając sobie latarkami.

Nie wyszli za ogrodzenie, pomyślał z nadzieją Steele.

Jeszcze nie zauważyli dziury, którą sobie wyciąłem.

Poruszał się kursem ukośnym do toru kolejowego, wciąż na czworakach, i dopiero pokonawszy kolejnych kilkaset metrów, odważył się wrócić do pionu, osłonięty już pierwszą linią drzew.

Dotarł do bocznicy w jednej z nielicznych chwil całkowitej ciemności i potknął się o niski nasyp.

Wylądował na twarzy i z impetem prześliznął się po szutrze, po czym zatrzymał się głową ledwie o centymetry przed szyną.

– I gdzie te przekłete błyskawice, kiedy ich człowiek potrzebuje? – wymamrotał ze złością.

Kwadrans później wsiadł do samochodu, dojechał do szosy i pomknął nią przed siebie, byle dalej od laboratorium.

Wiedział, że musi dotrzeć do Nowego Jorku inną trasą; za żadne skarby świata nie przejechałby teraz przed bramą Agrenomics.

– Używają tam księżycowych skafandrów, Kathleen, a całe pomieszczenie zakończone jest śluzą, w której zamontowali baterię pryszniców do odkażania.

Byłem kiedyś na konferencji w CDC i widziałem instalację czwartego poziomu, z której korzystali wirusolodzy.

Właśnie tam badają najbardziej niebezpieczne mikroorganizmy świata, takie jak Ebola czy Lassa.

Przysięgam ci, to była pomniejszona kopia tamtej instalacji!

Rozmawiali przez komórkę, gdy Steele zatrzymał się na stacji benzynowej, żeby napęlić bak i zapytać o drogę do Nowego Jorku.

– Nie wiem, jak to zrobię, ale muszę tam wrócić i dostać się do środka, żeby przejrzeć dokumenty i nagrania, które tam mają.

– Nie dodał: „Jak nie skończę w więzieniu”, ale tak właśnie pomyślał.

– Zaczekaj, aż usłyszysz moje nowiny, Richard – odpowiedziała Sullivan i streściła mu swą rozmowę z Julie Carr.

– Mój Boże – jęknął Steele, gdy wysłuchał jej relacji.

– Uważam wręcz, że szczepionka może być elementem łączącym Tajwan i Oahu, a Pierre Gaston chciał mi pewnie pokazać w próbkach z Rodez właśnie wektory.

– Dlaczego szczepionka miałaby trafić na Tajwan?

– Dlatego, że właśnie tak zadziałałyby niektóre firmy biotechnologiczne.

Wykorzystałyby naturalną epidemię ptasiej grypy do zrobienia niezłych pieniędzy na sprzedaży miejscowym hodowcom niedorobionej szczepionki.

Tylko że w tej sprawie postąpiły wyjątkowo głupio.

Rzekłabym nawet, że zbrodniczo.

– Świadomie zbrodniczo?

Chcesz powiedzieć, że od początku przewidywały, że może dojść do rekombinacji?

– Nie, ale prawdopodobnie były w tej sprawie równie nieświadome jak reszta świata.

Jednocześnie celowo zignorowały bezsporny fakt, iż stosowanie jakiegokolwiek szczepionki przeciwko ptasiej grypie w takim momencie i w takim miejscu jest niewskazane.

Tak samo jak niewskazane jest podawanie szczepionki przeciwko grypie ludziom, którzy już są na nią chorzy, ponieważ powoduje ona jedynie pogorszenie ich stanu.

Hodowcy żywiący chore ptactwo ziarnem ze szczepionką zwyczajnie dolewaliby oliwy do ognia.

– Mój Boże!

Ale jak udowodnisz, że właśnie tego dopuścili się ludzie z Agriterre?

– Gdy tylko dostanę od Julie primery, wykażę, że to właśnie oni wyprodukowali szczepionkę. Inspektor Racine ustali zaś, komu ją sprzedali.

– I właśnie po to oboje mieliśmy zginać?

Żeby nie wydała się sprawa niebezpiecznej szczepionki dla kurczaków?

– Raczej po to, żeby zatuszować prawdziwe okoliczności śmierci Tommy’ego Arnessa i być może także dziecka, które zmarło na Tajwanie.

Każdy z tamtejszych prawników mógłby co najmniej bronić twierdzenia, że szczepionka pogorszyła sytuację w obliczu epidemii.

Gdyby więc historia ujrzała światło dzienne, mielibyśmy podwójne nieumyślne zabójstwo oraz potencjalny pozew zbiorowy tajwańskich hodowców, z żądaniem odszkodowania za poniesione straty.

Nie sądzisz, że chęć uniknięcia więzienia i wypłaty poważnych rekompensat jest wystarczającym motywem dla popełnienia morderstwa?

Steele nie wiedział, jak odpowiedzieć.

Logika rozumowania Sullivan wydawała się nienaganna – w pewnym sensie.

Gdyby mówiła wyłącznie o Biofeed na Hawajach i o kilku osobach usiłujących uniknąć więzienia, być może zabicie Hacketta i usiłowanie zabójstwa Sullivan byłoby sensownym działaniem z ich strony.

Lecz ogromna skala i międzynarodowy zasięg sprawy, z którą mieli do czynienia – Agriterre we Francji, morderstwo francuskiego genetyka, zabójcy na Hawajach biegający z tłumikami i mówiący językiem rodem z Iranu czy Afganistanu, wreszcie Pizzowaty i jego psy w Nowym Jorku – wszystko to wyglądało na coś znacznie większego.

Zbyt wielkiego, by mogło chodzić o ukrycie nierozważnej próby uodpornienia stadka kur.

Poza tym, myślał Steele, gdy firma takich rozmiarów popełnia błąd, nawet śmiertelny błąd, zwykle zatrudnia prawników, nie zabójców.

– Szczerze mówiąc, Kathleen, wiele spraw jakoś tu nie pasuje – powiedział, po czym wyjaśnił jej swoje wątpliwości.

Gdy skończył, na długą chwilę zapadła cisza, przerywana jedynie trzaskami w słuchawce, gdy niebo w oddali rozjaśniała kolejna błyskawica.

Coraz bardziej odchodził od samochodu, szukając lepszego zasięgu.

Mokre, zabłocone ubranie lepiło się do jego ciała; dobre było jedynie to, że wreszcie przestałopadać.

– Kathleen?

– Jestem tu.

Tylko zastanawiam się nad tym, co powiedziałaś.

– Jest jeszcze coś, czego nie rozumiem.

Jaki interes ma w tym wszystkim Agrenomics?

Przecież ta firma zaczęła działalność rok po zarażeniu Tommy’ego Arnessa!

Sullivan wahała się chwilę.

– Nie wiem.

Może osoba lub osoby odpowiedzialne za stworzenie szczepionki w tym czasie zmieniły pracę, przechodząc do Agrenomics?

Niewykluczone, że podobnie zajmowały się ptasią grypą, w laboratorium, które widziałeś, aby znowu spróbować wprowadzić na rynek szczepionkę.

Może zależy im, żeby nikt się nie dowiedział, jak niebezpieczna jest w rzeczywistości?

– Nikt nie wydaje majątku na instalację czwartego poziomu, żeby zapanować nad zwyczajnym

wirusem grypy, nawet jeśli jest to H5N1.

Maski, rękawiczki, kitle i dobra wentylacja w zupełności wystarczą.

Nie trzeba niczego poza zwykłymi środkami ostrożności, choćby takimi, jakie sama stosujesz w laboratorium, żeby uniknąć rozprzestrzeniania się wektorów genetycznych.

– Rzeczywiście, wydaje się, że przesadzili – przyznała.

– Cokolwiek kombinują w Agrenomics, chyba musimy przyjąć, że wyłożyli majątek na budowę tego, co widziałem, ponieważ naprawdę potrzebują antywirusowych zabezpieczeń czwartego poziomu.

Czekając w milczeniu na kolejną odpowiedź Kathleen, zaczął drzeć.

Przemarzył do kości, stojąc na wietrze w mokrym ubraniu.

– Jak myślisz, co oni tam robią? – spytała w końcu Sullivan.

Wykrzywił usta, by zapanować nad mięśniami twarzy i ukryć szcęknięcie zębami.

– Pojęcia nie mam.

Ty lepiej znasz tę branżę.

Czego może chcieć genetyk pracujący nad takimi patogenami, o jakich mówiłem?

– Oho!

Przerażasz mnie, Richard.

– Jakie są możliwości?

– To czyste szaleństwo.

Genetycy wечно dyskutują o próbach a w sytuacji naprawdę zaraźliwego draństwa, w rodzaju wirusa AIDS, w celu wykorzystania go jako jeszcze bardziej agresywnego nośnika niż te, których zwykle używamy do transportu genów.

Ale nawet ten wirus nie wymaga zabezpieczeń czwartego poziomu.

Na myśl o tym, że komercyjna instytucja w rodzaju Agrenomics zabawia się organizmami, o których wspomniałeś, ciarki mnie przechodzą.

– Sullivan umilkła, a sądząc po urwanym raptem oddechu, naprawdę przeszył ją dreszcz.

– Do licha, tylko szalenie pomyślałaby o czymś takim.

Zastanawiając się, czy i jego zaliczała do tej kategorii, zapytał:

– Co teraz zrobimy?

– Przede wszystkim powinieneś przyjechać tu, do laboratorium, i pocieszyć damę, którą właśnie cholernie przeraziłeś.

Steele wstrzymał oddech.

– Słyszę, że trzęsiesz się z zimna, Richard.

Pewnie przemokłeś.

Nie wiem, jak jest naprawdę, ale stąd wyglądamy to na straszną burzę w twojej okolicy.

Nie odpowiedział.

– Mamy tu prysznic, gorący napój też się znajdzie.

Nie mam tylko ubrań, ale na pewno nie zabraknie laboratoryjnych kitli i fartuchów. Możesz z nich skorzystać, póki nie wysuszymy twoich ciuchów. A przy okazji podyskutujemy o strategii. Po tym, co zasugerowałeś, musimy zacząć myśleć naprawdę szybko.

– Co ty nato, Richard? Tylko zanim przyjedziesz, zadzwoń do Marthy i powiedz, że jesteś cały i zdrowy.



Rozmawiałam z nią wcześniej i wiem, że umiera ze strachu.

Steele doskonale wyczuwał, co się kryje za tą propozycją.

Ku swemu zdziwieniu stwierdził, że chce ją przyjąć.

Ledwie kilka tygodni wcześniej zapewne wycofałby się, mówiąc: „Dzięki, Kathleen, ale muszę wracać do domu.

Jestem piekielnie zmęczony, rano na pewno będę myślał bardziej efektywnie”.

Teraz jednak potrzebował tylko chwili na dobranie właściwych słów, by zostawić Kathleen choć furtkę do wycofania się, na wypadek gdyby przeżywała podobne rozterki.

– Jesteś pewna, że tego chcesz?

Jest w pół do jedenastej, a ja dotrę do Nowego Jorku nie wcześniej niż o północy.

Ledwie zdążył wypowiedzieć te słowa, a już opuściła go cała odwaga i namysł o tym, że mógłby przystać na jej zaproszenie w całej jego kuszącej rozciągłości, przeraził się tak, że znowu był gotów zrezygnować.

Jakby czytając w jego myślach, odpowiedziała:

– Chcę, żebyś do mnie przyjechał, Richard, jeśli i ty tego chcesz.

Znowu za padła cisza.

Lecz w przeciwieństwie do milczenia Steele’a, ciężkiego od niewyartykułowanych wątpliwości i niezdecydowania, milczenie Sullivan było elektryzujące, drżące i przepełnione niewypowiedzianymi obietnicami.

Zanim zdołał zebrać myśli na tyle, by cokolwiek powiedzieć, usłyszał ciche piknięcie, gdy Kathleen przerwała połączenie.

Boże, jak mogłam być tak ostentacyjna, pomyślała, jadąc windą na parter.

Gdy minął kwadrans po północy, właściwie straciła już nadzieję i czuła jedynie zażenowanie na myśl o tym, że w ogóle go zaprosiła.

Lecz gdy dziesięć minut później zatelefonował z samochodu i oznajmił, że właśnie zaparkował przed jej budynkiem, poczuła na twarzy falę gorąca.

– Już schodzę – wydukała, myśląc w panice, że może jeszcze udawać, iż zaproszenie nie niesło żadnych podtekstów: kawa, wymiana myśli na temat Agrenomics, zmiana ubrania.

– Tak, akurat – prychnęła pod nosem.

– Rozbierz się, gościu, i włącz pod mój prysznic.

Zmokniętym facetom zawsze proponuję coś takiego.

I oczywiście to nic nie znaczy.

Jak mogłeś przypuszczać, że zapraszam cię na szybki numerek w kabinie?

Zaczęła chichotać, gdy tylko zobaczyła go przez szklane drzwi.

Był pokryty błotem od stóp do głów i prezentował się absolutnie żałośnie.

Mój Boże, lepiej byłoby go potraktować węzem ogrodowym, pomyślała, przesuwając kartę identyfikacyjną przez czytnik systemu bezpieczeństwa, by otworzyć drzwi.

– Jak ty wyglądasz! – zawołała ze śmiechem, podając mu rękę.

Gdy tylko dotarli do jej laboratorium, zaprowadziła go w ubraniu wprost pod gorący prysznic.

– Podaj mi rzeczy, kiedy spłynie z nich to błocko – zawołała, przekrzykując szum wody.

– Parę piętér niżej mamy pralnię dla studentów.

Ty się szoruj, a ja zaniosę tam twoje ubranie.

Ręcznik, laboratoryjny kombinezon i kitel znajdziesz na ławce obok kabiny.

Spotkamy się w moim gabinecie.

– Tak jest, proszę pani – odkrzyknął i wysunął rękę za zasłonę, podając jej ociekający wodą kłęb mokrej odzieży.

Wyszła na korytarz i stanęła przy windzie.

Kabina, którą wjechali na górę, zdążyła już wrócić na parter.

Ktoś jeszcze musi być w budynku, pomyślała, ruszając w stronę schodów; od pralni dzieliły ją tylko trzy kondygnacje.

W dziesięciopiętrowym gmachu pełnym laboratoriów, w których realizowano projekty tysiąca studentów, obecność nocnych marków pracujących do rana nikogo nie dziwiła.

Kilka ćwierćdolarówek wystarczyło na porcję płatków mydlanych z automatu; kolejnych kilka uruchomiło pralkę.

Zapamiętawszy godzinę, o której należało przełożyć pranie do suszarki, wróciła na górę.

Steele zdążył już zaparzyć kawę i postawił na jej biurku dwa czarne kubki.

Siedząc boso na kanapie – bo w komplecie laboratoryjnej odzieży brakowało skarpetek – wyglądał na rozluźnionego.

– Nie wiedziałem, jaką pijasz – powiedział Richard, wstając i podając jej kawę stojącą bliżej niego.

– Dzięki.

Czarna może być – odparła, siadając w swoim fotelu z parującym kubkiem w dłoniach.

– Wyglądasz dużo lepiej – stwierdziła i żartobliwie dodała: – Choć oczywiście nietrudno było poprawić twój wygląd.

Odpowiedział jej ciepłym uśmiechem, choć kąciki jego oczu wyglądały na dziwnie ściśnięte, jakby wykonywanie rzadko praktykowanej czynności szybko je męczyło.

Ślady na skórze po dawnej wesołości były jednak wciąż widoczne, jak zmarszczki na wyblakłym pergaminie.

Postanowiła, że ożywi je na nowo.

– Możliwe też, że tak znaczną poprawę prezencji zawdzięczasz ekskluzywnej odzieży, którą zaproponowałam.

Pasują ci zwłaszcza te bose stopy, doktorze Steele.

Przydają ci raczej swobodnej elegancji Robinsona Crusoea plaży niż powagi szefa oddziału ratunkowego, którą zazwyczaj emanujesz.

Uśmiechnął się jeszcze szerzej, a rysy jego twarzy w jednej chwili stały się bardziej miękkie, jakby zawsze pragnęły nabrać takiego kształtu.

– O, dziękuję pani.

To wielki komplement, usłyszeć takie słowa z ust znanej na całym świecie doktor Kathleen Sullivan.

Zamiast usiąść z kawą na kanapie, wykonał znienacka szybki piruet, niczym model na wybiegu.

– I przyznam z ochotą, że styl nagich stóp bije na głowę styl nagiego tyłka, który zaprezentowałam parę tygodni temu na moim oddziale.

Roześmiała się w głos nad kubkiem, pryskając na podłogę kropelkami kawy.

– Proszę cię, Richard, nie zaczynamy tego od nowa.

Ale zaczęli.

Wskazała na jego pośladki, a on udał, że w pośpiechu próbuje je zakryć.

Już po chwili po ich obolałych ze śmiechu policzkach ciurkiem płynęły łzy.

Unosili się na fali wesołości, aż wreszcie, rycząc ze śmiechu, osiągnęli szczyt, po którym Sullivan poczuła ulgę i wyczerpanie, jakby właśnie skończyli uprawiać seks.

Steele stał przy jej biurku, podpierając się rękami i próbując złapać oddech.

Pochyliła się w fotelu i zadarła głowę, by spojrzeć mu w twarz.

Ich spojrzenia spotkały się, a wtedy Richard wolno opuścił głowę i pocałowali się delikatnie.

– Dziękuję, Kathleen – szepnął.

Musnęła dłonią jego policzek.

– Za co?

– Za śmiech.

Przyzwyczaiałem się do myśli, że już nie będę się śmiał.

Znów się pocałowali – jeszcze delikatniej, a potem coraz głębiej, mocniej i dłużej.

Kathleen poczuła szybsze bicie serca; oddychając płytko, wyciągnęła ręce, żeby objąć go za szyję i wpleść palce w jego włosy.

Podniósł ją delikatnie, a gdy stanęła, całowali się jeszcze namiętniej, choć wciąż dzieliło ich biurko.

Obeszła je w końcu i padła mu w ramiona, mocno przyciskając się całym ciałem.

Przez cienki materiał laboratoryjnego kitla czuła, że jest gotowy.

Zrobiło jej się gorąco, gdy mocno ocierała się o niego podbrzuszem, a on nie mniej zapalczywie całował ją, muskając wargami linię jej szczęki i szyję.

Usłyszała własne gardłowe jęki i jeszcze mocniej przywarła do niego.

– Masz coś?

– Nie – odpowiedział, rozpinając guziki jej bluzki i gładząc szczyty jej piersi.

– A ty?

– Tak – szepnęła bez tchu.

Rozsunęła poły bluzki, a on przywarł ustami do jej piersi, muskając brodawki językiem i ssąc delikatnie.

Zaczęła go rozbierać.

Z łatwością rozpięła luźny kitel i kombinezon, a potem wolno zsunęła go z ramion i bioder, aż Richard stanął przed nią nagi.

Był szczupły, a ciało, które poznawała palcami, wydawało jej się muskularne.

Delikatnie wodziła opuszkami po jego brzuchu i niżej, rozkoszując się drzeniem i cichymi jękami, które wydawał z siebie pod wpływem jej dotyku.

– Rozłożymy kanapę? – zaproponowała, pozbywając się bluzki i pozwalając, by w ślad za nią opadła na dywan spódnica.

– Na podłogę jestem za stary – odpowiedział, wsuwając dłoń w jej majtki, by pogłodzić pośladki i przycisnąć ją mocniej do siebie.

Wygięła się do tyłu, raz jeszcze pokazując jego wargom drogę do piersi.

Całował je i ssał, a każda pieszczota posyłała fale elektryzujących dreszczy aż do jej krocza.

I wtedy włączył się alarm przeciwpożarowy.

Ostra woń benzyny drażniła ich nozdrza i wypełniała płuca, kiedy biegli schodami w dół, dźwigając pudła próbek z Rodez, które miały zostać przebadane na obecność wirusa ptasiej grypy.

Oboje mieli na sobie laboratoryjne kitle zapięte na wszystkie guziki – i nic ponadto.

Nie było czasu na szukanie ubrań.

– Poczulem zapach, kiedy poszedłem do automatu ze słodyczami – wyjaśnił student, który uruchomił alarm, a teraz towarzyszył im w ewakuacji.

W stronę wyjścia zmierzało jeszcze kilka osób; wszyscy nieśli ze sobą jakieś pudła.

– Ale skąd tu benzyna, u diabła? – wysapała Sullivan.

– Smród idzie z szybu windy! – odkrzyknął ktoś zza jej pleców.

Parę minut później wszyscy byli już na chodniku przed pustym budynkiem i zadzierając głowy, spoglądali w pociemniałe okna.

Z oddali dobiegało coraz głośniejsze wycie syren.

Z zasłyszanych rozmów Kathleen poznała co najmniej kilka prób wyjaśnienia tajemniczego pojawienia się benzyny w szybie windy.

Żadna nie brzmiała przekonująco.

Jeśli nie liczyć uciekinierów z budynku, ulica była praktycznie pusta.

Przy przeciwległym krawężnik ustalo zaledwie kilka samochodów, w większości tak wyeksploatowanych, że właściciele raczej nie obawiali się już złodziei.

Nieco dalej zaczynał się już plac Waszyngtona, a jego kwietniki, place zabaw i trawniki kąpały się w żółtawym blasku lamp sodowych.

Wysadzone drzewami alejki były puste, podobnie jak chodniki ulic otaczających plac.

Szorstki beton pod nagimi stopami, chłodne powietrze nocy przenikające cienki kitel oraz wymowne spojrzenia studentów przypomniały Sullivan, że podobnie jak Steele ma na sobie raczej niekompletne ubranie.

– Sądziecie, że będzie jeszcze padać? – spytała, mając nadzieję, że rozmowa o pogodzie skutecznie odwróci uwagę przyszczatych młodzieńców, którzy jakoś nie mogli oderwać od niej wzroku.

Szybko skierowali oczy ku niebu.

– Nie, proszę pani, raczej nie.

– Ależ skąd, doktor Sullivan.

– Na szczęście nie.

Reakcja trzech młodzieńców na widok jej skąpo ubranego ciała sprawiła jej przyjemność.

– A moim zdaniem to możliwe.

– Oczywiście, proszę pani.

– Zgadza się, doktor Sullivan.

– Ja też.

Rozbawiony Steele mrugnął do niej porozumiewawczo i właśnie wtedy nad jego ramieniem zobaczyła elegancką czarną furgonetkę zaparkowaną o pół przecznicy dalej.

Zbieg okoliczności, pomyślała.

W ciemności za przednią szybą rozjarzył się pomarańczowy punkcik.

Ktoś na kogoś czeka, to wszystko, przekonywała się w duchu.

Nasto nie dotyczy.

Steele zdążył już zauważyć, że coś przykuło jej uwagę.

W tym momencie kierowca uruchomił silnik i włączył światła.

Wóz ruszył w ich stronę niespiesznie, z powagą karawanu.

– O kurwa – jęknął Steele.

– Tędy! – zawołała, biegiem przecinając ulicę.

Nie wypuszczając z rąk pudła z próbkami, pognęła w kierunku parku.

– Na pewno tędy? – krzyknął, pędząc tuż za nią.

– Tak.

Do Pączka!

– Do czego?

– Biegnij!

Ryk motoru i pisk opon zachęcił ich do zdwojonego wysiłku.

Sullivan obejrzała się w biegu przez ramię i zobaczyła, że furgonetka się zatrzymuje, a z jej wnętrza wyskakują sześciu mężczyzn w mundurach ochroniarskich.

Nie zwolniła tempa.

Steele też musiał ich zauważyć, pomyślała.

Nie zadawał już pytań; słyszała tylko jego rytmiczne sapanie.

Posterunek policji znajdował się na przeciwległym krańcu parku, a jego obecność wyznaczała niewidzialną linię graniczną między spokojną okolicą placu a terytorium należącym do gangów, które nocami okupowały boiska do koszykówki i włóczyły się ulicami zachodnich kwartałów.

Sullivan miała nadzieję, że dyżurni policjanci ruszyli już w stronę budynku laboratorium, zwabieni sygnałem alarmowym.

Uważnie przyglądała się ścieżkom, wypatrując choćby jednego z nich, ale bez rezultatu.

– Pomocy!

Policja! – krzyknęła.

Steele szybko podchwycił pomysł:

– Chcą nas zabić!

Tupot nóg napastników na żwirowej alejce wydawał się coraz głośniejszy, ale ich bliskość nie przeraziła Sullivan, jedynie skłoniła do myślenia.

Może uda się złapać któregoś z nich?

Wreszcie dostrzegła po lewej dwóch policjantów, biegnących w ich stronę z bronią w ręku.

Skręciła gwałtownie i pomknęła ku nim, krzycząc w niebogłosy.

Sekundę później usłyszała za plecami wiązanek przekleństw i odgłosy gwałtownego hamowania na kamienistym podłożu.

– Cholera!

– Gliny!

– Spadamy!

Sullivan i Steele przyspieszyli, niczym wytrawni biegacze wpadający na metę, a policjanci minęli ich wpedzie, goniąc zawracających ochroniarzy.

Kilka wozów straży pożarnej zdążyło już zablokować ulicę przed budynkiem laboratorium, odcinając furgonetce drogę ucieczki.

Napastnicy rozpierzchli się więc na wszystkie strony, ale widząc to, jeden z funkcjonariuszy

wyrzucił serię rozkazów do mikrofonu, który nosił w klapie bluzy, i po chwili kwartet białoniebieskich wozów patrolowych na sygnale obstawił wszystkie cztery narożniki parku.

Policjanci z megafonami wezwali uciekających do poddania się i wkrótce sześciu niedoszłych zabójców leżało już na ziemi, z rękami skutymi na plecach.

Sullivan stała pochylona, wspierając dłonie na kolanach i próbując zapanować nad przyspieszonym oddechem.

Steele zatrzymał się obok niej i przyjął identyczną pozycję.

– Cała jesteś? – spytał, dysząc ciężko.

Zdołała jedynie skinąć głową.

Dopiero gdy młody funkcjonariusz, który do nich podszedł, zaczął chichotać, zdali sobie sprawę, że podczas ucieczki rozpięto im się kilka guzików w newralgicznych miejscach.

Policjant odsunął czapkę na tył głowy, uśmiechnął się szeroko i spytał:

– Co właściwie państwo tam robili?

Eksperyment naukowy?

## Rozdział 17

*Poniedziałek, 12 czerwca, 22.45*

- Połączcie mnie z Racine'em – rozkazała, nie odrywając oczu od okularu mikroskopu.
- Czeka na mój telefon.

Włączyła zainstalowany wysoko ekran i pokazała swoim ludziom to, co zobaczyła w próbkach z Rodez.

Primery H5N1 oddzieliły fragmenty od zjadliwionej szczepionki jak nuty na pięciolinii.

Odpowiedziały jej gromkie wiwaty.

- Dobra robota!
- Brawo!
- Ho ho!

Azrhan stanął przy telefonie i zaczął wybierać numer, bardziej przygnębiony niż kiedykolwiek w ciągu tych sześciu dni, które minęły od ich konfrontacji.

Po piątkowym ataku napięcie między nim a szefową stało się nieznośne.

Sullivan starała się ze wszystkich sił nie poddawać się takim myślom, ale dawne podejrzenia względem jego osoby uparcie wracały.

Wiedziała przy tym, że on to wyczuwa, bo coraz trudniej było zignorować urazę i gniew widoczne w jego oczach.

Wreszcie zaczęła sobą gardzić, tym bardziej że nie miała ani cienia dowodu przeciwko niemu.

W ich stosunkach zapanowała nieufność.

- Piękna robota, Kathleen – stwierdził Steele, stając za jej plecami.

Oparła się pokusie wtulenia się w niego; wciąż jeszcze wstydzila się swoich podwładnych.

Właściwie od czasu alarmu pożarowego nie mieli z Richardem czasu dla siebie, a przecież minęły już trzy noce.

Po laboratorium kręcili się policjanci, a technicy przychodzili i wychodzili, by praca nie ustała w weekend.

Nie było czasu na prywatność.

Ze względów bezpieczeństwa Lisa przeniosła się do laboratorium.

Sullivan nie chciała, by dziewczyna siedziała sama w mieszkaniu; było przecież możliwe, że i tam zjawią się mężczyźni w ochroniarskich uniformach.

- Super, mamó – powiedziała nastolatka, spoglądając na ekran, i mocno uścisnęła matkę.
- Dzięki, skarbie.

– Sullivan uwielbiała chwile bliskości z córką, ale teraz zastanawiała się, czy powinna już jej powiedzieć o Richardzie.

Choć z drugiej strony, nie mogła powiedzieć zbyt wiele.

Przez tych kilka dni skradli sobie jedynie parę całusów w bardziej zacisznych zakątkach laboratorium.

– Nie żałujesz tego, co zacząłeś? – spytała go podczas jednego z tych gorączkowych, przelotnych spotkań.

– Żałuję tylko tego, że nie mogę dokończyć – odparł szeptem, drżąc, gdy jego usta muskały jej szyję, a dłonie wpełzały pod kitel, by odnowić przerwana znajomość z jej piersiami.

– Dokończysz, Richard – odpowiedziała, oddychając płytko wprost do jego ucha, mokra i gotowa.

– Dokończysz.

– Doktor Sullivan, inspektor Racine przy telefonie – obwieścił Azrhan, przerywając jej chwilę wspomnień.

Gdy skończyła opisywać wyniki testów i wyjaśniła, czego od niego oczekuje, francuski detektyw westchnął głośno wprost do słuchawki.

– Bez obaw, doktor Sullivan.

Nasz wspólny projekt potoczy się bez przeszkód.

Odkrywając sekret Pierre'a Gastona, ujawniła pani motyw jego morderstwa, co oznacza, że zamrożone akta firmy Agriterre zostaną odmrożone, gdy tylko będę mógł zbudzić sędziego.

Wtedy je zajmujemy.

Wszelkie dokumenty dotyczące Biofeed albo Agrenomics osobiście prześlę do odpowiednich jednostek policji w pani kraju, omijając biurokratyczną hydrę, której karmienie jest niestety naszym narodowym sportem.

– Jest pan pewny, że da się to zrobić wystarczająco szybko?

Gdy wspomniałam detektywom pracującym nad sprawą tu i w Honolulu, że być może mamy dla nich nowe dowody, obaj podkreślili konieczność błyskawicznego działania, zanim dokumenty zaczną znikać.

– Mais, certainement, Madame.

Daję pani słowo, że rzecz dokona się w czterdzieści osiem godzin.

Wyobrazila sobie grand gęste jego ręki, którym zbywa jej obawy, przy okazji zostawiając w powietrzu smugę dymu z kolejnego gauloise'a.

Mimo to coraz silniej dręczyło ją przecucie, że jej wysiłki zostaną zatopione w grzędawisku jurysdykcyjnych sporów.

*Wtorek, 13 czerwca, 9.00*

– Pan chyba żartuje!

– Przykro mi, doktor Sullivan – odparł McKnightz bardzo głupią miną.

– Moi szefowie, niech Pan ma w opiece ich jajowate główki, od dziś wycofują stąd naszych ludzi.

Uważają, że nie potrzebuje już pani ochrony, bo nikt nie ma już powodu, by panią zgładzić, skoro rozpracowane przez panią próbki ujawniły cały sekret.

– Nie wiedziałam, że zabójcy działają tak racjonalnie.

– Nie, to tylko księgowi, którzy przydzielają fundusze jednostkom specjalnym.

Według nich, w tej chwili ma pani takie same szansę na nagłą śmierć jak wszyscy inni mieszkańcy Nowego Jorku.

To oznacza, że musi pani zadbać o siebie we własnym zakresie.

– Pan też jest tego zdania?



– Szczerze?

W całej tej sprawie więcej jest dziur niż w sweterkach dzierganych przez moją teściową.

– Nie istnieje żaden związek między ochroniarzami, których aresztowano, a firmą Agrenomics?

– Żaden.

Ci ludzie nigdy tam nie pracowali.

No, w każdym razie nie wykazują tego dokumenty i nikt się nie przyznaje do znajomości z tymi facetami.

– Jakie są szanse, by skłonić ich do mówienia?

– Marne.

Zwykle ludzie nie puszczają farby z dwóch powodów albo za pieniądze, albo ze strachu.

Zdaje się, że tych sześciu ma podwójną motywację.

Stać ich na bardzo drogich prawników, a z drugiej strony nie pamiętam, kiedy ostatni raz widziałem tak przerażonych bandziorów.

Zupełnie jakby to, że dali się złapać, oznaczało wyrok śmierci.

– Nie powiedzą nawet, kto ich wynajął?

– Nie.

A kiedy pytam ich o Pizzowatego, bledną, zaczynają się pocić i twierdzą, że nie znają nikogo takiego.

– A może wyjaśnili, po co wylali benzynę do szybu windy?

– Nie musieli.

Znaleźliśmy urządzenie, które miało ją zapalić skrzyżowane druty, które spuścili na dół, podłączone do czasomierza wymontowanego z ekspresu do kawy.

Podłączyli toto do gniazdko w ścianie i ustawili tak, żeby zaczęło działać o pierwszej trzydziści nad ranem.

Plan był taki: iskra z zetkniętych przewodów zapala opary benzyny, olej z przewodnic windy przenosi ogień w górę jak rzymska świeca, a wtedy, jeśli wszystkie piętra nie staną w płomieniach, to przynajmniej dym wykurza was z budynku.

Na to właśnie czekali w tej swojej furgonetce.

– McKnight wstał, zbierając się do wyjścia.

– Przeczytam jeszcze raz wasze zeznania z piątkowej nocy.

Wiem, że oboje ze Steele'em twierdzą państwo, że nie mają pojęcia, kto jest odpowiedzialny za tę akcję, ale wybór pory ataku sugeruje, że ten ktoś wiedział, co planujecie na poniedziałek.

Zapytam więc prywatnie.

Czy jest ktoś, kto mógł posiadać taką informację i kto wydaje się państwu podejrzany?

– Nie – odpowiedziała Sullivan z półsekundowym opóźnieniem, mimowolnie myśląc o Azrhanie.

– Wiele osób mogło wiedzieć, co się święci – dodała.

– Włącznie z personelem w laboratorium Julie Carr.

Policjant spoglądał na nią z irytującą przenikliwością.

– Jeszcze jedno – rzekł po chwili.

– Mamy doniesienie z Agrenomics o włamaniu dokonany w piątkową noc.

Trafiło na moje biurko, bo tamtejsza policja już wie, że interesuje mnie ta firma.

Pewnie nie mają państwo nic dopowiedzenia w tej sprawie?

– Absolutnie nie.

Dlaczego mielibyśmy.

– To dobrze, bo nie chciałbym być zmuszony do aresztowania prominentnych obywateli tego miasta pod zarzutem włamania.

– Chyba nie sądzi pan, że ja.

– Istnieje tylko jeden sposób na legalne wejście do Agrenomics.

Racine musi znaleźć dowód na związek tego ośrodka ze sprawą szczepionki.

Czy to jasne?

– Naturalnie, ale przecież.

– To dobrze!

Bo jeśli na przykład parka napaleńców wybierze się tam nielegalnie i w ten sposób da jakiemuś narwanemu prawnikowi okazję do odrzucenia nielegalnie zdobytego dowodu, to będzie to ostatnia rzecz, której nam potrzeba.

Zrozumiano?

Ależ oni tam mają tajne laboratorium do pracy nad Bóg wie czym, omal nie wykrzyknęła Sullivan.

W ostatniej chwili ugryzła się w język.

Zupełnie nieprzyzwyczajona do takich taktycznych, milczących odwrotów, poczerwieniała na twarzy z niepohamowanej frustracji.

W ciągu kolejnych kilku godzin jej personel – w tymi Azrhan – powrócił do rutynowych zajęć.

Praca nad próbkami z Rodez dobiegła końca.

Lecz Sullivan jakoś nie mogła się skupić.

Za każdym razem, gdy dzwonił telefon, spodziewała się nowin z Francji.

Nie mogła przestać myśleć o drugim sekrecie Agriterre, o którym pisał Pierre Gaston.

Po lunchu znowu wyjęła preparaty i studiowała je aż do późnego popołudnia.

Wiedziona przecuciem, że coś przegapiła, zdołała przejrzeć jedynie ułamek materiału i nie znalazła w nim niczego nowego.

Zbliżała się osiemnasta i perspektywa powrotu do normalnego, domowego życia z Lisą oraz regularnego snu podniosła ją na duchu.

Jeszcze bardziej kusząca wydała jej się wizja bardzo prywatnego spotkania z Richardem.

– Może wpadłbyś do mnie wieczorem – zaproponowała, dzwoniąc do niego przed wyjściem z laboratorium.

Sądziła, że zależy mu na spotkaniu co najmniej tak samo jak jej.

Na samą myśl o tym, co im przerwano, czuła mrowienie w sutkach i przyjemne ciepło w zgoła innym miejscu.

– Otworzę butelkę szampana.

Uczcimy pierwszy dzień wolności.

Steele milczał kilka sekund, zanim odpowiedział.

Wystarczająco długo, żeby dać jej odczuć, że się waha.

– Przykro mi, Kathleen, ale Chet gra dziś na gitarze na szkolnym koncercie, a ja obiecałem mu, że przyjdę.

– Zatem musisz iść – odrzekła, mając nadzieję, że to jedyna przyczyna jego wahania.

Jeśli chcesz, mogę na ciebie zaczekać.

– A co z Lisą?

– Trzecia wojna światowa by jej nie obudziła.

To co, otwierać bąbelki?

Cisza.

– A może wynajmiemy hotelowy pokój na godziny, z obsługą – zasugerowała na poły żartobliwie.

Śmiech, którym odpowiedział, brzmiał drobinę sztucznie.

Zacząła podejrzewać, że jego wstrzemięźliwość ma głębsze przyczyny niż wstyd przed harcowaniem w obecności Lisy śpiącej w sąsiednim pokoju.

– Richard, o co chodzi?

Bo jeszcze pomyślę, że podobam ci się tylko wtedy, gdy dookoła biegają gliniarze, strażacy i setka laborantów, uniemożliwiają nam figle.

Znowu się zaśmiał, ale nie tak szczerze, jak się spodziewała.

– Uwierz mi, jesteś równie pociągająca jak zawsze – odparł.

– Gdyby chodziło tylko o mnie, byłbym u ciebie w sekundę.

Ale to jest wieczór Cheta.

Wiesz, że dopiero zacząłem na nowo zbliżać się do niego.

Może to irracjonalne, ale obawiam się, że to jedyny powód, dla którego znów zaczyna mi ufać.

Wierzy, że on i Martha to jedyne osoby na świecie, które mi pozostały.

Nie ma sensu odciągać mnie teraz od niego.

Chet jest jedyną osobą, której utrata mogłaby raz jeszcze mnie złamać.

Zaczyna czuć się bezpiecznie i nie wiem, jak by przyjął fakt, że wychodzę sobie w środku nocy, żeby się z tobą spotkać.

Mógłby się o tym dowiedzieć, a ja nie chciałbym go okłamywać.

Sullivan była oszołomiona.

– Brzmi to tak, jakbyś uznał, że jest między nami problem, który dotyczy nie tylko tej jednej nocy.

– Okłamałbym cię, mówiąc, że jest inaczej.

Milczenie otworzyło się między nimi jak otchłań.

– Czego więc chcesz, Richard?

– Czasu.

Niech Chet przyzwyczai się domyśli, że nigdy więcej go nie zawiodę, cokolwiek by się działo.

Pożądanie ostygło w niej i wyciekło jak śluz.

– A długo to potrwa, zanim pokonasz własny strach?

– Słucham?

– Słyszałeś.

– Chodzi o to, że to Chet się lęka.

– Nie, chodzi o to, że uciekasz przede mną.

Chet ma z tym wspólnego tyle, że używasz go jako wymówki.

– To nie fair.

– To ty jesteś nie fair, Richard.

Owszem, Chet musi nauczyć się zaufania, ale to nie nastąpi, jeżeli spróbujesz otoczyć swoje życie murem, żeby nikt inny nie mógł konkurować z twoim uczuciem do niego.

Do diabła, komu potrzebna tak słaba miłość?

Wiem, że ja bym jej nie chciała.

Czułabym, że zajmuję miejsce w twoim sercu tylko dlatego, że akurat nie ma tam nikogo innego.

Chet zasługuje na coś lepszego.

Chciałbyś, żeby poczuł się bardziej bezpieczny?

Kochaj go tak, żeby czuł, że jest dla ciebie najważniejszy nawet wtedy, gdy wszyscy ludzie tego świata biją się o twoje serce.

Oczywiście przy założeniu, że do tego czasu nie odepchniesz wszystkich od siebie.

Nie odpowiedział, tylko westchnął przeciągle.

Słyszając to, wyobraziła go sobie jako przebity balon, z którego uchodzi powietrze, i wiedziała, że trafiła w dziesiątkę.

Lecz mimo to poczuła się zbyt urażona, odrzucona, a nade wszystko zbyt wściekła, by się przejmować tym, czy Steele pojmuje, co właśnie narobił.

– Jestem facetem z ciężkim życiowym bagażem – odezwał się w końcu, a ton jego głosu był, jak na jej gust, zbyt bliski użalaniu się nad sobą.

– Niepotrzebne ci całe to gównno, które ciągnie się za mną.

– Niech cię szlag, Richardzie Steele!

Na pewno nie jesteś mi potrzebny, kiedy użalasz się nad sobą.

W tych czasach znamy już lekarstwo na ten stan.

Nazywa się kręgosłup!

A co do tego, co jest mi potrzebne albo nie, to ja sama będę o tym decydować!

– I rzuciła słuchawkę.

W środę wieczorem Racine przyniósł dobre nowiny.

– Jak pani podejrzewała, doktor Sullivan, dokumenty z Agriterre dotyczyły i Oahu, i Tajwanu – rzekł tonem, który podczas pokonywania pięciu tysięcy kilometrów nie stracił ani jednej triumfalnej nuty.

– W tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątym siódmym roku doktor Francois Dancereau, dyrektor generalny firmy, postanowił wykorzystać epidemię ptasiej grypy w Azji i zarządził rozpoczęcie produkcji doustnej szczepionki przeciwko wirusowi.

Polecenie wykonał Pierre Gaston, nasz zamordowany genetyk.

Firma zarobiła okrągłe szesnaście milionów franków, a pierwszy frachtowiec z ładunkiem zmodyfikowanej kukurydzy wypłynął w morze na zamówienie tajwańskiego oddziału Biofeed International, firmy – matki francuskiej Agriterre.

Sześć miesięcy później Dancereau zaczął otrzymywać wiadomości od kierownictwa Agrifoodna Tajwanie, z których wynikało, że zdaniem miejscowych hodowców karma powiększa zasięg epidemii ptasiej grypy.

Dancereau przyznał, że to możliwe, i zalecił sprzedawanie zmodyfikowanego ziarna jako zwykłej karmy w tych rejonach świata, gdzie problem ptasiej grypy nie występuje.

W ciągu dwóch tygodni sprzedano całą dostawę oddziałowi Biofeed na Hawajach.

– Czy Dancereau lub ktokolwiek inny wpadł na to, że szczepionka może być groźna dla ludzi?  
– spytała Sullivan.

– I że odegrała rolę w zakażeniu ptasią grypą tego dziecka na Tajwanie?

– Według dokumentów firmy nikt nie brał pod uwagę takiej możliwości.

Przeważała opinia, iż nie trzeba przesadzać z ostrożnością, bo chodzi jedynie o karmę dla drobiu.

Taki przejaw arogancji odebrał jej mowę.

– Kim właściwie jest ten Francois Dancereau? – spytała w końcu.

– Nazwisko wydaje mi się znajome.

– To jeden z wirusologów odpowiedzialnych za skandal z krwią zarażoną wirusem HIV, który wybuchł tu w połowie lat osiemdziesiątych, w dodatku typek, którego nazwalibyście w Ameryce prawdziwym przyjemniaczkiem.

Proszę sobie wyobrazić, że uniknął skazania, donosząc na swoich kolegów.

Według not wewnętrznych, które znaleźliśmy, firma Agriterre postawiła go na czele swego programu inżynierii genetycznej właśnie ze względu na jego skłonność do naginania procedur w imię maksymalizacji zysków.

Sullivan przypomniała sobie zdjęcia, które Steele pokazał jej kilka dni wcześniej: śluza powietrzna, prysznic dekontaminacyjny i księżycowe skafandry.

Oznaczało to, że nader niepokojące rzeczy dzieją się i tu, w Stanach, z woli kogoś, kto „naginając procedury”, gotów jest podjąć znacznie bardziej szalone eksperymenty.

Zakończywszy rozmowę, Sullivan wzdygnęła się mimowolnie, raz jeszcze bez powodzenia próbując zapanować nad galopującą wyobraźnią.

Wciąż miała problemy z koncentracją między innymi z powodu Steele’aj przepaści, która pojawiła się między nimi; ta myśl męczy łąją jak ból zęba.

Jezu, ja to mam dobrą rękę, lamentowała w duchu, wściekła, że pozwoliła, by kolejny niewłaściwy mężczyzna odebrał jej spokój ducha.

W piątek detektyw Billy Ho z Honolulu sprawił, że kierownictwo oddziału Biofeed na Hawajach wpadło w panikę.

– Materiały Racine’a uczyniły z nich oficjalnych podejrzanych numer jeden w sprawie morderstwa Hacketa i nieudanego zamachu na panią – opowiadał przez telefon.

– I właśnie dlatego rozeszliśmy się po wszystkich kątach ich biur jak smród.

Wszyscy oczywiście twierdzą, że nie wiedzą, kto zezwolił na zakup zmutowanej kukurydzy, i równie pewnie zaprzeczają, jakoby usiłowali potem zacierać ślady.

Tylko że nam udało się znaleźć coś bardzo ciekawego.

Fakturę za nowiutkiego pikapa, kupionego w październiku tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego dziewiątego roku.

Numer seryjny wozu jest zgodny z numerem półciężarówki Hacketa.

Policjant zapewnił ją, że śledztwo nie ustanie, póki cała prawda nie ujrzy światła dziennego, choć przesłuchanie wszystkich może potrwać wiele tygodni, a badanie archiwów – jeszcze dłużej.

W poniedziałek sprawa trafiła na pierwsze strony gazet we Francji iw Stanach Zjednoczonych.

VACCIN GENETIQUE MORTEL, krzyczały nagłówki we francuskiej prasie.

ŚMIERTELNA SZCZEPIONKA GENETYCZNA MA ZWIĄZEK ZPTASIA GRYPA,  
twierdziły nowojorskie pisma.

BIOFEED: NIEUMYŚLNE ZABÓJSTWO? Pytała prasa w Honolulu.

Niestety, policja żadnego z krajów nie znalazła ani jednego pisma, e-maila czy zapisu rozmowy telefonicznej, który wskazywałby na związek Agrenomics ze sprawą.

– Nie ruszę ich – stwierdził McKnight, ze smutkiem potrząsając głową.

*Wtorek, 20 czerwca, 7.00*

*Gabinet dziekana*

– Musimy tam wrócić, Greg – rzekł Steele, zbierając z biurka zdjęcia.

– Nie chcę nawet wiedzieć, że już tam byłeś.

Jezu, Richard, przecież to było zwyczajne włamanie!

– Chryste, od dwóch lat próbujesz mnie przekonać, żebym wreszcie ruszył tyłek i zajął się życiem.

I to ty zafundowałeś mi mowę pod hasłem „boję się o moje dzieci”, do diabła!

A teraz ja boję się o wszystkie nasze dzieci.

– Tak się składa, że twoja posada wisi na włosku, przyjacielu, a Aimes po ostatnich artykułach prasowych dostał szału.

Jako że doktor Sullivan najwyraźniej wymknęła się z jego łap, Aimes bardziej niż kiedykolwiek chce znaleźć kozła ofiarnego i w tej chwili wszystko wskazuje na to, że to ty będziesz tym szczęściarzem.

– Ale dlaczego? – wtrąciła Sullivan.

– Przecież zniszczenie kariery Steele’a nie sprawi, że sprawa szczepionki zostanie zamknięta.

– Nazwisko Richarda wypowiedziała w chłodny, oficjalny sposób, a czyniąc to, kątem oka spostrzegła, że się skrzywił.

Pocałuj się, frajerze, pomyślała ze złością, wciąż urażona jego odrzuceniem.

– To się nazywa minimalizacja strat – odparł Stanton.

– Jeżeli Richard dostanie porządne, publiczne lanie zasianie bezpodstawnych spekulacji, wszyscy staną się nagle bardzo ostrożni w wypowiedziach na ten temat.

Będą gadać wyłącznie o potwierdzonych badaniach zagrożeniach, a konkretnie o szczepionce, natomiast nie pozwolą sobie na bardziej ogólną krytykę, dotyczącą czegokolwiek poza dwiema firmami zamieszanyimi w skandal.

Tym sposobem, zdaniem Aimesa, uda się ograniczyć straty do Biofeedi Agriterre, co oznacza ochronę wszystkich innych klientów przed podobnym traktowaniem.

– Powiedział ci to osobiście? spytała.

– Jasne, że nie.

Ale każdy głupiec dostrzeże, że właśnie o to mu chodzi odparł Stanton, po czym spojrzął na Steele’a.

I dlatego ani się waży atakować Agrenomics bez twardych dowodów przestępstwa, Richard, jeśli jesteś choć trochę zainteresowany powrotem na dawne stanowisko.

– Nie sądzisz, że zdjęcia, które właśnie ci pokazałem, są wystarczającym dowodem na to, że

dzieje się tam coś niebezpiecznego? – spytał wyzywająco Steele, pochylając się w fotelu.

Stanton parsknął pogardliwie.

– Na podstawie tych fotek nie możesz stwierdzić ponad wszelką wątpliwość, że prowadzona jest nielegalna działalność.

Skąd wiesz, że oni, obchodząc się z wektorami, po prostu nie zachowują jeszcze większej ostrożności, niż zaleca doktor Sullivan?

Kathleen przewróciła oczami, a Steele jęknął.

– Daj spokój, Greg, do cholery! – zawołała.

– Kathleen, musisz coś zrozumieć.

Chwilowo nie jesteś już na celowniku Aimesa i zachowałeś swoją pozycję na uniwersytecie, ale nie przeginaj.

Jeśli tylko znowu zaczniesz kogoś bezpodstawnie oskarżać, Aimes w mgnieniu oka skoczy na ciebie ponownie, tym razem bez oporu wywierając finansową presję.

Nie myśl, że przestałaś być najgorszym wrogiem wszystkich tych firm, które on reprezentuje.

Zawsze będą cię atakować.

Sullivan cofnęła się instynktownie.

– Czy atakowanie to także podpalenia i wynajęte zbiry w czarnych furgonetkach?

– Co takiego?

– Stanton zmarszczył brwi i potrzebował kilku sekund, by zrozumieć, do czego zmierza.

– Aimes jest dupkiem, ale nie możesz poważnie myśleć, że uciekłyby się do takiej taktyki.

O, właśnie, to był klasyczny przykład beztroskiej gadaniny, która da mu podstawy do nękania cię choćby procesem o zniesławienie.

– A propos beztroskiej gadaniny, Greg – przerwała mu Sullivan.

– Wspominałeś może komuś o odkryciu Julie Carr, po naszej piątkowej rozmowie?

Stanton spurpurowiał.

– Kathleen!

Oczywiście, że nie.

Jak śmiesz sugerować, że postąpiłbym tak nieostrożnie z tajnym materiałem.

– Jak śmiesz?

Śmiesz, bo nie przepadam za sytuacjami, w których ktoś próbuje mnie zabić albo spalić mi laboratorium.

– Zaraz, chwileczkę.

– Czy ty siebie słyszysz, Greg?

Zdaje się, że teraz, kiedy moje nazwisko znowu może przynieść uczelni pieniądze, martwisz się tylko o jedno: żebym pozostała grzeczną dziewczynką i robiła swoje.

– Doktor Sullivan!

Ja protestuję.

– Nie rozumiesz?

Guzik mnie obchodzi, ilu darczyńców zwabi tu moje nazwisko.

Moim priorytetem jest ustalenie tożsamości tych sukinsynów, którzy nękają Richarda i mnie.

I nie obchodzi mnie, kto się za to obrazi.

Agrenomics, Sydney Aimes czy ty!

– Przecież już rozwiązałaś zagadkę.

Ci ludzie robili wszystko, żebyś nie odkryła sprawy szczepionki.

Niech sobie policja ściga winowajców, czy to w Agrenomics, czy gdziekolwiek indziej.

Sullivan spojrzała na Stantona w bezbrzeżnym zdumieniu.

Mgła w kolorze rozwodnionego mleka wisiała za oknami, przesłaniając nawet sąsiednie budynki.

Jej widok przyprawiał Sullivan o mdłości; przypominało białawym leku, który matka kazała jej brać w dzieciństwie.

– Gregu Stantonie, albo jesteś niewiarygodnie głupi, albo mnie uważasz za taką – oznajmiła.

– Czy trzymanie mnie na krótkiej smyczy to jest najnowszy sposób na podtrzymanie strumienia dotacji od firm z branży biotechnologicznej?

Nie wspominając o tym, że i moja praca przydaje się akademii medycznej.

Zanim Stanton zdążył odpowiedzieć, wstała, obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu.

Chryste, potrzebna mi kawa, pomyślała, wysiadając z windy w holu na parterze.

Wyszła na ulicę i pomaszerowała do kawiarni naprzeciwko.

Na poziomie ziemi mgła była nieco rzadsza: przypominała chłodną, szarą emulsję, ale przynajmniej działała kojąco na skórę.

Niestety, nie ukoila złości Sullivan na Stantona za gorliwość, z jaką próbował zmusić ją, by wróciła do szeregu.

Bezczelny typ, zżymała się w duchu, otwarcie grana dwa fronty, a wszystko dlatego, że łotr w rodzaju Aimesa potrafi tak pokierować swoimi klientami, by użyli pieniędzy jak ośrodka szantażu!

Weszła do lokalu, zamówiła kawę i usiadła przy stoliku z widokiem na bramę, czekając na Steele'a.

Dodając do parującego napoju strumyk białej śmietanki, zastanawiała się, do czego jeszcze przyzwoity dziekan może się posunąć w trosce o finanse uczelni.

Na przykład, rozmyślała coraz odważniej, mieszając ciemnobrązowy wir, skoro Aimes i jego klienci byli gotowi na mały szantażyk, to dlaczego nie mieliby się zdobyć na wypłacenie łapówki?

Do diabła, może właśnie dlatego Stanton odstawia takie szopki!

Możliwe, że skurwiele obiecali mu zwiększenie nakładów na uczelnię, jeśli utrzyma mnie w ryzach, a nasz porządny dziekan się zgodził.

Nie, to szaleństwo.

Nie może być aż takim łajdakiem, powtarzała sobie w duchu, wrzucając do kawy ze śmietanką trzecią łyżeczkę cukru.

Wciąż jednak była na niego wściekła i nie mogła przestać myśleć jak najgorzej o jego taktyce.

Zastanawiała się, czy jego nalegania na codzienne raporty o postępie prac niebyły jedynie sposobem na kontrolowanie jej poczynań.

– Sukinsyn – mruknęła, przełknawszy łyk słodkiego jak syrop napoju.

Jej pusty żołądek łapczywie zabrał się do trawienia, burcząc przy tym tak głośno, że Sullivan obawiała się, czynie słycać tego przy sąsiednim stoliku.

W ciągu paru minut ciepła fala kofeiny i glukozy zaczęła przenikać do jej mózgu, ale nie rozpędziła jej fatalnego humoru, jedynie spłodziła w nim hipotezę mroczniejszą niż wszystko, co do tej pory przychodziło jej do głowy.



A jeśli śledził moje poczynania nie tylko z przyczyn ogólnych, ale właśnie po to, żeby powstrzymać mnie, gdybym zbliżyła się zbyt blisko do prawdy, której nie powinnam odkryć?

W końcu gdy tylko powiedziałam mu, że zaczynam badać próbki pod kątem wektorów ukrytych w szczepionce, pojawiły się te zbiry – ledwie po paru godzinach.

Sullivan omal nie zapomniała oddychać.

Czy to on celowo sprowadził napastników do mojego laboratorium albo przekazał informację komuś, kto to zrobił?

Jaka kwota mogła skłonić go do takiego działania?

Próbowała odsunąć od siebie tę myśl, ale bez skutku.

Podejrzenie zaczęło kiełkować na żyznym gruncie niepewności.

– Jesteśmy idiotami – szepnęła, uświadamiając sobie, że być może wraz ze Steele'em podzielili się wiedzą o tajnym laboratorium z zupełnie niewłaściwym człowiekiem.

Coraz bardziej roztrzęsiona raz po raz spoglądała na zegarek.

Dalej, Richard, dlaczego tak długo to trwa?

Musimy pogadać.

I to nie tylko o tym, co wydarzyło się tam, na górze, pomyślała.

Od czasu, gdy przed tygodniem doszło do kłótni między nimi, nie rozmawiali ze sobą, jeśli nie liczyć zwięzłej wymiany informacji.

Tego dnia postanowiła więc przyprzeć go do muru i oczyścić atmosferę, przynajmniej na tyle, by mogli razem pracować bez zbędnego napięcia.

Jeśli słowa wystarczą, pomyślała.

Może intelektualnie jest tak samo zdolny jak ja, ale jeśli chodzi o sprawy osobiste, bystry jest jak spróchniały pniak.

Kwadrans później wreszcie ujrzała go w bramie budynku.

– Co cię zatrzymało? – spytała, przebiegłszy na drugą stronę ulicy.

– Opowiadał mi, jaki to ze mnie dupek.

– Przez piętnaście minut?

– Mówił też, jak bardzo nie mam wyboru.

Przynajmniej w tym jesteśmy zgodni, pomyślała.

Właśnie zaczęła zapraszać Steele'ado kawiarni, gdy zadzwonił jej telefon.

– Kathleen! – powiedział Steve Patton, gdy tylko odebrała.

– Jak poszło spotkanie z dziekanem?

– Nie pytaj.

– Aż tak źle?

W takim razie mam coś na pocieszenie.

Rzuć wszystko w diabły i przyjeżdżaj do mojego biura.

– Co takiego? – spytała ostrożnie.

Dzwonił do niej praktycznie codziennie, oferując moralne wsparcie i słuchając cierpliwie, jak wyładowuje swoją frustrację spowodowaną brakiem tropów prowadzących do Agrenomics.

Było jej z tym nawet dobrze – nareszcie znalazło się ramię, na którym mogła się wypląkać – ale gdzieś cichym kącie jej świadomości zawsze czaiła się obawa, że Steve spróbuje ją odzyskać.

Zaproszenia takie jak to sprawiały, że miała ochotę zrobić w tył zwrot i odmaszerować jak

wzorowa mażoretka.

– Posłuchaj, Steve, doceniam twoją propozycję, ale w tej chwili nie mogę.

– Nie powiem ci przez telefon nic więcej ponad to, że nie tylko znalazłem sposób na wprowadzenie cię do Agrenomics, ale także na spenetrowanie tego tajnego laboratorium.

Jeśli masz pod ręką Steele'a, zabierz go ze sobą – powiedział Patton i przerwał połączenie.

## Rozdział 18

– Emerytowany portier dorabiający w weekendy w Agrenomics? – powtórzyła Kathleen.

– Czy to nie nazbyt dogodny zbieg okoliczności, Steve?

– Dogodny?

– Patton wyciągnął ręce ku niebu zamaszystym gestem, który powaliłby na kolana publiczność w Carnegie Hall.

– Do licha, to istna manna z nieba!

Przyszedł do nas całkiem niespodziewanie, Kathleen, i zwyczajnie zaproponował pomoc.

Długo siedzę w tym biznesie, ale chyba już nigdy nie przestanę się dziwić, jak często zdarza się, że człowiek przeżywający kryzys sumienia występuje z tłumu i ofiarowuje dokładnie to, czego nam potrzeba.

Czy sześć miesięcy temu ktoś by odgadł, że wszyscy ci naukowcy przeprowadzą ogólnoswiatowe badania wektorów we własnym miejscu pracy, a wszystko to w odpowiedzi na sugestię, którą zawarłaś w internetowej publikacji?

A jednak to zrobili.

– Patton przechadzał się w tę i z powrotem przed ogromnymi oknami sięgającymi od podłogi po sufit, a zajmującymi trzy ściany jego gabinetu.

Dzięki nim miał panoramiczny widok z południowego Manhattanu niemal na wszystkie znane miejsca Nowego Jorku, począwszy od Hudson River i Tri-Be-Ca w tle.

Steele wiedział, że trudno było w tych czasach o bardziej prestiżową lokalizację.

Rozglądając się po gustownym wnętrzu – a były tu i mahoniowe panele, i pluszowe dywany na drewnianych podłogach, i mnóstwo cennych, zabytkowych mebli – zastanawiał się, ile drzew musiało zginąć, by wyposażyć te piękne biura na osiemnastym piętrze wieżowca.

Zauważył też, że personel obsługujący Pattona tworzyły same młode i atrakcyjne kobiety.

Jak na „prowincjonalnego ekologa, który nigdy nie wyrósł z lat sześćdziesiątych”, całkiem nieźle radzi sobie z prowadzeniem Stowarzyszenia Błękitna Planeta i z własnym życiem, pomyślał Steele.

Nie bez satysfakcji zaobserwował coś jeszcze: to, z jaką rezerwą Kathleen odnosiła się do Pattona.

Niewątpliwie nie podzielała jego entuzjazmu.

– Nadal uważam, że zbyt łatwo to poszło – powiedziała.

– Skąd mamy wiedzieć, czy on nie współpracuje z Pizzowatym albo tymi drabami, którzy chcieli mi spalić laboratorium?

– Masz absolutną rację, podejrzewając podstęp, szczególnie po tym wszystkim, co zaszło.

Tylko że my prześwietliliśmy faceta.

Dotarł do nas przez swoją siostrzenicę, która pracuje dla nas jako wolontariuszka.

Mieszka w White Plains, znudził się wczesną emeryturą i znalazł sobie robotę na weekendy, gdy tylko otwarto Agrenomics.

Jego siostrzenica oczywiście wiecznie mu trula o niebezpieczeństwach związanych z genetycznie modyfikowaną żywnością, więc w końcu zaczął czytać to i owo.

Teraz, gdy pojawiły się artykuły o szczepionce, postanowił zadziałać.

– Wszystko to może być tylko przykrywką – upierała się Sullivan.

– Nic nie stoi na przeszkodzie, by pokumał się z tamtymi.

– Nic na to nie wskazywało, kiedy nasi ludzie z nim rozmawiali i grzebali w jego przeszłości.

Bez specjalnych oporów przyznał, że widywał tam faceta z bliźniami po trądziaku, ale, jak mówił, nie miał z nim nic wspólnego.

Pamiętaj, że to tylko portier, a nie członek dobrze uzbrojonej grupy, która nocą patroluje teren.

Facet łązi najwyżej korytarzami i sprawdza, czy nikt nie zostawił odkręconego kranu albo włączonego czajnika.

Nie nosi nawet broni.

– Nadal mi się to nie podoba.

– Jaki mamy plan? – przerwał jej Steele.

– A przede wszystkim, w jaki sposób portier chce mnie przemycić do podziemnego laboratorium?

Patton zatrzymał się i spojrzał na niego ze zdziwieniem, jakby zupełnie zapomniał o jego obecności.

Światło słoneczne odbijało się od szkieł jego okularów o drucianej oprawie, nadając im wygląd wielkich, okrągłych oczu.

Siwe loki nadawały mu wygląd nastroszonego puchacza.

– Pójdiesz tam? – spytał.

Steele skinął głową.

W miejscu ptasiego dzioba pojawił się szeroki uśmiech.

– To doskonale, Richard.

Kathleen milczała.

– W takim razie plan jest taki, że wykorzystamy zbliżające się święto Czwartego Lipca – zaczął, wciąż stojąc nieruchomo na tle wielkiego okna.

– Jak oboje wiecie, z nieznanых przyczyn Agrenomics zawiesza swoją działalność.

W dniach roboczych trzymają tam tylko szkieletową załogę, ale jako że w tym roku czwarty lipca przypada we wtorek, a poniedziałek ogłoszono dniem wolnym, nawet ci nieliczni pracownicy chcą skorzystać z czterodniowego weekendu.

Kiedy więc ludzie zaczęli zgłaszać, że chcą mieć wolne, nasz człowiek zgłosił się na dodatkową wachtę, prosząc w zamian o urlop na Święto Dziękczynienia.

Oznacza to, że w świąteczne popołudnie i wieczór będzie jedynym strażnikiem w całym ośrodku badawczym.

– Jak się tam dostanę?

– Tak samo jak ostatnio.

Steele nie ukrywał zaskoczenia.

– Portier nie może wyłączyć kamer przy głównej bramie – wyjaśnił Patton.

– Może natomiast wyłączyć te, które ustawiono na tyłach posesji.

Podobno jest to sprzęt cyfrowy przeznaczony do obserwacji w słabym oświetleniu, więc podczas burz ciągle go wyłączają, żeby nie przepalić elektroniki.

A kiedy znajdziesz się w tunelu, nie będzie problemu.

Tamtejsze kamery nie mają łączności z systemem alarmowym.

Dostaniemy też kody otwierające włązy do laboratoriów.

Kiedy skończysz, wyjdiesz tą samą drogą.

Wszystkie taśmy, na których uwieczni się twój obraz, zostaną nagrane na nowo.

Jeśli nie zdarzają się wypadki, nagrania i tak są kasowane.

– Wydaje się, że sprawa jest prosta.

– Jest, ale pod pewnymi warunkami, Richard.

Ze względu na bezpieczeństwo naszego portiera, Stowarzyszenia Błękitna Planeta oraz wszystkich zaangażowanych w to osób musimy zachować ścisłą tajemnicę.

Nie mów nikomu, nawet najbliższym, co planujesz.

Wszyscy są zgodni, że moment, w którym nastąpił atak na laboratorium Kathleen, świadczy o tym, iż gdzieś nastąpił przeciek celowy lub wynikający z nierozwagi.

Jeżeli zostaniesz złapany.

Cóż, wiemy już, do czego zdolni są ci najemnicy.

Możliwe, że wszyscy zapłacimy wysoką cenę.

Nawet gdyby przeciwnik zdecydował się tylko na walkę metodami prawnymi, czeka nas aresztowanie i sąd, plus zrujnowane kariery.

Obowiązuje absolutna tajemnica.

– Naturalnie.

– To oznacza, że musisz sobie wymyślić wiarygodną historyjkę, która wytłumaczy twoją nieobecność przez cały dzień.

– Nie ma problemu.

– I ostatnie zalecenie.

Niech żadne z was pod żadnym pozorem i w żaden sposób nie próbuje atakować Agrenomics przez najbliższe trzynaście dni.

Szefowie firmy myślą pewnie, że wykaraskali się z tarapatów, bo dane z Rodezich w ogóle nie dotyczą.

Chcemy wziąć ich z zaskoczenia.

Niech o niczym nie wiedzą, przynajmniej dopóki nie wejdziemy do laboratorium.

– Ile czasu będę mógł spędzić w środku?

Przejrzenie wszystkich tych materiałów, które tam widziałem, może potrwać.

– Maksymalnie sześć godzin.

Wejdiesz mniej więcej o siedemnastej, a wyjdiesz przed dwudziestą trzecią, wszystko to w trakcie jego zmiany.

Choć oczywiście nie musisz siedzieć tam aż tak długo.

Steele nie miał więcej pytań.

Rozparty w fotelu z podnieceniem rozmyślał już o informacjach, które znajdzie w dokumentach Agrenomics.

Cała ta misja sprawiała wręcz, że czuł się pozytywnie naładowany energią, jak wtedy, gdy przekraczał próg swojego oddziału.

Z chwilą rozpoczęcia dyżuru zawsze dokonywała się w nim przemiana, napełniająca go poczuciem sensu działania, dająca siłę do walki o czyjeś życie.

Praca wydawała mu się wtedy stanem łaski, jakby – niech Bóg wybaczy takie myśli – w padole ludzkiego cierpienia odnajdywał jedyne miejsce, w którym ponad wszelką wątpliwość potwierdzał swoją wartość.

Tego eliksiru nie kosztował już od ponad sześciu miesięcy.

Od dawna nie czuł się potrzebny, dlatego wycieczka w święto Czwartego Lipca tak mu pasowała.

Patton uśmiechał się od ucha do ucha, najwyraźniej zadowolony z jego reakcji.

Po chwili jednak przeniósł spojrzenie na Kathleen.

– Pomyśl tylko, już czwartego być może będziemy wiedzieli dokładnie, co knują te sukinsyny.

Nie kusi cię?

Westchnęła ciężko, powietrzem tak przesyconym wysokooktanową złością, że Steele skrzywił się mimowolnie, choć tonie on był przyczyną jej rozterek.

Rany, pomyślał, pewnie uważa mnie za palanta, ale Patton wygląda teraz w jej oczach jeszcze gorzej.

Ciekawe, co takiego przeskrobał.

– Pójdę z doktorem Steele'em – oznajmiła.

– Jeżeli coś tam znajdziemy, będzie potrzebował mojej wiedzy z genetyki.

Ale następnym razem, Steven, gdy będziesz wymyślał jakiś świetny plan, który dotyczy i mnie, zwracaj się z tym do mnie, zanim zaczniesz na dobre.

Rozumiesz?

– Przepraszam, ale byłeś tak zajęta glinami i badaniami próbek z Rodez, no i do niczego nie doszłaś w sprawie Agrenomics.

Pomyślałem, że będziesz zachwycona, jeśli ci trochę pomogę.

Ale jeśli chcesz, mogę wszystko odwołać.

Steele wyprostował się gwałtownie w fotelu, gotów zaprotestować, ale Kathleen odpowiedziała:

– Nie.

Wszystko to dzieje się wbrew rozsądkowi, ale możemy spróbować.

Jeżeli ten człowiek jest uczciwy, być może tym sposobem najszybciej rozwikłamy całą sprawę.

Jestem za.

Ale i ja stawiam warunki.

Masz bez zastanowienia wezwać policję, jeśli będziemy potrzebowali pomocy albo spóźnimy się z wyjściem choćby o minutę.

Słyszałeś, Steven?

Lepiej, żebyśmy wszyscy skończyli w kajdankach, włącznie z tobą, niż żebyśmy z Richardem zostali pod ziemią na zawsze.

Puchacz spojrzał na nią ze szczerym oddaniem.

– Oczywiście, Kathleen.

Przecież wiesz, że wasze bezpieczeństwo jest dla mnie najważniejsze.

Steele zauważył z zadowoleniem, że Sullivan znów użyła jego imienia.

Przez chwilę przypatrywała się Pattonowi bez słowa, jakby szukała skazy w jego zachowaniu.

– Zatem w porządku – powiedziała, widocznie usatysfakcjonowana.

– Jeżeli to już wszystko na dziś, wracam do laboratorium.

Nad detalami pracujemy innym razem.

Patton podjął przerwany marsz po gabinecie.

– I jak jej nie kochać, Steele?

Taka konkretna i taka piękna.

W dodatku wiedziałem, że mogę na nią liczyć.

W takich chwilach wychodzi jej prawdziwy rodowód.

Zaprowadź ją na wyścigi, a nie oprze się i pobiegnie z innymi, całym sercem.

Sullivan wyraźnie zeszytniała.

I dobrze, pomyślał Steele.

Nie liczył zbytnio, że pomyłki Pattona znacząco poprawią jego sytuację.

Jeśli nie liczyć tego, że Kathleen użyła jego imienia, w zasadzie nic się nie zmieniło w jej zachowaniu wobec niego: wciąż była chłodna, a ściślej tak irytująco uprzejma, że aż obojętna.

Mimo to na swój sposób ucieszyła go świadomość, że nie jest jedynym mężczyzną w tym pomieszczeniu, którego emocjonalne IQ wyraża się jedną cyfrą.

– Cóż za wspaniały dzień dla obrońców środowiska tokował rozpromieniony Patton.

Kathleen przyglądała mu się z rosnącym niesmakiem.

Oby tak dalej, pomyślał Steele, uśmiechając się zachęcająco do Pattona.

– Wiecie co?

Właśnie wpadłem na pewien pomysł – ciągnął ekolog.

– Jeśli dopisze wam szczęście i wcześniej skończycie misję, może dołączycie do mnie tutaj i razem obejrzymy wieczorne fajerwerki?

Spójrzcie tylko na ten widok.

– Odwrócił się plecami do nich i kolejnym szerokim gestem rozpostarł ramiona, jakby osobiście, po raz pierwszy i specjalnie dla nich odkrywał najbardziej znaną miejską panoramę na świecie.

– Porozmawiamy o tym, co tam znajdziecie, omówimy dalszą strategię i napijemy się szampana, podziwiając spektakl.

Zaczynamy nowe tysiąclecie, więc pokaz zapowiada się wyjątkowo.

Pomyślcie tylko o tych czerwonych, białych i niebieskich ogniach na niebie.

Stąd będziemy mogli podziwiać praktycznie wszystkie najważniejsze zakątki Nowego Jorku!

Steele musiał przyznać, że świąteczna noc zapowiada się imponująco.

Zwykle obserwowali fajerwerki z dachu szpitala, z Chetem, Marthą i Luaną – póki żyła.

– Wybacz – powiedział – ale jeśli wrócę dość wcześnie, dołączę do rodziny.

To taka nasza tradycja.

– A ty, Kathleen?

Zaproszę też paru rządowych ważniaków.

Będziesz mogła osobiście opowiedzieć im o brudach, które wykopiesz w laboratorium.

Impreza na pewno trochę potrwa, będziesz mogła przyjść w dowolnym momencie.

– Ja też mam plany rodzinne – powtórzyła Kathleen, a potem już bez słowa wyszła z gabinetu.

Steele wymamrotał krótkie pożegnanie i podążył jej śladem.

## Rozdział 19

*Wtorek, 4 lipca 2000, 17.05*

Stanęli u wejścia do długiego korytarza, nasłuchując w całkowitej ciemności.

W porównaniu z żarem, który został na zewnątrz, pod ziemią powietrze opływające twarz Steele'a wydawało się chłodne i lepkie.

Bardzo mu ciążyła ta cisza, kompletny brak jakichkolwiek dźwięków.

Wyciągnął rękę w czerń, którą miał przed sobą, żeby się upewnić, czy ściany nie zbliżają się do siebie.

– Którędy? – szepnęła stojąca za jego plecami Kathleen.

Zrobił krok naprzód i włączył lampę-czołówkę (Sullivan uparła się, żeby takiej użył), kierując wiązkę światła w stronę laboratorium.

Daleki włącznik wyglądał jak miniaturowa zawieszona w błękitnawej plamie światła.

– Czuję się jak biały królik – mruknęła.

Kilka minut później wybijali już na klawiaturze czterocyfrowy kod, który portier dostarczył Pattonowi.

Z wnętrza laboratorium dobiegło ciche brzęczenie.

Steele pochwycił masywne koło umocowane pośrodku drzwi, przekręcił je w kierunku przeciwnym do ruchu wskazówek zegara i pociągnął do siebie.

Włącznik otworzył się z sykiem zasysanego powietrza.

Pamiętał z wycieczki do Atlanty, że w laboratorium utrzymywano niższe ciśnienie niż na zewnątrz, by zapobiec wydostawaniu się skażonego powietrza.

Weszli do środka, zamknęli za sobą włącznik i usłyszeli głośnie kliknięcie automatycznego mechanizmu zamka, który natychmiast uszczelnił pomieszczenie.

Steele spojrzął w okienko na mroczny korytarz, którym tu przyszli, i wyobraził sobie niewidzialne postacie skradające się w stronę wejścia.

Bylibyśmy tu łatwym celem, pomyślał, czując zimny dreszcz.

Chcąc zapanować nad strachem, odwrócił się i skierował lampę w ciemność, którą mieli zbadać.

W pomieszczeniu nic się nie zmieniło – tak sądził, póki nie oświetlił regału, na którym poprzednim razem widział sterty dokumentów.

Były puste.

– Cholera! – powiedział niezbyt głośno, ale w tej absolutnej ciszy słowo zabrzmiało jak krzyk.

Sullivan aż podskoczyła i pisnęła ze strachu.

– Wszystkie papiery zniknęły – wyjaśnił Steele, nie zwracając uwagi na jej reakcję.

Przesunął snop światła dalej w prawo i zobaczył pusty stół.

– Taśmy wideo też.

Nawet magnetowid.

– Nie strasz mnie tak więcej.

– Przepraszam, ale skoro dane zniknęły, to co, u diabła, możemy tu zdziałać?



– Na dobry początek, musimy rozejrzeć się dokładniej.

– Włączyła własną czołówkę i za jej pomocą odnalazła na ścianie rząd przełączników.

Z trzaskiem uruchomiła wszystkie po kolei i pomieszczenie zalało ostre, białe światło.

Widząc słuzę prowadzącą dalej oraz wiszące rzędem księżycowe skafandry, gwizdnęła z uznaniem.

– Niczego sobie laboratorium.

– Lepiej włóżmy to – powiedział Steele, wskazując na rękawiczki chirurgiczne i stroje rodem z sali operacyjnej, leżące na wózku obok wjazdu.

– Na ubrania?

– Niestety, nie.

W Atlancie mówili nam: „tylko kombinezony, a wszystko, czego nie dał wam Bóg, zostaje na zewnątrz poza skarpetkami”.

Rozbierając się przy Kathleen – choć zdenerwowany świadomością, że są nieproszonymi gośćmi w tajnym laboratorium nie mógł znieść całkiem spokojnie jej nagości.

Przypomniała mu o tym, jakim był głupcem i jaką stracił szansę.

Nie tylko na seks, choć oczywiście zajmował on wysokie miejsce na jego liście utraconych możliwości.

Widok jej nagiego ciała uzmysłowił mu, jak bardzo delikatną jest istotą, szczególnie wobec niebezpieczeństw, które mogli napotkać a jednak była tu, stała u jego boku i bez słowa szykowała się na spotkanie z losem.

Nie mógł też dłużej odsuwać od siebie oczywistej myśli: ta wspaniała, pełna pasji kobieta mogła być jego partnerką; przyjacielem, bratnią duszą i kochanką.

I właśnie dlatego się wycofał.

Przerażała go myśl, że ktoś znów mógłby znaczyć w jego życiu tak wiele. Wydawało mu się, że Kathleen jest zupełnie nieświadoma jego emocjonalnej zawieruchy.

Przebierała się tak szybko i mechanicznie, jakby wcale nie było go w pobliżu.

Pewnie już mnie skreśliła, pomyślał, naciągając lateksowe rękawice.

Zamknęła rozdział i ruszyła dalej zadowolona, że rozstała się z emocjonalnym tchórzem.

Uszczelnwszy rękawy i nogawki, podeszli do okien w głębi sali, by się przyjrzeć wciąż pogrążonej w ciemności części laboratoryjnej.

Pod dużym panelem kontrolnym z pokrętkami, zapewne regulującymi ciśnienie, Steele znalazł drugi zestaw przełączników, a gdy ich użył, za szybami włączyły się pod sufitem dziesiątki lamp jarzeniowych, oświetlających halę wielkości lotniczego hangaru.

Kathleen gwizdnęła po raz drugi.

– Jasna cholera! – powiedział Steele.

– Nie miałem pojęcia, że to takie wielkie!

Na pierwszym planie znajdowały się stoły laboratoryjne i okapy wentylacyjne, które widział poprzednim razem.

Za nimi zaś stały niezliczone rzędy przestronnych klatek; większość była pusta, ale w niektórych leżały duże, zwinięte w kłębek zwierzęta.

Jedno z nich sennie uniosło łeb.

– To małpy – stwierdziła Kathleen.

W głębi hali zobaczyli kilkanaście wielkich kadzi, do których podłączone były węże i przewody.

Steele oszacował, że każda z nich musi mieć dobre cztery metry średnicy.

– Co to ma być, u diabła? – spytał.

– Wyglądają jak pożyczone z browaru.

– Prawie trafiłeś.

Tyle że nie warzą w nich piwa.

To masowa produkcja genów albo ich produktów – odpowiedziała Sullivan.

– Jak to możliwe?

– Wiesz, jak się produkuje ludzką insulinę?

Steele zawstydział się z lekka.

– Właściwie to nigdy się nad tym nie zastanawiałem.

Wiesz, jestem z tych, co tylko pobierają lek z ampułki i podają pacjentom.

Drobne zmarszczki otoczyły jej oczy, gdy się uśmiechnęła.

– W życiu nie spotkałam lekarza, któryby to wiedział, więc się nie przejmuj.

Otóż właśnie w takich kadziach.

– Ale jak?

– Najpierw izoluje się gen odpowiedzialny za produkcję insuliny, z komórek występujących w wyspach Langerhansa, w trzustce człowieka.

– Kathleen urwała i roześmiała się.

Boże, pomyślał Richard, chyba mógłbym polubić ten dźwięk.

Uczucia, które starał się trzymać pod kluczem przez ponad dwa lata, zaczynały niepewnie wypełzać z ukrycia.

– Przepraszam – powiedziała.

– Oczywiście tego nie muszę ci tłumaczyć.

Tak czy owak, używają metody PCK, czyli reakcji łańcuchowej polimerazy, by replikować ogromne ilości tego genu.

W przeszłości dodawali to wszystko do specjalnej zupy z bakteriami E coli, ale nie chorobotwórczego, tylko oswojonej odmiany.

To grzeczne maleństwa, które w świecie zewnętrznym nie przetrwałyby samodzielnie nawet minuty.

Obecnie używa się drożdży.

W każdym razie wprowadza się do nich geny insuliny, ich maszynaria genetyczna odczytuje je, a mitochondria zaczynają produkować ludzką insulinę.

Wszystko to, jak mówiłam, dzieje się w takich właśnie komorach.

– Wobec tego mają tu całą fabrykę DNA, RNA, całych genów albo tego, co ma z nich powstać.

Innymi słowy, może tu być dosłownie wszystko. Tylko jakoś nie wydaje mi się, że insulina.

– Masz rację.

– Niech to szlag!

Bez dokumentacji nigdy się nie dowiemy, co kombinują.

Uciszyła go lekkim kuksańcem w żebra, poczym wskazała na kontuar pod daleką, przeciwległą ścianą hermetycznego laboratorium.

Leżały na nim sterty segregatorów i kaset wideo, był też odtwarzacz.

Tak! – ucieszył się nagle Steele.

Więc jednak coś zdziałyśmy.

– Ale dlaczego przelożyli to wszystko tutaj? – myślała na głos Sullivan.

– Ta sala jest skażona.

Nigdy nie wydobędą z niej tych materiałów.

– Pewnie chcieli, żeby były stuprocentowo bezpieczne.

Czy można sobie wyobrazić lepszą kryjówkę?

Nikt nie wlezie tam przypadkiem, żeby sobie poczytać.

Oprócz mnie, boja właśnie się tam wybieram.

– Steele podszedł do jednego ze srebrzystych skafandrów, a zdjawszy go z haczyka, zdziwił się, jaki jest lekki.

– Chwileczkę!

Mówiłeś mi, że zwiedzałeś CDC, a nie że robiłeś kurs użytkowania takich ciuszków albo obsługi służ powietrznych.

– Ale widziałem, jak oni to robili.

Raz zobaczysz, raz spróbujesz, możesz uczyć tak mawiamy naszym rezydentom.

Poza tym portier dał Pattonowi kody do wszystkich drzwi w podziemiu.

To oznacza, że jeśli chcemy, możemy tam wejść.

– Czy to może być trudne?

Steele przysiadł na jednej z ław i zaczął wkładać strój podobny do jednoczęściowego kombinezonu narciarskiego.

– A po co używają tych – spytała Sullivan, podchodząc do trzech skafandrów z czerwonego materiału.

– Nie wiem.

Takich nigdy nie widziałem.

Zdaje się, że nie są do niczego podłączane – powiedział, kończąc wciąganie nogawic skafandra i siłując się z talią.

– Wiem za to, jak działają te.

Nie tylko zapewniają dopływ powietrza poprzez węże podwieszane pod sufitem, ale też, dzięki podwyższonemu ciśnieniu, sprawiają, że jeśli w ogóle zachodzi wymiana cząsteczkowa z otoczeniem, to tylko w jednym kierunku, ze skafandra na zewnątrz.

– Wsunął ramiona w rękawy, a kiedy włożył hełm, natychmiast pojawiło się klaustrofobiczne uczucie, wzmocnione kwaśną wonią gumy, plastiku i odparowanego potu.

Zapanował nad odruchem wymiotnym i z pomocą Kathleen zamknął suwak spinający kombinezon od prawego barku po lewe biodro.

Zakryli zamek klapą i zapięli kolejnym suwakiem.

W szczelnie zamkniętej przestrzeni słyszał wyraźnie każdy swój oddech, pokrywany mgiełką przezroczystą część twarzową hełmu.

Było mu za gorąco.

Jak w cholernym woreczku śniadaniowym, pomyślał.

Odwrócił się w stronę stołów i zaczął przeglądać zawartość ukrytych pod nimi szuflad.

– Widzisz może coś, co wygląda jak taśma klejąca? – zawołał niepewny, czy Sullivan usłyszy go zza pleksiglasowej maski.

– Spece w Atlancie używali jej do wzmacniania połączeń kombinezonu z rękawicami i butami.

– Taśma klejąca?

– No, tak to wyglądało.

Przypuszczam, że nie całkiem zwyczajna.

– Richard, to jakieś szaleństwo.

Bóg jeden wie, z czym oni tam igrają, a ty chcesz się uszczelnić taśmą klejącą?

– Jest – mruknął, wyjmując kilka szerokich rolek szarej taśmy samoprzylepnej.

Oderwał długi pasek i mocno owinął nim kostkę.

– Pomożesz mi z nadgarstkami?

– Richard, do cholery, słuchaj mnie!

– Kathleen, nie zamierzam się wycofać, gdy jesteśmy tak blisko.

– Ale.

Głośny dźwięk darcia kolejnego, sześćdziesięciocentymetrowego odcinka taśmy, przerwał jej w pół zdania.

Steele wręczył go jej, mruknął figlarnie i rzekł:

– Hej!

Nie udawaj, że gdybym naprawdę cię usłuchał i zrezygnował, nie poleciałabyś tam sama, korzystając z mojej nieuwagi.

Przez chwilę patrzyła na niego bykiem, a potem bez słowa zaczęła owijać taśmą jego nadgarstki.

W kąciakach jej oczu znów się pojawiły drobnuteńkie zmarszczki, wskazując, że nie tylko lada chwila na jej ustach pojawi się kolejny promienny uśmiech, ale także że komentarz Steele'a trafił w sedno.

Sięgnął ręką pod sufit i chwycił za końcówkę jeden z podwieszonych tam węży.

– Widzisz gdzieś na pasie wtyczkę do tego?

– Głośno wypowiedziane słowa wydawały mu się ogłuszającym wrzaskiem.

– Sprawdź.

Tak, to chyba to.

Nie, tu pasuje ta gruba rura biegnąca do hełmu.

Steele ledwie ją słyszał.

Skafander musi mieć wbudowane dwukierunkowe radio, pomyślał.

Czując, że Kathleen uważnie bada pas, szukając właściwych połączeń osprzętu, rozejrzał się po wnętrzu hełmu i spostrzegł niewielki czarny dysk na cienkim drucie, ledwie wystający ponad dolną krawędź maski.

Czyżby mikrofon? – pomyślał.

Wreszcie usłyszał gdzieś z tyłu trzask i wokół jego głowy popłynęło z sykiem chłodne powietrze.

Oddychając z ulgą, przypomniał sobie coś jeszcze z wycieczki do ośrodka w Atlancie.

Po pięciu minutach spędzonych w takim skafandrze bez węża tłoczącego powietrze delikwent zaczynał słabnąć z powodu braku tlenu i nadmiaru dwutlenku węgla.

Razem zdołali uruchomić radio: odnaleźli nie tylko przełącznik w hełmie, który uruchamiał nadajnik, ale także – przy jednym z biurk – konsolę sterującą systemem łączności.

Gdy trafili na właściwą częstotliwość, z głośników umocowanych w sali popłynął głos Steele'a.  
– Chyba jestem gotowy – powiedział, stając u wejścia do śluzy.

Nieswojo się czuł, gdy opóźniony stereofonicznym przetwarzaniem głos konkurował z jego własnym.

– Mam nadzieję – odrzekła, marszcząc czoło i spoglądając na niego oczami w kolorze głębokiej zieleni, teraz pełnymi niepokoju.

Po uśmiechu nie było już śladu.

Steele wpisał kod i cofnął się, czekając, aż zamek się otworzy.

Przekręcił koło i pociągnął wąż.

Rozległ się szumi powietrze omiotło go po raz drugi, tym razem płynąc w stronę komory.

Słuchawki przetworzyły ten dźwięk nienajlepiej, upodabniając go do pierdnięcia.

Steele odzepił od pasa wąż dostarczający powietrze i chłodny powiew w hełmie natychmiast ustał.

Wszedł do śluzy, pociągnął za sobą ciężki wąż i przekręcił koło.

Znowu znalazł się w strefie kompletnej ciszy, którą przerywał jedynie własnym oddechem.

Teraz, gdy został sam i nie bardzo wiedział, co robić dalej, poczucie izolacji dokuczało mu jeszcze bardziej.

Od razu zobaczył czerwone koło pośrodku trzeciego wjazdu, prowadzącego do laboratorium, ale nie był pewny, czy powinien przekręcić je od razu, czy poczekać kilka minut w nadziei, że jakiś automat kontroluje przechodzenie przez śluzę.

Maska znów pokryła się parą i stalowe ściany ciasnego pomieszczenia rozmyły się; powróciło nieprzyjemne wrażenie, że zaczynają się zbliżać.

Teraz dopiero Steele spostrzegł kolejny wąż zawieszony pod sufitem.

Sięgnął po niego i podłączył do gniazda w pasie.

Strumień chłodnego powietrza przyniósł ukojenie, jak skok na główkę do górskiego jeziora.

– Mów do mnie, Kathleen poprosił i zaśmiał się nerwowo.

– O co chodzi?

– Żle się czujesz?

– Po prostu przyda mi się towarzystwo.

Upiorna ta cisza.

Z każdą chwilą coraz bardziej czuł się uwięziony i miał ochotę uciec; wreszcie nie wytrzymał i chwycił czerwone koło obiema rękami, próbując przekręcić je przeciwnie do ruchu wskazówek zegara.

Jego chrapliwy oddech wzmocniony przez głośniki zmienił się po chwili w jęk wysiłku, ale mechanizm zamka nie ustąpił.

– Spokojnie, Richard – odezwała się Kathleen.

Nawet po cyfrowym przetworzeniu jej głos brzmiał łagodnie, kojąco.

– Ciśnieniomierze wskazują, że proces trwa.

Niedługo powinien się skończyć.

Jak gdyby na potwierdzenie jej słów koło ustąpiło zniemacka, a wąż się rozszczelnił.

Steele pchnął go mocno, odłączył wąż i wszedł do laboratorium.

Ledwie zdążył zatrzasnąć za sobą wąż, a już ożyły dysze umieszczone w stropie śluzy.

Zmywały czystą podłogę, ale Steele wiedział, że właśnie taka kąpiel czeka go w drodze powrotnej.

Pamiętał, że w Atlancie używano do tego celu dezynfekującego roztworu lizolu.

Laboratorium nie wyglądało atrakcyjnie.

W zasadzie wszystko tu było szare: ściany, podłoga i sufit.

Ponury wystrój hali przyprawiał go o dreszcze.

Odnalazł najbliższy wąż i podłączył go do pasa.

Przepływ świeżego powietrza działał ożywczo, ale jego syk w głębokiej ciszy spotęgował poczucie osamotnienia.

Steele odwrócił się w stronę okna, zza którego Sullivan obserwowała go, nie kryjąc zatroskania.

Poruszała ustami, ale nie słyszał jej.

Wskazał palcem na ucho i potrząsnął głową, pokazując, że stracili łączność.

– A może chociaż mnie słyszać? – zapytał.

Gorliwie pokiwała głową i znów powiedziała coś, czego nie usłyszał.

– Pewnie problem z częstotliwością – orzekł Steele.

Bez dodającego otuchy głosu Kathleen czuł się jeszcze bardziej samotny niż wtedy, gdy zamknął się za nim ostatni wąż.

Spojrzał na klawiaturę przy włączniku, ale oparł się impulsowi, by natychmiast wpisać kod i wracać.

Uniósł kciuki w stronę Kathleen i spróbował zapanować nad przyspieszonym oddechem.

Uspokoiwszy się nieco, poszedł w stronę ław z rzędami klatek, po drodze odłączając się i podłączając do kolejnych węży systemu wentylacyjnego.

Zwierzęta nie reagowały na jego obecność. Nawet to, które wcześniej uniosło głowę, teraz nie okazało zainteresowania.

Zbliżywszy się, Steele zauważył, że wszystkie klatki są opakowane w przezroczysty plastik, do którego podłączono wąskie rurki i wężyki.

– Widzę kilkadziesiąt naczelników różnych gatunków i mniej więcej tyle samo pustych klatek – zameldował.

– Zdaje się, że każde zwierzę żyje w środowisku zamkniętym, z własnym źródłem powietrza.

Steele pochylił się, by z bliska spojrzeć na jedną z małąp.

Nie wiedział, w jakim tempie powinien oddychać zdrowy osobnik, ale wysiłek, z jakim unosiła się drobna pierś, wskazywał na to, że stworzenie cierpi na poważne zaburzenia oddechowe.

Gdy zamrugało powiekami, oczy pozostały suche i wyblakłe.

Steele dostrzegł w nich pustkę, którą widywał w oczach mocno odwodnionych dzieci. Naczynia z wodą i karmą stojące na uboczu wyglądały na nietknięte.

Małpka o ciemnym futrze i białym pyszczku w sąsiedniej klatce była w równie złym stanie, tyle że z jej czarnych nozdrzy i pomiędzy pomarszczonych warg wydobywała się krwista piana.

Kolejne osobniki wydawały się zdrowe.

Układ pierwszego tuzina klatek powtarzał się i w dalszych: mniej więcej połowa zwierząt była poważnie chora, a pozostałe względnie zdrowe, przy czym u większości z tych pierwszych

widocznym objawem była krwista piana.

Czy to ptasia grypa? – zastanawiał się Steele, czując narastającą suchość w gardle, w miarę jak wyobrażenia podpowiadała mu daleko idące wnioski.

Z drugiej strony, lekarska natura nakazywała mu zachować ostrożność w ocenie.

Wiele infekcji układu oddechowego mogło spowodować uszkodzenie płuc, a w konsekwencji krwawienie.

Zjawisko to doczekało się nawet własnej nazwy: ARDS, czyli zespół ostrej niewydolności oddechowej dorosłych.

Pomału, upominał się w myśli Steele.

To wcale nie musi być infekcja H5N1.

Ale wygląda tak, jakby była, do cholery.

Pochylał się właśnie nad względnie zdrowym okazem czepiaka, gdy nagle z dyszy umieszczonej w suficie klatki trysnęła mgiełka w kolorze mleka.

Opadła swobodnie na pyski korpus zwierzęcia, które natychmiast zaczęło trzeć oczy, oblizywać się i wcierać substancję w gęste futro.

Preparat wyglądał na oleisty; matowy na sierść i zostawiał lśniące smugi.

Stworzenie nie wyglądało na szczególnie przejęte.

Po dwudziestu sekundach dało się słyszeć ciche kliknięcie, resztki aerozolu zniknęły, a mała niezrażona podjęła przerwana czynność.

Zaniepokojony i jeszcze bardziej zdezorientowany Steele ruszył w stronę kolejnego rzędu klatek.

Dotarłszy do niego, stanął jak wryty.

Miał przed sobą zwierzęta bliskie śmierci, ale bez wątplenia z innej przyczyny.

Z ich pysków płynęły wymioty w kolorze strawionej kawy, a z odbytów – czarny jak smoła, rzadki kał. Z nozdrzy i dziąseł ciekła krew.

Leżały bezradne, unurzane we własnych odchodach obficie znaczonej krwią, które pokrywały całą podłogę klatek.

Cofnął się odruchowo, czując gwałtowny atak mdłości.

Zaczął się zastanawiać nad przyczyną fatalnego stanu zwierząt.

Czarne, rzadkie odchody podpowiadały, że i w żołądku doszło do krwotoku – kwas solny z soku żołądkowego nadał ciemną barwę żelazu zawartemu w hemoglobinie.

Świeża krew płynąca z nozdrzy i dziąseł wskazywała z kolei na problemy z krzepiwością.

To jednak były tylko drugorzędne objawy.

Obfite wymioty i rozwolnienie wskazywały, że ośrodkiem choroby jest przede wszystkim przewód pokarmowy.

Ale co konkretnie?

Steele zauważył bez specjalnego zdziwienia, że i te zwierzęta nie tknęły karmy, za to ziarna były rozrzucone i zmieszane z odchodami.

Jedno z leżących nieszczęsnych stworzeń zaczęło oddawać mocz. Wąty strumień miał czerwoną barwę, co oznaczało, że krwawienie występuje też w nerkach lub pęcherzu moczowym.

W umyśle Steele'a pojawiały się coraz to straszniejsze potencjalne diagnozy, a wszystkie nawiązujące do najgorszych koszmarów znanych medycynie.

Wycofując się, szczerze pragnął odwrócić głowę, ale wbrew sobie wciąż wpatrywał się w konające zwierzęta.

Miał wrażenie, że spogląda na obszar próżni, gdzie logika i rozum zostały wysane do cna.

Nagle uświadomił sobie, że oto stoi w obliczu nauki, która stała się złem.

Istniały tylko dwie opcje: albo firma Agrenomics niespodziewanie zajęła się badaniami natury medycznej, a ściślej poszukiwaniem leków na straszliwe choroby, które właśnie zabijały mieszkańców klatek, albo działał tu jakiś szaleniec.

Choć ubrany w ochronny strój, Steele poczuł nagle przeszywający chłód, jakby do tej szarej krypty pozbawionej dźwięków i barw ciepło i moralność również nie miały dostępu.

Nie zważając na mętlik w głowie, ruszył w stronę sterty dokumentów i kolekcji taśm wideo, rozpaczliwie szukając odpowiedzi, a zarazem obawiając się, że je znajdzie.

Po drodze minął stół z nierdzewnej stali, długi mniej więcej na metr, zaopatrzony w solidne pasy z klamrami, przytwierdzone do czterech rogów.

Stał tuż pod okapem wentylacyjnym, a zagłębienie pośrodku metalowego blatu zakończone było rurką odpływową, pod którą stało wiadro.

Tutaj dokonują sekcji zwłok tych małp, pomyślał, zatrzymując się gwałtownie. I być może tu mam największe szansę dowiedzieć się prawdy.

Podobnie jak starożytni oglądali ludzkie wnętrza, by odkryć wielkie prawdy, tak i dzisiejsza medycyna nie zna lepszego sposobu na postawienie definitywnej diagnozy niż otwarcie zwłok i zbadanie organów wewnętrznych – choć może za pomocą nowocześniejszego sprzętu.

Ta zasada musiała odnosić się i do chorych małp.

Steele rozpoczął gorączkowe poszukiwanie typowych śladów sekcji: słoików z zakonserwowanymi sercami, płucami, wątrobami i innymi częściami ciała, a także gotowych preparatów mikroskopowych.

Lecz w szafce, wśród pustych pojemników na próbki oraz butelek ze środkami konserwującymi i reagentami, nie znalazł nic.

Na półkach pod lśniącymi kontuarami również nie pozostawiono niczego poza kosztami próbek na krew, wacikami i podkładami pod kultury bakterii.

Steele otworzył jeszcze kilka szuflad, lecz odkrył w nich tylko kolekcję skalpeli, rozszerzaczy i pił do kości – narzędzi niezbędnych do przeprowadzenia sekcji zwłok – ułożoną niczym wachlarzyk kart i gotową do kolejnego eksperymentu.

W porządku, pomyślał, rozglądając się.

Skoro już wszystko pokroili, to gdzie pochowali gotowe preparaty?

O trzy stoły dalej stały rzędem mikroskopy.

Podszedł do nich i zniecierpliwiony zaczął kolejno otwierać szuflady, aż wreszcie ujrzał część tego, czego szukał: zestaw znajomo wyglądających, płaskich pojemników, a w nich używane na całym świecie tacki z nacięciami do przechowywania preparatów mikroskopowych.

Ktoś nawet opisał je jako PRÓBY AEROZOLOWE: WEKTORNA 2, i podzielił preparaty na grupy: OBIEKT 1, OBIEKT 2, OBIEKT 3 – aż do dwusetnego.

– O mój Boże – powiedział głośno, bo teraz dopiero uświadomił sobie, co mogło znajdować się w sprayu, którego użycie obserwował chwilę wcześniej.

Przypomniał sobie, że Kathleen go słyszy; poruszony tym, co tu widział, zupełnie zapomniał o



składaniu meldunków.

– Przepraszam – rzucił do mikrofonu, obracając się w stronę okien.

Kathleen była już ubrana w ochronny kombinezon i właśnie owijała nadgarstki taśmą.

Najwyraźniej zamierzała do niego dołączyć.

– Zaczekaj!

To istny dom grozy.

Musisz być naprawdę dobrze zabezpieczona.

Potrzebujesz pomocy ze skafandrem albo z taśmami?

Pokręciła głową.

– Na pewno?

Ci ludzie zabawiają się tu co najmniej dwoma śmiertelnościami.

Jednym może być hybryda wirusa ptasiej grypy, którą próbują przenosić za pomocą wektorów genetycznych.

Sullivan zamarła z naciągniętym paskiem taśmy uszczelniającej, którym właśnie owijała połączenie rękawa z rękawiczką lateksową.

Nawet z tej odległości i zza pleksiglasowej bariery Steele widział w jej oczach przerażenie.

– Dowiesz się więcej, jeśli sama to zobaczysz odezwał się w końcu.

– Wchodzisz?

Wolno skinęła głową i ruszyła w kierunku służy.

Odwrócił się znowu ku stołowi, włożył do najbliższego mikroskopu pierwsze szkiełko z grupy oznaczonej kryptonimem „obiekt 1”, włączył monitor i ustawił ostrość.

To, co zobaczył, zaparło mu dech w piersi.

Natychmiast rozpoznał różowe, koronkowe utkanie tkanki płucnej – nie miał z tym problemu, bo niewiele różniło ją od ludzkiej.

Komórki tworzące pęcherzyki płucne, w których zachodzi proces natlenowania krwi, były w strzępach, skąpane w czerwonych krwinkach i popękane, jakby jakaś siła rozsadziła je od środka.

Co ważniejsze, zniszczenia wyglądały bardzo znajomo: Steele miał świeżo w pamięci widok tkanki płucnej Tommy’ego Arnessa, którą pokazano mu w Honolulu.

Szybko przejrzał kolejne preparaty – w ponad połowie z nich zobaczył niemal identyczne zmiany.

– Słyszysz mnie teraz, Richard? – przerwała mu rozmyślenia Kathleen.

Głos dobiegający ze słuchawek ledwie parę centymetrów od jego uszu przeraził go tak, że omal nie spadł ze stołka.

Bo zdaje mi się, że w końcu pokręciłam właściwą gałką.

Odwrócił się i zobaczył, że Sullivan jest już w służbie i właśnie podłącza wąż do skafandra.

Pięć minut później stali już razem przed górą dokumentów, które tak bardzo chcieli przejrzeć.

Steele zerkał na Kathleen ukradkiem, przejęty tym, jak bardzo pobladła, gdy pokazał jej umęczone zwierzęta w klatkach.

Jej twarz lśniła od potu, a mięśnie naprężyły się tak mocno, że napięta skóra na policzkach wydawała się niedokrwiona.

Od czego zaczniemy? spytała drżącym głosem.

Steele spojrział na kupkę beżowych teczek z naklejkami

TESTY KUKURYDZY: WEKTOR RNA 1.

Ja wezmę te powiedział, otwierając pierwszą.

Kathleen spojrzała na podobną stertę, opisaną jako

PRÓBY AEROZOLOWE: WEKTOR 2, ale po namyśle zmieniła zdanie.

To raczej twoja działka – powiedziała i zabrała się do segregowania kaset wideo.

Steele szybko zdał sobie sprawę, że ma przed sobą raporty kliniczne dotyczące małą cierpiących na krwotoczne zaburzenia jelitowe.

Przypominały karty chorobowe pacjentów szpitala: były w nich notatki o postępach zaburzeń, zapis parametrów życiowych i wyniki badań laboratoryjnych.

Przeglądając kolejne teczki, dowiedział się, że choroba rozpoczynała się jednym lub dwoma dniami wymiotów i biegunki, którym towarzyszyła lekko podwyższona temperatura.

W dniach piątym i szóstym następowały intensywne krwotoki z górnej i dolnej części układu pokarmowego oraz dodatkowe objawy: krwawienie dziąseł, wysoka gorączka, niskie ciśnienie krwi.

Wyniki biochemiczne z tej fazy ujawniały ostrą niewydolność wątroby, zaburzenia krzepliwości krwi, immunosupresję ze spadkiem liczby białych ciałek oraz początki niewydolności nerek.

Śmierć następowała między siódmym a czternastym dniem; śmiertelność sięgała dziewięćdziesięciu procent.

Każdy nowy ponury fakt zmniejszał liczbę możliwych diagnoz, aż wreszcie Steele miał już pewność, że tylko jeden organizm na Ziemi mógł dokonać takich spustoszeń.

Wirus Ebola.

Suchość w gardle nie pozwoliła mu wypowiedzieć ani jednego słowa; głowę miał pełną pytań, ale nie odpowiedzi.

Spojrzał na Kathleen i zobaczył, że w jej rękach została już tylko jedna kasetka.

Inne, oznaczone komputerowo sporządzonymi naklejkami z napisem TESTY KUKURYDZY albo PRÓBY AEROZOLOWE, leżały rozrzucone na stole.

Ta ostatnia, wybrana, wydawała się bardziej zużyta niż pozostałe, a jej poszarzałą etykietkę zapisano odręcznie.

Gdy Sullivan zorientowała się, że jest obserwowana, odwróciła kasetę tak, by Steele mógł sam przeczytać tytuł.

PRÓBY NA LUDZIACH.

WEKTOR 1: AFGANISTAN.

Bez słowa włożyła ją do magnetowidu i wcisnęła klawisz PLAY.

## Rozdział 20

W pierwszej chwili Richard pomyślał, że to czarno-białe nagranie, ale po chwili surowy, ziarnisty obraz ożywiła czerwona plama krwi.

Był to jedyny barwny element; ciemne sińce, wymiociny i odchody widoczne na tle nagiej skóry właściwie nie miały koloru.

Kamera pokazała korytarz z rzędem cel, w których nadzy i wycieńczeni ludzie drżeli z zimna lub strachu.

Niektórzy odsuwali się od jaskrawego światła lampy, inni tylko mrugali intensywnie, spoglądając tępo w obiektyw.

Jeszcze inni leżeli na posadzce i wymiotowali krwią albo kucali w kącie, a rozrzedzony kał wypływał z nich strumieniem, jak woda – czasem czarny, a czasem czerwony.

W tle dały się słyszeć męskie głosy; rozmowa toczyła się jakby w arabskim dialekcie.

– To farsi – stwierdziła Sullivan drżącym szeptem.

Operator wykonał zbliżenie, a narrator zaczął opowiadać po angielsku, choć z obcym akcentem, o objawach klinicznych poszczególnych chorych – o dreszczach, odwodnieniu i krwawieniu z wszystkich otworów ciała.

Czasem rzucał szczekliwe rozkazy, każąc ofiarom wstać i przyjąć pozycję dogodną do ukazania przed kamerą jakiegoś aspektu ich tragicznej kondycji.

Niekiedy umieszczał w kadrze kartę dokumentującą szybki wzrost gorączki.

Za każdym razem pokazywał też pokarm, który podawano choremu, by nie było wątpliwości, iż jest to niegotowana papka kukurydziana.

Steele zacisnął dłonie na krawędzi stołu, gdy w kadrze ukazało się wnętrze kolejnych cel.

Tu ofiarami były dzieci, wszystkie w podobnym stanie jak dorośli. Kuliły się ze strachu i kwiliły z cicha, gdy kamera rejestrowała zmiany w ich ciałach.

Niektóre zaczynały głośno płakać i drżały; gdy kazano im wstać.

Gdy któreś było zbyt słabe, by zareagować na rozkaz, dręczyciele wrzeszczeli na nie tak długo, aż jęcząc z wysiłku i trzęsąc się ze strachu, nawet te nieszczęsne istoty próbowały podnieść się z ziemi, ale sił starczało im tylko na podparcie się chudziutkimi, drżącymi ramionami.

– To sieroty po tych, którzy już zmarli – powiedział narrator.

– Teraz zobaczymy, jaki wpływ ma ten organizm na całe rodziny.

Steele wyłączył magnetowid, nie mogąc znieść tego widoku.

– Matko Boska – jęknęła Kathleeni rozplakała się.

Richard objął ją ramieniem; nawet przez warstwy materiału ochronnego wyczuwał jej szloch.

Zaczęła się kołysać jak dziecko, które potrzebuje pocieszenia.

Steele przetykał ślinę, próbując zapanować nad odruchem wymiotnym.

– Wyośmy się stąd – powiedział wreszcie.

Omal nie dostał torsji, gdy tylko otworzył usta.

– Przecież jeszcze nie sprawdziłam, co jest w tych kadziach.

– Pieprzyć kadzie, Kathleen!

Oni tu fabrykują broń genetyczną. Tym nieszczęśnikom podali Ebolę. Znaleźli sposób na

przenoszenie wirusa w kukurydzy. Nic więcej nie musimy wiedzieć.

Zabieramy się stąd i wracamy, sprowadzając tym łajdakom na kark wszystkich gliniarzy, żołnierzy gwardii i agentów FBI w promieniu stu pięćdziesięciu kilometrów.

– W drogę.

– Masz rację – odpowiedziała.

– Daj mi tylko sekundę – dodała, ruszając biegiem ku wielkim pojemnikom.

Wiesz, dlaczego wykorzystali kukurydzę?

Zdenerwowanie uczyniło jej głos piskliwym, a dla Steele'a był to znak ostrzegawczy: pacjenci, którzy zaczęli tak mówić, znajdowali się na pograniczu hysterii.

– Kathleen, musimy iść.

– Dlatego, że to genetyczny burdel.

Kukurydza przyjmuje wszelkie geny, replikuje je, uaktywnia i przekazuje następnemu pokoleniu.

Wszystko jedno, czy będzie to Ebola czy ptasia grypa akceptuje wszystko.

Steele dogonił ją, chwycił pod łokieć i poprowadził w stronę śluzy.

– Gdyby ludzie gotowali kukurydzę – ciągnęła coraz bardziej piskliwym głosem – być może wirus Ebola uległby denaturacji, ale gdy na przykład pieką coś, używając mąki kukurydzianej do diabła, w tej temperaturze składa się do kupy wektory genetyczne!... zarówno RNA, jaki DNA może przetrwać.

Efektywność wirusa oczywiście wzrasta, jeśli zostanie spożyty z surowym ziarnem, choćby jako pasza.

Nagła gadatliwość była kolejnym złym znakiem.

Sullivan była z każdą chwilą bledsza, choć Steele miał wrażenie, że to już niemożliwe.

– Jasne – odpowiedział, przyspieszając kroku.

Byli już w połowie drogi do wyjścia.

– Richard, jaki jest typowy wektor dla Eboli?

– Tego nie wie nikt.

– Jeszcze dziesięć kroków.

– Może chcieli stworzyć specjalnie taki, który przekazałby wirusa ludziom?

– Może – zgodził się Steele, stając przed klawiaturą.

Wpisał kod otwierający włącz.

Nic się nie wydarzyło.

– Co, u diabła? – mruknął i wpisał kod powtórnie.

Nic.

Strach rozszerzył źrenice Kathleen.

– Jesteś pewny, że wpisałeś dobry numer?

– Tak.

– Spróbował po raz trzeci.

Znowu nic.

– O Boże! – jęknęła Kathleen.

Steele się nie odezwał, ale poczuł, że poci się od stóp do głów.

– Richard, co teraz?

– Sullivan była autentycznie przerażona.

– Nie wiem.

Widzisz gdzie może przełącznik awaryjny albo panel kontrolny?

Rozejrzeli się, ale niczego takiego nie zobaczyli.

– Musi istnieć inna droga, jakieś wyjście awaryjne na wypadek pożaru, prawda?

– W jej głosie więcej było rozpaczy niż nadziei.

– Nie sądzę, żeby ludzie tego pokroju przejmowali się prawem budowlanym. Gdzie twoja komórka?

– W przedsionku, razem ze wszystkim, czego nie dał mi Bóg, pamiętasz?

Steele ruszył w stronę metalowego stołka laboratoryjnego, który stał przy jednym z kontuarów.

– Może uda się czymś takim rozwalić okno.

Znajdziemy twój telefon i wezwiemy pomoc.

Przerwał mu jej przeraźliwy krzyk.

Odwrócił się błyskawicznie i przez okna zobaczył, że główny włącznik laboratorium jest już otwarty.

Sześciu smagłych mężczyzn w mundurach ochroniarzy właśnie wchodziło do przedsionka.

Dwaj z nich trzymali w dłoniach pistolety z tłumikami.

Z głośników w hełmie Steele'a popłynęły rozkazy, wypowiedane w tym samym języku, który słyszał na nagraniu wideo.

– Do diabła, to pułapka! – wymamrotała Kathleen przez zaciśnięte zęby.

Steele dźwignął ciężki stołek na wysokość ramienia i cisnął go w stronę okna.

– Pomóż mi rozbić szybę, zanim włożą skafandry!

Może to ich odstraszy!

Pocisk trafił w gładką powierzchnię i odbił się od niej jak od muru.

Pleksiglas, przypomniał sobie Steele.

Nigdy się nie przebijemy.

Mężczyźni po drugiej stronie wystraszyli się nagłego huku, ale skończywszy wkładać lekkie stroje chirurgiczne, podeszli do wieszaków ze skafandrami.

Kathleen sięgnęła po inny stołek i wspięła się z nim na blat stołu laboratoryjnego, gotowa bronić się przed intruzami.

Steele pomyślał o innej broni.

Pobiegł do stołu sekcyjnego, otworzył szufladę narzędziową i zabrał garść skalpeli.

Powróciwszy w rejon śluzy, wręczył kilka Kathleen.

– Trzymaj w ten sposób – polecił, zaciskając jej dłoń na obsadkach dwóch ostrzy, tak że sterczały po obu stronach pięści.

– Ja przywitam ich przy drzwiach.

Jeżeli uda mi się przeciąć skafander pierwszego, który wejdzie do laboratorium, pozostali pomyślą dwa razy, zanim pójda jego śladem.

Uśmiechnęła się lekko, żeby dodać mu odwagi, ale wyglądała na śmiertelnie przerażoną.

Jeden z ochroniarzy zauważył te przygotowania i uśmiechnął się drwiąco.

Podszedł do panelu z ciśnieniomierzami.

Gdy przekręcił jedną z gałek, Steele poczuł, że dopływ powietrza do skafandra został odcięty.

– Dranie! – usłyszał wściekle mruknięcie Kathleen.

Wewnętrzna strona jego maski natychmiast zaparowała; chwilę później to samo się stało z maską Sullivan.

Jeszcze chwila i już nic nie zobaczymy, pomyślał.

– Plecami do siebie! – zarządził.

Gdy zeskakiwała ze stołu, by zająć pozycję obok Steele'a, ten sam mężczyzna zbliżył się do konsoli radiowej i wyłączył system łączności.

Sam na sam z własnym oddechem Steele próbował zapanować nad ogarniającą go paniką. Mimo pary na szybie hełmu wciąż jeszcze widział swoje i Sullivan odbicie w oknie.

Widząc tę zniekształconą postać wymachującą skalpelami, pomyślał o grze komputerowej Cheta, w której stwór o ośmiu kończynach zawsze wymachiwał żądlami niczym skorpion, gdy pojawiali się wrogowie.

Człowiek, który wyłączył łączność, już się nie uśmiechał na widok stalowych ostrzy błyskających w świetle jarzeniówek.

Przynajmniej nie wezmą nas bez walki, pomyślał Steele.

Po paru minutach widział już tylko białawe zarysy przedmiotów.

Musiałby krzyczeć, żeby się porozumieć z Sullivan, wołał więc zachować milczenie, oszczędzając powietrze – wystarczyło mu, że czuje plecami bliskość jej ciała.

Oddychanie przychodziło mu z coraz większym trudem; skumulowane ciepło własnego ciała odbierało mu siły równie skutecznie jak brak tlenu i nadmiar dwutlenku węgla.

Sekundy mijały nieskończenie wolno, a Steele zaczynał już czuć zawroty głowy.

Wiedział, że długo nie wytrzymają.

Próbował nasłuchiwać, czy przeciwnicy już się zbliżają, ale słyszał jedynie doprowadzający go do szału odgłos własnego, coraz szybszego oddechu.

Gdy próbował wstrzymać oddech, w nadziei że jednak coś usłyszy, absolutna cisza natychmiast go przytłaczała i czuł się tak, jakby zakopano go żywcem.

Po upływie kolejnej minuty zaczął się słać na nogach.

Gdy przykleknął, z prawej bez ostrzeżenia skoczyła na niego ciemna postać.

– Są tu! – krzyknął i zamachnął się skalpelami w stronę napastnika.

Poczuł kontakt i instynktownie pchnął dalej, a potem pociągnął w bok, niczym chirurg jednym cięciem otwierający brzuch pacjenta.

Nawet hermetyczny hełm nie mógł zagłuszyć okrzyku bólu, który przerwał ciszę.

Steele poderwał się i skoczył w lewo, ku drugiemu przeciwnikowi.

W tej samej chwili ktoś pociągnął mocno za wąż umocowany do jego pasa, a kopniak od tyłu w łydki przyspieszył jego upadek na plecy, od którego stracił dech.

Sekundę później ktoś stanął na jego nadgarstkach, zmuszając do wypuszczenia z rąk broni.

Zanim zdążył zaczerpnąć powietrza, czyjeś ręce zdarły mu z głowy hełm i z mocą pochwyciły za twarz.

Zobaczył wszystkie gwiazdy, gdy jego czaszka zderzyła się z posadzką, ale nie stracił przytomności.

Zanim odzyskał zdolność widzenia, mięśnie w jego klatce piersiowej poddały się instynktowi i napełniły płuca powietrzem – wraz z tym, co się w nim unosiło.

– Łajdaki! – ryknęła Kathleen gdzieś bardzo blisko i wtedy dopiero zobaczył, że i jej odebrano hełm.

Dwaj mężczyźni zaciągnęli go w poblizę kadzi, skrępowali taśmą izolacyjną i rzucili na podłogę pod wielką dyszą, której wcześniej nie zauważył.

Parę sekund później tuż obok zostawili Kathleen, spętaną w nadgarstkach i kostkach, mimo szaleńczego oporu.

– Tchórzliwe psy! – wrzeszczała.

– Nie macie jaj i tyle! Nie macie jaj!

Zignorowali obelgi i powrócili do rannego towarzysza.

Krew płynęła obficie z ukośnej rany na jego piersi, barwiąc rozcięty kombinezon.

Dwaj ochroniarze próbowali załatać taśmą dziurę w materiale; ich rękawice szybko stały się czerwone.

Pozostali trzej podeszli do zwisających z sufitu węży i gestem poprosili o przywrócenie obiegu powietrza.

Ledwie widoczna ciemna postać po drugiej stronie okna spełniła ich życzenie.

Obserwując to wszystko kątem oka, Steele miotał się desperacko, szukając czegoś, co mogłoby ich jeszcze uratować.

Nie miał czasu zastanawiać się nad tym, że przybył im siódmy przeciwnik, zwłaszcza że miał problem z poskładaniem w logiczną całość luźnych myśli, które przemykały mu przez głowę.

Ebola nie rozprzestrzenia się drogą powietrzną, przypomniał sobie.

Ptasia grypa – tak.

Ale zarażone małpy są odizolowane.

Rozległ się syk powietrza, właz śluzu otworzył się i siódmy intruz w księżycowym skafandrze wkroczył do laboratorium.

Steele zignorował go całkowicie, skupiony na ocenie ryzyka: czy powietrze, którym oddychali z Kathleen, na pewno przyniesie im śmierć?

Jedynie technicy zajmujący się zwierzętami mogą roznosić wektory po samym laboratorium, rozumował.

Żadnego z nich nie było tu przez cały weekend.

Zatem jeśli oddychamy teraz genami wirusa ptasiej grypy, to tylko w ograniczonym stopniu i być może nie oznacza to wyroku śmierci – zwłaszcza gdyby udało nam się zaraz odzyskać hełmy.

Może jeśli obiecuję tym łajdakom, że nie będziemy stawiać oporu.

Lecz zanim zaczął błagać o darowanie życia, z dyszy nad ich głowami buchnął obłok mlecznobiałej mgiełki, której krople swobodnie opadły na ich twarze i włosy.

Kompletnie zaskoczony próbował zaciskać powieki i usta, by ograniczyć kontakt aerozolu z błonami śluzowymi, ale zareagował zbyt późno.

Czuł już śliską substancję wewnątrz ust, a choć nie miała smaku, omal nie zwymiotował od jej oleistego posmaku na języku.

Oddychając przez nos, nie czuł żadnej woni, ale wiedział, że już zaczął wchłaniać preparat: czuł coś śliskiego na tylnej ścianie gardła za każdym razem, gdy przetykał ślinę.

Kathleen obrazowo nazwała kiedyś „genetycznymi robakami” to, co teraz próbowało przeniknąć ich oczy, usta i skórę.

O dziwo, dotyk białej substancji nie wywoływał żadnych sensacji; zapewne czuliby się podobnie, gdyby spryskano ich wodą z mydłem.

I może właśnie ten brak widocznych skutków sprawiał, że atak na ich ciała wydawał się szczególnie podstępny.

Złowieszczy łomot sprawił, że głośne krzyki Sullivan umilkły jak ucięte nożem.

– Nie! – ryknął Steele, gwałtownie obracając się w jej stronę.

Zobaczył jednak tylko plecy mężczyzny, który właśnie uderzył głową Kathleen o podłogę. Pochylony uniósł ją znowu, ciągnąc za krótkie, rude włosy.

Głowa wydawała się zupełnie bezwładna i chyba to przekonało go, że drugi cios nie będzie potrzebny.

Puścił ją więc i opadł na posadzkę z cichym plaśnięciem.

Odwrócił się, odsłaniając twarz.

Steele poczuł, że żołądek mu się wywraca.

– O Boże! – wyszeptał.

To, co widział, nie miało sensu.

Może aerozol zaburzył pracę wzroku?

Potrząsnął głową, by odpędzić to, co mogło być jedynie halucynacją.

Lecz kiedy znowu spojrział na mężczyznę w hełmie, czuł się tak, jakby ktoś wrzucił jego mózg do miksera, zza szybki bowiem wciąż spoglądały na niego oczy starego puchacza.

A potem Steve Patton wyciągnął rękę, pochwycił go za włosy i uderzył z całej siły o podłogę.

Steele zobaczył gwiazdy jeszcze jaśniejsze niż poprzednio, a potem ciemność rozlała się w jego mózgu jak krew.



## Rozdział 21

18.25

Spoglądając w okular mikroskopu, Azrhan Doumani poczuł, że jego tętno gwałtownie przyspiesza.

Od dwóch tygodni starał się myśleć jak terrorysta.

Ściślej mówiąc, próbował wyobrazić sobie, jakich rad udzielałby komuś takiemu jak Saddam Husajn w kwestii wykorzystania ptasiej grypy wirusa H5N1 jako broni.

Naturalnie wcale nie zamierzał tego robić.

Obsesyjne zainteresowanie tematem było owocem niedawnych doniesień prasowych o nowojorskich przypadkach zarażenia wirusem Zachodniego Nilu, patogenem pochodzącym z Ugandy i aż do ubiegłego roku nieznanym w Stanach Zjednoczonych.

Choroba dotknęła już sześćdziesiąt dziewięć osób w regionie nowojorskim i zabiła siedem z nich, a jako że z ptaków na ludzi przenosiły ją komary, groźba jej rozszerzenia się doprowadziła do wdrożenia kontrowersyjnego programu rozpylania nad miastem środków owadobójczych.

Odkrycie zaledwie tydzień wcześniej zarażonego kurczaka w Oueens sprawiło, że podniosły się głosy nawołujące do wznowienia oprysków, ale nie to interesowało Azrhana najmocniej, lecz fakt, że iracki dyktator przechwalał się kiedyś, iż dysponuje szczepem wirusa Zachodniego Nilu, który posłuży mu jako broń przeciwko Stanom Zjednoczonym.

Nikt, włącznie z Azrhanem, nie wierzył, by to Saddam stał za niedawnymi kłopotami Nowego Jorku, ale cała sprawa kazała mu się zastanowić, czego taki szalenciec mógłby spróbować dokonać, dysponując wirusem ptasiej grypy.

Azrhan przychodził więc po godzinach do laboratorium, by poddawać dodatkowym badaniom próbki z Rodez i żele do elektroforezy.

Próbował ustalić, czy znajduje się w nich „coś jeszcze bardziej śmiertelnościowego”, jak pisał Pierre Gaston w liście do doktor Sullivan.

Poświęcał temu niemal każdą noc od pamiętnego ataku na laboratorium, który tak zatrul jego stosunki z mentorką.

Bo choć raniły go niesłuszne podejrzenia, to pod wpływem niedawnych artykułów o terroryzmie musiał przyznać, że poczynania zakapturzonych morderców mówiących językiem farsi świadczyły o tym, iż genetyczny biznes może mieć strony bardziej mroczne, niż ktokolwiek przypuszczał.

Widząc, jak doktor Sullivan bezskutecznie bada kolejne fragmenty materiału z Rodez, pomyślał, że jeśli uda mu się odkryć ów drugi sekret, będzie to pierwszy krok do odzyskania jej zaufania.

Dla przyjaźni tak cennej jak ta gotów był podążyć w najciemniejszy zaułek i znieść najbardziej wyczerpującą pracę.

O czwartej nad ranem nareszcie coś zauważył.

Jeden z żelów, na których wyodrębnione zostały fragmenty wektora z H5N1, zawierał też u dołu smugę resztek, która nie pojawiła się w innych preparatach.

Według dokumentacji, była to próbka pochodząca ze źdźbła trawy rosnącej w pobliżu wylotu jednego z kanałów wentylacyjnych budynku w Rodez.

Wiedział doskonale, że taki pojedynczy ślad materiału genetycznego może być skutkiem przypadkowego zanieczyszczenia próbki, ale skoro geny ptasiej grypy znaleziono w podobnej „anomalii”, nie mógł tak po prostu nie przebadać tego materiału.

Jako że wcielał się w rolę bioterrorysty, doskonale wiedział, jakich primerów należy użyć, by odkryć tajemnicę tej próbki.

Najbardziej interesowała terrorystów zakaźność hybrydowym łańcuchem.

Nie mogli więc polegać na spontanicznej rekombinacji genów, takiej, jaka zdarzyła się na Tajwanie i na Hawajach, z pomocą wektorów genetycznych.

Woleliby z pewnością stworzyć i wykorzystać gotową hybrydę.

Czyż mogło istnieć coś bardziej śmiertelnościowego niż wektor genetyczny niosący gotową, w pełni sprawną hybrydę ludzkiej i ptasiej grypy?

Teoretycznie skutki mogły być równie katastrofalne jak niesławna epidemia grypy hiszpanki.

Czternaście godzin wcześniej, o wschodzie słońca, potraktował smugę primerami ptasiej grypy H5N1 oraz ludzkiej grypy H2N3.

– O pierwszym brzasku podśpiewywał przy pracy.

Chwilę później układał się już do snu na składanym łóżku.

Teraz, gdy zapadał zmierzch, jego ręka drżała, kiedy regulował ostrość mikroskopu, zabierając się do badania żelu poddanego elektroforezie.

Jego oczom ukazał się obraz poziomych smug reprezentujących obie odmiany wirusa.

Odnalazł hybrydę.

Chwycił słuchawkę i wybrał numer telefonu komórkowego Sullivan.

– Abonent jest czasowo niedostępny.

Proszę zostawić wiadomość.

Przerwał połączenie i pospiesznie zatelefonował na numer domowy.

– Nie ma jej tu, doktorze Doumani – powiedziała Lisa.

Wyszła wczesnym popołudniem.

Mówiła, że będzie pracować w laboratorium, z doktorem Steele’em.

– Co takiego?

– Tak mi powiedziała.

– Ależ ja właśnie jestem w laboratorium. Nie ma jej tu.

– O rany!

Cóż, przykro mi.

Może wyszli?

– Nie, Liso, spędziłem tu cały dzień i poprzednią noc.

Sprawa jest bardzo pilna.

Nie wiesz, gdzie jeszcze mógłbym jej poszukać?

– A próbował pan dzwonić na komórkę?

– Jest wyłączona.

– Naprawdę mówi pan, że to pilne?

Azrhan wyczuł coś w jej pytaniu.

Być może jednak wiedziała, jak się skontaktować z matką.

– Daję ci słowo, że to sprawa życia i śmierci.

– Naprawdę nie wiem, co panu poradzić.

Mama mówiła jedynie, że wieczorem postara się wrócić na tyle wcześnie, żeby zdążyć na fajerwerki, ale niczego nie mogła obiecać.

Zdaje się, że rozkoszuje się fajerwerkami zupełnie innego rodzaju, pomyślał Doumani, podejrzewając, że właśnie zniszczył alibi doktor Sullivan, którym próbowała maskować romans z doktorem Steele'em.

Słyszał niedawno plotki, jakoby podczas niedoszłego pożaru ewakuowali się z budynku w dość niekompletnej odzieży.

– Liso, czy jesteś pewna, że nie możesz się z nią skontaktować?

– Już mówiłam, że nie.

Głos dziewczyny zaczął lekko drżeć.

Co teraz?

Czy powinienem naciskać mocniej?

– Czy grozi jej niebezpieczeństwo? spytała Lisa, przerywając jego rozmyślenia.

– Coś się jej stało. – dodała łamiącym się głosem.

Cholera, teraz dopiero ją przeraziłem, zmartwił się Azrhan.

Powinienem był zachować się delikatniej.

Po dwóch zamachach na jej matkę dziewczyna ma pewnie nerwy w strzępach.

– Nie, Liso, nic jej nie grozi.

Po prostu udało mi się odkryć to, czego szukała.

– Ale powiedział pan, że to sprawa życia i śmierci.

– Przepraszam, zagalopowałem się. Chodzi o nowe geny, które odnalazłem.

Pewnie nieraz słyszałaś od mamy, że dla nas, genetyków, takie odkrycia to zawsze sprawa życia i śmierci.

Tak czy owak, przekaz jej, żeby zadzwoniła do mnie jak najszybciej. Na pewno chciałyby usłyszeć to, co mam do powiedzenia.

Doumani przerwał połączenie, zastanawiając się, komu jeszcze mógłby powiedzieć o tym odkryciu.

Racine z Francji powinien się jak najszybciej dowiedzieć, że prawdziwym powodem zabicia Gastona jest sprawa broni genetycznej, a nie próba tuszowania przekrętów wielkiej firmy, jak podejrzewa.

Policję z Honolulu też trzeba uprzedzić.

Logika nakazuje odezwać się najpierw do McKnighta, uznał ponamyśle.

On najszybciej zawiadomi pozostałych, rozumował, wyjmując z kieszeni wizytówkę detektywa.

– Niech sobie gliny gadają z glinami – mruzczał, wybierając numer.

– Zresztą kto by uwierzył w taką zwariowaną historię opowiedzianą przez irańskiego imigranta.

Abonent jest czasowo niedostępny.

Lisa Sullivan spacerowała nerwowo obok telefonu, nie wiedząc, co robić.

Od półgodziny co pięć minut próbowała się dodzwonić do matki, ale odzywała się tylko poczta głosowa.

Dlaczego nie odsłuchujesz wiadomości, zamartwiała się, swoim zwyczajem machinalnie obgryzając paznokcie.

Gdy przypadkiem zobaczyła się w lustrze, przyłapana na gorącym uczynku natychmiast opuściła rękę.

Zazwyczaj uwielbiała wspierać mamę w jej szalonych przedsięwzięciach, ale tego wieczoru była naprawdę przerażona i wciąż wracała myślą do chwili, kiedy się żegnały.

– Jeżeli nie zadzwonię do dwudziestej trzeciej, masz zatelefonować do detektywa McKnighta i powiedzieć mu, gdzie naprawdę jesteśmy z doktorem Steele’em – poinstruowała ją popołudniu Kathleen, stojąc już na progu.

Doktor Steele spojrział na nią wtedy ze zdziwieniem i powiedział:

– Zdawało mi się, że Patton ma to zrobić.

– Jak na mój gust, za bardzo się przywiązał do tego wystawnego trybu życia. Nie wydaje mi się, żeby był taki jak dawniej, gotów iść do więzienia za sprawę.

A my nie możemy polegać na kimś, kto może mieć opory przed wezwaniem policji.

Chwilę później matka przekazała jej ostatnie polecenie:

– Jeżeli ktoś będzie o mnie pytał, odpowiadaj, że jestem w laboratorium, z doktorem Steele’em.

Dotyczy to zwłaszcza dwóch osób, które mogą tu zadzwonić, a które powinnaś traktować ze szczególną ostrożnością.

Jedną z nich jest Greg Stanton.

– Dziekan?

Tym razem Steele spojrział na nią z niekłamanym zdumieniem.

– Tak.

– Ale dlaczego?

– Mam swoje powody.

Bądź ostrożna, Liso.

– A druga osoba?

Słyszac nazwisko Azrhana Doumaniego, Lisa spojrzala na nia z oburzeniem.

– Chyba nie mówisz poważnie?

– Jak powiedziałam, mam swoje powody.

Co więc miało oznaczać to, że zadzwonił tu i koniecznie chciał wiedzieć, gdzie jest jej matka?

I co ważniejsze, czy gdyby wyczuł, że Kathleen kazała jej kłamać, domyśliłby się, że w rzeczywistości postanowiła się zakraść do Agrenomics?

Lisa nie umiała odpowiedzieć sobie na te pytania, ale sama ewentualność bardzo ją niepokoiła – w końcu matka wyraźnie nie życzyła sobie, by mu ufać.

Muszę jej opowiedzieć, jak to było, powtarzała sobie w duchu.

Kolejny raz minęła lustro i znowu złapała się na obgryzaniu paznokci.

Tym razem jednak już się nie zatrzymała, tylko zmieniła trasę, by więcej nie patrzeć na swoje odbicie.

- Zadzwoń, do cholery – mamrotała.
- Odsłuchaj wiadomości i zadzwoń.

Uświadomiła sobie, że czuje potężny ból w samym środku czaszki, promieniujący w stronę oczu i w dół, ku szyi, i poczuła niekontrolowane od zbyt długiego bezruchu skurcze mięśni ramion i nóg.

Była jednak tylko półprzytomna: wiedziała, że boli, ale nie rozumiała dlaczego.

Dopiero gdy uniosła powieki i zobaczyła Steele'a, który leżał nieruchomo obok niej, przypomniała sobie wszystko, ze szczegółami.

Prawda ukazała się jej z brutalną jasnością; szczególnie te ostatnie sekundy, kiedy próbowała się bronić przed aerozolem, kiedy ktoś szarpnął ją za włosy i kiedy zobaczyła pochylonego nad nią Steve'a Pattona.

Ten ostatni widok przewrócił jej świat do góry nogami, na ułamek sekundy przed tym, jak eksplodował, zmieniając się w jaskrawy błysk.

Niedowierzenie, przerażenie, dezorientacja – wszystko to w ułamku sekundy.

On próbował nas zabić!

I pewnie już to zrobił, posługując się sprayem, myślała.

Ale nie, to nie mógł być on.

Dlaczego miałyby mieć coś wspólnego z tym, co tu znaleźliśmy?

Jej myśli stawały się z każdą chwilą bardziej chaotyczne.

Mieszały się w nich wydarzenia mniej i bardziej odległe; na przemian zaprzeczała temu, co rozegrało się na jej oczach, albo desperacko poszukiwała odpowiedzi czy przynajmniej wskazówki, która pozwoliłaby jej stwierdzić: tak, teraz rozumiem, że przegapiłam taki a taki szczegół, który powinien się stać sygnałem ostrzegawczym.

Przeszło jej też przez myśl, że być może Patton potrafił tak doskonale ukryć przed nią całe to zło, że po prostu nie było żadnych sygnałów ostrzegawczych.

Tej ostatniej ewentualności wołała nie brać pod uwagę, uderzała bowiem w jej zdolności poznawania ludzi i obdarzania ich zaufaniem.

Wspomnienia jednak wracały jak zbłąkane pociski, a te najbardziej odrażające trafiały w nią z mocą odłamków.

To, jak w Honolulu naciskał, by wreszcie pokazała konkretne wyniki badań.

Właśnie z tego powodu odwiedziła farmę Hacketa w poszukiwaniu próbek.

Pojechała prosto w pułapkę.

Te wszystkie pytania, które zadawał owej nocy, gdy dowiedziała się o szczepionce – zapewne sondował ją, próbując ustalić, jak bliska jest odkrycia całej prawdy.

I zaraz nasłał na nią tych zbirów.

A później wymyślił, że powinni ze Steele'em powstrzymać się od jakichkolwiek działań przeciwko Agrenomics, tym samym na dwa tygodnie skutecznie odstawiając ich na boczny tor, by nie mogli już w niczym przeszkodzić.

Jego cynizm oraz skala jego zdrady przyprawiały ją teraz o zawrót głowy.

Wszystko, co do tej pory wiedziała o tym człowieku, sypało się w gruzy.

Wciąż nie umiała zgłębić szerszej perspektywy tej sprawy, ale furia, jaka ogarnęła ją na myśl o

potwornej, osobistej zdradzie, której się dopuścił, nareszcie zamieniła jej mózg w zimno kalkulującą maszynę logiczną.

Zanim umrę, poprzysięgła sobie, zniszczę go za to, co zrobił.

I jeśli Bóg pomoże, nie pozwolę, żeby zrealizował swoje plany.

Ale co on właściwie zamierza?

I dlaczego postanowił zabić nas właśnie dziś, w święto Czwartego Lipca?

Właśnie ta myśl, w której użyła oficjalnej nazwy święta, sprawiła, że odpowiedź nagle stała się zupełnie oczywista.

Czy można sobie wyobrazić lepszy moment na atak terrorystyczny?

Nagła fala mdłości pochwyliła ją za gardło i przez długi czas musiała się powstrzymać, by nie zwymiotować, ale w końcu zwróciła ostatnie resztki lunchu.

Nie przyniosło jej to ulgi; poczuła się może nieznacznie lepiej od szyi w dół, lecz w jej głowie na nowo rozpętał się wściekły chaos.

– Richard? – wyjąkała, intensywnie przelękając ślinę, by skurcze żołądka nie wróciły.

– Richard, żyjesz?

Musisz się obudzić. Oni chcą użyć tej broni genetycznej jeszcze dziś w nocy. Jestem tego pewna.

Steele nie odpowiedział.

– Słuchaj mnie, Richard.

Pamiętasz, jakie środki ostrożności przedsięwzięto przed sylwestrem w związku z początkiem nowego tysiąclecia?

Władze udaremniły wtedy kilka zamachów bombowych.

I tak sobie myślę, że ta banda szykuje się teraz do odwetu, chcąc upokorzyć Stany Zjednoczone akurat w Dniu Niepodległości.

To dlatego Patton usunął nas z drogi właśnie teraz.

Cisza.

Boże, aż tak źle z nim?

Porządnie wystraszona zebrała siły i zdołała obrócić się w miejscu na tyle, by móc położyć głowę na jego piersi.

Z ulgą stwierdziła, że jeszcze oddycha.

Poruszając się, zauważyła coś jeszcze: prócz plastikowej taśmy pętała ją teraz i łańcuch, którego ogniwa podzwaniały o posadzkę.

Opasywał ją w talii i był zamknięty solidną kłódką.

Usiadłszy z wysiłkiem, podążyła wzrokiem za stalowymi ogniwami i stwierdziła, że przypięto ją do jednej z wielkich kadzi.

Steele'a unieruchomiono w ten sam sposób.

Matko Boska szepnęła, kładąc się na powrót.

Pociła się intensywnie, a jej serce biło tak mocno, że wyobrażała sobie sińce na jego powierzchni, spowodowane uderzeniami o żebra.

Nie wyrwiemy się stąd, póki Lisa nie zawiadomi policji, pomyślała.

Ale to nastąpi dopiero po dwudziestej trzeciej, czyli grubo po zakończeniu wieczornej imprezy.

Cokolwiek zaplanowali ci dranie, na pewno chcą wykorzystać okazję: potraktują wektorami

gęsty tłum, żeby zmaksymalizować liczbę ofiar.

Zegar ścienny wskazywał dziewiętnastą dziesiątą.

Sullivan wzdygnęła się na myśl o setkach tysięcy widzów, którzy zapewne już się tłoczyli na całej długości trasy FDR.

Jezu, mogą zaatakować w każdej chwili, pomyślała.

Jak to zrobią?

Jeśli chcą rozpylić wirusa ptasiej grypy, potrzebują spryskiwaczy. Wystarczyłyby ręczne, podłączone do kanistrów i użyte w tłumie.

Tyle że byłby to atak samobójczy, jeśli sprawcy nie mieliby na sobie strojów ochronnych.

Znacznie lepszym rozwiązaniem byłyby śmigłowce, uznała.

Nie umiała tylko odgadnąć, jak zostanie rozprzestrzeniony wirus Ebola.

Znowu złapała się na tym, że próbuje znaleźć odpowiedź na jedno pytanie: dlaczego Steve Patton zaangażował się w takie szaleństwo.

Czy postradał zmysły?

A może od początku był wariatem?

Myśl o tym, że uprawiała seks z tym człowiekiem, była zdecydowanie nie na miejscu, tym bardziej że wywołała kolejną falę wymiotów.

Nie chcąc się zadławić, uniosła się nieco i prawie zdołała usiąść.

Rozejrzała się, szukając jakiegokolwiek narzędzia, które pomogłoby jej się wyzwolić z łańcuchów.

Krople tłustego aerozolu przylgnęły do koniuszków jej rzęs i teraz obraz, który miała przed oczami, otaczały rozbłyски z miniaturowych pryzmatów.

Jak ostry nóż zraniło ją wspomnienie burzy śnieżnej, którą przeżyła kiedyś z Lisą: płatki śniegu wpadały im do oczu, wywołując ten sam – wtedy zachwycający – efekt.

Ile czasu będę miała, żeby przygotować ją na moją śmierć?

Dzień?

Godziny?

Powstrzymując łzy, rozglądała się dalej, lecz nie dostrzegła niczego przydatnego, nawet ostrej krawędzi, o którą mogłaby przeciąć przynajmniej taśmę krępującą jej nadgarstki i kostki.

Olbrzymie laboratorium wydawało się kompletnie opuszczone, a głęboką ciszę zakłócał tylko cichy świst oddechu Steele'a.

– Zaskoczyłem cię, prawda, Kathleen? – odezwał się znienacka głos zza jej pleców.

Krzyknęła, obróciła się gwałtownie i zobaczyła Pattona: stał nie dalej niż trzy metry od niej, oparty biodrami o kontuar, z rękami złożonymi na piersi.

Wciąż miał na sobie księżycowy skafander, a jego głos dobiegał z głośników, które po zerwaniu hełmu z głowy Sullivan zwiślały luźno z jej ramion.

Wydawało się, że nie ma twarzy, bo odbicie światła w szybcie przesłaniało dolną jej połowę, górną zaś chroniły duże, okrągłe okulary.

Oczy kryły się za nimi tak samo jak dwa tygodnie wcześniej, w jego gabinecie.

Kathleen odchyliła się odruchowo, na tyle, na ile pozwalał jej na to łańcuch.

Chet stanął na stopniach przed frontowymi drzwiami domu, przyglądając się tłumom

ciągnącym nad rzekę.

– Chodźmy już, Martho – zawołał przez ramię.

– Cierpliwości.

Cierpliwości, mój chłopcze – odpowiedziała gospodyni, podnosząc koszyk piknikowy i na wszelki wypadek wyjmując z szafy parasolkę.

W prognozach nie było mowy o deszczu, ale dzień był pochmurny i parny; reumatyzm dawał się jej we znaki.

– Dach szpitala nam nie ucieknie.

– Tak, ale chcę zająć dobre miejsce, blisko krawędzi.

Martha dołączyła do niego i zamknęła drzwi naklucz.

– Nie będziemy się zbliżać do żadnej krawędzi.

Chet uśmiechnął się do niej.

Każdego roku powtarzali tę samą dysputę, nawet kiedy matka jeszcze żyła.

Zwykle wygrywał, ale pod warunkiem że ojciec stanie obok i otoczy go ramieniem.

Tym razem jednak Martha obawiała się, że doktor Steele nie zdąży na czas.

Gdy po południu wychodził z domu, raczej nie wspominał o wieczornych pokazach sztucznych ogni z przesadną nadzieją.

A Martha ani przez chwilę nie wierzyła w te bzdury, które im opowiadał, jakoby miał do późna pracować z doktor Sullivan.

– Ze wszystkich dni akurat dziś mruknęła wtedy do siebie, głęboko przekonana, że postanowili odwiedzić we dwoje jakiś zaciszny hotel.

W każdy inny dzień ucieszyłyby się z tego, ale widząc rozczarowanie w oczach Cheta, wzięła Steele'a na stronę i powiedziała: – Że też akurat teraz, kiedy zaczyna pan do czegoś dochodzić ze swoim synem, robi mu pan taki numer.

Richard tylko się skrzywił i odparł:

– Nic nie poradzę.

Chet włączył się w strumień idących, a Martha podążyła za nim.

Powietrze wydawało się naładowane elektrycznością, a wokół dały się słyszeć głosy, śmiechy i kroki nie tylko setek ludzi maszerujących tą ulicą, alei setek tysięcy innych, przemierzających równoległe ulice na północy i południu.

Nad miastem zawisła chmura w kolorze ochry i nawet najdelikatniejszy wietrzyk nie poruszał niezliczonymi gwiazdzisto-pasiastymi flagami zawieszonymi na balkonach i dachach.

Idąc za Chetem, Martha nie spuszczała go z oka – łatwo było wyłowić w tłumie jego ciemne loki.

Znowu urósł, pomyślała, a spostrzeżenie to wprowadziło ją w melancholijny nastrój.

Zaczęła rozmyślać o przemijającym życiu, o dorastaniu Cheta oraz o tym, jak niewiele dzieciństwa mu pozostało, a więc jak niewiele Richard miał czasu na zaleczenie ran, które zepsuły ich ojcowsko-synowskie stosunki.

Spróbowała się wczuć w klimat zabawy, by zapomnieć o smutkach – w końcu otaczali ją sprzedawcy hot-dogów, baloniarze i ludzie poprzebierani za klaunów.

Wkrótce dogoniła też Cheta, który przystanął, podziwiając umiejętności zonglera na szczudłach, w kostiumie Wuja Sama.



Martha rozluźniła się wreszcie, widząc w jego oczach dziecięcy zachwyt.

Dziesięć minut później byli już w szpitalu i jechali windą wprost na dach.

Grupka świętujących, która zebrała się w kabinie, złożona była głównie z lekarzy, pielęgniarek i salowych.

Wielu rozpoznało chłopca i jego opiekunkę.

– Cześć, Chet.

– Rany, aleś ty urósł!

– Czym pani go karmi, Martho?

Gdy tylko rozsunęły się drzwi, Chet pobiegł do narożnika, w którym zwykle zajmowali miejsce, i wychylił się za murek sięgający mu do pasa, przyprawiając Marthę o nerwowy dreszcz.

Stała za nim i położywszy dłoń na jego ramieniu, ogarnęła spojrzeniem znajomą panoramę.

Pośrodku nurtu East River zakotwiczone pół tuzina barek najeżonych tysiącami rur, z których miało pomknąć ku niebu kilkadziesiąt tysięcy fajerwerków.

W dole, na półtorakilometrowym odcinku trasy FDR, tłum był już bardzo gęsty, ale nowi ludzie ustawiali się jeszcze na łącznicach.

Nabrzeże również było pełne gapiów, których różnokolorowe koszule i koszulki, a nawet kostiumy kąpielowe tworzyły mozaikę falującą w rytmie muzyki calypso, której rytm akcentowało od czasu do czasu chóralne „Hot! Hot! Hot!”

Chet odwrócił się i powiedział coś do Marthy, ale nie usłyszała go.

Ryk przelatującego nad nimi wielkiego śmigłowca skutecznie zagłuszył jego słowa.

– Dlaczego, Steve? – zapytała.

Milczał przez chwilę, a sala stopniowo wypełniała się ciszą tak zimną, że Sullivan miała wrażenie, iż zamknięto ją w bryle lodu.

Wreszcie westchnął głęboko i przeciągle, jakby chciał dać do zrozumienia, jak bardzo ma jej dosyć.

– I pomyśleć, że budziłem się w nocy z lęku, że staniesz na moim progu i wyjawisz mi sens całego tego przedsięwzięcia.

A tu proszę, masz wszystko jak na dłoni – tu wystraszył ją nieco, wykonując ramieniem nagły ruch, którym wskazał co najmniej połowę laboratorium – i nadal nie pojmujesz ani tego, co zamierzam zrobić, ani tego, z jakich pobudek?

– Patton potrząsnął głową, odwrócił się w stronę pokaźnego kartonu stojącego za nim i wyjąwszy zeń plik kartek, zaczął je sortować.

Jego obojętność przerażała ją nie mniej niż wzniesiona pięść, ale jednocześnie prowokowała do buntu.

– Ależ doskonale pojmuję, co zrobiłeś.

To się nazywa zdrada.

Zdradziłeś mnie, Stowarzyszenie Błękitna Planeta, a także sądząc po tym, że zwerbowałeś swoich bandziorów w krajach nieszczególnie przyjaznych Ameryce własny kraj.

Zdradziłeś wszystko, na czym podobno ci zależało, więc chcę wiedzieć dlaczego!

Obrócił się gwałtownie i w trzech susach znalazł się przy niej.

Chwycił obiema rękami za kombinezon Sullivan i zbliżył jej twarz na odległość paznokcia od

swojej maski.

– Zdradziłem to, na czym mi zależało?

Jego głos był napięty jak struna fortepianu i dziwnie piskliwy; przypominał skrobanie paznokciem po tablicy.

– O nie, Kathleen.

To godzina mojej chwały, moje koronne osiągnięcie.

Gdybym nie zrobił tego, co zrobiłem, wtedy zdradziłbym dorobek całego życia.

Nie mogłem pozwolić, żeby wszystkie twoje ostrzeżenia trafiały do niesłyszających uszu, podczas gdy takie firmy jak Biofeed dodają zmutowane DNA do produktów, które stają się częścią łańcucha pokarmowego mężczyzn, kobiet i dzieci.

– Daruj sobie tę mowę, Steve, znam ją na pamięć! Może już zapomniałeś, ale powtarzam ją od lat.

Zamarł, wciąż zaciskając pięści na jej kombinezonie.

Z bliska widziała wyraźnie jego oczy ukryte za maską i okularami.

Były szeroko otwarte i pełne zdumienia, jakby jej widok wydał mu się nagle zaskakujący.

Wolno opuścił ją na podłogę.

Patrzyła, jak jego oczy tracą blaski stają się czarne, a półprzymknięte powieki zamieniają się w skórzaste dziurki na guziki.

Wyprostował się i sztywnym krokiem powrócił do kontuaru.

Pochyliwszy się nieco, podparł się dłońmi.

– I nikt cię nie słucha, Kathleen – powiedział głośnym szeptem.

– Nie słuchają nawet kogoś tak wykształconego jak ty.

Cytują cię wszędzie, ale jaki z tego pożytek.

Moje ulubione słowa napisałaś ponad dziesięć lat temu: „Jeśli spojrzymy na nią z perspektywy potencjalnego wpływu na życie człowieka, manipulacja DNA jest środkiem równie potężnym jak rozszczepienie atomu”.

Doktor Kathleen Sullivan, Szczyt Ziemi w Riode Janeiro, rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty drugi.

Tyle lat i wciąż nikt cię nie słucha.

Za to coraz liczniejsze stada kretynów własną pierśią bronią swego prawa do genetycznego modyfikowania żywności w imię wolnego handlu i gigantycznej kasy.

Nadszedł czas na lekcję, której nie zignorują.

Stojąc ze spuszczoną głową, emanował takim napięciem, że choć okrywał go luźny kombinezon, wyczuwała, że jego mięśnie są naprężone do granic wytrzymałości.

Wyczuwała to tak, jak zwierzę wyczuwa zbliżający się atak innego zwierzęcia.

Tyle że w tym wypadku miała do czynienia z człowiekiem, którego wściekłość z jednej strony była spoiwem osobowości, a z drugiej mszczącą siłą grożącą rozerwaniem go na strzępy.

W dodatku chciałby, żebym podziwiła jego geniusz, pomyślała Sullivan.

Kalkulując na zimno, postanowiła wykorzystać tę sposobność i sprowokować go do mówienia.

Jeśli każe mu bronić tego, co zrobił, może wymknie mu się parę cennych szczegółów: wspomni choćby o miejscu, w którym zamierza się ukryć po dzisiejszej nocy.

A ja wyślę tam gliniarzy, żeby dobrali się do tej jego smętnej dupy.

Byłoby jeszcze lepiej, gdyby zdradził mi informację, która pomogłaby złagodzić skutki ataku, pomyślała, zerkając nerwowo na klatki z małpami.

– Jaką to lekcję masz na myśli? – spytała możliwie pokornym tonem.

Nieznacznie zmienił pozycję, jakby nieco uspokojony.

Tak to jest z facetami, którzy mają świra na punkcie dominacji, pomyślała.

Odzyskał kontrolę.

Ale Patton się nie odezwał, tylko spojrział na zegar i szybko wrócił do sortowania papierów.

Może sprowokuję go jeszcze raz, pomyślała, niech pozwoli sobie na kolejny wybuch.

– Przepraszam, Steve, ale może coś mi umknęło?

Mówisz, że będziesz zabijał ludzi bronią genetyczną, żeby dać im lekcję na temat genetycznie modyfikowanej żywności?

Daj spokój!

Brzmi to jak te brednie koleś z Wietnamu: „Spaliliśmy wioskę, że by ją uratować”.

– Niektórzy zginą, przyznaję – odparł Patton, machając przy tym ręką, jakby chciał odpędzić dokuczliwą muchę.

– Ale nikt więcej nie waży się bezmyślnie manipulować łańcuchem pokarmowym.

Zaszczepię ten kraj przeciwko obojętności, dzięki czemu ocalimy miliony istnień.

– A ile milionów dolarów zarobisz, pomagając tej bandzie terrorystów?

Odpowiedział jej, nie przerywając pracy:

– To był konieczny kompromis.

Potrzebowałem ich nieskończonych zasobów gotówki i zaplecza.

Oni dostaną swój atak terrorystyczny, a ja pokażę Ameryce, jak sama siebie potrafi sterroryzować.

Patton kolejny raz spojrział na zegar.

– I dlatego też dopilnuję, żeby i to laboratorium zostało odkryte we właściwym czasie, wraz ze wszystkimi materiałami, które pozwolą odkryć prawdę: z zapiskami, próbkami, nawet ze zwłokami doktorów Steele’a i Sullivan, na których będzie można dokonać autopsji.

Skrzywiła się nie tylko na myśl o tym, jaki los im zgotował, ale także, z jaką obojętnością wypowiadał te słowa.

Zdarzało jej się już słyszeć laborantów opowiadających o szczurach z większym uczuciem.

– A podczas gdy nas będą kroić, ty zapewne będziesz bawił gdzieś w bezpiecznym miejscu, ze swymi milionami w kieszeni?

Sullivan konsekwentnie próbowała pokierować rozmową.

– Wręcz przeciwnie.

I właśnie dlatego musicie umrzeć.

Żeby nikt nigdy nie podejrzewał, że odegrałem jakąkolwiek rolę w tym, co się wkrótce wydarzy.

Zamierzam zostać tu, oplakiwać tragedię, pilnować, żeby wszyscy zrozumieli jej wymowę, oraz odgrywać rolę ekologa, który od samego początku miał rację.

Czeka mnie gwałtowny wzrost wiarygodności, obfitość grantów oraz wielkie wpływy, nie wspominając o tym, że cały świat będzie wstrzymywał oddech, czekając na każdą moją wypowiedź.

A mniej więcej za cztery godziny zaciągną cię do pudła, dupku, chciała wrzasnąć Sullivan. Tam będziesz mógł wieszczyć sobie, co tylko zechcesz!

Ale powiedziała tylko:

– Naprawdę?

Leżący obok niej Steele jęknął i poruszył głową.

– Do diabła, Kathleen, planuję nawet coś większego – odparł Patton.

– Ustanowienie Funduszu Pamięci Doktor Sullivan stanie się moim priorytetem.

Przyniesie mi on mnóstwo pieniędzy, oczywiście przeznaczonych wyłącznie na ekologicznie słuszne przedsięwzięcia.

Będę mógł jeszcze skuteczniej kształtować opinię publiczną, zwalczając twory takie jak Biofeed International, na przykład dając do zrozumienia, że ich wektory genetyczne, takie jak te, które wywołały przypadki ptasiej grypy u ludzi na Tajwanie i Oahu, mogły być inspiracją dla terrorystów poszukujących broni genetycznej.

– Patton znowu wykonał zamaszty gest, tym razem wskazując na klatki, w których prowadzono próby aerozolowe.

– Między nami mówiąc, właśnie w ten sposób wpadłem na pomysł wykorzystania hybrydowego szczepu wirusa grypy.

Gdy zdarzyło się to w naturze, z pomocą wektora genetycznego, pomyślałem, że specjalnie zaprojektowana wersja hybrydy mogłaby znacznie skuteczniej siać zniszczenie.

Tak czy inaczej, zanim skończę napełniać ludziom głowy tego rodzaju skojarzeniami, przemysł biotechnologiczny będzie leżał na łopatkach.

Przynajmniej tę odrobinę satysfakcji możesz zabrać ze sobą do grobu.

– A po co wam Ebola? zapytała, stawiając wszystko na jedną kartę.

Znowu zapadła cisza, ale nie taka jak poprzednio.

Patton bacznie nasłuchiwał.

I nagle to usłyszała: spoza ścian dobiegał szybko narastający łopot śmigieł dużego helikoptera.

– Powóz czeka – oznajmił swobodnie, ruszając w stronę służby.

– Muszę cię przeprosić, ale jak wiesz, za półtorej godziny urządzam świąteczne przyjęcie, na wypadek gdybym potrzebował alibi.

Z kim lepiej spędzić ten wieczór niż z grubymi rybami Nowego Jorku? – zaśmiał się, a głośniki nadały temu dźwiękowi metaliczny pogłos.

– Szkoda, że nie mam czasu na dalsze wykłady, Kathleen.

Na pewno z chęcią posłuchałabyś o rozwiązaniach genetycznych, które zastosowałem w Eboli.

– Patton wszedł do służby, sięgnął po uchwyt wjazdu i zawahał się.

– Aha, omal o czymś nie zapomniałem.

Zawsze bawiło mnie to, jak zatrudniałaś Lisę w charakterze jednostki wsparcia dla swoich ryzykownych wycieczek.

Na wypadek gdybyś zlekceważyła moje zalecenia i powiedziała jej, dokąd się dziś wybierałaś, moje bandziory, jakich ładnie nazwałaś, złożą jej wkrótce wizytę.

Musimy mieć pewność, że nie zadzwoni na policję.

Już nigdy.

## Rozdział 22

20.15

*Queens, Nowy Jork*

Gdy Butkis łagodnie odrywał maszynę od płyty lądowiska, Morgan patrzył, jak śmieci zaczynają tańczyć w wirze powietrznym wytworzonym przez wirniki.

Wzniesli się na wysokość trzydziestu metrów ponad zaśmieconym placem; chmury pyłu i stare gazety kotłowały się poniżej jak miejska odmiana biegacza stepowego.

Nieco wyżej lewitował drugi helikopter, ze zbiornikami zatankowanymi do pełna.

Poniżej ciągnął się park przemysłowy – hektary fabrycznych budynków, wysokich na trzy i cztery piętra, połączonych siecią porzewiałych torowisk i zarośniętych chwastami parkingów.

W świąteczny dzień nikt tu nie zaglądał, ale Butkis i tak wolał utrzymać wystarczająco wysoki pułap, by nikt się nie zainteresował, co tu robią.

Odlecieli nieco w bok i trzeci śmigłowiec szybko obniżył lot, by wylądować obok cysterny kolejowej.

Pilot wyskoczył z kabiny, by podłączyć węże do zbiorników.

Morgan postarał się nie reagować, gdy zobaczył, że odrobina mlecznobiałego płynu wylewa się z końcówki przewodu i pada na ziemię.

Morgan nigdy jeszcze nie widział człowieka z wyrokiem śmierci, ale wyobrażał sobie, że ktoś taki musi czuć się podobnie jak on w tej chwili.

Wydarzenia pchały go naprzód z nedorzeczną prędkością, a pasy, którymi przypiął się do fotela w kabinie helikoptera, wywoływały w nim reakcję klaustrofobiczną.

Przygotował sobie drogę ucieczki, przelał pieniądze, które zdeponowano na jego zagranicznych kontach bankowych, na jeszcze inne zagraniczne konta bankowe i spakował bagaże, gotów wyjechać jeszcze tej nocy.

Mimo to był niemal pewny, że atak, który miał się zacząć za godzinę, rozpocznie też odliczanie do jego własnej śmierci, równie nieuniknionej jak śmierć ludzi, którzy zetkną się z kropelkami aerozolu.

Klient bowiem domagał się usunięcia wszystkich świadków, a skoro Patton ostatnio miał go na oku i komentował jego „utracony zapal” oraz własne obawy codo zachowania prywatności, Morgan zaczął ostatnio uważać na siebie.

Bywały chwile, w których strach przed śmiercią zwał go z nóg.

Kiedy indziej znów było mu całkiem obojętne, czy długo jeszcze pożyje.

Wiedział bowiem, że czekanie na kulkę, bez względu na to, ile miałoby potrwać, uczyni go żywym trupem do końca jego dni.

Trzeci helikopter zakończył napełnianie zbiorników i uniósł się w powietrze.

Wszystkie trzy maszyny osiągnęły pułap trzystu metrów.

Z tej wysokości, mimo zapadającego zmroku, Morgan dostrzegł linię barek zakotwiczonych pośrodku rzeki oraz masy kolorowych punkcików na trasie FDR, wzdłuż brzegu Manhattanu.

W powietrzu widać było wiele innych śmigłowców, w większości opatrzonych oznaczeniami

stacji telewizyjnych.

Zakaz lotów miał zacząć obowiązywać dopiero za kilka minut.

Butkis pchnął drążek do przodu, maszyna posłusznie pochyliła dziób i z wolna zaczęli nabierać prędkości, kierując się w stronę lądowiska.

Dwa pozostałe helikoptery podążyły za przewodnikiem niczym wielkie, opalizujące ważki.

Czaszka Steele'a pękała z bólu.

Sala wirowała mu przed oczami za każdym razem, gdy próbował odwrócić głowę, ale i tak było lepiej, niż gdy po raz pierwszy otworzył oczy wtedy najłżejszy nawet ruch oznaczał serię wymiotów.

Teraz przynajmniej panował nad mdłościami, ale od ciągłego przetykania zaczynało mu brakować śliny.

– Już, Kathleen! – powiedział, uwalniając jej rękę.

Dwadzieścia minut wcześniej zdołał obrócić się tak, by jego dłonie znalazły się na wysokości jej nadgarstków.

Od tamtej pory pracował nad rozerwaniem krępującej ją taśmy.

Na szczęście teraz, gdy miała wolne ręce, mogła szybko rozprawić się z jego więzami.

– O Boże – jęknęła, spojrzawszy na zegar ścienny.

Wiedział, co ma na myśli.

Dochodziła dwudziesta trzydzieści, a to oznaczało, że ludzie Pattona mogli już dotrzeć do Lisy.

Podczas gdy oboje próbowali zerwać taśmę krępującą ich nogi, milczał uparcie, nie wiedząc, jak podnieść Kathleen na duchu.

Równie bezradny był w pocieszaniu samego siebie, na myśl o losie czekającym Marthę i Cheta.

Pewnie już zajęli miejsca na dachu szpitala, pomyślał.

Wreszcie nadszedł czas na zdjęcie łańcuchów.

Jednym końcem owijały się kilkoma zwojami wokół ich talii; drugim w podobny sposób umocowano je do ciężkich stalowych podpór, na których stała jedna z kadzi.

Kłódki wydawały się niezniszczalne, ale być może udałoby się rozczepić nienajlepszej jakości ogniwa Steele się domyślał, że takimi samymi łańcuchami krępowano wcześniej małpy – tylko że nie mogli tego dokonać gołymi rękami.

Spróbował zerwać łańcuch ciężarem własnego ciała, rozpędzając się i szarpiąc z całej siły, ale nie dał rady – zatrzymał się jak po starciu z obrońcą drużyny futbolowej.

Kathleen podjęła podobną próbę, z identycznym rezultatem.

Po kilku razach zrezygnowali, rozumiejąc, że prędzej nie wytrzymają ich żebra niż stalowe ogniwa.

Przy okazji jednak odkryli, że łańcuch pozwala im się oddalić na trzy metry od kadzi.

– Możemy spróbować otworzyć któreś z ogniw w miejscu, gdzie są przytwierdzone do podpory, pod warunkiem że znajdę coś na kształt łomu – powiedział Steele, przeglądając zawartość szuflad, do których mógł dosięgnąć.

Kathleen naprężyła swoją część stalowej smyczy, by dostać się do papierów, którymi zajmował się Patton.

– Spójrz na to.

Zostawił listy ładunkowe.

Wiadomo, dokąd wysyłali kukurydzę.

Są też papiery cystern.

Steele zbliżył się do niej i przez chwilę przeżyli się ramię w ramię, by sięgnąć po dokumenty.

– Dlaczego zależy mu, żeby wszyscy się dowiedzieli, dokąd pojechały transporty?

Chce spotęgować panikę?

– W regionach wymienionych w dokumentach na pewno właśnie tak będzie.

A chodzi tu o kilkanaście stanów.

Ale kiedy z nim rozmawiałam, powtarzał, że chce, żeby wszyscy zrozumieli. Chyba chciał w ten sposób powiedzieć, że opinia publiczna powinna znać szczegóły. Mówił, że to lekcja, której nie zignorują.

– Sullivan wyciągnęła rękę i udało jej się sięgnąć po gruby plik papierów, które wyglądały inaczej niż pozostałe.

Steele podjął poszukiwania łomu.

– Matko Boska! – odezwała się Sullivan po chwili.

– Tu jest wyjaśnienie całego programu Eboli.

– Co takiego?

– Wymienili nawet miejsca, w których spryskali kukurydzę wektorem Eboli.

Są daty, dużo liczb, nazwy farm.

Wszystkie należą do Biofeed.

– Ale dlaczego.

– Posłuchaj – przerwała mu i zaczęła czytać na głos.

–”Wektor przenoszący Ebolę znajduje się i w zwykłej, i w pastewnej odmianie kukurydzy, która rośnie już na licznych farmach na południu kraju.

Niektóre ziarna hodowaliśmy na górze, włączając wektor Eboli do młodych pędów.

Losowe badania uzyskanego w ten sposób ziarna wykazały, że geny Eboli trafiły na miejsce, a kiedy rośliny wzeszły i dojrzały, przekazały cały wektor kolejnemu pokoleniu”.

– Mój Boże – szepnął Steele.

Sullivan przerzuciła kartkę.

– Jest tego więcej.

„Zebraliśmy wystarczająco dużo ziarna, by wysłać kilka wagonów na pogranicze Oklahomy i Teksasu, w celu dokonania wiosennego siewu.

Drugie pokolenie wyhodowane z tego ziarna jest już w ziemi i daje stukrotnie większy plon – wciąż z genami Eboli.

Jeśli chodzi o pozostałe, wprowadziliśmy wektory, używając techniki aerozolowej na młodych roślinach, bezpośrednio na polu.

Teoretycznie metoda ta powinna być skuteczna, ale nie ryzykowaliśmy pobrania próbek i badania ich.

Nie poznamy więc prawdy, póki nie dojdzie w okolicy do pierwszego przypadku choroby Ebola”.

– Czy to możliwe? – przerwał jej Steele.

Nie odpowiedziała.

W milczeniu przewróciła jeszcze kilka kartek.

– Jeśli wierzyć temu, co tu napisali, obawiam się, że tak. Jezu Chryste, posłuchaj tego.

Wyciągnęła z raportu pojedynczą kartkę.

– „Wprowadziliśmy do wektora timery genetyczne, które uruchomią go tylko wtedy, gdy zostanie wchłonięty przez naturalnego gospodarza. Wtedy wirus Ebola będzie znów żywy, to znaczy zacznie się replikować i funkcjonować”.

Sullivan spojrzała na Steele’a.

– Rozumiesz, jak działa trigger genetyczny?

W jaki sposób niektóre geny włączają inne geny tylko w obecności konkretnych enzymów?

– Mów dalej – odparł, całkiem niezłe pojmując, o czym mowa.

Kathleen pochyliła się nad kartką.

– „Wirus potrafi przetrwać, nie czyniąc krzywdy organizmowi-nosicielowi, a jednocześnie jest gotowy do zarażenia każdej ludzkiej istoty, która wejdzie z nim w kontakt poprzez gospodarza.

– Zidentyfikowali nośnik?

Kathleen doczytała tekst do końca strony.

– Tak, ale nie wspominają tu, co nim jest. Piszą tylko:

„Jedynie garstka naszych uczonych pracujących w Afganistanie знаła sekret, a większość z nich zginęła pod koniec tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiątego ósmego roku, podczas ataku bombowego amerykańskich Sił Powietrznych na ich laboratorium”.

Kathleen urwała na moment.

– Ja nawet to pamiętam.

Pisali o tym w gazetach.

Ludzie CIA twierdzili, że w próbie tamtejszej gleby znaleźli coś podejrzanego, i uznali, że produkuje się tam broń biologiczną.

Steele też przypominał sobie tamtą sprawę i kontrowersje, jakie wzbudziła.

Rząd Afganistanu twierdził, że w zniszczonym budynku mieściła się firma wytwarzająca produkty dla rolnictwa.

Kathleen czytała dalej.

– Piszą tu, że ci naukowcy nie mieli wątpliwości co do jednego.

Odpowiednik tego gospodarza zamieszkuje Amerykę Północną.

Czy to nie naciągane?

Steele westchnął.

– Chyba nie.

W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy arena wirus podobny do gorączki Lassa zabił dwoje ludzi w południowej Kalifornii.

Jego jedynym gospodarzem był dawniej szczur żyjący wyłącznie w Afryce.

Nie ma wątpliwości, że dziś wirus czuje się równie dobrze w ciele amerykańskiego gryzonia.

Do zeszłego roku wirus Zachodniego Nilu rozprzestrzenił się, wykorzystując ptaki i komary żyjące wyłącznie w Ugandzie i paru ościennych krajach.

Dziś radzi sobie równie dobrze, wykorzystując ptaki i komary Central Parku czy Queens, a pewnie i w całym stanie Nowy Jork.

Dlaczego więc Ebola nie miałby znaleźć odpowiednika w starych, poczciwych Stanach?

Pewnie jedynym powodem, dla którego tak się jeszcze nie stało, jest to, że ofiary żyją zbyt



krótko, by sprowadzić go tutaj.

Twarz Sullivan, podobna do porcelanowej maski, stała się jeszcze bledsza.

– Nie mówisz poważnie.

– Jest w tym wszystkim i jaśniejsza strona – dodał, próbując złagodzić cios.

– Transmisja od gospodarza do człowieka, przynajmniej w Afryce, zdarza się dość rzadko – może raz czy dwa razy na kilka lat.

Większość zgonów to skutek przekazywania wirusa od człowieka do człowieka.

Zatem nawet jeśli ci łajdacy zrobili to, czym się chwalam, i wirus rzeczywiście znalazł amerykańskiego gospodarza, to przypadki zachorowań wśród ludzi mogą być niezmiernie rzadkie.

Steele nie dodał, że geograficzna izolacja ofiar w Afryce zawsze była kluczem do niewielkiego zasięgu choroby.

Rolnicza część Ameryki byłaby znacznie podatniejszym gruntem, o pojawieniu się zaś choroby w miastach Steele wołał w ogóle nie myśleć.

Kathleen milczała przez chwilę, z ponurą miną przeglądając pozostałe dokumenty.

Gdy sięgnęła po ostatni, wstrzymała oddech.

– O co chodzi? – spytał Richard.

Podala mu wydruk.

Wektory zaprojektowano również tak, by się uruchamiały, jeżeli jakiegokolwiek naczelnego, również człowiek, spożyją kukurydzę.

W ziarnie zmielonym na mąkę RNA Eboli może przetrwać nawet pieczenie.

Zjedzone w całości, prosto z kolby, czy nawet gotowana łupina ziarna jest dostateczną ochroną dla dodanego genu.

W rezultacie spora dawka wirusa dostaje się do przewodu pokarmowego nietknięta, a tam dochodzi do spotkania z enzymem wyzwalającym, który aktywuje gen.

Innymi słowy, wierzymy, że stworzyliśmy dla Eboli drogę do atakowania człowieka wprost, z pominięciem gospodarza, co powinno zwiększyć odsetek zachorowań.

Steele nie mógł wydobyć z siebie głosu.

– Wiesz, dlaczego jeszcze Patton wyjaśnił nam to wszystko tak szczegółowo? – spytała Kathleen drżącym głosem, spoglądając w przestrzeń.

Richard pokręcił głową.

– Władze będą musiały wycofać to ziarno z obiegu, a to okaże się logistycznym koszmarem.

Odnalezienie wszystkich farmerów, którzy go użyli, oraz zidentyfikowanie konkretnych pól będzie wystarczająco trudne.

Ustalenie, czy w sąsiednich uprawach nie doszło do przypadkowego wysiewu skażonego ziarna, będzie praktycznie niemożliwe.

Sullivan umilkła i zaskąkała, a w jej oczach pojawiły się łzy.

Innymi słowy, pokazuje nam wszystkim dobitnie, że genetycznych pomyłek nie da się cofnąć, a Ebola zostanie w naszym środowisku na zawsze.

Odebrała Richardowi wydruk i cisnęła go z powrotem na kontuar.

– Wybacz, ale w tej chwili nie mogę nad tym deliberować.

Myślę wyłącznie o Lisie.

Muszę stąd wyjść na czas, żeby ostrzec.

– Urwała i znowu zaczęła płakać.

– Te sukinsyny ją zabiją!

– Nie mów tak! – zaoponował, obejmując ją.

Sam ledwie panował nad paniką, myśląc o najbliższych, ale wiedział, że jeśli mają choćby spróbować stąd uciec i uratować kogokolwiek, przede wszystkim nie mogą się teraz rozkleić.

Odepchnęła go i zaczęła otwierać szafki, do których już zaglądał.

– Pomóż mi stąd wyjść! – zawołała, spoglądając na niego błagalnie.

Czuł się bezradny, widząc jej ból.

Próbując nie myśleć o najgorszym, podszedł do następnego kontuaru, ale myśl powracała uparcie: nie mamy szans wydostać się stąd na czas.

Poszukiwania narzędzi nie przyniosły rezultatu; zrezygnowany zaczął się zastanawiać, w jaki sposób najskuteczniej ukryć wiadomość o tym, że prawdziwym winowajcą jest Steve Patton.

Mógłbym ją połknąć, myślał, żeby została znaleziona w żołądku podczas autopsji.

Ale czy pismo zniesie działanie kwasów żołądkowych?

Znieruchomieli, gdy gdzieś spoza ścian dobiegł daleki łomot.

– Chryste, wrócili – powiedziała Sullivan, spoglądając na zegar.

Dwudziesta czterdzieści pięć.

Ich czas dobiegł końca, ale Steele znowu zaczął szukać czegoś – czegokolwiek!

– Co nadawałoby się do rozerwania łańcucha.

– Jeśli się uwolnimy i ukryjemy, możemy ich zaskoczyć – powiedział.

– I zmusić do podania właściwego kodu.

Kathleen spojrzała na stołek, który stał mniej więcej trzy metry dalej, niż byli w stanie sięgnąć.

– Moglibyśmy użyć jego nogi – powiedziała, zsuwając z ramion kombinezon, by uwolnić górną połowę ciała.

Zaraz potem zdjęła bluzę, ściągając ją przez głowę.

– Teraz ty, Richard.

Daj mi swoje ubranie.

W niespełną minutę byli nadzy, jeśli nie liczyć skarpetek.

Dwa księżycowe kombinezony i dwa komplety lekarskich strojów związali w trzymetrowe lasso; nogawki spodni posłużyły jako pętla na końcu.

Steele wykonał pierwszy rzut.

Pętla upadła obok celu.

– Ja spróbuję – powiedziała Kathleen.

Nogawki opadły na siedzisko, ale zsunęły się bokiem.

Spróbowała po raz drugi, z tym samym rezultatem.

Steele obserwował światło ostrzegawcze nad zewnętrznym włazem laboratorium.

Za trzecim razem pętla zahaczyła o krawędź siedziska.

Kathleen pociągnęła lekko, przechylając stołek w ich kierunku.

Oboje wstrzymali oddech.

Gdy pociągnęła nieco mocniej, pętla ześlizgnęła się, a stołek zakołysał i runął na podłogę, ale w przeciwnym kierunku.

Steele spostrzegł, że światło ostrzegawcze zaczyna migać.

– Chowaj się! – krzyknął, padając za kontuar.

Kathleen przykucnęła obok niego.

Czekali.

– Może jednak uda się na nich skoczyć szepnął Steele.

Głośniki ożyły, transmitując rozmowę prowadzoną w zewnętrznym pomieszczeniu.

– Nie widać ich? – spytał męski głos.

– Ani śladu odpowiedział inny.

– Więc gdzie się podziali? – wykrzyknęła młoda kobieta.

– Co u diabła? – zdumiała się Kathleen, zrywając się na równe nogi.

Steele dołączył do niej i zobaczył za oknem zdumione twarze Azrhana, Lisy i detektywa Roosevelta McKnighta.

21.28

Lądowisko helikopterów nad East River

Z trzynastominutowym opóźnieniem rozkwitły na nocnym niebie kwiaty srebrnych eksplozji.

Pierwszej salwie towarzyszyły dźwięki Stars and Stripes Forever Johna Philipa Sousy.

– Bądź dobry dla błoniasto-nogich przyjaciół – zawodził Butkis na melodię znanego marsza, płynącą z głośników rozstawionych wzdłuż FDR.

– Bo kacusia może być czyjaś mamuuuusią.

– Zamknij się wreszcie, na miłość boską – warknął Morgan.

– Pora spieprzać.

Zaczęli o trzynaście minut za późno.

– Zacisnął dłonie na brzegach fotela, by ukryć ich drzenie.

Szef lądowiska leżał w swojej przyczepie służącej za biuro, a z jego głowy płynęła krew oraz coś, co wyglądało jak szara pasta do zębów.

Choć wydawało się, że kupił historyjkę Butkisa o kłopotach technicznych, upierał się, że pozostali piloci powinni startować, żeby opuścić strefę zakazu lotów przed wyznaczoną godziną.

Gdy odmówili, wrócił do biura, grożąc, że zawiadomi policję.

– Zostawcie to mnie – powiedział Morgan, ruszając zanim z ciężkim kluczem w ręku. – Ogluszę go i zwiążę.

Pierwszy cios przerwał szefowi lądowiska wybieranie numeru alarmowego 911.

Mężczyzna opadł na kolana, wciąż ściskając w ręku słuchawkę.

Ku przerażeniu Morgana, przesunął jeszcze kciuk i nacisnął ostatnią jedynekę.

Drugiemu uderzeniu towarzyszył już nie tylko trzask, alei mokre mlaśnięcie.

Pilot spojrział na niego z ukosa i powiedział:

– Hej, facet, wyluzuj.

Masz gębę koloru kredy.

– Nucąc pod nosem, włączył mikrofon sprzężony ze słuchawkami.

– Jazda, panowie – powiedział, zwiększając obroty i kąt natarcia wirnika, aż maszyna zaczęła się wolno odrywać od lądowiska.

Minął stojące najbliżej głośniki i zajął pozycję trzydzieści metrów nad trasą FDR.

Pozostałe dwa śmigłowce zawisły w pobliżu: jeden po lewej, nad nabrzeżem, drugi po prawej, nad dachami domów.

Spoglądając pionowo w dół, Morgan spostrzegł mozaikę twarzy skierowanych ku górze; jedne wyrażały zdziwienie, inne uśmiechały się przyjaźnie.

Wszędobylskie dzieciaki błyskały zębami w świetle lamp sodowych.

Kilkoro dorosłych pomachało pilotowi.

Morgan zaczął się pocić; nie mógł dłużej znieść ich spojrzeń.

Butkis pochylił się nieco i zawiesił dłoń nad przyciskiem otwierającym dyszę rozpylacza.

Morgan poczuł suchość w ustach i przez krótką chwilę zastanawiał się, czy nie powinien odtrącić ręki pilota, jakby w ostatniej chwili mógł zmienić nie tylko plan, który mieli do wykonania, ale także własne przeznaczenie.

Gdzieś nad kokpitem pojawiły się nowe lśniące, błękitne kule eksplozji, z których na podobieństwo komet wystrzeliły czerwone smugi.

Morgan zacisnął powieki, ale wyobraźnia i tak podsunęła mu obraz roześmianych twarzy.

– Chryste – wymamrotał.

Zapatrzył się w daleką przestrzeń, byle tylko nie widzieć już tej galerii fantomów.

Nad Nowym Jorkiem rozpostarła się kopała złotego deszczu.

Impuls minął, a wraz z nim iluzja, że powstrzymując Butkisa, mógłby ocalić siebie.

Wiedział, że przekroczył już zbyt wiele granic, za każdym razem bez prawa powrotu – począwszy od księżycowej nocy w Oklahomie, a skończywszy na tej ponurej chwili w ciasnej przyczepie, trzydzieści metrów niżej.

Pilot otworzył dyszę i rozpoczął niespieszny lot na wprost.

Delikatna biała mgielka opadła ku zgromadzonym w dole tłumom.

Morgan obserwował jej powolne szybowanie.

Gdy dotarła do miejsca przeznaczenia, na twarzach ludzi odmalowały się nowe emocje: zaskoczenie, złość i strach.

Niektórzy ocierali czoła dłońmi i próbowali się z bliska przyjrzeć nieznannej substancji.

Niektórzy wachali ją, trzymając krople na koniuszkach palców.

Inni starali się tylko zetrzeć jaz oczu i ust.

Wypatrzył też kilka osób, które najwyraźniej słyszały plotkę o promocji kosmetyków.

Młody mężczyzna ubrany jedynie w kąpielówki pomachał pilotowi i uniósł obie ręce, udając, że bierze prysznic.

Rozcierał preparat na ramionach, pod pachami i na głowie.

Inni zaczęli go naśladować; wielu pokazywało uniesione kciuki – widocznie chłodna mgielka sprawiła im przyjemność w tę gorącą noc.

Ci, którym pomysł się nie spodobał, wygrażali pięściami albo pokazywali środkowy palec.

– Pamiętajcie, panowie – odezwał się Butkis do mikrofonu – lecimy na przód z prędkością piętnastu węzłów i spędzamy nad celem nie więcej niż cztery minuty.

Morgan rozejrzał się na boki i zobaczył, że dwie pozostałe maszyny również rozpoczęły swą misję.

Sekundy ciągnęły się nieznośnie, a niewielka prędkość lotu sprawiała, że czuł się jak zawieszony w próżni.

Miał wrażenie, że pasy bezpieczeństwa nie pozwalają mu oddychać – znowu dopadło go uczucie, że znalazł się w potrzasku.

Pod nim zaś, niczym niekończący się ludzki dywan, falowały tłumy jego ofiar i wydawało mu się, że każda z nich spogląda wprost na niego.

– Ooo!

– Piękny widok, Steve!

– Spójrzcie na to!

Gejzery różu i fioletu startowały ku niebu z kompleksu barek zakotwiczonych na rzece Hudson, hipnotyzując gości zebranych w jego gabinecie.

Lecz sam Patton zerkał raczej w kierunku East River, gdzie rozpoczął się właśnie inny show, przygotowany przez niego.

Naturalnie z tej odległości nie mógł go obserwować, ale doskonale widział fajerwerki stanowiące jego tło i to wystarczyło, by nie mógł oderwać oczu od horyzontu.

– Tak, cudowne, nieprawdaż? – odpowiedział, by nie wzięto go za gbura.

Połowa zaproszonych gości się nie zjawiła, a na domiar złego większość z nich przysłała kogoś w zastępstwie i bez wątpienia były to osoby z listy B.

Zastępca asystenta zastępcy dyrektora parków stanowych.

Nie liczący się członek Partii Demokratycznej z Albany.

Nawet kierownik robót publicznych w biurze burmistrza!

Na Boga, myślał ze złością Patton, wcisnęli mi tu byle kogo, jeśli tylko dał się od biedy podciągnąć pod „zielonego”.

Pochwycił w locie kieliszek szampana z tacy niesionej przez kelnera i opróżnił go do połowy jednym haustem.

W ciągu doby pojawiają się pierwsze symptomy, pomyślał.

Potem ktoś pierwszy zdiagnozuje ptasią grypę.

Za czterdzieści osiem godzin na mój stanowczy wniosek policja oficjalnie uzna Sullivan i Steele'a za zaginionych.

Następnie zasugeruję, aby przeszukano posiadłość Agrenomics, ponieważ Sullivan podejrzewała, że za dwoma nieudanymi zamachami na jej życie stoją osoby związane z tą firmą.

Gdy gliny odnajdą laboratorium, stanę w pierwszym szeregu zaproponuję moją interpretację wydarzeń i będę najbardziej poszukiwaną osobistością Nowego Jorku.

Wtedy wszystkie te zera będą mogły pocałować mnie w dupę.

Kolejne erupcje złotego ognia rozświetliły noc, odbijając się efektownie w szklanych ścianach wież World Trade Center, odległych ledwie o kilka przecznic na wschód.

– Cudo!

– Świetna impreza, Steve!

– Jest może jeszcze to pyszne quiche?

No jasne.

W polu widzenia pojawiały się nowe twarze ofiar.

– Boże, nie możesz lecieć trochę szybciej? – spytał Morgan, wierząc się w fotelu.

– Nie zniosę tego.

– Ejże, Bob – odparł pogodnie Butkis.

– Sam kazałeś mi utrzymywać taką prędkość.

Morgan zaczął manipulować przy zamku pasów bezpieczeństwa.

– Muszę je poluzować.

Są za ciasne, nie mogę oddychać!

– Rozluźnij się i podziwiał widowisko.

Mamy jeszcze co najmniej pięć minut, zanim gliny się zorientują, że coś jest nie tak, i sprowadzą własne śmigłowce.

A my będziemy wtedy już w Queens.

Wysoko nad kabiną pojawiły się purpurowe pióropusze i drobne białe iskry.

– Czuję się, jakbym robił pokaz lotniczy na Broadwayu!

Morgan bez skutku próbował spowolnić oddech.

Butkis tymczasem znowu poczuł wenę:

– Nie ma to jak w show-biznesie. – zawył.

Helikopter lecący po prawej zbliżał się właśnie do gmachu szpitala.

Morgan zerknął w jego stronę, spodziewając się ujrzeć dach szczelnie wypełniony ludźmi.

O dziwo, był praktycznie pusty, jeśli nie liczyć trzech postaci stojących przy najbliższym narożniku.

Morgan miał wrażenie, że dwie z nich mają na sobie czerwone stroje.

Zdziwiony wyteżył wzrok, by przyjrzeć się lepiej tym trzem.

Nagle uświadomił sobie, że wszystkie są ubrane w księżycowe kombinezony; te dwa czerwone niczym się nie różniły od skafandrów używanych w Agrenomics!

Poczuł nagłą falę zimna gdzieś we wnętrzu czaszki i przyszła mu do głowy niesłychana myśl: czy to możliwe, że Sullivan i Steele uciekli?

Czyżby zdążyli ostrzec wszystkich w szpitalu?

– Szlag! – kwiknął Butkis.

Morgan spojrzał na wprost i zobaczył zbliżającą się szybko tyralierę świateł.

– Rozproszyc się!

To gliny! – krzyknął Butkis do mikrofonu, zwiększając obroty silnika i pochylając dziób maszyny ostro do przodu.

Tyle że przeciwnicy zbliżali się także od góry i z tyłu.

– Przez fajerwerki! – ryknął, gwałtownie skręcając nad wodę, wprost ku barkom, i nabierając wysokości.

Kule wielkie jak planety eksplodowały przed nimi czerwienią, bielą i błękitem.

– Juhuuu! – zawołał, nurkując maszyną między eksplozjami.

Doleciał mniej więcej do połowy ognistej zapory, gdy śmigłowiec lecący po lewej zamienił się w kulę płomieni.

Morgan zaczął krzyczeć.

Butkis spojrzał w dół w samą porę, by zobaczyć gromadę rakiet lecących prosto na nich.

– O kurwa.

Bezpośrednie trafienie w zbiorniki z paliwem przeniosło ich w niebyt.

Z punktu obserwacyjnego na dachu Steele dobrze widział szczątki spadające do wody oraz prerażenie, z jakim tłum stojący przed szpitalem zareagował na tę straszną scenę.

Ludzie stojący dalej, na trasie, w ogóle nie zwrócili uwagi na to, co się stało – sądzili, że huk płomienie to element zaplanowanego pokazu.

Nieco trudniej było im przegapić chmurę policyjnych helikopterów, które zawisły wzdłuż nabrzeża, trzymając się z dala od linii ognia.

Stanton wychylił się za murek i pokazał Kathleen umundurowanych funkcjonariuszy, którzy zaczynali właśnie tworzyć kordon wokół kilkusetmetrowego pasa, nad którym napastnicy zdążyli rozpylić swą genetyczną broń, zanim ich przepędzono.

– Gdy tylko zadzwoniliście do mnie z Agrenomics – powiedział zatelefonowałem na policję i rozmawiałem z dyrektorem grupy szybkiego reagowania.

Zajmą się tym tak jak masowymi napromieniowaniami.

Wszyscy zostaną rozebrani i odkażeni, ich ubrania spakowane i zniszczone.

Nawet woda, którą zostaną umyć, pozostanie w zamknięciu.

A potem zmyjemy lizolem całą FDR.

Większość gapiów wciąż przyglądała się trwającemu pokazowi sztucznych ogni.

Nikt nie spodziewał się jeszcze, że czeka go kwarantanna, a tylko nieliczni, stojący na obrzeżach odizolowanej strefy, zaczynali wskazywać palcami na potężny kordon policyjny i szkolne autobusy, które setkami ustawiały się tuż za nim.

– Oczywiście będzie to operacja na wielką skalę – ciągnął Stanton.

– Przydadzą się duże obiekty.

Madison Square Garden, stadion Jankesów, Shea ale i tak będzie to koszmar dla zwolenników obywatelskich swobód.

Za parę minut trzeba będzie zwinąć i przetrzymać w zamknięciu sto pięćdziesiąt tysięcy osób.

– Zaproponuj im nadzieję poradził Steele.

– Nadzieję?

Dla tych, którzy zachorują, nie ma nadziei.

I właśnie dlatego będzie to tak cholernie trudne.

Wszyscy będą próbowali zwiać.

– Tamiflu – powiedział Steele, przerywając mu niespodziewanie.

– Tami – co? – spytała zdziwiona Kathleen.

Stanton wyprężył się jak rażony gromem.

– Mój Boże!

– Ten pomysł przyszedł mi do głowy, kiedy tu jechaliśmy.

– Richard, to może być to!

Bardzo pomysłowe.

Dlaczego sam na to nie wpadłem?

– Bo utknąłeś w tej swojej wieży z kości słoniowej? – podpowiedział Steele, szczerząc zęby w uśmiechu.

– Co to jest Tamiflu, do cholery? – spytała zirytowana Kathleen.

– Powinniśmy zacząć od najazdu na wszystkie apteki w mieście – ciągnął Steele, jakby wcale jej nie słyszał.

– Oczywiście najważniejszy jest czas.

Wątpię, żebyśmy mieli standardowe trzydzieści sześć godzin, skoro wektory dokonują

bezpośredniej inwazji komórek.

Poza tym trzeba będzie sprowadzić chyba wszystkie dawki dostępne w Ameryce i do jutra zgromadzić je tutaj.

– Zaraz się tym zajmę – odparł Greg.

– Producent też powinien mieć jakieś zapasy.

– Czy któryś was wreszcie mi odpowie? – przerwała mu Kathleen.

– Powiedziałam: „Co to jest Tamiflu, do cholery?

„ Brzmi to jak tytuł filmu, w którym Debbie Reynolds się przeziębą.

Obaj mężczyźni spojrzeli na nią w milczeniu.

Po chwili Steele zachichotał i rzekł:

– To nie tytuł, ale możliwe, że zapewni nam szczęśliwe zakończenie, jak to zwykle w jej filmach.

– Zatem co to jest?

– Inhibitor neuraminidazy.

– Zwany fosforanem oseltamiwiru – uzupełnił Greg.

Steele spojrział na niego spod uniesionych brwi.

– Ejże, kolego, zrobiłeś na mnie wrażenie.

– Sam się ejże.

Nadal czytam i jestem na bieżąco, więc komentarze o wieży z kości słoniowej możesz sobie darować.

– Albo zaraz zaczniecie gadać do mnie po angielsku, albo zrzucę was z tego dachu.

– Dobrze, już dobrze – odparł ze śmiechem Steele.

– Pamiętasz, jak Julie Carr pokazała nam zdjęcia tego kolczastego wirusa grypy spod mikroskopu elektronowego?

Mówiła nam wtedy, że struktury te zawierają neuraminidazę, cząsteczkę zdolną do przecięcia połączenia między wirusem a komórką, co pozwala mu wędrować dalej i зараżać kolejne komórki.

Lek Tamiflu, jeśli poda się go dostatecznie wcześnie, blokuje ten proces uwalniania.

Wirus grypy nie może się więc replikować i rozprzestrzeniać poza pierwsze zainfekowane komórki, zatem straty mają ograniczony zasięg.

– Ale czy ten lek zadziała na hybrydę?

Zwłaszcza wprowadzoną wektorem genetycznym?

– To jest pytanie za milion dolarów – odparł Stanton.

– Nie powstrzyma wektorów przed wnikaniem do komórek i wstępną replikacją wirusa, ale może zapobiec ich przenikaniu do innych komórek.

Kłopot w tym, że zdarzają się nawet szczepy zwykłej grypy, w których występuje nieznaczna odmiana neuraminidazy, czyniąca je mniej podatnymi na działanie leku.

Czy hybryda zachowa się podobnie, nie dowiemy się, póki nie spróbujemy.

– Greg otoczył ją ramieniem i uściskał.

– Ale przynajmniej będziecie mieli szansę powalczyć.

Teraz, kiedy wydaje mi się, że odzyskałem najlepszego przyjaciela – dodał, zwracając się do Steele'a – który w dodatku obraża mnie tak jak dawniej, na pewno nie chciałbym go stracić przez jakiegoś przekłętą mikroba.



Jeden z policyjnych śmigłowców odłączył się od stada i zawisł nad szpitalnym lądowiskiem, gdzie zwykle lądowały maszyny pogotowia.

Otworzyły się drzwi i ukazał się w nich McKnight.

– Czy mogę zaprosić do mnie doktorów Sullivan i Steele’a? – zawołał.

– Pewnie nie chcielibyście przegapić tego, co teraz nastąpi.

Pokaz zbliżał się do wielkiego finału, gdy starszy kelner wziął Pattona pod ramię i powiedział:

– Proszę pana, zdaje się, że u drzwi czekają nowi goście.

Ekolog rozpromienił się przekonany, że nareszcie zjawili się ludzie, których naprawdę chciał tu widzieć.

– No to proś ich do środka.

Zawsze mówię: lepiej późno niż wcale.

Stanął pośrodku gabinetu, jak zawsze gdy chciał kogoś oficjalnie powitać, właśnie tu bowiem prezentował się najlepiej na tle wielkich okien.

Od razu poczuł się lepiej.

Misja pewnie już zakończona, pomyślał.

Przeżył wprawdzie chwilę niepewności, gdy brudno-pomarańczowa smuga nad East River przyćmiła blask sztucznych ogni, ale nikt prócz niego nawet jej nie zauważył, więc uznał, że któryś z fajerwerków po prostu nie wypalił.

W pierwszej chwili zobaczył tylko cienie licznej gromady gości, którzy pojawili się przy drzwiach – w gabinecie wyłączono prawie wszystkie światła, by wzmocnić efekt pokazu.

No proszę, jaka silna grupa, pomyślał zadowolony, że jednak tak wielu znajomych przyjęło zaproszenie.

Wyciągnął rękę i uśmiechnął się, ale nie wyszedł przybyłym na powitanie – wołał, żeby to oni przychodzili do niego.

Pierwszych dwóch zaskoczyło go krwistą czerwienią strojów.

Dopiero po chwili dostrzegł, jak zwały się ich kształty, i cofnął się odruchowo, nie wierząc własnym oczom.

Kaskady złotego ognia, które przelewały się po niebie za jego plecami, odbiły się wiernie w pleksioglasowych maskach księżycowych skafandrów.

Sullivan oburącz pochwyciła go za klapy smokingu i przyciągnęła do siebie, tak że oparł się nosem o jej hełm.

Wysoki, smukły kieliszek z szampanem wysunął się z jego palców, a zawartość opryskała mu buty, dając efekt miniaturowych ciekłych fajerwerków, po których została mokra plama na dywanie.

– Już po tobie, Steve – krzyknęła przez szybę hełmu.

– I wiesz co?

Bardzo wielu ludzi będzie chciało zafundować i karę śmierci za to, co zrobiłeś.

Powinieneś zwłaszcza zacząć się modlić, żeby nikt na Południu nie zmarł z powodu wirusa Ebola.

U stóp Pattona pojawiła się nowa plama.

Gdy McKnight szedł w jego stronę z kajdankami w dłoni, coraz bardziej rosła.

## Epilog

*„The New York Herald”,  
poniedziałek, 24 lipca 2000*

Liczba ofiar ataku na Nowy Jork z czwartego lipca wzrosła do 423 po tym, jak ostatniej nocy na ptasią grypę zmarło dwoje niemowląt.

Nieszczęsne dzieci przez szesnaście dni przebywały na oddziale intensywnej opieki medycznej.

„Liczby wydają się ponure, ale naprawdę mogło być znacznie, znacznie gorzej”, mówi doktor Greg Stanton, dziekan New York City Medical School.

„Dzięki ostrzeżeniu, które przekazali nam doktor Kathleen Sullivan i doktor Richard Steele, mogliśmy interweniować bardzo szybko i zwalczyć większość przypadków infekcji.

Jak się okazało, dzięki nowego typu lekom zwanym inhibitorami neuraminidazy u większości z 75 tysięcy ludzi narażonych na kontakt z aerozolem w ogóle nie wystąpiły objawy chorobowe.

Spośród 10 procent poważnie chorych prawie 7000 osób wróciło do pełni sił. Naturalnie liczby te nie są żadnym pocieszeniem dla rodzin, które straciły najbliższych. Jak to zwykle bywa, ucierpieli najslabsi – najstarsi i najmłodszy z nas”.

Niemal wszystkie osoby objęte kwarantanną zostały już zwolnione.

Zapytany o to, czy ryzyko epidemii ptasiej grypy zostało zażegnane, doktor Stanton odpowiedział: „Nie dowiemy się tego jeszcze przez wiele miesięcy, a największe ryzyko powrotu choroby przyniesie jesień, tradycyjny sezon grypowy.

Jak na ironię, technicy, którzy współpracowali przy tworzeniu tej potwornej broni, być może mimowolnie udzielili nam pomocy.

Pozostawili dziesiątki małą, które przetrwały walkę z wirusem i noszą w sobie przeciwciała przeciw hybrydzie.

Dzięki nim nasi badacze już prowadzą prace nad szczepionką, która będzie zapobiegać nowym zachorowaniom.

Powinna ona być gotowa do masowej dystrybucji już za sześć miesięcy.

Tymczasem zaś każdy, kto poczuje symptomy podobne do przeziębienia, powinien natychmiast udać się do swojego lekarza”.

*„The New York Herald”,  
środa, 26 lipca 2000*

Policja kontynuuje prace dochodzeniowe, by poznać kulisy i przebieg ataku w Dniu Niepodległości.

Zeznania członków Stowarzyszenia Błękitna Planeta ujawniają, że Steve Patton wykorzystał członków ogólnoswiatowej sieci obrońców środowiska jako mimowolnych współników w realizacji swego planu.

Wolontariusze azjatyckiego oddziału tej organizacji twierdzą, że w 1997 roku, podczas epidemii ptasiej grypy na Tajwanie, informowali go o negatywnych skutkach stosowania

genetycznej szczepionki przeciwko tej chorobie.

Byli zdziwieni, że Patton zdaje się ignorować te doniesienia, ale gdy szczepionka została wycofana przez firmę Biofeed International, przestali się zajmować tą sprawą.

Członkowie europejskiej społeczności ekologów wspominają natomiast, że mniej więcej w tym samym czasie Patton okazał nagłe zainteresowanie najbardziej radykalnymi formacjami tak zwanego ruchu „zielonych”, zwłaszcza tymi, które dopuszczały się w przeszłości aktów przemocy.

Zdaniem policji, właśnie poprzez takie grupy ekstremistyczne Pattona wiązał kontakt z terrorystami afgańskimi, którzy wkrótce potem zaoferowali mu środki finansowe, zaplecze techniczne oraz ludzi do przygotowania ataku, począwszy od zbudowania laboratorium Agrenomics na północ od White Plains, w stanie Nowy Jork.

Ani policja, ani FBI, ani rzecznik CIA nie komentują doniesień na temat domniemanej tożsamości wspomnianych ludzi oraz ich przynależności organizacyjnej.

Uważa się, że większość z nich pozostaje na wolności. Policja w Honolulu wysłuchała zeznań pracowników firmy Biofeed International oraz zbadła jej dokumentację, dzięki czemu udało się rzucić nieco światła na postać współuczestnika spisku, Roberta Morgana.

Dokumenty ujawniły, że człowiek ten był pracownikiem Biofeed w roku 1998 i pomysłodawcą odsprzedania miejscowym farmerom wadliwej szczepionki genetycznej przeciwko ptasiej grypie jako zwykłej karmy dla drobiu.

Gdy wirus pokonał barierę gatunkową, zarażając dziecko (podobne zdarzenie wystąpiło rok wcześniej na Tajwanie), Morgan został zwolniony w ramach naprędce zorganizowanej akcji zacierania śladów.

Policja przesłuchuje też byłą pracownicę Biofeed, która zgłosiła się dobrowolnie, twierdząc, że wkrótce po śmierci zarażonego dziecka i nagłośnieniu sprawy przez światowe media odwiedził ją człowiek podający się za przedstawiciela Stowarzyszenia Błękitna Planeta.

„Zadawał bardzo konkretne pytania o ziarno kukurydziane zawierające genetyczną szczepionkę przeciwko ptasiej grypie.

Chciał wiedzieć, czy firma Biofeed sprzedawała taką karmę na wyspie.

Sama jestem aktywistką ruchu ochrony środowiska i dlatego postanowiłam przeprowadzić małe prywatne śledztwo.

Zajrzałam ukradkiem do archiwów danych komputerowych i znalazłam kopie rachunków za karmę sprzedaną na Tajwan, podpisanych przez Boba Morgana.

Choć nie było tam wzmianki o szczepionce genetycznej, wiedziałam, że Morgan został niedawno zwolniony w bardzo podejrzanych okolicznościach.

Przekazałam więc kopie dokumentów przedstawicielowi Stowarzyszenia Błękitna Planeta i zasugerowałam mu, że powinien odszukać Morgana, jeśli chce się dowiedzieć czegoś więcej o tej karmie.

Nie odezwał się więcej, więc uznałam, że nic z tego nie wyszło.

Ale kiedy zobaczyłam doniesienia o ataku z czwartego lipca, były w nich i zdjęcia człowieka, z którym wtedy rozmawiałam – Steve’a Pattona we własnej osobie”.

„*The New York Herald*”,  
wydanie niedzielne, 30 lipca 2000

Władze nie podjęły jeszcze ostatecznej decyzji co do sposobu rozwiązania problemu hektarów upraw kukurydzy skażonych RNA wirusa Ebola, rozrzuconych w wielu stanach na Południu i Środkowym Zachodzie kraju.

„Tonie plotki”, zadeklarował jeden z urzędników.

„Papkę z ziarna tych roślin podano małpom w warunkach laboratoryjnych.

Wszystkie zachorowały, a 90 procent z nich padło przed upływem 10 dni”.

Początkowe plany spalenia skażonych upraw zawieszono po konsultacjach z naukowcami z Europy, biorącymi w ubiegłym roku udział w spalaniu upraw soi, w których omyłkowo znalazły się rośliny zmodyfikowane genetycznie.

„Obawiamy się, że fragmenty niszczonej rośliny mogą wraz z dymem pokonać wiele kilometrów”.

Nikt nie potrafi dziś określić, czy taki rozrzut stanowi dla nas zagrożenie; eksperci po obu stronach Atlantyku wciąż badają tę kwestię.

Sprawa jest bardzo poważna.

O ile można zapobiec spożywaniu przez ludzi określonych produktów, o tyle niemożliwe jest odizolowanie upraw od drobnych zwierząt i owadów.

Jeżeli choć jedno z nich okaże się nieznanym gospodarzem wirusa Ebola, organizm ten na stałe zagości w Ameryce.

Inny ekspert, wypowiadający się anonimowo, twierdzi, że nawet środki mające zapobiec przypadkowemu spożyciu skażonych produktów przez człowieka nie są doskonałe.

Jak głosi plotka, choć większość pierwszego plonu sprzedano jako nasiona odmiany pastewnej, to jednak w niewytłumaczalny sposób kilka dostaw trafiło wprost do młynów giganta spożywczego, a następnie odsprzedają detalicznej w znanej sieci Biofeed Grocery Chain.

Przedstawiciele firmy odmawiają komentarzy w tej sprawie, ale potwierdzają, że trwa ogólnokrajowa akcja wycofywania ich produktów zawierających mąkę kukurydzianą.

Jak dotąd nie stwierdzono ani jednego zachorowania na gorączkę krwotoczną, ale i tak szpitalne izby przyjęć przeżywają trudne chwile, jako że każdy, kto odczuwa choćby drobne dolegliwości żołądkowe, natychmiast pragnie się zgłosić do lekarza.

Dodatkowe obciążenie sprawia, że wiele szpitali ma problemy z wykonywaniem rutynowych zadań.

„Choć nie istnieje lek na tę chorobę, zastosowanie działań wspierających, takich jak dożylnie podawanie płynów, może zwiększyć szansę przeżycia”, twierdzi rzecznik CDC w Atlancie.

„Pracujemy też nad eksperymentalną szczepionką przeciwko śmiertelnemu wirusowi, a wyniki testów na naczelnym są obiecujące.

Niestety, czeka nas jeszcze długotrwały proces udoskonalania jej, toteż próby na ludziach to jeszcze melodia dalekiej przyszłości”.

Skutki gospodarcze ataku nadal są widoczne w sektorze rolnictwa.

Ceny mięsa i drobiu z Północy szybują w górę, Amerykanie bowiem wciąż bojkotują produkcję rolniczą z Południa, obawiając się, że zmutowane ziarno mogło omyłkowo trafić do hodowli jako pasza dla zwierząt.

Dzieje się tak mimo zapewnień władz stanowych, iż udało się odnaleźć i wyizolować wszystkie

uprawy, które... Steele skrzywił się i rzucił gazety na ziemię, układając się wygodniej na leżaku.

Spoglądając na lśniący w słońcu ocean, usłyszał, że drzemiąca obok Kathleen Sullivan poruszyła się nieznacznie.

Jej dłoń odnalazła jego rękę i uściśnęła ją czule.

– Spróbuj się odprężyć, Richard – powiedziała sennym głosem.

– W tej chwili to nie nasza walka.

Steele splótł palce z jej palcami i przebiegł spojrzeniem wzdłuż plaży, szukając Cheta i Lisy, bawiących się w falach deskami boogie.

Dobrze, że przynajmniej udało mi się poskładać do kupy mój mały świat, pomyślał.

Drugą połowę lata spędzali na północ od Portsmouth, w stanie Maine, gdzie wynajęli dom na plaży, gdy tylko zakończyli kwarantannę.

Greg Stanton nalegał, by oboje wzięli trochę wolnego, a w prezencie na drogę podarował Steele'owi formalne zaproszenie do ponownego przejęcia od września obowiązków szefa oddziału ratunkowego w nowojorskim szpitalu miejskim.

Martha, gdy tylko zadomowili się nad oceanem, przypomniała, że wybiera się na dawno zasłużoną wycieczkę do Europy – zostali więc sami, we czworo.

Richard martwił się trochę o Cheta, ale Lisa potrzebowała niespełna dziesięciu minut na zdobycie jego serca i od tamtej pory byli praktycznie nierozłączni.

Czasem towarzyszył jej nawet w spotkaniach z niezliczonymi „narzeczonymi”, którzy wpadali z wizytą albo zapraszali ją do kina w pobliskim miasteczku.

– Jesteś moim środkiem antykoncepcyjnym, na wypadek gdyby przyszło im do głowy coś głupiego – powiedziała mu raz przy kolacji.

Chet zarumienił się wtedy po czubki uszu.

A teraz podniósł się z piasku, na który wyrzuciła go wielka fala, spojrzął na jasne wydmy, za którymi siedzieli Richard i Kathleen, uśmiechnął się i rzucił z powrotem do spienionej wody.

Gdy promienie słońca tańczyły na lśniącej powierzchni wody i na twarzy jego syna, Steele był gotów przysiąc, że widzi błysk aprobaty w ciemnych oczach.